



ANNA DAVIS



KŁAMCY

Tytuł oryginalu CHEET

Książkę dedykuję dziewczynom:

Helen Payne, Cathy Tabakin, Kate Barclay, Sarah Maber i Danieli Bernadelle

Dedykuję ją też Simonowi, który nie jest dziewczyną.

Proszę, by podziękowania przyjęli Jan i Ed Sadleir, Wendy Wright i Philomena French — za nieocenione informacje o londyńskich taksówkach i o życiu kierowców.

Dziękuję również Stephi Symons za konsultacje medyczne.

RS

ŻYCIE W GWIEŹDZIE PIĘCIORAMIENNEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Noc to moja ulubiona pora. Wtedy ożywam i ruszam w drogę. Jest 3.34 rano i jadę wzdłuż rzeki, przez Westminster, z otwartym na oścież oknem. Wiatr owiewa mi twarz, wystukuję palcami na kierownicy rytm piosenki — nie pamiętam tytułu — a może to po prostu rytm uderzeń mojego serca. Na tylnym fotelu siedzą dwaj goście. Jeden z nich cały czas puszcza do mnie oko, próbując uchwycić mój wzrok we wstecznym lusterku. Wkurza mnie. Jeśli jeszcze raz to zrobi, to chyba warknę na niego. Drugi śpi. Odchylił łysy łeb do tyłu, a usta ma otwarte. Wygląda jak pole golfowe — dziura przy dziurze. Strużka śliny spływa mu po brodzie aż do szyi. Czarus.

— Często jeździsz w nocy? — To Oczko. Mało prawdopodobne, żeby jego kumpel nagle przemówił.

— Tak.

— Czy to nie jest niebezpieczne? To znaczy... dla dziewczyny. Zdarzają ci się kłopoty?

Znów mruga. Nie patrzę w lusterko — nie chcę niepotrzebnie go zachęcać — ale poznaję po głosie. Brzmi tak, jakby się uśmiechał.

— Umiem sobie radzić ze wszystkim. — To mu zamyka usta. Możliwe, że zrozumiał aluzję. Opiera się na fotelu.

Na chwilę zostawia mnie sam na sam ze światłami drogowymi, ale potem znów zaczyna:

— Taka praca chyba nie jest najlepsza dla życia towarzyskiego.

Co on sobie wyobraża? Że jestem jakąś cholerną fryzjerką? Może chce, żebym go zapytała, gdzie się wybiera na wakacje, czy coś w tym guście? Może to go uszczęśliwi?

— Masz męża albo chłopaka?

— Nie.

— Kiedyś byłem żonaty. — Znów pochyla się do mnie. Widzę jego twarz za szybą z pleksi i wiem, że zaraz nastąpi zmiana nastroju. Moja taksówka zamieni się w konfesjonał. Typowe. To ryzyko zawodowe, kiedy jest się kobietą taksówkarzem, chociaż rzadko się o nim wspomina. — Miała duży nos. Wyglądała trochę jak koń, ale była ładna. Miała ładne kości policzkowe.

Z uprzejmości mruczę coś niezrozumiale. Ochleję chrapie głośno. Boję się, żeby się nie udławił własnym językiem.

— Zostawiła mnie trzy lata temu. Na Gwiazdkę. Mieliśmy jechać na święta na Hawaje, ale kiedy wróciłem z pracy, jej już nie było... — Teraz już nic go nie powstrzyma. Rozkręcił się. — Dowiedziała się, że mam kochankę.

Zmów dziesięć zdrowasiek i dwadzieścia „Ojczy nasz”.

— Zabrałeś chociaż kochankę na Hawaje?

— Ona też mnie zostawiła. Dowiedziała się o mojej żonie.

— Dobrze ci tak. — Amator...

— Dałem bilety sąsiadom. Podobno świetnie się bawili. Od dłuższego czasu jechaliśmy Kings Road, a teraz skręcamy w lewo, w Lots Road, mijając domy aukcyjne i modne sklepy z antycznymi rupieciami.

— Do końca ulicy?

— Tak, proszę. Będzie tam mała droga prywatna. Pokażę ci, gdzie możesz się zatrzymać.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego goście, którzy mają tyle kasy, że mogą sobie pozwolić na dom w Chelsea Harbour, kupują go właśnie tam. Ta dzielnica jest prawie zawsze wyludniona, nawet w najlepszych czasach. Trzeba być prawdziwym miłośnikiem nabrzeży, żeby polubić to bezduszne miejsce — człowiekiem z własną motorówką i planem przeprowadzki na starość na Florydę.

Oczko każe mi wjechać w boczną uliczkę, parę jardów od portu, przy której stoją zaparkowane różne modele samochodów z napędem na cztery koła, BMW i lotusy. Zatrzymuję się i wskazuję na licznik: £15.40. Przez chwilę Oczko wygląda tak, jakby chciał mnie opieprzyć za wybór dłuższej trasy (choć to nieprawda), ale potem zmienia zdanie. Słyszę, jak mamrocze:

— Co mi tam.

Szepcze Ochlejowi do ucha i potrząsa nim delikatnie.

— Henry. Henry, pobudka.

Mój ojciec też ma tak na imię. Henry nie reaguje. Oczko wyciąga dwudziestkę z portfela i próbuje wcisnąć ją w bezwładną dłoń Henry'ego.

— Henry — próbuje jeszcze raz, trochę głośniejsze. — Słuchaj, stary, masz tu dwadzieścia funtów. Ja wysiadam.

— Nie ma mowy. — Kiedy Oczko sięga do klamki, wciskam hamulec, żeby zablokować zamki w drzwiach. — Ten gość nie zostanie w mojej taksówce. Zabierasz go ze sobą.

— Daj spokój. — Robi błagalną minę. Widać, że nie chce, żeby Henry zapaskudził mu piękny nadbrzeżny apartament. — On mieszka w Crystal

Pałace. A jeśli zapłacę trzydzieści funtów z góry? Wystarczy? Nie sprawi ci kłopotu.

Nie pozwalam na to.

— Ten pan tu wysiada. Wolę kiedy moi pasażerowie są przytomni.

Gość próbuje roześmiać się nieśmiało. Już nie mruga do mnie.

— Ten nie jest nieprzytomny. Po prostu zasnął.

— To go obudź.

— Henry! — Tym razem Oczko szarpie go gwałtownie i ryczy biedakowi do ucha. — Henry, ty cholerny stary opoju!

Nareszcie głowa Henry'ego wraca gwałtownie do pionowej pozycji, a szczęka zamyka się z trzaskiem jak most zwodzony. Powieki otwierają się, odsłaniając przekrwione białka i mętne źrenice. Jego skóra jest blada jak u nieboszczyka. Widzę, co się zdarzy, jeszcze zanim się zaczęło, ale niestety, zbyt późno, żeby temu zapobiec — szczęka Henry'ego wysuwa się z fałd szyi, w których się gnieździła, most zwodzony znów się otwiera i z dźwiękiem na pograniczu beknięcia i jęku strumień ohydnych różowych wymiocin chlusta na podłogę i siedzenie, rozbryzguje się na szybie i pleksi (kolejny raz dziękuję Bogu, że mam w taksówce ten plastikowy ekran) i brudzi marynarkę i spodnie byłego przyjaciela Henry'ego, Oczka, który krzyczy:

— Kurwa, Chryste! Tylko tego mi potrzeba.

Henry wzdycha z ulgą i układa się z powrotem do snu.

Żelazna zasada numer jeden — nie opuszczaj samochodu — nie wolno ci wysiadać. Smród jest jednak nie do zniesienia, więc szybko stajemy razem z Oczkiem na zewnątrz. Zdziwił się, widząc, jaka jestem wysoka — przewyższam go o głowę. Pociera policzek i przeklina pod nosem. Jego garnitur jest upstrzony wymiocinami.

— I co teraz? — pytam.

— Bardzo mi przykro. — Sięga do kieszeni po portfel. — Nie wiedziałem, że jest z nim aż tak źle. Ma ciężki okres w życiu. Żona go rzuciła dla innego. Dzisiaj przyjechała furgonetką i wyczyściła mu dom ze wszystkiego, co posiadał. Zabrała wszystko, co miało jakąś wartość... Ile chcesz?

Powoli odzyskuję spokój. To wszystko jest zbyt żalosne, żeby się wściekać.

— Daj mi jeszcze jedną dwudziestkę i zabierz tego dupka z mojego samochodu.

Podaje mi banknoty. Stoję z dłońmi na biodrach i patrzę, jak bierze głęboki wdech i otwiera tylne drzwi. Henry wytacza się, niemal przewracając go na ziemię. Henry jest zwałistym facetem, a Oczkowi wyraźnie brakuje kondycji. Oczko wsuwa dłonie pod pachy Henry'ego i ciągnie ze wszystkich sił. Przez chwilę Henry nie rusza się, ale nagle Oczko szarpie—wkładając w ten ruch całą energię — i Henry wyslizguje się z samochodu. Jego nogi bezwładnie spadają na żwir. Jest taki ciężki, że Oczkowi uginają się kolana, potyka się i upada na plecy. Henry leży na nim i nadal smacznie śpi.

— Kurwa, kurwa, kurwa!

Chcę stąd jak najszybciej odjechać.

— Potrzebuję pomocy — jęczy Oczko, próbując wygramolić się spod cielska Henry'ego. Widzi moją minę i dodaje: — Proszę. Proszę.

Zastanawiam się, czy nie przejść nad nimi bez słowa, wsiąść do taksówki i odjechać. W hotelu Conrad jest szlauch dla taksówkarzy, którzy znajdują się w takiej sytuacji. Wpadnę tam, wyciągnę gumowe wycieraczki spod tylnego siedzenia i posprzątam ten cały bałagan. Stracę najwyżej godzinę i wkrótce będę mogła wrócić do pracy.

Ale, Jezu... Ten smród.

Oczko wstał i próbuje oczyścić garnitur. Henry nadal leży na ulicy.

— Jak masz na imię?

— Kathryn.

— Dobra, Katrin, muszę zaprowadzić mojego przyjaciela do środka, a nie uda mi się samemu.

Nie chcę na niego patrzeć.

— Słuchaj, stary, to nie należy do moich obowiązków. Wiesz, o czym mówię?

— Zapłacę ci jeszcze dwadzieścia, jeśli mi pomożesz. Naprawdę nie muszę tego robić... ale facet wygląda na zdesperowanego...

— Za czterdzieści możesz na mnie liczyć.

— W porządku, Katrin. Czterdzieści. Jezu, to rozbój w biały dzień!

— Mam na imię Kathryn.

Zaglądam do śmierdzącej taksówki, żeby wyciągnąć spod fotela swoją skórzaną saszetkę na pieniądze. Przypinam ją do paska.

Przewieszam sobie prawą rękę Henry'ego przez ramię. Oczko podtrzymuje go z lewej strony. Lewą ręką trzymam Henry'ego za prawy nadgarstek, a prawą dla równowagi obejmuję go w talii.

Nie jestem pewna, czy talia to odpowiednie słowo — ten facet nie ma czegoś takiego — całe jego cielsko to góra sadła. Waży chyba z tonę. Wlecemy go stromą ścieżką w stronę luksusowego bloku. Jego skórzane włoskie buty szurają na chodniku. Głowa zwisa bezwładnie. Modłę się, żeby znów nie zaczął rzygać. Zdjęliśmy mu marynarkę (mój pomysł), bo była cała ufajdana wymiocinami, ale nawet bez niej śmierdzi jak diabli. Oczko dyszy, sapie i poci się. Naprawdę kiepsko z jego kondycją.

Wreszcie wdrapujemy się na szczyt i stajemy przed dużymi szklanymi podwójnymi drzwiami.

— Zaraz przyjdzie ochroniarz i nam pomoże — mówi Oczko, ale jego prognozy okazują się zbyt optymistyczne. W pokrytym marmurem foyer nie widać ani śladu ochroniarza. Pewnie zobaczył, jak zataczamy się na chodniku, i czym prędzej się schował. Wcale mu się nie dziwię. Zawiesiliśmy się na minutę czy dwie — a raczej Henry się zawiesił, a my stoimy, dźwigając nasz krzyż. Widząc, że nie możemy liczyć na pomoc mitycznego ochroniarza, decyduję, że powinniśmy ruszać w dalszą drogę. Oczko coraz bardziej się poci i zaczynam obawiać się, że upuści Henry'ego, jeśli będziemy zwlekać.

Balansując na lewej nodze, prawą kopię w drzwi, żeby otworzyć. Potem popycham je prawym ramieniem, żeby wejść. Powinam ostrzec Oczka, że chcę to zrobić. Zatoczył się i prawie upadł.

— Ty to masz mięśnie, Katerina. — W jego głosie słyszę podziw.

— Chodzę na siłownię. Ty też powinieneś spróbować. Naprawdę powinien. Jest żałośnie cherlawym osobnikiem.

Natomiast Henry... No, cóż...

— Dokąd teraz? — pytam, kiedy mijamy biurko w holu. Buty Henry'ego zostawiają śluzowaty ślad na białej alabastrowej posadzce. Wygląda to tak, jakbyśmy wlekli ze sobą jakąś gigantyczną szarą glistę. Śmierdzi podobnie.

— Na siódme piętro.

— Chyba żartujesz!

— Nie martw się. Mamy tu windę — mówi Oczko i ruchem głowy wskazuje na metalowe drzwi ukryte między kolumną i wielką sztuczną rośliną. Idziemy dalej, wykonując ruchy jak w pantomimie. W końcu stajemy przed drzwiami i wciskamy guzik.

Wpychanie Henry'ego do windy przypomina scenę z filmu *Laurela i Hardy'ego* — tego, w którym próbują wciągnąć fortepian po schodach. Dużo zamieszania i przekleństw, a drzwi wciąż nie mogą się zamknąć, bo nogi

Henry'ego wystają na korytarz. Każę Oczkowi puścić Henry'ego na chwilę i wciągnąć jego nogi do środka. Sama podtrzymuję gigantyczną górę tłuszczu. Potem mówię mu, żeby wcisnął przycisk windy. Czy ten gość nie potrafi sam myśleć?

Kiedy jedziemy windą, Oczko zachwyca się moją kondycją.

— Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem!

— W takim razie spotkałeś niewiele kobiet.

Nagle robi mi się słabo. Oczywiście, powinnam przewidzieć, że winda zatrzyma się gdzieś między czwartym a piątym piętrem. Poważnie, zaczynam się modlić — nie mogę znieść myśli, że będę tu tkwić z tymi kretynami, w duszącym smrodzie. Oczko kilka razy wali pięścią w guzik z numerem 7 i mruczy coś do siebie. Nagle znikąd rozlega się głos:

— Janice, proszę... Zabierz mnie do domu, Janice. Zabierz mnie do domu, kochana.

To nasza glista mamrocze przez sen. Ale jego słowa działają jak jakieś magiczne zaklęcie „Abrakadabra. Sezamie, otwórz się”, bo nagle winda znów rusza i staje dopiero na siódmym piętrze.

— Janice to jego żona — mówi Oczko i dodaje : — Suka.

Drzwi otwierają się i cal za cal, krok za krokiem, wytaczamy się na korytarz. Na podłodze leży niebieski dywan, a ściany i sufit są w tym samym kolorze. Z niewidzialnego źródła płynie dyskretna elektroniczna melodia. Wzdłuż ściany widać pięćdziesiąt białych drzwi z mosiężnymi numerami. Po plecach przebiega mi dreszcz. To miejsce działa na mnie niepokojąco. Wszystko przenika bogata anonimowość. Mam wrażenie, że każde piętro, każdy korytarz wygląda identycznie. Uderza innie myśl, że nigdy się stąd nie wydostanę — będę jeździć windą w górę i w dół, a drzwi zawsze będą otwierać się na tym samym piętrze. To labirynt jednakowych pięter i przejść, łączących się ze sobą. A ja będę biegać bez końca i krzyczeć...

Sądzę, że — teoretycznie — jest to rodzaj klaustrofobii. Zawsze tak się czułam. Nazywam to swoją „labiryntofobią”. Nie mogłabym pracować w biurówcu. Już w szkole średniej z trudem dawałam sobie radę w identycznych klasach i na ciemnych, spiralnych klatkach schodowych. Unikam wielkich supermarketów i stacji metra. Nie wyobrażam sobie pobytu w szpitalu, a jeśli chodzi o więzienie... cóż, mam nadzieję, że nigdy tam nie trafię.

Zatrzymaliśmy się przed jednymi z białych drzwi. Muszę podtrzymywać Henry'ego, bo Oczko przetrząsa kieszenie, szukając kluczy. To niedobrze, bo zaczynam się pocić i ogarnia mnie panika wywołana labiryntofobią.

— Pospiesz się — mówię, robiąc cierpiętniczą minę. Na szczęście Oczko wreszcie znajduje klucze i otwiera drzwi.

Oczko maca ścianę, szukając włącznika światła, a w tym czasie udaje mi się samej wciągnąć Henry'ego do środka i rzucić go na duże łóżko w pokoju.

— Nie tam... — zaczyna Oczko, ale kiedy widzi moją minę, wzrusza ramionami i zrezygnowanym głosem mówi: — No, dobrze. Chyba mi nie zaszkodzi, jeśli jedną noc spędzę w pokoju obok.

Rozwiązuje sznurowadła Henry'emu i zdejmuje mu buty. Rzuca je na podłogę. Potem pochyla się nad kumplem i krzyczy mu do ucha:

— Jeśli się wyrzygasz na mój dywan, to cię zabiję! Wchodzę do salonu. Wygląda nieźle — panoramiczne okno z widokiem na przystań i oszklone drzwi na balkon z drewnianymi meblami ogrodowymi i trzema krzewami wawrzynu. Miękki, kremowy dywan, sofa w stylu Chesterfield i fotel obity bordowym aksamitem. Regały i szafki są zrobione ze szkła i metalu. Od razu widać, że ten Oczko to facet z grubszą forszą.

Słyszę dźwięk rozpinanego zamka i miękki szelest czegoś spadającego na podłogę. Cholera, Oczko się rozbiera.

— Chcesz drinka? — woła z sypialni. — Mam wszystko, czego zapragniesz.

Wątpię, kolego.

— Nie mogę. Prowadzę.

— Jednego chyba możesz wypić, prawda? — Znow słyszę jego głos. — Zasłużyłaś sobie.

Podchodzę do drzwi, ale słyszę za plecami jego kroki. Bose stopy na dywanie.

— Katerina?

— Mam na imię Kathryn.

— Wyglądasz zbyt egzotycznie, żeby nosić takie zwykłe imię. Te kręcone ciemne włosy, duże oczy... Mogłabyś być Włoszką albo Hiszpanką.

Odwracam się. Jestem zmęczona i wkurzona. Mam nadzieję, że nie będę musiała go uderzyć. Szykuję się na nieapetyczny widok jego genitaliów, ale widzę, że ma na sobie rozciągniętą czarną koszulkę i dzinsy.

— Słuchaj, Oczko. Jest za piętnaście szósta, a przed domem stoi moja zarzygana taksówka. Najlepiej będzie, jeśli już pójde.

— Craig. — Podaje mi rękę. — Craig Summer. — Sięga do kieszeni i daje mi obiecane czterdzieści funtów. — Na pewno nie chcesz drinka? Będiesz miała czym się zająć, kiedy będę czyścił twoją taksówkę. — Siada i zakłada znoszone tenisówki.

Wstaje i otwiera barek.

— Założę się, że pijesz szkocką. Mam tutaj butelkę doskonałej laphroaig.

— Masz zamiar wyczyścić mój samochód?

— Oczywiście. Gdyby Henry był w trochę lepszej formie, kazałbym jemu to zrobić, ale w tej sytuacji podejrzewam, że sam muszę się tym zająć.

— Naprawdę nie...

— Nalegam. Z lodem?

— Co?

— Nie, dziękuję. Piję bez niczego.

Siadam na sofie, a on podaje mi szklaneczkę whisky. Jest pyszna, z pojedynczego słodowania — potrafię rozpoznać ten doskonały torfowy aromat, zanim podniosę szklanekę do ust. Zmieniam zdanie o Oczku, kiedy ten hałasuje w kuchni. Nie jestem pewna, czyjego sympatyczny gest można zaliczyć do kategorii zachowań „rycerskich”, ale na pewno świadczy o dobrych manierach. Lubię, kiedy mężczyzna umie się zachować — powiedzmy sobie szczerze: w obecnych czasach to prawdziwa rzadkość.

Oczko wychodzi z kuchni, trzymając dwa wiadra, mop i starą szmatę. Prosi mnie o kluczyki. Waham się, zanim mu je daję. Ale przecież on zaufał mi, pozwalając zostać samej w jego mieszkaniu.

— Gorącą wodę wezmę z toalety w foyer — mówi. — Zaraz wracam.

Wychodzi, wymachując wiadrami. Wygląda jak prawdziwa mała panna Mop.

Minęło piętnaście minut, a ja nadal siedzę sama w mieszkaniu Oczka. To znaczy sama, jeśli nie liczyć Henry'ego, ale trudno go nazwać duszą towarzystwa. Tylko chrapie, wzdycha i od czasu do czasu jęczy:

— Dlaczego, Janice? Dlaczego?

Trochę pomyszkowałam w mieszkaniu, przejrzałam książki na szklanych półkach. Dużo kryminałów. Oczko lubi Chandlera, Ellroya, Patricię Cornwell, Iana Rankina, a nawet Agatę Christie. Ma jedną z tych kiczowatych ozdób z lat siedemdziesiątych. Nazywają ją „barometrem miłości” — dwie szklane kule połączone spiralną szklaną rurką. Kiedy obejmuje się dłońmi dolną bańkę, czerwony płyn w środku unosi się i po chwili bulgocze wściekle. Jeśli pojawia się dużo bąbelków, to znaczy, że

osoba jest zakochana. Mieliśmy taką samą rzecz w domu, kiedy byłam małą — dopóki jej nie stłukłam i dostałam lanie od ojca".

Znalazłam kartkę z napisem Dużo szczęścia. W środku jest dedykacja: Nie, żebyś go potrzebował. Pokaż tym draniom, co potrafisz. Kocham Cię. Mariannę xxx. Dziewczyna Oczka? Może żona, która go rzuciła? W mieszkaniu nie ma innych śladów kobiecej obecności. Prawdę mówiąc, niewiele tu rzeczy osobistych. Tylko stare radio tranzystorowe Philips w jednej z oszklonych szafek. Wygląda tak, jakby miał być ozdobą, ale wcale nie zdobi — nie przypomina kolorowych retro odbiorników z lat pięćdziesiątych, które są teraz takie modne. Wielkie czarne pudło, zniszczone i porysowane, z brakującymi dwoma pokrętłami.

Nudzi mi się węszenie dookoła, więc znów siadam ciężko na sofie. Myślę o Richardzie i czuję, że należą mu się przeprosiny. Nie chciałam się z nim pokłócić poprzedniego wieczoru — po prostu byłam w podłym nastroju, bo za krótko spałam. Zazwyczaj uwielbiam odwiedzać Dotty — to słodki dzieciak, ale ostatnio brakuje mi czasu sam na sam z Richardem. Nie chciałam, żeby pomyślał, że nienawidzę dzieci, chociaż wiem, że tak to zabrzmiało. Na pewno nie zależało mi na tym, by musiał powiedzieć:

— Ja i Dotty stanowimy jedność — nie możesz mieć jednego z nas bez drugiego.

To mnie dobiło. Jeśli usłyszysz te słowa raz, to możesz być pewna, że usłyszysz je jeszcze ze sto razy! Spoglądam na zegarek: dochodzi wpół do szóstej. Dotty na pewno już wstała i obudziła Richarda. Mogłabym zadzwonić...

Sięgam do kieszeni kurtki. Doskonale — mam zielony telefon przy sobie. Wyciągam go i wciskam jedynekę, żeby wybrać numer Richarda. Słyszę brzęczenie dzwonka.

— Halo? — Ma zaspany głos.

— Cześć. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

— Nie. Jestem na nogach już od pół godziny. — Cholera jak on mnie nienawidzi.

— Richard, bardzo przepraszam za wczorajszy wieczór.

— Tak, Kitty. Wiem. — Wciąż jest na mnie wkurzony.

— Naprawdę kocham Dotty. Jest jednym z najśłodszych dzieciaków, jakie kiedykolwiek poznałam...

— W porządku. Chyba za bardzo się uniosłem. — Jest jeszcze gorzej. Nadal się wścieka, ale będzie udawał, że już mu przeszło, żebyśmy mogli o tym pogadać i rozwiązać nasz problem. Czasami zachowuje się jak dupek.

— Richard, niedługo kończę pracę. Może pojedę do ciebie?

— Och, Kitty, ile razy mam ci powtarzać, że nie możesz przyjeżdżać do mnie z samego rana. Doty będzie podekscytowana i nie będzie chciała iść do przedszkola.

Specjalnie się upiera. W tej chwili niczego nie pragnę bardziej, niż wsiąść do samochodu, pojechać na Crouch End i wtulić się w niego w łóżku albo wypić kawę przy wielkim stole w przytulnej kuchni z obrazkami namalowanymi przez Doty i mozaikami z nasion. Nie wolno mi jednak o to błagać.

— Może więc poczekam, aż zaprowadzisz ją do przedszkola, i przyjadę później?

Richard wzdycha. Wyobrażam sobie, że zamyka oczy i zmęczonym gestem pociera czoło. Wygląda w każdym calu jak znużony opieką nad dzieckiem samotny ojciec, zmagający się bez przerwy z żądaniami, jakie stawia mu niesprawiedliwy świat.

— Mam dużo pracy. Nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego i wziąć wolnego dnia. Ze wszystkich ludzi ty powinnaś to rozumieć najlepiej.

— Proszę, Richard. Naprawdę chcę cię zobaczyć. — Cholera, miałam tego nie robić.

— Nie, Kitty. Jeśli chcesz widywać się ze mną częściej, to powinnaś zastanowić się nad tym, co powiedziałem w zeszłym tygodniu.

A więc za to mnie karze. Jego złość nie ma nic wspólnego z poprzednim wieczorem. Chodzi o jego wybuch w zeszłym tygodniu! Dziwne, ale nagle przechodzi mi ochota na spotkanie.

— Przepraszam, Richard. Wiem, że trudno ci wziąć wolne. Wrócę do domu i prześpię się. Zobaczymy się w piątek?

— Dobra. Jak chcesz.

— Na razie. — Kończę rozmowę.

Oczka nie ma już od wieków. Taksówka na pewno cała błyszcząca. Richard zdenerwował mnie, więc czuję, że muszę coś zrobić, ruszyć się stąd. Dokąd mam jechać? Do domu? Pustka, jaka tam panuje, nie jest zbyt zachęcająca. Kogo mogę odwiedzić tak wcześnie rano? Może pojedę do Amy? Nie, to nie jest dobry pomysł. Nie zniosłabym Amy o tej porze. Jest zbyt piskliwa.

Sięgam do kieszeni kurtki. Oprócz zielonego telefonu mam jeszcze czerwony. Jonny. Nie jestem pewna, czy to dobry plan, ale wciskam jedynekę, żeby do niego zadzwonić.

Dzwonek dźwięczy bardzo długo i już chcę się rozłączyć, gdy nagle słyszę pstryknięcie i ciągły sygnał świdruje mi w uchu. Co za gnojek! Podniósł słuchawkę i od razu ją odłożył. Teraz numer jest zajęty. Zdjął słuchawkę z widełek. No cóż, to żadna niespodzianka. Łatwo mi wyobrazić sobie obraz nędzy i rozpacz: Jonny leży na brudnej sofie albo zasnął w ubraniu na podłodze — nieprzytomny, śmierdzący. Dookoła walają się pudełka po żarciu na wynos, puste puszki i pełne popielniczki. Poranny program w telewizji jest włączony na cały regulator, chociaż nikt go nie słucha ani nie ogląda. Czy Jonny jest sam? Dźwięk dzwonka musiał być jak brzęczenie natrętnego owada, krążącego nad jego głową. Przeszkadzał mu. Musiał go zabić. Niech się pieprzy! I tak nie chciałam się z nim spotkać. Może tak leżeć na zawsze i zgnić. Nie obchodzi mnie.

Nie wiem, czy to przez całkiem niezłą laphroaig, a może coś innego, ale poczułam się senna i zdrzemnęłam się, wciąż ściskając w ręce czerwony telefon. Nagle budzę się z okropnego koszmaru, w którym ktoś odjeżdża moją taksówką. Okropnie jest obudzić się w tym obcym miejscu. Dopiero po paru sekundach dociera do mnie, gdzie jestem. Wyglądam przez okno i widzę świt nad Chelsea Harbour — mewy skrzeczą, rozleniwieni bogacze wychodzą na balkony, a w ich nowiutkich kuchniach pyrkają ekspresy do kawy. Która godzina? Jak długo tu jestem i co się dzieje, do diabła?

Ten sen. O Boże! Paranoiczne myśli pchają mi się do głowy i nie mogę ich odpędzić. Może zostałam wyrolowana... Może

Oczko rzeczywiście ukradł moją taksówkę. Teraz jest już wiele mil stąd... A jeśli to wcale nie jest jego mieszkanie? Jest oszustem, który poluje na pijanych bogatych gości w barze — w tym przypadku na Henry'ego — kupuje im drinki, pyta, gdzie mieszkają i czy mieszkają sami, czeka, aż się upiją do nieprzytomności, a potem każe jakiemuś nic nie podejrzewającemu taksówkarzowi zawieźć ich do domu pijanego gościa tylko po to, żeby ukraść taksówkę... A może Henry też bierze udział w spisku! Rzygowiny nie były prawdziwe. Teraz mam wybiec na dwór i zobaczyć, że moja taksówka już tam nie stoi, a kiedy wrócę na górę, Henry'ego też już nie będzie. Zamiast niego zastanę jakąś staruszkę, która z krzykiem wypędzi mnie z mieszkania, mówiąc, że nic nie wie o oszustwie.

Próbuję otrząsnąć się z paranoi, ale nie udaje mi się. Oczko o wiele za długo czyści mój samochód. Wstaję i idę do sypialni.

— Henry.—Potrząsam nim bezceremonialnie.—Henry! Ten jęczy i bezwładnie wyrzuca rękę przed siebie.

— Henry, obudź się. Obudź się, grubasie! — Delikatnie uderzam go w twarz.

— Janice... — Nie otwiera oczu, ale spod prawej powieki wypływa łza.

To do niczego nie doprowadzi. Nie mogę marnować czasu. W panice rzucam się do drzwi. Biegę korytarzem. Monety brzęczą w saszetce, przypiętej do paska. Niebieski dywan tłumi dźwięk moich kroków. Wreszcie dopadam drzwi windy i wciskam guzik.

Szybciej... Szybciej...

Mija cała minuta. Zdaje się, że winda utknęła na trzecim piętrze. Plastikowa muzyka jest nie do zniesienia — Imagine Johna Lennona grane na elektronicznych piszczałkach. Wściekle walę parę razy w przycisk, ale nic się nie dzieje. Mija kolejna minuta. Nie wytrzymam.

Pędzę do wyjścia awaryjnego i zbiegam po schodach. Całe siedem pięter. Kiedy staję na parterze, kręci mi się w głowie. Tak bardzo się boję, że straciłam taksówkę, że czuję bicie serca aż w gardle. Labiryntofobia powoduje, że uginają mi się kolana. Wpadam przez ciężkie drzwi pożarowe do foyer i sprintem biegnę do szklanych drzwi wejściowych. Potrącam chudego, zdziwionego ochroniarza.

Chłodne powietrze poranka uderza mnie w twarz, kiedy wychodzę na dwór, mrugając i dysząc. Zatrzymuję się na parę sekund, żeby złapać oddech. Kilka metrów dalej widzę Oczka wracającego ścieżką do domu. Jest zmęczony i brudny. Niesie szmaty i wiadra.

— Katerina—mówi. — Właśnie po ciebie szedłem. Dlaczego masz taką czerwoną twarz?

Na ulicy stoi mój stary, kochany fairway* — czyściutki i błyszczący w kałuży ciemnej wody.

* Fairway — marka samochodu, typowej angielskiej taksówki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Czasami okazuję się rasową kretynką.

Wrześniowe słońce świeci niemrawo, kiedy wracam do swojego mieszkania przy Fontenoy Road w Balham. Jestem taka zmęczona po ciężkiej nocy, że chce mi się płakać. Nie lubię tego uczucia. Zabieram wszystko z taksówki: telefony, pieniądze — zarobiłam ponad dwieście

funtów — nieźle, jak na wtorek, i chwiejnym krokiem wychodzę na ulicę. Staję przed drzwiami i przetrząsam kieszenie, szukając klucza. Czuję się taka słaba, że promienie słońca na pewno zabiłyby mnie jak wampira. Muszę schować się w środku.

Wchodząc do domu, potykam się o kartony, poślizguję się na gazecie i przewracam stertę książek. Właściciele biura sprzedaży nieruchomości byliby przerażeni, widząc, w jakim stanie jest teraz ich „czarujące mieszkanie w stylu wiktoriańskim, z wieloma oryginalnymi rozwiązaniami”. Wprowadziłam się prawie miesiąc temu, ale jeszcze nie zdążyłam się rozpakować.

Przedtem wynajmowałam metę w Pekham Rye, ale kiedy sympatyczni sąsiedzi z dołu wynieśli się, a na ich miejsce przyszli jacyś zwariowani Nigeryjczycy, którzy przez cały dzień grali skoczne reggae, gdy chciałam się przespać, i parę razy przypadkowo podpalili dom, zdecydowałam, że wreszcie nadszedł czas, by rzucić się na głęboką wodę i kupić własne mieszkanie. Ten pomysł odbiegał od planu, który wymyśliłam wcześniej, ale nic nie mogłam na to poradzić. Zgodnie z planem powinnam jeździć jak najwięcej i wydawać minimum pieniędzy, żeby odłożyć dosyć kasy, by rzucić to wszystko w cholerę i wyjechać za granicę — może otworzyć bar na jakiejś egzotycznej plaży. Przede wszystkim jednak chciałam opuścić ten śmierdzący kraj i wyjechać jak najdalej...

Dzielnica Balham rozwija się, więc agenci z biura nieruchomości dosłownie płaszczyli się przede mną. Muszę spłacać wysoki kredyt, ale nie tylko kupno mieszkania pokrzyżowało moje plany. Są pewne osoby, które uzurpują sobie prawa do mojego czasu i pieniędzy. Muszę wydawać coraz więcej kasy na doraźne cele i więcej czasu spędzam poza taksówką niż w niej.

Rzucam się do okna, żeby zamknąć żaluzje i zasłonić ten chaos, który udaje salon. Wstyd przyznać, ale mam mnóstwo bezużytecznych rupieci, a nie udało mi się skombinować pożytecznych sprzętów — na przykład mebli. Mam łóżko, szafę i stary fotel, który ledwo stoi. To wszystko. Kiedy żaluzje są szczelnie zamknięte, resztką sił wtaczam się do sypialni, rozbieram się, rzucając ubranie na podłogę, i wślizguję się pod kołdrę.

Chociaż jestem wykończona, nie mogę się zrelaksować. Czuję napięcie w karku, które nie daje mi spokoju. Cierpię na ten rodzaj przypadłości, że kiedy jestem bardzo zmęczona, to nawet zamknięcie oczu staje się wielkim wysiłkiem. Powieki same mi się otwierają. Moje myśli krążą wokół

przygody w mieszkaniu Oczka, jak na zapętłonej taśmie filmowej. Bez końca chodzę po jego salonie, patrząc na radio tranzystorowe. Wciąż widzę, jak Henry wymiotuje. Jestem zagubiona w labiryncie niebieskich korytarzy, a plastikowa wersja Every Breath You Take Stinga atakuje moje uszy.

Następną rzeczą, z jakiej zdaję sobie sprawę, jest mój głos krzyczący: „Nie!” Rzucam się na łóżku, zlana potem, uwięziona pod kołdrą. Przez chwilę — ułamek czasu między snem a przebudzeniem — widzę kolor. Czai się pod powiekami. Kolor, którego nie potrafię opisać, a który tak bardzo przeraża mnie we śnie. Po paru sekundach jestem całkiem rozbudzona, leżę z otwartymi oczami, a po kolorze nie ma ani śladu. Ale wiem, że był tutaj. Znowu mnie dopadł.

Łóżko jest przesiąknięte potem. Czuję się obrzydliwie. W ciemności próbuję zobaczyć, która godzina. Dopiero za dziesięć jedenasta. Prawie wcale nie spałam, a krótki sen, w który udało mi się zapaść, tylko mnie przestraszył.

Zwlekam się i idę do kuchni po kubek wody (jeszcze nie wypakowałam szklanek). Opierając się o umywalkę i pijąc jeden kubek wody za drugim, próbuję uspokoić nerwy i wmawiam sobie, że teraz mogę bezpiecznie wrócić do łóżka—kolor nigdy nie pojawia się dwa razy tego samego dnia. Ale organizm nie reaguje na te słowa. Za bardzo się boję, żeby położyć się z powrotem do wilgotnego od potu łóżka i znowu zamknąć oczy. Chciałabym być teraz u Stefa. Zrobiłby mi cudowny masaż — wycisnąłby i wygniótł ze mnie cały strach, do ostatniej kropli. Ale Stef do jutra jest w Hiszpanii i nie wiadomo, co robi, więc mogę liczyć tylko na siebie.

Odstawiam kubek i idę do pokoju, żeby usiąść na fotelu. Muszę do kogoś zadzwonić. Ale do kogo? Stef jest w Hiszpanii, Richard wściekł się na mnie, Jonny leży nieprzytomny, a Amy będzie chodzić jak nakręcona — rzeczowa i nadpobudliwa... Zostaje Joel. Słodki Joel. Mój najnowszy nabytek.

Niebieski telefon leży na podłodze, koło fotela — to bardzo wygodne. Wciskam jedynekę.

— Joel? Cześć, tu Kat. Mogę wpaść do ciebie? Czuję się samotna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Leżę na boku w łóżku Joela. Przytulamy się wygięci na kształt łyżeczki. Joel wtula głowę w mój kark. Czuję jego ciepły oddech na swoim ramieniu. Kolana wcisnął w zagłębienia pod moimi kolanami, objął mnie w pasie, a skurczony śpiący kutasik opiera się na mojej pupie. Jest taki niewinny, to jeszcze dziecko. Nie — wycofuję to słowo. „Dziecko” to niebezpiecznie bliskie prawdy. Joel ma dopiero siedemnaście lat. Jest między nami trzynaście lat różnicy. Czy jestem perwersyjną starą wiedźmą?

Nie czuję się jak stara wiedźma, kiedy leżę tutaj z tym pięknym chłopcem na ciasnym jednoosobowym łóżku i wdycham słodki aromat jego skóry. Uspokajają mnie rytmiczne uderzenia gorącego oddechu. Nacisk jego miękkiego penisa działa kojąco — sama nie wiem, czy mówiąc to, jestem szczerą. Tutaj, w jego chłopięcym łóżku, w przytulnym mieszkanku opłacanym przez ojca oraz ozdobionym kiczowatymi bibelotami i tapetą w pasy przez matkę, czuję się piękna. Czuję się zwinna, umięśniona jak kotka. Tak mnie zresztą nazywa. Kat, czyli kotka.

Poznaliśmy się na siłowni w centrum sportowym East Dulwich. Chodziłam tam, kiedy jeszcze mieszkałam w starym mieszkaniu w Pekham Rye. To była bardzo przeciętna siłownia bez klimatyzacji. Za każdym razem co najmniej dwa urządzenia miały przyczepioną tabliczkę: „Sprzęt do naprawy — Przepraszamy”. Była jednak tania i nie przychodziło tam wielu ludzi.

Zaczynałam od dwudziestu minut na bieżni: najpierw przy piątym stopniu nachylenia i prędkości siedmiu mil na godzinę, a potem coraz bardziej poziomo, ale szybciej, aż do dziewięciu mil na godzinę na taśmie ułożonej równoległe do podłogi. Stały tam dwie bieżnie koło siebie i od czasu do czasu jakiś nadęty fiut próbował mnie prześcignąć. Dziewczyny nawet się nie zbliżały. Rywal spoglądał co chwila na mój monitor, żeby zobaczyć, jak szybko biegnę, i doganiał mnie, a potem zwiększał tempo. Żaden jednak nie wytrzymał mojego czasu. Po dziesięciu minutach każdy pocił się i dyszał. Po piętnastu minutach zwalniali, a ja dopiero nabierałam rozpędu. Patrzyli na mnie złowrogo i jak niepyszni wracali do szatni. Nie jestem dumna z faktu, że chciałam pokonać tych facetów, ale byli takimi palantami, że sami sobie na to zasłużyli. Nie mogli znieść myśli, że dziewczyna potrafi biec szybciej i dłużej niż oni.

Przy wyciskaniu ciężarów rywalizowałam z nimi jeszcze bardziej. Prawdę mówiąc, nadal to robię, chociaż teraz, kiedy przeprowadziłam się do Balham, zmieniłam siłownię. Nie mogę oprzeć się pokusie, by usiąść na atlasie — na którym przed chwilą jakiś macho parsknął i prychnął przez pół godziny — przesunąć klucz, żeby zwiększyć wagę o parę kilogramów, i zacząć ćwiczyć bez śladu wysiłku. Tak samo jest z podnoszeniem ciężarów. Kiedy jakiś wymuskany goguś w obcisłym stroju z lycry i w specjalnych skórzanych przeciwpoślizgowych rękawiczkach sięga po dwa ciężkie krążki, biorę się za jeszcze większe. Powinniście zobaczyć, jak wywalają na mnie gały. Powinniście zobaczyć tę złość, czającą się w zaciśniętych kącikach ust i w zamkniętych pięściach. Ależ oni nienawidzą, kiedy kobieta pokazuje im lepszą klasę! To dzięki tej chęci rywalizacji stałam się taka umięśniona.

Zawsze rano po pracy kładłam się spać, a potem szłam na siłownię. Chodziłam tam codziennie. Teraz to co innego — trudno mi znaleźć czas, żeby poćwiczyć chociaż trzy czy cztery razy w tygodniu. Trenowałam na wszystkim: na rowerze, na bieżni, na stepperze, na wiośle, rozciągałam się i robiłam przysiady, podnosiłam ciężary i ćwiczyłam na atlasie. Spędzałam tam ponad dwie godziny. Doszło do tego, że stałam się najsprawniejszą osobą, jaką znałam.

Na siłowni nie rozmawia się z innymi. Nie ma takiego zwyczaju. Można skinąć głową albo mruknąć coś do bardziej towarzyskich gości, ale z reguły najlepiej jest, jeśli nie nawiązuje się kontaktu wzrokowego. To taka cicha umowa, że każdy potrzebuje spokoju, żeby móc się skoncentrować. Wieczorem jest inaczej, bo na sali zbierają się piszczące sekretarki i otyłe pary w identycznych dresach, ale rano siłownia należy do prawdziwych fanatyków, do bezrobotnych i studentów. Właśnie wtedy mistrzowie nadają tempo.

Tak więc każdego dnia rozpoznawałam ludzi, a oni rozpoznawali mnie, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Był tam przystojny chudy chłopak, który dużo ćwiczył, ale miał tak szybki metabolizm, że za nic w świecie nie mógł nabrać masy; był gość z zaczesanymi na żel włosami, wystrojony w błyszczące spodenki do jazdy na rowerze, z komórką przyczepioną do pasa, który przez cały czas pozował, a ćwiczył niewiele; był masywny Japończyk o medytacyjnym spojrzeniu, który głośno jęczał, wyciskając ciężary; był rudy grubas z wielką dupą i tyloma fałdami, że jego brzuch wyglądał jak kartki opasłej książki (nie do wiary, ale zawsze nosił krótką sportową koszulkę, odsłaniającą pępek); był wytatuowany facet, który wyglądał na

murarza i miał poważny problem z poceniem; była obrzydliwie piękna Holenderka z nigdy nie schodzącą opalenizną. Był tam też Shelley.

Pewnego marcowego popołudnia siedziałam na rowerze, sapiąc po piętnastu minutach jazdy (tylko tyle wytrzymałam — potem nudziłam się na śmierć). Na siłowni ćwiczyli oprócz mnie: Japończyk, rudy grubas, przystojny chudeusz i jakiś nieznajomy gość. Nagle podwójne drzwi otworzyły się i wszedł ten ktoś — pięknie wyrzeźbione, gładkie, muskularne brązowe ciało — niezbyt duże — raczej wysportowana osoba niż kulturysta. Kusząco wycięta pomarańczowa koszulka nike bez rękawów, czarne jedwabne szorty i tenisówki nike air. Ogolona głowa — pięknie ukształtowana afrykańska główka. Pełne usta i szerokie, jakby trochę zagniewane nozdrza, wyraziste brwi. Kolczyki: trzy w lewym uchu, jeden w dolnej wardze, jeden w prawej brwi, mała kulka w nosie. I te oczy... Co za oczy! — ciemnobrązowe, błyszczące. Takie brązowe jak najokazalszy, najbardziej błyszczący kasztan, jakiego wypolerowaliście w dzieciństwie i chowaliście w szufladzie niczym najdroższy skarb.

Przez cały czas pedałowalam, ale wzrokiem wędrowałam za tym zjawiskiem, które przeszło przez salę i zaczęło ćwiczenia rozciągające na macie. Takiej osoby nie mija się obojętnie na ulicy — trzeba się odwrócić i sprawdzić, czy to nie była fatamorgana. To osoba o nieokreślonej płci. Kobieca twarz, ale jakby trochę chłopięca, pośladki wypięte i gładkie, ale niejednoznacznie dziewczęce — czy to dobrze rozwinięte mięśnie klatki piersiowej czy mały biust? Szerokie ramiona, ale delikatny kark, pełne łydki, ale niezbyt szczupłe kostki. Spodenki wisiały luźno wokół krocza, zbyt luźno, by coś stwierdzić. Szukałam kształtu jabłka Adama albo cienia zarostu i już myślałam, że zobaczyłam obydwie cechy, ale po chwili sądziłam, że to tylko dziwnie padające światło. Czułam się jak zahipnotyzowana.

Ćwiczenia tej osoby skupiały się głównie na podnoszeniu ciężarów. Siedział — czy może siedziała — przy atlasie przez pół godziny, podnosząc całkiem niezłe kilogramy. Ćwicząc, osoba patrzyła przed siebie, ale nie bezmyślnie. Jej koncentracja graniczyła z fanatyzmem. Wyglądała tak, jakby patrzyła na wewnętrzną ściankę swoich oczu — jej wzrok zatrzymywał się dokładnie w tym miejscu. Naprawdę solidne podejście. Gdyby dotknąć tę osobę, rozległby się syk i odskoczylibyście, dmuchając na poparzone palce.

Pamiętam, że tej nocy, jeżdżąc taksówką moje myśli wciąż krążyły wokół dziwnej postaci z siłowni. Trudno mi było określić, czy to chłopak czy

dziewczyna. Może hermafrodyta? Każda opcja była możliwa. Zastanawiałam się, czy jeszcze się spotkamy.

Dwa dni później ta osoba znów się pojawiła. Byłam w siłowni sama, jeśli nie liczyć wytatuowanego murarza, który nadmiernie się pocił, więc ucieszyłam się, że będę mogła popatrzeć na kogoś atrakcyjnego, biegając, wyciskając i podnosząc ciężary.

Nie jestem pewna, kiedy wymyśliłam przezwisko Shelley, ale od samego początku pasowało jak ulał. Nadal nie miałam pojęcia, czy ta osoba jest rodzaju męskiego czy żeńskiego. Na pewno moje ćwiczenia ucierpiały przez brak koncentracji, kiedy próbowałam rozwiązać tę zagadkę. Imię Shelley było idealne: ładne, delikatne, z nutką uległości — tak, wyczuwałam uległość pod tą maską. Wymyślałam różne historie, pasujące do Shelley. Chciałam poznać tę osobę, chociaż domyślałam się, że po wszystkich fantazjach rzeczywistość może przynieść tylko rozczarowanie.

Nagle stało się coś, czego się nie spodziewałam — Shelley odezwał lub może odezwała się do mnie. Byliśmy razem w pokoju sąsiadującym z salą który czasami zamykano, kiedy trwały tam zajęcia grupowe. Siłownia była zatłoczona, więc oboje schowaliśmy się dla świętego spokoju. Pokój miał dwie duże lustrzane ściany. Shelley patrzył czy też patrzyła w skupieniu na swoje odbicie, siedząc na krześle i podnosząc hantle. Pantera obserwująca ofiarę. Robiłam ćwiczenia rozciągające na podłodze. Leżałam na plecach z wyciągniętymi ramionami. Lewą nogę wyrzuciłam do góry, a prawą miałam zgiętą w kolanie. Zamknęłam oczy i płynnym ruchem objęłam prawe kolano prawą dłonią wolno przekręciłam się w pasie, popychając kolano ręką żeby dotknęło podłogi po lewej stronie, a głowę odwróciłam w prawo. To ćwiczenie jogiczne. Pozwala na naciągnięcie wszystkich mięśni, od karku i ramion aż do ud. Ciało wykręca się tak, jakby wyżymało się mokre pranie, wyciskając je do ostatniej kropli wody.

— Co to za pozycja?

Dokończyłam ruch i otworzyłam oczy. Shelley stał lub stała nade mną trzymając dłonie na biodrach. Patrzył czy też patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Z jogi. Jest naprawdę niezła.

— Pokażesz mi, jak to się robi?

Tak swobodnie, jak to możliwe, wstałam i kucnęłam na macie. Shelley położył albo położyła się przede mną. To, co nastąpiło później, było jednym z najbardziej zmysłowych przeżyć, jakich kiedykolwiek doświadczyłam.

Shelley rozłożył czy rozłożyła ramiona na podłodze, tak samo jak ja przed chwilą. Dotknęłam dłońmi wewnętrznej strony ramion, gdzie skóra jest miękka i delikatna, żeby zachęcić Shelley, by rozciągnął lub rozciągnęła ramiona jeszcze bardziej. Poczułam, jak napinają się mięśnie przy zgięciu pod łokciami. Drżącymi dłońmi nacisnęłam nogę w łydce, żeby spowodować, by wyprostował albo wyprostowała kolano. Z ust Shelley wydobył się jęk, który — mam nadzieję — był wyrazem przyjemności, a nie bólu. Spojrzałam na piękną twarz. Oczy jak kasztany wpatrywały się we mnie wyczekująco. Shelley uniósł albo uniosła prawą nogę, a ja miękko, delikatnie położyłam prawą dłoń na jego czy jej kolanie.

Shelley odwrócił (odwróciła) się, przyciskając prawe kolano do maty. W tym samym czasie trzymałam jego czy też ją za ramię, żeby je unieruchomić, aby rozciągnięcie było prawidłowe. Shelley miał lub miała smakowite ciało.

— Zrób głęboki wdech przy skręcie — powiedziałam. Na twarzy Shelley pojawił się uśmiech. Kiedy wszystkie mięśnie były naciągnięte, zamknął oczy i westchnął:

— Och, tak.

Och, tak, tak! A więc Shelley był chłopakiem. Teraz wyraźnie widziałam jabłko Adama. Ujrzałam miękki puszek na brodzie (trudno byłoby nazwać to szczecina). Nie patrzyłam tam, gdzie chciałam spojrzeć, zresztą to miejsce i tak było zasłonięte udem.

Wytrzymał w tej pozycji przez dwie minuty i powtórzyliśmy ćwiczenie w drugą stronę. Potem skończyliśmy. Shelley wstał rażno i wrócił do swoich ciężarów tak, jakby nic nie zaszło. Moje dłonie dotykały jego skóry, a po chwili znów opierały się na macie.

— Dzięki. — Wstając, powiedział tylko tyle i uklonił się kurtuazyjnie. Później znów zagłębił się w swoim świetle.

Po treningu poszłam do damskiej toalety, żeby się przebrać. Szatnia była nieczynna od sześciu miesięcy, bo podobno kładzono tam nową podłogę. Na drzwiach wisiała znajoma tabliczka: „Remont — Przepraszamy”. Kiedy zdjęłam spodenki, stojąc na jednej nodze na zimnej posadzce, oparta dla równowagi o umywalkę, drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wszedł Shelley. Poszedł prosto do jednej z kabin. Nawet nie zamknął drzwi do kibla — po prostu rozpiął rozporek i sikał, odwrócony tyłem do mnie. Co za impertynencja.

— Hej!

Nie przestając sikać, odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Miałam na sobie tylko koszulkę i czarne slipki — trudno było spodziewać się, że w tym stroju wzbudzę respekt. Shelley wyglądał tak, jakby chciał się roześmiać.

— Toaleta męska się zepsuła? — zaczęłam z nadzieją że moje słowa go onieśmielą.

Skończył i zapiął rozporek. Odwrócił się do mnie i wzruszył ramionami.

— Chyba jest na końcu korytarza.

Kiedy dziewczyna sika w czyimś towarzystwie, jest skrepowana, ale facet sikający przy kobiecie to, moim zdaniem, czysty przejaw agresji.

— Powinieneś okazywać ludziom więcej szacunku. Spuścił wodę i wyszedł z kabiny.

— Przepraszam — powiedział spokojnie. Stał bardzo blisko. Czułam jego oddech na twarzy.

Wtedy to zrobił. Pochylił się i pocałował mnie. Jego usta były delikatne i ciepłe, tylko kolczyk był chłodny. Całował coraz mocniej, kładąc dłonie na moich ramionach, żeby przyciągnąć mnie bliżej. Pozwoliłam mu na to. Objęłam go w pasie. Przytuliłam się, żeby poczuć jego erekcję, ale właściwie nic nie czułam. Od gumy do żucia oddech pachniał mu miętą. Zęby po wewnętrznej stronie były równe i gładkie. Jego język ślizgał się po moim tak, jakby ktoś głaskał kotka.

Wyszliśmy razem z siłowni. Począł, aż nałożyłam spodnie i buty i wrzuciłam strój gimnastyczny do plecaka. Przez cały czas nic nie mówił. Nie zrobiliśmy nic więcej — tylko się pocałowaliśmy.

Kiedy szliśmy Lordship Lane, mijając „Cheese Block”, „le Chardon”, „Apollo Videos”, „Starburgera” i pub „Lord Palmer-ston”, przerwał swoje charyzmatyczne milczenie i zaczął trajkotać jak nakręcony:

— Chcę zostać tancerzem — powiedział. — Ćwiczę, od kiedy skończyłem cztery lata.

— W takim razie nie powinieneś podnosić ciężarów, bo będziesz miał za duże mięśnie i rozciągniesz sobie ścięgna.

— Wiem, co robię. Jutro mam przesłuchanie do musicalu Gorączka sobotniej nocy. Oczywiście nie do głównej roli, ale potrzebują dwóch tancerzy w zastępstwie, bo jednemu z zespołu wycinają migdałki, a drugi ma AIDS.

— To twój szczęśliwy dzień.

— Coś w tym guście.

Był młody. Bardzo młody. Dopiero to zauważyłam.

— Mam na imię Joel — powiedział.

— Mogę nazywać cię Shelley?

— Jak?

— Jestem Kathryn. Kathryn Cheet.

Dotarliśmy pod drzwi jego domu. Mieszkał przy North Cross Road w East Dulwich, nad sklepem z warzywami. Sąsiadował z gabinetem dentystycznym. Weszłam po wąskich schodach na górę, a on został przy drzwiach i przeglądał ulotki i pocztę.

Jego mieszkanie było pełne kokardek i falbanek, obrazków z cherubinami i zasłonek. Usiadłam na kwiecistej sofie i patrzyłam z otwartymi ustami na niespodziewany wystrój.

— To sprawka mojej mamy—powiedział. — Prowadzi kurs dekoracji.

— A więc to mieszkanie twoich rodziców?

— Mieszkam tu tylko tymczasowo. Kiedy zacznę zarabiać porządne pieniądze, kupię sobie własny dom. Na Primrose Hill albo w Belsize Park... Mój ojciec jest właścicielem wielu domów i mieszkań w okolicy. — Zmarszczył nos. — Jest Nigeryjczykiem — dodał takim tonem, jakby ten fakt wszystko tłumaczył. Potem wziął mnie za rękę i poprowadził do sypialni.

W seksie nie był mistrzem — ze względów technicznych. Jego kutasik był mały i potrzebował długiego ssania, żeby stanął. Kiedy wreszcie się udało, wszystko zajęło zaledwie trzy minuty. Było w nim jednak coś, co mnie upajało. Ten smak — idealna równowaga między słodyczą i solą potu. Piękno jego ciała, trudna do odgadnięcia płeć. Te usta. Kiedy skończyliśmy, czułam się raczej odświeżona niż zaspokojona, ale to było całkiem przyjemne. Poczułam przyływ opiekuńczości, kiedy leżeliśmy wygodnie pod kołdrą w kaceńce. Objęłam go, a on spał z głową opartą na moim ramieniu. Oddychał przez usta, a cienka strużka jego śliny spływała mi po skórze. Miał siedemnaście lat. W tamtej chwili zdawał się jeszcze młodszy.

Leżeliśmy tak przez dwie godziny. W tym czasie mój umysł powoli wracał do rzeczywistości. Zaczęłam się martwić. W co ja się wpakowałam? Jakby mi jeszcze było za mało z innymi: wczoraj wieczorem Jonny straszył mnie przez telefon, że popełni samobójstwo, Stef kręci jakieś podejrzone interesy ze swoimi głupimi kumplami, Richard chciał, żebym poznała jego rodziców, czułam podskórnie, że Amy spotyka się z kimś innym, a ja jeszcze prawie nic nie zarobiłam od początku tygodnia. Co mnie podkusiło, żeby uprawiać

trefny seks z jakimś nastolatkiem, którego poznałam na siłowni, kiedy życie i tak było dość skomplikowane?

Nagle Joel otworzył oczy, spojrzał na mnie z takim uwielbieniem, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam, i wszelkie zmartwienia, wszystkie wątpliwości i niepokój, ulotniły się bez śladu. Kto mógłby oprzeć się takiemu słodkiemu, ślicznemu chłopcu? Już wtedy wiedziałam, że moje życie zmieni kształt. Przystanie być czworokątem i stanie się pięcioramienną gwiazdą. W tej kwestii nie miałam wyboru.

— Kat? — Joel już nie śpi. A ja w ogóle nie zamknęłam oczu. Nawet na minutę. — Kat, śpisz?

— Nie. — Niby jak miałam zasnąć? Jak miałabym zmrużyć oczy, kiedy tak bardzo boję się, że znów zobaczę ten kolor...

— Wszystko w porządku?

— Tak, jasne.

— Napijesz się herbaty? — Z przyjemnością.

Joel wstaje z łóżka i idzie napełnić czajnik. Robi najgorszą herbatę na świecie, ale lubi opiekować się mną, a ja lubię go rozpieszczać. Właśnie ta chęć rozpieszczania go jest haczykiem, na który dałam się złapać. Jestem prawie uzależniona od tego uczucia.

Słyszę, jak stawia dwa kubki na blacie, i czajnik zaczyna syczeć. Potem Joel wraca do pokoju i nakłada bokserki i koszulkę. A więc już po seksie. Zresztą, nie było żadnego seksu. Prawdę mówiąc, seks nigdy nie był kluczowym elementem naszego związku. Nawet na początku trudno było powiedzieć, że jesteśmy „napaleni”. Teraz, po sześciu miesiącach, zdaje się, że ogarnęła nas pozytywna oziębłość. Nie, to złe słowo — sugeruje chłód, podczas gdy jest między nami dużo ciepła. Wciąż się przytulamy. Brakuje tylko pieprzenia.

Joel jest w kuchni i miesza herbatę. Słyszę brzęk łyżeczki.

— Postanowiłem, że pójdę na praktykę do zakładu fryzjerskiego. Zostanę stylistą — dociera do mnie jego głos.

— A co z tańcem?

Westchnienie, potem Joel wchodzi do pokoju i szuka podkładek, żeby kubki nie zostawiły śladów na białym stoliczku mamy.

— Długo o tym myślałem, ale już postanowiłem.

— Przecież kochasz tańczyć.

Stawia kubki na podkładkach i przysiadła na skraju łóżka.

— Tak, ale nigdy nie udało mi się przebrnąć przez żadne przesłuchanie. Nie patrz tak... Przecież nie muszę całkiem z tego rezygnować.

Ma rację, ale jestem niespokojna. Mówi o porzuceniu swojego wielkiego marzenia.

— NaBrixton jest salon... — zaczyna i nagle wszystko rozumiem. Widzę, jak chodzi z matką po targu na Electric Avenue, taszczy ciężkie siatki, a ona obwąchuje melony i nagle wskazuje palcem na kartkę, wiszącą w oknie jakiegoś brudnego zakładu fryzjerskiego, która mówi, że potrzebny jest od zaraz pomocnik na soboty do zmiatania włosów z podłogi.

— To pomysł twojej matki, prawda?

— Mam swoje własne zdanie! — ucina, stawiając kubek tak energicznie, że herbata przelewa się przez krawędź.

Dobrze, że wyprowadziłam się z tamtej okolicy i zmieniłam siłownię. Muszę trzymać się na przyzwoitą odległość od tego chłopaka. W każdej chwili grozi mi, że sama zostanę mamą.

— A więc twoja matka nie ma z tym nic wspólnego?

— Nie!

— Przepraszam, Joel. Po prostu... wiesz, co mam na myśli.

— W porządku — mówi, chociaż nadal robi kwaśną minę. Potem zaczyna opowiadać mi o tym nowym salonie o nazwie „Shaman” (jakie to typowe dla Brixton!). Jego właścicielem jest Gino, były mistrz świata we fryzjerstwie, który dostał fundusze rządowe na otwarcie własnego interesu tylko dlatego, że wysmażył projekt Festiwalu Fryzjerskiego na Brixton i „bezprecedensowego programu zatrudnienia miejscowych bezrobotnych”. Joel podobno ma zostać jednym z pięciu nowych praktykantów, co wiąże się z pójściem do specjalnej szkoły i uzyskaniem świadectwa. Wciąż powtarza, że Gino to i Gino tamto. Pewnego wieczoru Gino zaprosił Joela do pubu i roztoczył przed nim wizję uczynienia go wyśmienitym stylistą (to musiała być kupa śmiechu dla jednego i drugiego, bo Joel nie pije alkoholu i nienawidzi pubów).

Cóż, jeśli matka Joela nie maczała palców w tym projekcie, to może z niego wyniknąć coś dobrego. W końcu dobry jest każdy plan, który pozwoli Joelowi stanąć na własnych nogach i odciąć się od kieszeni rodziców. Opuuszczam więc i mówię, że to fantastyczny pomysł, otwiera wiele możliwości. Tak bardzo chcę go uszczęśliwić, że wypijam cały kubek jego paskudnej smolistej herbaty. Wreszcie poprawia mu się humor, ma głowę pełną planów na życie. Jest taki szczęśliwy, że wyskakuje ze spodenek i

koszulki, wślizguje się pod kołdrę w kaczenie i po raz pierwszy od niemal miesiąca naprawdę się kochamy, a seks jest całkiem niezły — według wszelkich standardów.

Ale kiedy jest już po wszystkim i leżymy razem wykończeni i czuli, a on robi to, w czym jest najlepszy — przytula mnie mocno i zasypia, moje myśli znów zaczynają krążyć w zawrotnym tempie. Nie mogę ich zatrzymać. Rozmyślam o Johnnym, o tym, jak ostentacyjnie odłożył słuchawkę, i jestem na niego wściekła, ale jednocześnie martwię się o niego. Nagle ogarnia mnie przerażenie, bo zdaje się, że zostawiłam czerwony telefon — telefon Johnny'ego — w apartamencie w Chelsea Harbour, należącym do Craiga „Oczka” Summera.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Jest czwarta po południu, a ja siedzę w taksówce zaparkowanej przed domem Joela. Wzięłam prysznic, doprowadziłam się do porządku i jestem gotowa, żeby ruszać. Na różowym telefonie wystukuję numer, żeby zadzwonić na czerwony aparat.

— Tutaj Kathryn. Nie mogę teraz odebrać. Proszę zostawić wiadomość.

Cholera, jest wyłączony. Nie znoszę nagrywać się na swoją sekretarkę, ale nie mam wyboru.

— Witam, panie Summer. Mówi Kathryn Cheet, z taksówki. Mam nadzieję, że odsłucha pan tę wiadomość i że mój telefon jest w dobrych rękach. Chciałabym umówić się na któryś dzień, żeby odebrać komórkę. Proszę oddzwonić do mnie na numer 07946441359. Jeśli pan nie zadzwoni, to chyba będę musiała wpaść któregoś dnia bez uprzedzenia, licząc na to, że zastanę pana w domu... Czekam na kontakt. Wielkie dzięki.

Kiedy odkładałam słuchawkę, telefon od razu zaczyna dzwonić. Zaskoczona, podskakuję na fotelu. Oczko już zdążył odebrać wiadomość?

— Kathy, to ja. Gdzie jesteś?

To Amy. Gorączkowo próbuję przypomnieć sobie, gdzie miałam być o tej porze. Ramieniem przyciskam słuchawkę do ucha i szperam w schowku pod tablicą rozdzielczą, szukając terminarza. Jednocześnie mówię do Amy:

— Jestem z matką w domu. Przed chwilą wróciłyśmy z zakupów.

Nadal próbuję znaleźć terminarz wśród rupieci w schowku. Prawie go mam, kiedy Amy rzuca się na mnie:

— Do cholery, zawsze to samo. Miałaś iść na zakupy ze mną. Obiecałaś. Ta kobieta to prawdziwa jędza.

— Wybacz. Jest stara i niedołączna. Nic na to nie poradzę. — Znalazłam terminarz. Teraz szukam właściwej strony.

— Oszczędź mi tych bzdur, Kathy. Po prostu przyjedź tu. Pronto. — Głos w słuchawce milknie.

Wreszcie udaje mi się znaleźć właściwą stronę. Środa — 3.00 Amy. Zakupy — 7.00 obiad z Cheryl i Gretą. Wolny wieczór.

Koszmar! I to wielopłaszczyznowy. Po pierwsze, Amy będzie chciała iść do supermarketu, pewnie do „Sainsbury's”. Będę więc pchać koszyk, pocąc się i próbując pokonać labiryntofobię, podczas gdy ona zasypie mnie pytaniami w stylu: „Jak myślisz — chorizo czy prosciutto? Czy do sernika można użyć mascarpone!” Po drugie, przed chwilą zjadłam z Joelem cały talerz frytek i skrzydełek kurczaka, więc nie jestem ani trochę głodna. Wo-

łałabym nic nie jeść przez resztę dnia — zwłaszcza tłustych potraw, jakie serwuje się na przyjęciach. Po trzecie, nie cierpię Cheryl. Po czwarte, ostatnio zawałam zbyt wiele nocy i teraz powinnam pracować bez przerwy co najmniej przez tydzień. Po piąte, chciałam spotkać się z Jonnym.

Fantastycznie.

Wsuwam kluczyk do stacyjki i ruszam w stronę Islington. Na ulicy jest duży ruch, a na domiar złego zaczyna padać. Ludzie próbują mnie zatrzymać, chociaż mam wyłączoną lampkę*.

* W angielskich taksówkach w czasie godzin pracy świeci się nad kabiną kierowcy pomarańczowa lampka z napisem TAXI.

Jakiś facet wali otwartą dłonią w moje okno, kiedy stoję na skrzyżowaniu, i wrzeszczy niezrozumiale —jestem pewna, że mnie obraża.

Wzruszam ramionami.

— Teraz nie pracuję, kolego.

Wystawia środkowy palec w moim kierunku. Odwracam się.

Wielki znak zapytania: czy Amy jest warta tyle zachodu? Powoli zaczynam wierzyć, że nie. A jednak spotykam się z nią od prawie dwóch lat. Tylko z Jonnym i z Richardem byłam dłużej. Jonny'ego można owinąć sobie wokół palca (dziwne, ale to prawda). Nie wymaga ode mnie zbyt wiele. Nie przesłuchuje mnie tak jak Amy. Richard zaś nie jest taki nieprzewidywalny i ekscentryczny jak ona.

Amy twierdzi, że chce być ze mną, zamieszkać razem, zaadoptować dzieci, razem się zestarzeć. Uważa, że na naszej drodze stoją tylko dwie przeszkody — obydwie stworzone przeze mnie. Pierwsza to fakt, że „nie urodziłam się lesbijką”. Wciąż jej tłumaczę, że moje preferencje seksualne są bardziej złożone. Wiążę się z konkretną osobą, a nie z płcią. Powtarzam jej, że jest jedyną kobietą, z jaką kiedykolwiek spałam. Nie mogę tylko zdradzić jej, że lubię pieprzyć się z facetami i robię to rutynowo, codziennie. Amy nie przyjmuje mojego gadania. Jest przekonana, że z czasem zrozumie lepiej samą siebie i odkryje swoją prawdziwą tożsamość seksualną. Czeka, aż nadejdzie ten moment.

Drugą przeszkodą jest moja matka. Chcąc trzymać Amy z dala od mojego życia prywatnego, musiałam wymyślić bajeczkę, że mieszkam ze starą schorowaną matką, która nie zniosłaby myśli, że jej ukochana córeczka nie jest dziewicą, nie mówiąc już o tym, że może być lesbijką. To kłamstwo nie pozwala Amy odwiedzać mnie w domu i dostarcza licznych wymówek, kiedy nie mam ochoty na spotkanie. Może jednak popełniłam błąd? Amy

stworzyła na swój użytek skomplikowany obraz mojej psychiki, zgodnie z którym wszystkie problemy i ułomności mojego charakteru są wynikiem destruktywnego wpływu matki. Oskarża ją o mój brak zdecydowania i niechęć do otwarcia się — którą nazywa „seksualnym tchórzostwem” — o moje koszmary, o moją „oziębłość emocjonalną”... Lista zarzutów nie ma końca. Słuchając zrzędzenia Amy na temat mojej władczej, samolubnej, zakłamaney, sadystycznej matki, prawie sama zaczynam w nią wierzyć. Amy uważa, że mamuśka zdominowała moje życie, i tylko czeka, aż stara jędra wyorkuje, żeby móc przejąć pałeczkę.

To jednak dość wygodne z jej strony, że wszystkie problemy w naszym błogim związku przypisuje wyłącznie mi. Mózg Amy jest pełen psychobelkotu — to jej odmiana dupereli. Zdaje jej się, że wie wszystko o wszystkich, ale nie zna własnego umysłu. Życie w stałym monogamicznym związku jest dla niej tak naturalne jak dla policjanta parkowanie na podwójnej ciągłej linii. Monogamia nie leży w jej naturze. Myśli, że nie wiem o jej romansach, o szybkich numerkach, o flirtach. Ale wyczuwam je. Za każdym razem, kiedy mnie zdradza, widzę to w jej oczach. Jest beznadziejnym kłamcą. Może i Amy narzeka, że nie spędzamy razem dosyć czasu, że nie może odwiedzać mnie w domu itd., ale prawdę mówiąc, taki układ pasuje jej jak ulał.

Jeśli chodzi o moją prawdziwą matkę — zmarła, kiedy miałam piętnaście lat.

Dochodzi piąta, kiedy zbliżam się do Cafford Square. Dziwi mnie, że tuż przed domem Amy jest wolne miejsce na parkingu. Dopiero kiedy wjeżdżam w zatoczkę, a wiatr nagle potrząsa gałęziami starego dębu, obsypując maskę i szybę samochodu dojrzałymi żołądziami, rozumiem, dlaczego nikt nie chciał się tu zatrzymać. W Pekham albo Balham dzieciaki już dawno ogołociłyby drzewo z żołądzi, rzucając w nie patykami, ale w tej okolicy nie ma dzieciaków. Wszystkie wysłano do prywatnych szkół z internatem, a może po prostu są za dobrze wychowane, żeby zniżyć się do takich prostackich zabaw. Gdzie są mali chuligani, kiedy ich potrzebujemy?

Zamykam taksówkę, kuląc się, żeby uniknąć następnego gradu żołądzi. Potem wbiegam po schodach do drzwi trzypiętrowej kamienicy z białą fasadą w której mieszka Amy, i trzy razy stukam ciężką mosiężną kołatką. Chyba nie muszę mówić, że ten dom nie należy do Amy. Wystarczy, że wynajmuje tu pokój. Kamienica jest własnością gospodyni, Willi Finkleman, która pisze o jedzeniu i recenzuje restauracje. Willa jest nadziana forszą.

Właściwie nie potrzebuje lokatorki, ale czuje się samotna. Chyba tęskni za swoim byłym mężem, wydawcą, Samem Finklemanem, który zostawił ją dla młodszej kobiety. Lubi narzekać, że musi dzielić swoją prywatną przestrzeń z innymi ludźmi, ale robi to tylko na pokaz. Amy pracuje z Willą w magazynie „Up West”. Willa pisuje do rubryki o gastronomii, a Amy prowadzi kolumnę zatytułowaną Muff Matters.

Drzwi otwiera Willa, która przygląda mi się znad okularów zawieszonych na łańcuszku na szyi. Zdaje się, że poznaje mnie dopiero po chwili. To tylko maniera — Willa ma doskonały wzrok, pewnie lepszy od mojego. Kiedyś założyłam jej okulary. Nosi zerówki.

— No, ładnie, Kathy — mówi Willa, kiwając palcem. — Nasza ślicznotka wpisała cię dzisiaj do czarnej księgi. Nie zazdroszczę ci. — Blokuje drogę swoim ponad stukilowym cielskiem, odzianym w kaftan w kształcie namiotu, który kupiła na Hampstead Bazaar.

— Dobrze, dobrze, wpuścisz mnie? Łaskawie cofa się o krok.

— Amy wyszła pół godziny temu do „Sainsbury's” — woła, kiedy kieruję się do kuchni, ostrożnie stąpając po drogim parkiecie. — Kazała ci powiedzieć, że nie mogła dłużej czekać.

Jest dla mnie oczywiste, że wdepnęłam w gówno, ale podświadomie czuję się szczęśliwa, że ominęła mnie wyprawa do supermarketu.

Zdejmuję kurtkę i siadam przy ogromnym zielonym stole w kuchni.

— Mam szansę na filiżankę herbaty?

— Bien sur. Na jaką masz ochotę? Mango, pokrzywową, miętową?

— Zwyczajną, proszę — wtrącam, zanim się rozpedzi. Napełnia nowoczesny czajnik wodą z dzbanka z filtrem i włącza, żeby się zagotowała. Potem zaczyna trajkotać o jakiejś restauracji, do której poszła ostatnio z Janet Street-Porter. Chez takiej czy innej. Właściwie to nawet lubię Willę, ale dzisiaj nie jestem w nastroju. Rozglądam się po kuchni, moim ulubionym pomieszczeniu w domu Willi. To naprawdę wielka kuchnia i najlepiej urządzona ze wszystkich, które widziałam w życiu. Willa kazała zaprojektować ją specjalnie do swoich potrzeb — duży stół w rogu, z tyłu półki, na których stoi kolekcja antycznej porcelany (Boże, dopomóż, jeśli ktoś chciałby jej użyć do podawania potraw). Ma też nowoczesną amerykańską kuchenkę gazową, wolno stojący piekarnik i dużo drewnianych mebli w kolorze wytartej zieleni. Błyszczące stalowe garnki i patelnie wiszą rzędami na hakach pod sufitem... Wszystko razem wygląda jak scenografia do programu telewizyjnego. Bardzo praktycznie, bo właśnie tym się stanie,

kiedy na początku następnego miesiąca zaczną się zdjęcia do „Willa przedstawia”. Ten projekt nie podoba się Amy. Willa stawia przede mną kubek i odsuwa krzesło.

— Właściwie, to dobrze, że jesteśmy same, Kathy. Miałam nadzieję, że uda się nam spokojnie porozmawiać.

— Tak? — Jestem nieufna. Co mi chce powiedzieć? Że zostawiłam ręcznik na podłodze w łazience? Że parkuję w niewłaściwym miejscu? Że nie podoba jej się miłość homoseksualna pod jej dachem?

— Chodzi o Amy. — Robi zatroskaną minę, niczym matka. Czy ma zamiar powiedzieć mi, że Amy sypia z kimś innym? Jeśli tak, to nie jestem pewna, czy chcę słuchać. Nerwowo przełykam herbatę, parząc sobie język. — Ona... Jakby to powiedzieć... Ona chce się poświęcić „Agony Aunt”.

Oddycham z ulgą. O co tej babie chodzi?

— Bardzo dobrze daje sobie radę w „Up West”. Jej kolumna stała się czymś w rodzaju działu kultowego, a wiem, że sama Amy też budzi zainteresowanie wśród poważnych ludzi. Ale z jakiegoś niepojętego powodu postanowiła zostać „ciocią Agony”. Sprzedała się drobnym graczom za garść srebrników!

To musieliby być mikroskopijni gracze, żeby być jeszcze mniejsi niż „Up West”, który jest tylko podrzędną wersją magazynu „Time Out”, rozdawaną za darmo przed stacjami metra w centrum Londynu... Trzymam jednak język za zębami. Zamiast tego mówię:

— Daj spokój, Willa. Przecież znasz Amy. Wiesz, że na pewno robi to tylko dla zabawy.

Willa wzdycha, zniechęcona faktem, że musi rozmawiać z kimś tak tępym jak ja.

— Kathy, nie powinno się budować kariery wokół zabawy.

— Czy bycie „ciocią Agony” rzeczywiście jest tak deprymujące?

Willa wzrusza ramionami i skubie perłowy naszyjnik.

— Mówi, że będzie używać pseudonimu, więc ludzie nie domyśla się, że to ona, ale i tak... Nie powinna marnować energii na takie bzdury. Gdyby tylko pozwoliła mi pomóc sobie, dziś pisałaby artykuły na rozkładówkę. — Nagle chwyta moją dłoń, leżącą na stole, i ściska tak mocno, że jej wielki pierścionek z diamentem wpija się w moje palce. — Porozmawiasz z nią Kathy? Może ciebie posłucha.

— Nie wiem, Willa... To znaczy, co miałabym powiedzieć?

— Powiedz jej, żeby tego nie robiła. Poproś, żeby przyjęła moją pomoc.

W tej chwili otwierają się frontowe drzwi i Willa puszcza moją dłoń. Słyszemy głos Amy:

— Willa, jesteś w domu? Czy Kathy dała jakiś znak życia?

Ma twarz zaróżowioną od pośpiechu i noszenia ciężkich siatek z zakupami — zdrowe policzki i błyszczące zielone oczy, chociaż widzę pod nimi ciemne cienie (skąd się tam wzięły?). Niewyspane oczy. Obcięła włosy — są teraz krótsze niż przedtem i sterczące. Niezła fryzura, podkreśla jej kości policzkowe. Amy ma piękne kości policzkowe.

— A więc jednak postanowiłaś przyjść — mówi zrzędliwie. Ale nie udaje jej się ukryć zadowolenia, kiedy mnie widzi. Poznaje to po jej minie.

— Pewnie.

— No to pomożesz mi? — Pochyliła się, żeby położyć na podłodze torby, które przyniosła. Moim oczom ukazuje się wspaniały widok jej wypiętego tyłka, okrągłego jak jabłuszko, w czarnych dżinsach. Pupa Amy to jedna z jej najlepszych cech. Idę za nią do korytarza, gdzie leżą sterty siatek z zakupami.

— Jezu, ile nakupowałaś!

Amy dogania mnie przy schodach, obejmuje mnie i całuje. Jej usta smakują ciasteczkami czekoladowymi. Na pewno otworzyła paczkę w drodze do domu. Przerywa na chwilę, żeby powiedzieć:

— Zrobimy grillowany kozi ser i zapiekane szalotki z sałatą jako przystawkę. Na główne danie będzie cielęcina osso bucco z risotto milanese, a potem, na deser, petits pots aux chocolat.

Słabo mi na samą myśl o tych ilościach kalorii, atakujących mój organizm jak maszerująca armia.

— Brzmi przepysznie.

— Prawda? Mam nadzieję, że Greta jada cielęcinę. Zapomniałam się upewnić.

— Amy, posłuchaj. — Chwytam jej obie dłonie. — Obawiam się, że nie będę mogła długo zostać. Muszę iść do pracy.

— Co? — Jej twarz znów robi się czerwona, ale tym razem ze złości.

— Ostatnio miałam dużo wydatków. Nie mogę sobie pozwolić na opuszczenie kolejnej nocy.

— Przecież obiecałaś!

— Wiem, ale...

— Dobra, zapomnij. Zapomnij o tym. — Odwraca się i sięga po dwie siatki. Podnosi je w zaciśniętych pięściach.

— Amy...

— Nie mam ochoty tego wysłuchiwać.

Siedzimy przy stole w jadalni Willi. Cały pokój ozdobiony jest muślinem w odcieniach beżu ze złotymi detalami. Przed chwilą zjedliśmy przystawki. Willa pali papierosa, nie przejmując się oczywistą choć nie wypowiedzianą dezaprobatą Cheryl. Cheryl kaszle i odpędza dłonią obłoki dymu, chociaż siedzi daleko, po drugiej stronie stołu. Jej głos przypomina ryk syreny okrętowej. Sepleniać, bez zająknięcia przeszła od długiej tyrady na temat stanu kanalizacji w mieście, przez fascynujący monolog o stanie swoich jajowodów, do bardziej ogólnego zagadnienia stosunku lesbijek do sztucznego zapłodnienia. Amy lubi Cheryl, bo ta jest zaangażowana politycznie w czasach, gdy po świecie kręcą się same apatyczne cioty, a przy tym nie boi się głosić swoich poglądów. Nie lubię Cheryl, bo jest wielkim, brzydkim babsztylem z ogoloną głową i ogromnym nochalem. Poza tym cały czas nadaje i nie słucha, co inni mają do powiedzenia. Powinna pracować jako kierowca taksówki.

Od czasu do czasu Cheryl mówi: „Prawda, Greta?“, „Tak było, Greta?“, „Też tak myślisz, Greta?“ Greta uśmiecha się wtedy, kiwa głową i zerka na nas znad okularów w drucianej oprawce. Greta jest drobna i ma małą myszowatą twarz. Rzadko otwiera usta. Łapię się na tym, że czasami nieświadomie wyobrażam je sobie razem w łóżku — Greta, przygwożdżona do materaca patrzy tępo przez okulary, podczas gdy Cheryl chrząka i węszy po całym jej ciele jak świnia poszukująca trufli. Sama myśl o tym wystarczy, żeby zniechęcić się do jedzenia.

— Prawie niemożliwe jest sztuczne zapłodnienie w państwowej klinice, chyba że masz jakąś wadę fizyczną — mówi Cheryl. — Trzeba iść do prywatnego lekarza, chociaż nawet wtedy przesłuchują cię i oskarżają jak kryminalistkę. Poza tym leczenie prywatne jest niezgodne z moimi przekonaniem.

Willa powstrzymuje ziewnięcie. Greta nadal kiwa głową i zerka. Ja zaczynam się niecierpliwić. Amy wchodzi do pokoju z parującym półmiskiem osso bucco w sosie pomidorowym. Amy świetnie wygląda w swoich nowych szarych spodniach w paski i sweterku z angory.

— Bosko pachnie — mówi Willa.

— Cała tajemnica polega na dodaniu świeżego soku z cytryny — odpowiada Amy i zaczyna nakładać danie na talerze. — Kochanie, przyniesiesz risotto!

Człapię do kuchni, trochę zdziwiona i zaniepokojona słowem „kochanie”. Myśl, żeby zostać tam przez chwilę, jest kusząca, ale zaciskam zęby i wracam z miską pachnącego ryżu z dodatkiem szafranu. Potrzebuję drinka, ale po kolacji będę musiała prowadzić taksówkę. Nie wiem, jak dam sobie radę na trzeźwo w tym towarzystwie.

Znów zaczynamy się opychać. Cheryl nakręca się jeszcze bardziej:

— Właśnie mówiłam o tym, jak trudno jest lesbijce dokonać sztucznego zapłodnienia w publicznej służbie zdrowia.

Mam tego dość.

— Dlaczego niby miałabyś robić sobie sztuczne zapłodnienie w publicznej służbie zdrowia, kiedy w kolejce czeka tyle innych kobiet, które ze względów fizycznych nie mogą zajść w ciążę? Jeśli naprawdę chcesz mieć dziecko, to może przestaniesz bać się facetów i dasz się któremuś przelecieć?

Zapada niezręczna cisza. Amy patrzy na mnie. Willa mówi cicho:

— To naprawdę pyszne, Amy.

— Nie dziwię się, że słyszę to od ciebie — odpowiada Cheryl. — A czego ty się boisz w homoseksualizmie, Kathy? Nie sądzisz, że nadszedł czas, żeby wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy i pogodzić się z tym, kim naprawdę jesteś?

Greta kiwa głową a na jej ustach pojawia się pomarszczony uśmiech.

Amy postanawia, że powinna mnie bronić.

— Spokojnie, Cheryl. Kathy nie zdecyduje nagle, że jest lesbijką tylko dlatego, że my tego chcemy. Potrzebuje trochę czasu...

Teraz jestem już porządnie wkurzona. — Proszę, czy możemy przestać mówić o moim życiu seksualnym?

Willa próbuje ruszyć z pomocą nalewając mi kieliszek wina, którego przecież nie powinnam pić, i mówi:

— Wczoraj poszłam z Janet Street-Porter do wybornej restauracji. Muszę wam o tym opowiedzieć.

Cheryl wyskrobuje szpik z osso buco i zlizuje go z krawędzi noża. Od tego widoku zbiera mi się na wymioty. Nie przełknę już ani kęsa.

Jest już po głównym daniu. Cheryl poszła do kuchni, żeby pomóc Amy przy deserze. Greta coś mówi — o dziwo! Ma słaby, piszczący głosik.

— Czy Amy wspominała ci, że w następny poniedziałek żenię się z Cheryl?

— Cudownie — odpowiadam, zastanawiając się, czy mogą zalegalizować ten związek od strony prawnej. — Gratulacje.

— Oczywiście, obydwie jesteście zaproszone. Ty też, Willa, jeśli zechcesz przyjść.

— Przepraszam — mówię. — Lepiej sprawdzę, co z Amy. Boże, to ci dopiero obowiązkowa data w kalendarzu! Wchodzę do przedpokoju i kieruję się do kuchni, myśląc o tym, że niepotrzebnie wypiałam wino, którym poczęstowała mnie Willa. Kiedy stoję w drzwiach, widzę coś, czego wolałabym nie oglądać.

Amy stoi odwrócona tyłem do mnie przy długim blacie, na którym leży taca z pięciomapestits pots. Cheryl stoi obok niej. Amy opiera się o powierzchnię blatu, a prawa dłoń Cheryl przykrywa jej dłoń. Cheryl patrzy Amy prosto w oczy. Lewą dłonią Cheryl dotyka policzka Amy — po prostu dotyka jej i się gapi. Jest między nimi bliskość. Czulość.

Przez chwilę stoję jak zamurowana. Potem, robiąc dużo hałasu, wchodzę do kuchni. Dziewczyny nie okazują zakłopotania, jakby nie były zaskoczone, że ktoś im przerywa w taki sposób. Nie odskakują spłoszone. Cheryl nawet nie cofa dłoni z policzka Amy. Zaszła jednak dyskretna zmiana nastroju. Dyskretna, ale wyczuwalna. Cheryl odwraca się i uśmiecha do mnie.

— Jesteś prawdziwą szczęściarą, Kathy — mówi. — Dobrze jest mieć kogoś takiego jak Amy. Weź się w garść i zacznij traktować ją tak, jak powinnaś.

W końcu opuszcza dłoń, z uśmiechem sięga po tacę i wychodzi do jadalni.

— Co to... — zaczynam, kiedy jesteśmy same. Przerywa mi jednak nagłe brzęczenie różowego telefonu, który leży zapomniany na kuchennym stole. Amy rzuca się w tamtą stronę i odbiera, zanim cokolwiek uda mi się zrobić.

— Halo? — mówi i patrzy na mnie z miną, w której widzę ślad poczucia winy. — Och, naprawdę...? Właściwie, nie rozmawia pan z Kateriną ale domyślałam się, że będzie zachwycona.

Rzuca mi telefon i przez całą rozmowę stoi przede mną z dłońmi opartymi na biodrach.

— Katerina? — To, oczywiście, Oczko. Ma denerwująco radosny głos.

— Dzień dobry, panie Summer. — Dlaczego musiał zadzwonić właśnie teraz? — Czy ma pan mój telefon? Kiedy mogę przyjść go odebrać?

— Mów mi Craig. Proszę. Tak się składa, że właśnie z niego dzwonię. Bardzo mi przykro z powodu zeszłej nocy. Czy pozwolisz mi jakoś to wynagrodzić?

Odwracam się tyłem do Amy.

— Dobrze, panie Summer. Czy mogę przyjść jutro rano? Czy to panu pasuje?

— Ach, jutro rano... cóż, rano może być trudno. Myślałem, że moglibyśmy pójść wieczorem na kolację. Przypadkiem zarezerwowałem stolik w „Club Gascon”. Byłaś tam kiedyś?

Zaczyna mnie drażnić.

— Proszę posłuchać, panie Summer. Jestem teraz zajęta. Jeśli to nie ma dla pana znaczenia, to wpadnę po ten telefon któregoś dnia...

— Ale to ma dla mnie duże znaczenie — wtrąca. Wyobrażam sobie wesołe błyski w jego oczach. W myśli wracam do tamtego mieszkania i znów słyszę stłumiony szelest spodni spadających na podłogę. — Chciałbym postawić ci kolację. Czy to naprawdę coś strasznego?

Amy staje przede mną i klepie mnie delikatnie w ramię, mówiąc bezgłośnie:

— Kto to jest, do diabła?

Odwracam się od niej, ale znów uderza mnie w ramię.

— To nie tak — mówię, próbując ją ignorować. — Po prostu... Auu! — Amy ciągnie mnie za włosy. Próbuje się uwolnić.

— Dobrze, dobrze. Jutro wieczorem. O której godzinie?

— O ósmej. Wiesz, gdzie to jest?

— Tak, tak. — Amy znów mnie dopadła. — Do zobaczenia.

— Kończę rozmowę.

— Kto to był? — Amy próbuje wyrwać mi telefon.

— Klient... — próbuję się tłumaczyć.

— No właśnie, klient! — ucina.

— Jego kumpel zasnął w taksówce. Pomogłam mu go odprowadzić. Zostawiłam drugą komórkę u niego w mieszkaniu.

— Jaką drugą komórkę? — warczy Amy. — I od kiedy nosisz pasażerów na własnym grzbiecie? Cheryl ma rację. Musisz się zastanowić się, kim naprawdę jesteś! Mam dosyć bycia naiwną idiotką.

— Amy, przecież nic się nie stało. Mówię ci prawdę. — Słyszę swój błagalny jęk, brzmi tak obronnie, jakbym zrobiła coś złego. Atakuję, bo przypominam sobie, że to nie ja powinnam czuć się winna: — A właściwie to co się tutaj działo przed chwilą między tobą i Cheryl?

— Och, dorośnij wreszcie! Jesteśmy starymi przyjaciółkami. Ona się żeni. — Ale nie może spojrzeć mi w oczy. — Lepiej wracajmy do jadalni — szepcze. — Porozmawiamy o tym później.

— Muszę jechać do pracy... — mówię do jej pleców. Amy jest już w połowie drogi do pokoju.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Upierdliwa mżawka. Powinno albo porządnie lać, albo wcale nie padać. Jest wpół do trzeciej po południu, a ja dopiero wysiadłam z taksówki, żeby ją umyć, i od razu znalazłam strzykawkę z krwią na tylnym siedzeniu. Nie pierwszy raz. To ta para, którą zabrałam na King's Cross i zawiozłam na Brixton nad ranem. Wiedziałam — zachowywali się tak cicho, za cicho. Wyglądali dosyć niezdrowo, byli zakręcen i mieli źrenice jak spodki. Nie wiem jednak, kiedy udało im się to zrobić. Za każdym razem, kiedy na nich patrzyłam w lusterku, siedzieli spokojnie jak trusie, z rączkami na kolanach. Patrzyli na mnie nieobecny wzrokiem.

Nie dotykając strzykawki, zatraskuję drzwi i odkładam na ziemię worek na śmieci i szmatę. Klnę pod nosem, wspinając się po schodach do mieszkania i stając wśród nie rozpakowanych kartonów.

Mam parę roboczych rękawic, które kupiłam specjalnie na takie okazje. Z rodzaju tych, jakie noszą śmieciarze: grube, gumowe, z bawełnianym podbiciem. Ale gdzie one są, do cholery? Nie mogą być w tym pudle — to naczynia kuchenne, a przecież nie upchnęłam ich razem z talerzami i filiżankami. W tamtych kartonach w kącie są książki i płyty. A w tamtych... Jezu, co jest w tamtych pudłach? To jakiś cholerny koszmar. Potykam się wśród zwiniętych w kulki gazet, przewracam się na czarnych plastikowych workach z poduszkami, grzebię na oślep w kartonach, ale bez skutku. Słyszę, że coś pęka, kiedy wyciągam jakiś przedmiot owinięty gazetą, i dociera do mnie, że właśnie zbiłam jeden ze swoich kryształowych kieliszków. Chyba dam sobie spokój. Wkładam stłuczony kieliszek z powrotem do kartonu.

Przed godziną obudziłam się wyspana po raz pierwszy od wieków — żadnych snów, żadnych brzęczących telefonów, żadnych robotników, wiercących dziury w ulicy — tylko po to, by mój umysł zaatakowały zmartwienia na każdy możliwy temat. Martwiłam się z powodu Jonny'ego — zadzwoniłam do niego rano w drodze z pracy, ale nie było go w domu. Wybierałam numer co chwila przez całe pięć minut, na wypadek gdyby spał, ale nikt nie odebrał. Pewnie jest w alkoholowym ciągu, a to nie najlepsza wiadomość. Potem martwiłam się z powodu Amy — Amy i Cheryl. Powinnam była zrezygnować z pracy i zostać u niej, pogadać, poukładać nasze sprawy. Ale nie, bardziej zależało mi na zarobieniu paru funtów niż na niej. Poza tym, prawdę mówiąc, szukałam pretekstu, żeby się wymknąć. Wkurzające — tylko tak można opisać zachowanie Amy wczoraj

wieczorem. Zbyt wkurzające, jak dla mnie. Niemożliwe, żeby sypiała z tą krową.

W pokoju jest ciemno, więc nic dziwnego, że nie mogę nic znaleźć. Człapię do okna i otwieram żaluzje. Światło zalewa pokój i wydobywa z mroku cały bałagan. Kupiłam to mieszkanie, żeby stworzyć sobie bezpieczną przystań, przytulną prywatną przestrzeń, w której nareszcie mogę być sobą ciche miejsce pośrodku burzy. A tymczasem, spójrzcie na to! Czego się spodziewałam? Że kartony same się rozpakują? Czy jestem jakąś uczennicą czarnoksiężnika, liczącą na to, że usiądę sobie wygodnie i będę patrzeć, jak książki wskakują na półkę, a sztucce wślizgują się do szuflady? Kucam przy starej walizce i odpinam paski. Może tutaj... Eureka\ Tutaj się schowały. Teraz muszę jeszcze znaleźć jakieś stare pudełko, do którego włożę strzykawkę. Nie wystarczy owinąć jej gazetą. Nie mogę przecież pozwolić, żeby śmieciarze się pokłuli, prawda?

Idę do drzwi, niosąc rękawice, gazetę i pudełko po płatkach kukurydzianych, kiedy dostrzegam kopertę na wycieraczce. Wiem, od kogo jest, jeszcze zanim ją podnoszę. Tato zawsze używa tych podłużnych kremowych kopert. Zamawia je w hurtowych ilościach z katalogu wysyłkowego. Mój tato — zawsze rozsądnie wydaje pieniądze. Obracam kopertę w palcach i nagle nachodzi mnie ochota, żeby nałożyć rękawice. List zaadresowany jest do mojego starego mieszkania. Ktoś przesłał go dalej. Chciałabym wyrzucić go, nie otwierając, ale jestem zbyt ciekawa, co jest w środku.

Droga Kathryn,

wybacz, że piszę tak niespodziewanie, ale pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, iż 13 października odbędzie się w naszym kościele msza w intencji matki. Na pewno pamiętasz, że zbliża się piętnasta rocznica jej śmierci. Przykro mi, że wtedy nie miała prawdziwego pogrzebu. Ludzie nadal krzywo na mnie patrzą z tego powodu — zwłaszcza Roy i Gina. Uważają, że pozbawiłem ich możliwości opłakania twojej matki. Do niedawna nie mogłem spojrzeć ludziom w oczy. To straszne uczucie. Teraz rozumiem, że popełniłem poważny błąd. Moją potrzebę zachowania prywatności postrzegano jako wyrzuty sumienia. Niektórzy ludzie w miasteczku wolą przejść na drugą stronę ulicy, niż porozmawiać ze mną.

Dużo o tym myślałem. Niektórzy pewnie będą zastanawiać się, po co odgrzebywać tę sprawę i na nowo denerwować społeczność. Chcę im jednak pokazać, że nie mam nic do ukrycia. Chcę to pokazać całemu miastu. I chcę

pokazać Tobie, Kathryn. Mam wielką nadzieję, że przyjedziesz. Chciałbym Cię zobaczyć.

Wierzę, że życie układa Ci się dobrze.

Tata.

Wyobrażam sobie, jak siedzi przy biurku, w laczkach i szarym swetrze, i pisze skrzypiącym, starym piórem, przerywa na chwilę, żeby zmienić nabój z atramentem, niezdarnie przykłada bibułkę, poprawia okulary z półokrągłymi szklami, zatrzymuje pióro kilka milimetrów nad kartką, szukając w myślach właściwych słów, odpowiedniego tonu — wyrażającego szacunek, przeprosiny, dumę. Czuję zapach zbutwiałego, starego dywanu — zapach tytoniu, kurzu i czasu. Huczy mi w głowie od tykania zegara kominkowego. Dla Henry 'ego Cheeta z podziękowaniem za dwudziestosiedmioletnią pracę w Szkole Ogólnokształcącej im. Rogera Stertona w Saffron Walden — nauczyciela i dyrektora. Będzie nam brakować Twojej mądrości.

— Pojedziesz tam? — Winnie odkłada list na poplamiony blat i zapala papierosa.

— Chyba żartujesz.

Winnie wydmuchuje dym i dostaje wściekłego ataku kaszlu. — Spójrz na siebie, Win. Powinnaś ograniczyć palenie. Winnie się uspokaja. Patrzy na mnie, a jej gęste brwi niemal stykają się pośrodku czoła.

— Dlaczego nie?

Big Kev podchodzi z kawą dla mnie i herbatą dla Winnie.

— Co „dlaczego nie”? — Sięgam do kieszeni po drobne i kładę je na stole. Kev wielką dłonią zgarnia pieniądze. Mamy taką zasadę, że kto przychodzi ostatni, ten płaci, ale dziwnym zbiegiem okoliczności Winnie zawsze zjawia się pierwsza.

— Wiesz, mówię o twoim tacie. To mogłaby być dobra okazja, żeby zbudować pomost, załatać dziury w waszych stosunkach...

— Opuść sobie, Win. — Muszę powstrzymać ją zanim zacznie jeden z tych swoich wykładów rodem z towarzystwa wzajemnej pomocy. Kiedy przyszłam, dziesięć minut temu, czytała kolejny poradnik domorosłej psychologii. Książka jest zatytułowana Taniec duszy. Okładkę zdobi portret autora — wymuskany przedziałek i idealnie białe zęby w uśmiechu. Od razu widać, na co wydaje honoraria za swoją pracę — jego dentysta jest pewnie jeszcze bogatszy. Nie cierpię tego typu książek — pełno w nich chwytliwych zwrotów i szybkich naciąganych porównań, ale przekaz zawsze jest ten sam.

— Dlaczego nie, Kath? Zdaje się, że zrozumiał i chce się poprawić, prawda? Myślę, że jesteś mu winna jeszcze jedną szansę.

— Nic mu nie jestem winna. — Boże, czy ona nie przestanie ciągnąć tego tematu? Teraz żałuję, że pokazałam jej list.

— Dobrze, więc nic mu nie jesteś winna, ale co ci szkodzi pojechać tam?

— Przestań, Win. — Odbieram jej list i wciskam go do kieszeni kurtki.

Winnie wzrusza ramionami i gasi papierosa.

— Sama tego chciałaś. Prosiłaś mnie o opinię, a ja powiedziałam ci, co o tym myślę. Wydaje mi się, że dobrze wiedziałaś, co powiem. Zdaje się, że nie zapytałabyś, gdybyś nie chciała tego usłyszeć. Logiczne, nie?

Znów zaczyna kaszleć. Przy sąsiednim stole siedzi Steve Am-bley. Przegląda formularze, jedząc rybę z frytkami w towarzystwie Roga Hackenhama i jakiegoś łysego gościa, którego nie znam. Steve wychyla się i woła:

— Przestań, Winnie. Obrzydzasz nam jedzenie.

Kaszel Winnie nie daje jej odpowiedzi, warczę więc w stronę Steve'a:

— I kto to mówi! Wystarczy spojrzeć na twoją wielką paskudną gębę, żeby się wyrzygać. Powinieneś kupić sobie maskę albo zrobić operację plastyczną.

Steve pokazuje mi wyprostowany środkowy palec. Rog i łyсы gość śmieją się z niego.

— Cholerni taksówkarze. Jak ja ich nienawidzę. — Odwracam się do Winnie.

— Nie przejmuj się nimi — radzi Winnie, kiedy znów odzyskuje mowę, i woła: — Kev, przyniesiesz mi jeszcze jedną herbatę?

— Poważnie, Win, powinnaś mniej palić. Ten kaszel brzmi bardzo niezdrowo.

Winnie macha ręką, jakby chciała odpędzić natrętną muchę. Widzę dwie żółte plamy na jej palcach.

— To tylko grypa. Zaraziłam się od dzieci. Sandra i Tommy też to mieli w zeszłym tygodniu, a Lindy kaszlała dzisiaj cały dzień.

— Dzieci? Nie spieszy mi się do nich. — Siorbię kawę. Moja uwaga trafiła w czuły punkt.

Winnie uśmiecha się, a jej okrągła twarz zdaje się mięknąć jak wielki lukrowany pączek.

— Poczekaj jeszcze rok czy dwa, Kathryn. Kiedy twój zegar biologiczny zacznie głośno tykać, będziesz rodziła jedno maleństwo po drugim, jakby od tego zależało twoje życie.

Wzruszam ramionami.

— Czyżby? A kto niby ma zostać kochającym tatusiem? Jonny? Stef? Joel? Daleko im do ideału, prawda? Mogę mówić o szczęściu, jeśli Joelowi stanie na dość długo, żeby zrobić mi dzidziusia!

— Przecież jest jeszcze Richard — mówi, unikając mojego wzroku. Richard jest jej idolem.

— Niekoniecznie! Kiedy urodziła się Dotty, była żona wysłała go na sterylizację.

— Och, szkoda. Ciekawe, czy można to odwrócić... Życie rodzinne jest dla niej bardzo ważne. Zainwestowała w nie dużą część swojego życia. Byłaby najszczęśliwsza, gdybym dokonała takich samych wyborów jak ona. Prawda jednak jest taka, że Winnie ma gówniane życie — żaden poradnik psychologiczny nie przekona jej, że jest inaczej, w głębi duszy zawsze pozostanie przekonana, że tak jest — ale nie chce myśleć, że istnieją inne drogi do szczęścia. Winnie ma czterdzieści jeden lat, a od dwudziestu lat jest żoną nieudacznika o imieniu Paul. Paulowi udało się spłodzić troje dzieci, ale od prawie dziesięciu lat nie zdołał zrobić nic innego. Kiedyś był kierowcą taksówki, ale kiedy zapadł na cukrzycę, Biuro Transportu Publicznego odebrało mu licencję. Teraz opiekuje się domem i ogląda telewizję. Nadaje się tylko do tego. Zresztą nawet w wypełnianiu domowych obowiązków nie jest specjalistą.

Winnie zaczęła pracować w taksówce niedługo po tym, jak Paul odszedł z zawodu. Poznałam ją w KPM Knowledge School*, była moją partnerką w nauce, razem uczyliśmy się tras z Blue Book**, testowałyśmy się wzajemnie.

* KPM Knowledge School — nazwa renomowanej szkoły dla kandydatów na kierowców londyńskich taksówek.

** Blue Book — zbiór kilkuset podstawowych tras w Londynie, jakie kandydaci na taksówkarzy muszą znać na pamięć.

Obydwie byłyśmy dobre. Dostałam licencję po dwóch i pół roku, a ona po trzech. Średnio kurs trwa od trzech i pół do czterech lat. Wbrew temu, co mówią idioci tacy jak Steve Ambly, nie dostałyśmy licencji dzięki tyłkom. Świat jest pełen kierowców — zazwyczaj starych ramoli, ale zdarzają się też młodzi — którzy nie potrafią znieść myśli, że kobiety siadają za kierownicą

taksówki. Uważam, że musimy starać się o wiele bardziej niż oni, by uzyskać licencję. W końcu, ilu mężczyzn musi wytrzymać obelgi, a potem wracać do kuchni i rodzić dzieci, jednocześnie jeżdżąc na skuterach podczas nauki tras?

Spotykam się z Winnie w „The Crocodile Cafe” w Pimlico. Ona też jeździ w nocy, tak samo jak ja. Kładzie Sandrę, Tommy'ego i Lindy do łóżek, wsiada do taksówki i rusza w drogę. Jeździ całą noc, potem wraca w samą porę, by przygotować śniadanie dzieciakom i odwieźć je do szkoły. Idzie do łóżka i śpi do popołudnia. Walczy o każdego pensa — nieźle zarabia, ale Paul lubi wydawać pieniądze, a sam nic nie przynosi do domu. Poza tym dzieci szybko rosną... Winnie mówi, że jest szczęśliwa z Paulem, że się kochają. Myślę jednak, że łatwo jest udawać miłość do kogoś, kogo widzi się codziennie tylko przez chwilę. Mijają się rano w drodze do łazienki i rozmawiają z dziećmi przy podwieczorku, ale potem ona idzie do pracy, a on do łóżka. Nie pytam Winnie o jej życie seksualne, bo podejrzewam, że nie ma go wcale.

— Wyglądasz dzisiaj bardzo elegancko — mówi, widząc, że nie mam ochoty kontynuować śliskiego tematu sterylizacji Richarda. — Masz zamiar jeździć w tej kiece?

— Nie, dzisiaj nie wyjeżdżam.

Pod kurtką mam czarną sukienkę z głębokim dekoltem — krótką, obcisłą, z wiszącymi paskami. Noszę też srebrny łańcuszek, który należał do mojej matki. Nałożyłam buty na wysokich obcasach — moje nowe buty, które nazywam „przeleć mnie”. Muszę zdejmować je, kiedy prowadzę samochód.

— Nie uwierzysz — mówię do Winnie — ale idę z pasażerem na kolację do „Club Gascon”.

— Dobry Boże, chyba nie masz zamiaru zaczynać nowego romansu?

Winnie jest jedyną osobą która wie o moim życiu w kształcie gwiazdy pięcioramiennej. Jest moją przyjaciółką umie dochować tajemnicy, a poza tym musiałam się komuś wygadać. Prawdę mówiąc, fascynuje ją moja gra — zawsze pyta o najświeższe ploteczki, każe mi opowiadać wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Uważa, że jestem wyrzutkiem społecznym, który nie potrafi stawić czoła rzeczom, które są najważniejsze w życiu, ale uwielbia moje opowieści. Nazywam to czerpaniem przyjemności z drugiej ręki.

— Nie ma mowy! Doba ma za mało godzin. Nie, ten facet ma jeden z moich telefonów. Powiedział, że odda mi go tylko pod warunkiem, że zjem z

nim kolację. — Winnie uśmiecha się znacząco. Denerwuje mnie jej mina. — Przestań. Gość jest niski, krępy i nieźle mnie wkurwia.

— Dlaczego więc tak się wystroiłaś? — Mierzy mnie wzrokiem.

Grozę jej palcem.

— Pozwalasz, żeby wyobraźnia prowadziła cię na manowce, Win. Sama byś chętnie poszła z kimś na randkę, co?

Winnie unosi dłoń i wymachuje nią przede mną pokazując obrączkę.

— Dobra próba, Kath, ale suknia mówi sama za siebie.

— Tak, tak, Winnie. Wiem. Ale posłuchaj, ubrałam się tak tylko dlatego, że idę jeszcze gdzieś po kolacji.

— Czyli gdzie?

— Nieważne. — To żaden sekret, ale niech spróbuje zgadnąć. Zdrowa dawka niepewności to idealna zemsta za insynuacje.

Stef wrócił z Hiszpanii. Będzie miał dla mnie mnóstwo prezentów i drobiazgów. Nie mogę się doczekać. Tak bardzo za nim tęskniłam przez te trzy tygodnie, kiedy go nie było. Nie wiedziałam, że jest dla mnie taki ważny. Dzisiaj w nocy pokażę mu, jak wiele dla mnie znaczy...

Big Kev smaży coś, co śmierdzi jak zdechły pies. Boję się, że sukienka przesiąknie mi tym odorem. Sięgam po kluczyki i portfel i kładę dwa funty na stoliku.

— Muszę już iść, Win — mówię. — „Club Gascon” nie może czekać. Jedź ostrożnie.

— Och, Kathryn, prawie zapomniałam... — rzuca i już wiem, co mnie czeka. Jedna z mądrości Winnie, jej sentencja na dzisiaj. Myśli przez chwilę, zacierając palce. Wreszcie jest gotowa, by oznajmić: — Gdyby życie było narzutą na kanapę, moje byłoby zgrzebną kapą, a twoje kolorowym patchworkiem.

— Dlaczego, Win?

— Moje jest zgrzebną kapą, bo jest pomięte i zużyte, ale niezawodne.

— Dlaczego więc moje jest patchworkiem?

— Cóż, twoje życie jest zmyślnie pozszywane i przedziwnie skomponowane. Każdy kawałek materiału ma własny, niepowtarzalny wzór, który pozornie nijak nie łączy się z resztą.

— Pozornie?

Uśmiecha się i składa ręce na piersi.

— Tak. Pozornie. Bo za każdym z tych pojedynczych kawałków kryje się misternie ułożony plan. Logiczne, nie?

Wysiadając z taksówki w West Smithfield, niedaleko starej hali, mieszczącej targ mięsny, staję na obluzowanej płytce chodnika, która chwieje się i zapada. Tracę równowagę i wykręcam sobie stopę. Skręcam kostkę. Czuję, jak wysoki obcas odrywa się od mojego nowego buta. Leje deszcz, a ja stoję w kałuży, balansując na jednej nodze i opierając się lewą ręką o słup latarni. Prawą sprawdzam zniszczenia. Obcas wyłamał się prawie całkowicie. Wisi tylko na paru srebrzystych nitczkach kleju. Wzdychając, odrywam go do końca i chowam do torebki. Te buty kosztowały mnie sto trzydzieści funtów! Kuśtykam do „Club Gascon”, zataczając się jak pijana.

„Club Gascon” jest elegancki, ale nie wyzywający. Niepodobny do tych ogromnych, krzykliwych i głośnych bud, w których upycha się gości jak bydło i serwuje bezładną mieszankę różnych gatunków potraw, a potem, dokładnie dwie godziny później, wykopuje się ich za drzwi. Ten lokal ma tylko jedną salę — przestrzenną ale nie na wyrost. Dominuje głęboki fiolet, ciemne drewno i delikatny alabaster. Wszystko jest dyskretne i subtelne — żadnego kiczu ani przepychu. Restauracja jest autentycznie francuska — nie udaje francuskiego stylu. To miejsce ma prawdziwy charakter. Podziwiam gust Oczka, jeśli chodzi o dzisiejszy wybór.

Szarmancki, opalony kelner zagaduje mnie z fantastycznym francuskim akcentem i pomaga zdjąć kurtkę. Potem prowadzi mnie do stolika w rogu, gdzie już siedzi Oczko. Ten wstaje, żeby się przywitać, widzi mój but i udaje, że nic nie zauważył.

— Katerina — mówi z uśmiechem i pochyla się, żeby mnie pocałować. Nie nadstawiam jednak policzka. Zamiast tego wyciągam rękę. Niepoczyszony, kontynuuje swoją grę. — Jaki piękny łańcuszek — próbuje nawiązać rozmowę.

— Dzięki — Sama słyszę rezerwę w swoim głosie. Siadamy. Podchodzi kelner z butelką szampana. Bollinger. Tego już za wiele. Domyślałam się, że facet chce mnie zaciągnąć do łóżka, ale nie wiedziałam, że jest aż tak zdesperowany.

— Dla mnie tylko jeden kieliszek. Prowadzę.

Widzę cień rozczarowania na jego twarzy. Próbuje to ukryć. Kelner napęnia kieliszki i przez chwilę jesteśmy zahipnotyzowani migającym złotym płynem i cichym sykiem ulatujących bąbelków. Oczko unosi kieliszek w moją stronę, żeby się stuknąć. Spełniam jego oczekiwania.

— Jak się czuje Henry? — pytam.

Wygląda tak, jakby nie zrozumiał. Potem sobie przypomina.

— Ach, on. Ma się nieźle. Oczywiście, nadal jest przygnębiony, ale ogólnie ma się nieźle. Wyjdzie z tego.

— To dobrze. — Co ja tu robię? Dlaczego się na to zgodziłam? Nawet Oczko wygląda tak, jakby nie był pewien, co robić. Zdaje się, że jest trochę skrepowany, i wciąż bawi się spinkami do mankietów.

Jemy małe kaczki serca nabite na patyczki. To tak jak jedzenie ekskluzywnych parówek na wykałaczkach. Do człowieka, którego w myśli nazywam Oczkiem, zwracam się per „panie Summer”, chociaż nalega, żebym mówiła do niego Craig. Odzyskał mowę i bez wytchnienia strzela we mnie pytaniami, sam niewiele zdradzając o sobie. Jego zachowanie trochę mnie kępuje.

— No więc, jak to się stało, że zostałam kierowcą taksówki? Nigdy nie spotkałam tak młodej kobiety taksówkarza jak ty. Czy to nie dosyć dziwny wybór?

— Dostałam taksówkę w spadku. Moja matka zmarła, kiedy miałam piętnaście lat. Zamieszkałam u sąsiadki. Maeve, która była kierowcą. Codziennie jeździła z Saffron Walden do Londynu i woziła tam klientów do wieczora.

— A twój ojciec?

— Maeve nauczyła mnie jeździć, kiedy trochę podrosłam. Oszczędziłam dosyć pieniędzy na używanego, zniszczonego forda fiestę. Kiedy skończyłam szkołę, przeprowadziłam się do Londynu i przez jakiś czas odwalalam głównianą robotę w biurach. Wypełniałam tabele, pisałam listy i parzyłam kawę dla różnych kretynów. Bardzo mi zależało na tym, żeby nie pracować dla innych i zostać swoim własnym szefem. Często rozmawiałam z Maeve o zawodzie taksówkarza. Miała do niego dziwny stosunek: sama uwielbiała tę pracę, ale dla mnie chciała czegoś innego. Chciała, żebym poszła na uniwersytet i została nauczycielką czy kimś w tym rodzaju. Mawiała, że jeżdżenie taksówką to żadna robota. Potem, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata, Maeve nagle zmarła. Dostała ataku serca pod prysznicem...

Od dawna nie mówiłam nikomu o Maeve. Wspomnienia o niej wywołują u mnie silne emocje. Prawie chce mi się płakać. Pamiętam, jaka była niepodobna do siebie, gdy leżała w trumnie — tak nieprawdopodobnie spokojna. Za życia rozpierała ją energia. Nie mogła wysiedzieć przez chwilę w jednym miejscu. Zawsze mówiła, że ma dość siedzenia w taksówce. Aż tu nagle leżała w swojej najlepszej bluzce, z rękami złożonymi na piersi.

Ułożyli jej usta w delikatny uśmiech, który nadawał twarzy sztuczną łagodność. Miała dziwnie świecąca skórę, jakby owinęli ją folią. Na pewno tak nie wyglądała, kiedy ją znaleźli z rozrzuconymi na boki rękami, na podłodze w łazience. Spowijała ją różowa kotara, na wpół zerwana z szyny, woda nadal leciała z prysznicza.

— Zostawiła mi taksówkę, co w znacznym stopniu wpłynęło na moją decyzję. Poszłam do Biura Transportu Publicznego i zapisałam się do Knowledge. Nauka zajęła mi dwa i pół roku. Jest równie trudna jak studia na uniwersytecie. Oddałam taksówkę do naprawy i przerejestrowałam na swoje nazwisko. No, i tak to się stało. Jeżdżę już prawie od trzech lat.

Oczko podnosi ostatnie kacze serce do ust i żuje.

— Jeśli studia w Knowledge są takie wymagające, to skąd się biorą wszyscy tępi skurwiele za kierownicami taksówek?

Co za nuda. Ludzie bardzo dziwnie traktują zawód taksówkarza. Zaraz zapyta mnie, czy myślę, że on też mógłby spróbować.

— Słuchaj, koleś, skurwiele zdarzają się w każdym zawodzie. Niecałe dwadzieścia procent kandydatów, którzy zgłaszają się do Knowledge, dostaje licencję. Trzeba nauczyć się na pamięć wszystkiego, co znajduje się w promieniu sześciu mil od Charing Cross. W Blue Book jest ponad czterysta podstawowych tras. Do tego dochodzą miejsca turystyczne i inne obiekty — tysiące miejsc. Może to być cokolwiek: od burdeli do kościołów. No i drogi podmiejskie... W Biurze mogą cię zapytać o najdziwniejsze adresy, a ty musisz je znać. Egzaminatorzy siedzą w swoich zapyziałych gabinecikach wzdłuż długiego korytarza. „Korytarza strachu”, jak nazywają go taksówkarze. Zresztą mają powód, żeby tak na niego mówić.

— Myślisz, że ja też mógłbym spróbować?

Czy on naprawdę uważa, że jest pierwszą osobą, która zadaje mi to pytanie?

— Jeśli chcesz wdepnąć na trzy do pięciu lat do piekła, to tak. Jeśli chcesz, żeby mapa Londynu śniła ci się nocami, jeśli chcesz budzić się ze strachem przed kolejną wizytą w Biurze Transportu, wiedząc, że nie możesz sobie przypomnieć, czy droga A404 prowadzi z Paddington do Wembley albo czy Whetstone High Road jest ulicą jednokierunkową, to tak, możesz zapisać się do Knowledge. To obsesja, Craig. Musi nią być, bo inaczej nigdy nie zdasz egzaminu.

— Nieźle. I ty to wszystko pamiętasz?

— Nie, oczywiście, że nie. Pamięta się tylko to, co trzeba wiedzieć. Reszta to śmietnik.

Oczko unosi brew.

— A czy cały ten śmietnik pozwala ci na prywatne życie, Katerina?

— Pewnie. Mam dość czasu na pięć żyć.

Cmoka z wrażenia, a ja parskam śmiechem. Kelner przynosi następne danie.

„Grillowane fois gras z winogronami na ceramicznym półmisku”. Tak opisano tę potrawę w menu. Rzeczywistość okazuje się zgodna z obietnicą. Fois gras na kawałku dachówki.

Jemy casserole z borowików, a ja zaczynam wyrabiać sobie opinię o Craigu Oczku Summerze. Widać, że ma kasę — mieszkanie w Chelsea Harbour, fakt, że kelnerzy w tej drogiej restauracji znają go z imienia, garnitur, który nosi (Gucci, jeśli się nie mylę), duży złoty sygnet na małym palcu lewej ręki, rolex pod mankietem...

Facet z takimi pieniędzmi — bez względu na fakt, że nie jest typem modela — może mieć każdą kobietę, jakiej zapragnie. Dlaczego więc wziął się, żeby poderwać mnie — kierowcę taksówki, na miłość boską, która nawet nie jest nim zainteresowana?

— Jesteś bardzo znudzonym człowiekiem, prawda, Craig? — mówię, widząc jednocześnie, że znów napelił mój kieliszek.

— Masz dość tych wszystkich ładniutkich dziewczyn z Surrey, tych utalentowanych specjalistek od PR, które znają się na winie i płynnie mówią po francusku. Nie przejąłeś się, kiedy żona dowiedziała się o twojej kochance. Nie przejąłeś się, bo obydwie śmiertelnie cię nudziły. — Zaciśnął usta. Iskierka w oku na chwilę zmieniła się w błysk. — Spotykasz kogoś takiego jak ja i myślisz: „Ta jest inna. Jest trochę nieokrzesa, samotna i mogłaby podbić ci oko, gdyby nadepnąć jej na odcisk”. To ci się spodobało. Rozbawiło cię. Dlatego tutaj jesteśmy, prawda? Dlatego zatrzymałeś mój telefon, żeby zażądać okupu.

Mam go. Spogląda na grzyby rozrzucone na talerzu i nic nie mówi przez parę sekund. Potem unosi głowę i mówi:

— Jesteśmy tutaj dlatego, że twoje oczy mają kolor pierwszych wiosennych dzwonek, dlatego, że masz miękkie, gęste włosy, w które chciałoby się zanurzyć twarz i wdychać ich zapach. Jesteśmy tutaj dlatego, że kiedy tamtej nocy wyszłaś z mojego domu, nie mogłem przestać o tobie myśleć i chciałem znów cię zobaczyć. I dlatego, że kiedy znalazłem twój

telefon na sofie, pomyślałem, że to znak. Pomyślałem, że dano mi szansę spotkania cię jeszcze raz. — Sięga do kieszeni i wyciąga mój telefon. Kładzie go na stole. — Przykro mi, że czujesz się zmuszona do tego spotkania wbrew swojej woli. To nie było moim zamiarem.

W jego oczach widzę smutek i zranione uczucia. Nie chciałam być taka brutalna. Co ja narobiłam? Próbuję obrócić wszystko w żart:

— Słuchaj, Ocz... Craig. Nie miałam nic złego na myśli. Zgrywałam się. To taka gra. Zabawa. Wiesz, prawda?

Wyciąga portfel z kieszeni. Odlicza trzy pięćdziesiątki i kładzie je na stole.

— To powinno wystarczyć, żeby zapłacić rachunek...

— Nie potrafisz przyjąć żartu? — Teraz jestem już naprawdę zaskoczona.

Stoi bez ruchu z wciąż otwartym portfelem. Wytrzymuje moje spojrzenie i wzdycha cicho. Wygląda tak, jakby miał się rozpłakać.

— Ha! Nabrałem cię! — mówi nagle. Mruga do mnie i odsłania nierówne zęby w małym uśmiechu.

— Ty... gnojku.

Ale uśmiecham się razem z nim.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siedzę w taksówce i jadę do Stefa. Jestem w dobrym nastroju. Wystukuję na kierownicy melodię i nucę piosenkę z radia. Tammy Wynette zawodzi Stand By Your Man. Klasyczny kawałek Królowej Tragedii, która uśmiecha się przez łzy i płacze, śmiejąc się.

Muszę przyznać, że dobrze się bawiłam na kolacji z Oczkiem. Facet ma styl — zaprosił mnie do dobrej restauracji, uraczył mnie winem i pysznym jedzeniem, skończył zabawę w idealnym momencie, zanim zdenerwowałam się na dobre. Niewiele powiedział o sobie. Nie mam pojęcia, z czego żyje, czy ma dzieci, czym się interesuje. Nic nie wiem. Przez cały czas rozmawialiśmy o mnie. Zadawał mi pytania, a ja odpowiadałam. Kiedy ja o coś zapytałam, odwracał kota ogonem i zadawał mi to samo pytanie. Tak, jest inteligentny, a to prawdziwa rzadkość. Okazał się też dżentelmenem — podał mi kurtkę, podał mi ramię na ulicy, żebym mogła zachować równowagę mimo złamanego obcasa — i nie robił z tego wielkiej sprawy, tak jak większość mężczyzn. Do tego nie próbował posunąć się dalej — nie prosił, żebym poszła do niego, i nie próbował wciskać mi języka do gardła na ulicy. Zawsze spodziewam się, że mężczyźni, którzy stawiają kobiecie kolację, oczekują czegoś w zamian. Ale on był inny. Domyślam się, że kolacja ze mną mogła sprawić mu przyjemność. Nawet nie nalegał, by znów się ze mną spotkać. I dobrze.

Kiedy mijam Liverpool Street Station, deszcz już nie pada, ale niebo nadal jest zasłonięte gęstymi chmurami, przez które niewiele można dostrzec. Nie widać gwiazd ani księżyca. Powietrze jest jakby zgniłe, wszystko zdaje się bardzo bliskie, wywołując klaustrofobię. To tak jakby ktoś przykrył Londyn plastikowym pudełkiem i zamknął pokrywkę. Skręcam w Brick Lane, gdzie mieszka Stef. Spitalfields, gdzie City styka się z East Endem, tyle że teraz nazywają tę dzielnicę Banglatown, żeby uhonorować tutejszą liczną społeczność pochodzenia bangladeskie-go. Wywieszono transparenty na ulicach, żeby uczcić zmianę nazwy, a potem, wiosną 1999 jakiś faszysta podłożył tu bombę. Mieszkanie Stefa znajduje się na drugim końcu ulicy, na której wybuchła bomba. Mieszkańcy nawet nie słyszeli eksplozji, ale i tak ewakuowano ich na trzydzieści sześć godzin. Kiedy policja przyjechała, żeby ich wyprosić z domu, kumpel Stefa — Jimmy — bał się, że znajdą wszystkie odtwarzacze wideo, które schował w swojej sypialni, i aresztują go, ale policjanci mieli większe zmartwienia.

Zjeżdżam na pobocze przed domem Stefa i znajduję miejsce na parkingu. Nie lubię zostawiać tutaj taksówki. Może i ta okolica stała się modna, kiedy popularni młodzi artyści i filmowcy zaczęli zjeżdżać tu śladami Gilberta i George'a* i wprowadzili się do ogromnych starych domów z okiennicami, stojących przy brukowanych uliczkach — Fournier Street czy Fashion Street — ale tutaj, na Brick Lane, wciąż jest się na linii frontu.

* Gilbert i George — para angielskich artystów należących do światowej czołówki sztuki nowoczesnej.

Dzielnica jest pełna wariatów krzyczących w nocy, prostytutek stojących na rogach ulic, podejrzanych typków wychodzących z barów curry, żeby bić się w rynsztokach. Zeszłego lata ktoś włamał się do mieszkania Stefa — dwaj goście, którzy doczołgali się po dachach wzdłuż całej ulicy, wyważyli łomem świetlik w dachu i wśliznęli się do środka. Na razie nikt nie dobierał się do mojej taksówki, kiedy ją tutaj zostawiałam, ale to tylko kwestia czasu.

Dwa pryśnięcia odświeżaczem oddechu i już stoję na chodniku, zamykając drzwi taksówki, wdychając ciężki zapach pot pourri z balti, masali, kormy i dansaka*, który zawsze wisi w powietrzu. Jakiś kelner wychodzi z jednej z knajp, żeby mnie namówić na kolację.

* Balti, masala, korma, dansak — nazwy dań typowych dla kuchni hinduskiej i bangladeskiej.

Trzyma menu w ręce, ale ruchem dłoni każe mu odejść i idę do drzwi z numerem 134A, prowadzących do mieszkania nad „Le Taj” — fioletowo-żółcistym, modnym barem curry. Naciskam dzwonek.

— Halo? — słyszę głos Stefa w domofonie.

— To ja.

— K! Kochanie...

Słyszę sygnał, otwieram drzwi i wchodzę po schodach.

Znów jestem w jego ramionach, opieramy się o ścianę i całujemy. Stef ma otwarte oczy podczas pocałunków. Wdycham jego zapach, który tak bardzo lubię — zapach jego skóry, karku, włosów. Trudno go opisać — przypomina zapach świeżo otwartej buteleczki atramentu. Tęskniłam za nim. Unoszę dłoń, żeby zmierzić jego gęstą blond czuprynę, i odsuwamy się od siebie, kiedy mnie powstrzymuje. Nie lubi, kiedy psuję mu fryzurę.

— K, wyglądasz...

— Wiem. Powinieneś zobaczyć, co mam pod spodem. — Biorę go za rękę, żeby poprowadzić go na drugie piętro, do sypialni, ale wyrывa się.

— No, ładnie. Zjawiasz się o... która jest...? dziesiątej czterdzieści pięć, kiedy kolacja jest już prawie zrujnowana, i od razu chcesz mnie zaciągnąć do wyrka?

O Boże. Ugotował kolację. Dopiero teraz czuję ten zapach, dobiegający z kuchni. Pachnie jak... pieczony kurczak. Jezu... Stef jest dumny, zadowolony z siebie. To moja wina. W tej chwili żałuję, że opieprzyłam go przed wyjazdem, że nie gotuje dla mnie.

— Kochanie, minęły całe trzy tygodnie. Trzy tygodnie bez seksu. Już zaczynałam chodzić na rzesach. Robiłam... robiłam różne nieprzyzwoite rzeczy.

— Założę się, że to prawda. — Dołki w jego policzkach robią się jeszcze głębsze. Zdmuchuje włosy, które opadły mu na oczy. — Ale przez parę godzin stałem jak niewolnik przy rozgrzanym piecu. Chodź. — Idzie do kuchni, oczekując, że pójdę za nim. Naprawdę nie sędzę, bym mogła przełknąć chociaż kęs.

Na korytarzu stoją dziesiątki kartonów, ułożonych w piramidę. Są wielkości pudełek od butów, wszystkie identyczne.

— Co to? — pytam.

— No, wiesz. Jimmy i Eddie znów coś wymyślili. Nie mam nic wspólnego z tymi pudełkami — krzyczy Stef z kuchni.

— Tak, ale co jest w środku? — Patrzę podejrzliwie na stertę.

— Furbies. Te interaktywne pluszowe zabawki. Można nauczyć je mówić i inne takie bajery. Stary zapas. Trzysta sztuk.

Stary zapas. Myśli, że w to uwierzę? Nic jednak nie mówię. To nie mój interes. O ile Stef nie jest w to zamieszany.

— Drinka? — Podaje mi kieliszek czerwonego wina, kiedy wchodzę do kuchni. — To znaczy, jeśli jeszcze nie wypiął za dużo.

— Dlaczego myślisz, że coś piłam?

Patrzy na mnie znacząco. To jedno z jego „wszystkowiedzących” spojrzeń, ale w tym wykonaniu nie jest niemiłe. Stef w ogóle jest niewiarygodnie sympatyczny z tym swoim stylem chłopca ze szkoły publicznej. Sympatyczne jest nawet to, jak mówi z udawanym „ulicznym” akcentem. Dziwne, ale sympatyczne. Jimmy robi to samo, ale u niego to nie wygląda atrakcyjnie. Ci dwaj mają obsesję na punkcie gangsterskich klimatów. Oglądali zbyt dużo filmów Martina Scorsese w wieku, kiedy takie rzeczy zostawiają trwałe ślady w chłopięcej psychice. Eddie natomiast nie musi

udawać akcentu. Jest oryginalny, a dzięki temu bardziej wyrafinowany. Martwię się, że Eddie ma za silny wpływ na Stefa.

Siadam przy chwiejnym stole, a Stef nakłada fartuch jak prawdziwa mała hausfrau, zalewa groszek wrzątkiem i wstawia garnek na gaz. Potem siada przy mnie.

— Jak było w Hiszpanii? — pytam. — Fajna opalenizna.

— No, super, nie? — Pokazuje mi ciemnobrązowe ramię pokryte złocistymi włoskami. — Smakuje ci wino?

Pociągam łyk.

— Może być.

— Tylko tyle?

Próbuję jeszcze raz. O co mu chodzi? Nie znam się na winach.

— Dobrze. Owocowe.

Uśmiecha się i podsuwa butelkę w moją stronę. Zdaje się, że chce, żebym przeczytała napis na naklejce, więc czytam. „Jose Maria Marquez, 1996, Rioja”.

— Ile byś za nie dała? Zaczyna mnie męczyć ta zabawa.

— Och, Stef. Nie wiem. Sześć funtów? Siedem? Jego uśmiech staje się coraz szerszy.

— Doskonale — mówi. — To wino kosztuje pięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć na lotniskach i w portach. Sześć dziewięćdziesiąt dziewięć w głębi kraju.

— I co z tego?

Stef podsuwa mi inną otwartą butelkę, bez naklejki. Sięga po drugi kieliszek i nalewa mi trochę.

— Teraz spróbuj tego.

Próbuję drugiego wina. Nie czuję różnicy.

— Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że spędziłeś trzy tygodnie na szkoleniu dla kiperów.

Stef zaczyna się niecierpliwić.

— No, i co myślisz o tym?

— Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Moim zdaniem smakuje tak samo.

— Wyśmienicie! — mówi, wyraźnie zadowolony. — Szacunek. To jest zwykłe hiszpańskie wino stołowe. Cena detaliczna dwa funty pięćdziesiąt w sklepach, półtora na lotniskach i w portach.

— Miło mi, Steven, że tak cię cieszy fakt, że nie umiem odróżnić dobrego wina od kiepskiego. — Specjalnie nazywam go Steven, żeby go rozzłościć. To jego prawdziwe imię. Dwa lata temu ni stąd, ni zowąd Steven Moore stał się Stefem Muchowskim. Myślę, że po prostu potrzebował romantycznego przydomku. Nie wiedziałam, że używa fałszywego nazwiska, dopóki nie ujrzałam prawdziwego w paszporcie, kiedy pakował się przed wyjazdem do Hiszpanii. Wiem, że to kretynstwo, ale i tak jest słodki. Pod maską zgrywusa kryje się czaruś.

— Nie, K. To nieprawda. Jesteś świetna. — Stawia obydwie butelki koło siebie. — To jest to samo wino.

— Ale przecież powiedziałaś, że...

— Wiem, co powiedziałem. Prawda jest taka, że Jose Maria Marquez Rioja rocznik 1996 jest warte sześć, siedem funtów i właśnie tyle zapłacą ludzie za to hiszpańskie wino stołowe warte maksymalnie dwa funty pięćdziesiąt, jeśli będzie miało etykietkę markeza.

— Stef, czy masz na myśli, że...

— Cała tajemnica polega na naklejce. W ten sposób ludzie oceniają wino. Po naklejce. Nie mają pojęcia, czy wino w butelce jest dobre czy nie. — Stef jest coraz bardziej podniecony. Groszek już się gotuje, ale on nic nie zauważył. — Wiesz, że co najmniej jedna czwarta win, które kupujemy w sklepach, jest lekko zwietrzała? Słyszałaś o tym?

— Nie.

— Ludzie nie wiedzą, jakiego smaku oczekiwać. Nic nie wiedzą o winach, dlatego i tak je piją. Wierzą etykietce.

Teraz rozumiem, po co była ta wycieczka do Hiszpanii, dlaczego musiał zdecydować się tak szybko. Uważałam, że to dziwne, że nigdy przedtem nie wspominał o swoim „najlepszym przyjacielu” z Madrytu.

— Na jaką skalę jest to oszustwo, Stef? W co ty się wpackowałeś?

Siedzę w kuchni Stefa i próbuję jeść kurczaka. Nałożył mi ogromną porcję — pałkę i kawałek piersi. Dał mi siedem pieczonych ziemniaków. Siedem! Nałożył mi górę groszku, tak dużą, że prawie wysypuje się z talerza. Połał wszystko wielką ilością tłustego sosu. Opowiada mi, że sekret tkwi w maśle estragonowo-czosnkowym, którym natarł kurczaka przed włożeniem go do piekarnika.

Uśmiecham się z wysiłkiem, próbując odpędzić myśli o tym, co już wcześniej zjadłam: o kaczych sercach, fois gras (na ceramicznym półmisku), o casserole z prawdziwków, o cappuccino z kaszanki i kremu z homarów,

małżach w śmietanie, jeżynach i porzeczkach w szampańskiej galaretkie. Porcje były niewielkie, ale wypełniły mój żołądek po brzegi. Odkrawam cieniutki plasterek kurczaka i zmuszam się, by włożyć go do ust. Nie chodzi tylko o to, że muszę wepchnąć w siebie jeszcze więcej jedzenia, ale też o to, że muszę zmierzyć się z całą nową gamą smaków. Stef znów dolewa mi taniego hiszpańskiego wina, które udaje Rioja Jose Maria Marqueza rocznik 1996, i chwali się, że jest głównym architektem tego nielegalnego przedsięwzięcia. To jego „dziecko”, to on jest łącznikiem między facetem od etykietek, kierowcą ciężarówki, dostawcą taniego wina i całą resztą. Uważa, że sam nic nie ryzykuje — jego zgraja zwariowanych Hiszpanów to mięso armatnie rzucone na front, podczas gdy on żyje sobie wygodnie w mieszkaniu na Brick Lane z pieczonym kurczakiem, trzystoma podejrzanymi maskotkami i dziewczyną która prowadzi taksówkę — dziewczyną pięć lat starszą od niego, której niegdyś piękna figura wkrótce zniknie pod fałdami sadła od tłustych sosów i dań nowoczesnej kuchni.

Przez cały czas, kiedy Stef opowiada o swoim przekręcie, patrzę na jego twarz: widzę blask w błękitnych oczach i cienie pod nimi z braku snu — efekt imprez, długich nocy na kokainie, które niepostrzeżenie zmieniały się w dni, a potem znów w wieczory — widzę ładne, jasne rzęsy, które dodają mu uroku niewinnego dziecka. Obserwuję ruch jego delikatnych ust, dołeczki, pojawiające się i znikające w policzkach. Myślę, że to niemożliwe, bym siedziała tak beczynn timer i patrzyła, jak ten magiczny chłopiec marnuje sobie życie. Bo Stef jest magiczny. Ma w sobie coś wyjątkowego. Jak mam to opisać? Pewnie jest dobry w łóżku, ale to oczywiste. Ma zdumiewające dłonie — kiedy mnie dotyka, jego pieścizoty są niezwykle. Umie też słuchać — pamięta wszystko, co mu mówię, i nie ocenia moich sądów. Instynktownie wyczuwa, kiedy coś jest nie tak, jak powinno. Tak jak teraz.

— K, co z tobą? Prawie nic nie jesz.

Próbuję wmusić w siebie jeszcze jedną porcję ziemniaków. Pieczona martwa natura nie zmieniła objętości — tylko trochę ją przemodelowałam. Zepchnęłam wszystko w jak najmniejszą kupkę.

— Martwię się o ciebie, Stef.

— Martwisz się? Dlaczego?

— Myślę, że pakujesz się w kłopoty. Nie chcę widzieć, jak zamykają cię w więzieniu.

— Super, K. Dzięki. Zostanę w domu jak grzeczny chłopczyk i będę piekł ci kurczaki. — Dołeczki w policzkach znikły. Upuszcza widelec, który spada z brzdękiem na pusty talerz, potem wstaje i wrzuca naczynia do zlewu.

— Stef, zastanów się. Jeśli ktoś nakryje tych Hiszpanów, od razu cię wsypią. Będą chcieli ratować własną skórę. Zresztą, nic dziwnego.

— W takim razie muszę zadbać o to, żeby nikt ich nie nakrył. — Stef sięga po paczkę fajek, leżącą na końcu stołu. — Tylko tyle zjesz po paru godzinach, które spędziłem w kuchni?

— Przepraszam — mówię, odkładając sztucce. — Chyba straciłam apetyt.

Przerywa nam hałaśliwe wejście Jimmy'ego i Eddiego, którzy człapią po schodach, śmiejąc się i bredząc pijackie bzdury. Śmierdzą, piwem, kiedy całują mnie w oba policzki. Przybijają piątkę ze Stefem i rzucają się na resztki kurczaka. Po chwili Eddie ogryza kości i uśmiecha się do mnie półgębkiem, odsłaniając złote zęby, a Jimmy domaga się od Stefa, żeby ten opowiedział mu wszystko o przekręcie z winem. Słuchając, powtarza co chwila:

— Ale z ciebie gość, Stef. Co za gość.

Godzinę później, kiedy wszyscy są już po paru splifach, ktoś otwiera butelkę whisky i na stole pojawiają się karty. Zazwyczaj chętnie gram w pokera, ale nie dzisiaj.

— Sorry, K — mówi Stef, wzruszając ramionami. — Rozumiesz, pierwsza noc po powrocie. Przecież nie mogę zrobić przykrości chłopakom.

— Nie przejmuj się. Idę spać. Na razie.

Szczypie mnie w tyłek, kiedy go mijam, i puszcza do mnie oko. Potem odwraca się do stołu.

— Jesteś fajną laską, K — mówi. Tak, pewnie.

Kolor. Otacza mnie, wciąga mnie, oślepia. Wiruję, próbując wymacać jakiś kształt, ale wokół mnie jest pustka. Chcę znaleźć miejsce, gdzie kolor się kończy, a zaczyna prawdziwy świat, ale kolor nie ma końca — ani początku. Nie mogę oddychać — powietrze jest pełne koloru. Kolor wysysa tlen. Co to jest? Nie jest ciałem stałym, nie jest cieczą ani gazem — jest po prostu kolorem. Kolorem, jakiego nie ma w spektrum, kolorem, którego nie da się opisać.

Czuję, że rzucam się we śnie, moim ciałem wstrząsa spazm rozpacz. Otwieram oczy i wiem, że już nie śnię, ale nadal widzę kolor. Czyha na mnie w ciemności. Gdzie ja, kurwa, jestem?

— K? K, już dobrze. Jesteś bezpieczna. To ja, Stef. Stef.

Światło lampy rozprasza kolor. Widzę pokój Stefa: stary wieszak na kapelusze w kącie, wieża stereo z wielkimi czarnymi głośnikami, biurko i komputer, nie rozpakowany plecak, porzucane slipy, brudne koszule i puste opakowanie po prezerwatywach na podłodze. Stef obejmuje mnie i przyciąga, żebym mogła oprzeć głowę na jego piersi. Złociste włoski łaskoczą mnie w nos. Śmierdzi dymem, ale pod tym zapachem czuję świeży atrament. Jestem spocona, a moje serce wali jak oszalałe.

— Spokojnie, kochanie. Jesteś ze mną. Jest OK. Próbuję odzyskać mowę.

— Znów miałam ten sen, Stef. Ten, o którym ci opowiadałam. O kolorze.

— Wiem. — Głaszcz mnie po głowie swoimi magicznymi palcami.

Leżymy tak razem bardzo długo. Jego obecność działa kojąco i wkrótce moje serce zwalnia. Rozluźniam się.

— Mam dla ciebie prezent — mówi, kiedy znów zaczynam odpływać.

— Prezent?

Wysuwa się spode mnie i pełźnie do plecaka. Rozwiązuje sznurki, sięga do środka, wyciąga pogniecione koszulki i skarpetki, a w końcu plastikową reklamówkę. Podaje mi ją.

Czuję się podniecona jak dziecko, kiedy zaglądam do torby. Co ma dla mnie?

To lalka, plastikowa cyganka, tańcząca flamenco w wirującej czerwono-złotej sukience. Ma kastaniety w ręce i grzebień we włosach.

Zbiera mi się na płacz.

— Pamiętałeś...

— Oczywiście. — Uśmiecha się, a potargane włosy opadają mu na oczy.

Zapomniałam, że kiedyś opowiadałam mu o zagranicznych lalkach, które kolekcjonowałam w dzieciństwie. W pokoju miałam oszkloną szafę, gdzie trzymałam moje zbiory. Francuskie, niemieckie, włoskie, belgijskie, jugosłowiańskie... z całego świata. Uśmiechnięte plastikowe twarze, stroje ludowe. Nie wiem, co się stało z moją kolekcją — czy ojciec je wyrzucił, czy nadal są w moim starym pokoju razem ze wszystkimi innymi zabawkami.

Otwieram przezroczyste pudełko i wyjmuję lalkę. Stoi na małej drewnianej podstawce i nosi czerwone buciki na wysokich obcasach. Zaglądam jej pod sukienkę, jak zawsze, żeby sprawdzić, czy ma majtki. Nosi małe białe figi od bikini.

— Dziękuję. — Odwracam się, żeby go pocałować.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Teraz połóż się i zrelaksuj. Kupiłem w Hiszpanii bardzo dobry olejek migdałowy. Zrobię ci taki masaż, jakiego jeszcze nikt ci nie robił.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piątek rano. Intensywna sesja na siłowni. Zjadłam tak dużo, że nic dziwnego, iż miałam koszmary! O mały włos zaczęłam dzień od wizyty u Jonny'ego. Dopiero kiedy wjechałam do Elephant, zrozumiałam, że to jest ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, więc wróciłam do Balham. To była właściwa decyzja, mimo że na siłowni musiałam kazać jakiemuś trutniowi zejść wreszcie z bieżni — biegał na niej przez całe czterdzieści minut, chociaż naprzeciw niego wisiała tabliczka informująca, że maksymalny czas ćwiczeń na urządzeniach poprawiających pracę układu sercowo-naczyniowego to dwadzieścia minut. Udawał, że nie wie, co to jest układ sercowo-naczyniowy, ale nie dałam się spławić.

W pełnym biegu, kiedy zmniejszyłam kąt nachylenia bieżni do zera, pozwoliłam myślom skupić się na Stefie — jego jedwabistych plecach, jego ramionach szerokich jak wieszak na płaszcze, jego szelmowskiej twarzy. Ten mały sukinsyn obudzi się pewnego dnia w wielkim gównie, z którego nie wyciągnie go chłopięcy urok. Nie chcę wtedy być z nim, chociaż go kocham.

Kocham ich wszystkich. W tym cały problem. Kocham Stefa za jego głód życia i magiczne dłonie, Joela za słodkie usta i wzruszającą bezradność, Amy za jej zwariowaną mieszankę nieokiełznania i potrzeby czułości, Richarda za ujmującą stabilność i brak egoizmu, Jonny'ego za... — cóż, Jonny to chodzące nieszczęście. Chyba dlatego mam szczoteczki do zębów w sześciu różnych łazienkach w Londynie. Dlatego noszę przy sobie pięć telefonów komórkowych, mam worki pod oczami i gigantyczne debety na koncie. Dlatego codziennie budzę się rano w stanie kompletnego rozbicia i nigdy nie wiem, gdzie jestem. Wiem tylko, że na pewno nie jestem w domu.

Wpadam na chwilę do swojego mieszkania, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Nie mogę się skupić w tym miejscu, z porozstawianymi wszędzie kartonami. Bajgle. Prawdziwe bajgle z prawdziwego pieca, kupione w całodobowej piekarni niedaleko domu Stefa. Kupiłam je po drodze, a teraz wsuwam pod grill, potem smaruję serkiem. Sprawdzam wiadomości w telefonach:

*

Różowy telefon — Amy: Kathy, musimy porozmawiać. Co z tobą? Oddzwoń.

*

Niebieski telefon — Joel: Cześć, Kat. Dzisiaj zacząłem nową pracę. Nieźle, ale miałem klientkę z wszami. Roiły się. Kiedy wpadniesz?

*

Żółty telefon — Stef: Miśku, cukiereczku.

Czerwony telefon — Jonny: nic.

*

Zielony telefon — Richard: Cześć, Kitty. Jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać...

Dotty: Kits, przyjdiesz do nas? Pa.

*

Siedzę z Richardem i Dotty pod namiotem cyrku „Zippo” i czekam, aż zacznie się przedstawienie. To pierwszy dzień występów w Finsbury Park, więc dookoła tłoczy się mnóstwo ludzi. Mamy miejsca przy samej arenie — najlepsze. W korytarzu kłown żongluje plastikowymi talerzami na długim kiju. Dotty chce dostać taki talerz na pamiątkę. Zamiast tego dostaje loda w plastikowym kubku.

— Łyzeczkę, tatusiu. Chcę łyżeczkę.

— Znasz magiczne słowo, Dotty? — pyta Richard.

— Abrakadabra — odpowiada Dotty bez wahania. Chichoczymy, a Dotty cieszy się razem z nami. Mała doskonale wie, co robi.

Wkładam ręce do kieszeni. W prawej znajduję kawałek papieru. Wyciągam go, żeby sprawdzić, co to jest. List od mojego ojca.

Tęga Murzynka z trojgiem dzieci próbuje przecisnąć się koło nas. Musimy wstać i wyjść do alejki, żeby ją przepuścić. Przytrzymuję loda Dotty. Richard odwraca się i patrzy mi w oczy. Czuję, jak płoną mi policzki. Dostaję rumieńców, chociaż zazwyczaj się nie rumienię. Uśmiecha się, a ja rumienię się jeszcze bardziej.

— Kits, mogę dostać czapkę?

Dotty ma brązowe oczy — takie jak jej ojciec, ale większe. Ma też jego nos — lekko zadarty na końcu. Ciemne loki musiała odziedziczyć po matce. Właściwie, jej włosy są trochę podobne do moich. Jezu, wszyscy pewnie myślą że to moja córka.

Znów siadamy. Jest bardzo ciasno, nie mieszczą mi się kolana, więc muszę siedzieć bokiem. Dotty wymachuje nogami. Na jej ulubionych lakierkach widzę zaschnięte błoto.

— Siedź grzecznie, Dotty — strofuje ją Richard.

„Siedź grzecznie” — skąd on się urwał? Mała nudzi się, czekając na przedstawienie. Chce oglądać akrobatów, konie i treserów. Ja też.

— Co z tobą? — pyta Richard.

— Nic!

Odsuwa się gwałtownie i zbyt późno zdaje sobie sprawę, że chciał tylko porozmawiać.

— Wiesz, dużo jeździłam. Praca.

— Och. No, tak.

— Kup mi czapkę, tatusiu!

Dzięki Bogu, Dotty jest z nami. Co za stres — potrzebowalibyśmy piły, żeby przeciąć kłępujące nas napięcie. Dotty siedzi pośrodku, więc Richard nie może mi szeptać do ucha. Nie może wracać do spraw, o których rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu. Widać, że tamten temat nadal nie daje mu spokoju. Pociera czoło i ściska skronie ;— jakby bolała go głowa — w miejscu, gdzie włosy w kolorze piasku zaczynają mu się przeredzać.

Sprzedawca firmowych czapeczek „Zippo” i fosforyzujących pałeczek stoi teraz przed nami i nie możemy dłużej go ignorować.

— Mogę...? — pytam Richarda, sięgając do kieszeni po portmonetkę.

Zrezygnowany, macha ręką, a Dotty klaszcze z radości. Płacę sprzedawcy i wkładam prezenty w lepkie, chciwe dłonie małej. Nie pamiętam, bym jako dziecko chodziła z rodzicami do cyrku. Domyślam się, że ojciec nie pochwalał takich rozrywek. Dawały ludziom zbyt wiele radości — nie było w nich czuć zapyziałego, zbutwiałego zapachu szkolnych korytarzy, nie było hymnów ani kazań.

Richard mówi coś do mnie, ale nie dosłyszałam.

— Powiedziałem, że wczoraj dzwoniła do mnie Jemima. Tym razem udaje mu się rozbudzić moją ciekawość. Jemima jest matką Dotty.

— Czego chciała?

— Pytała tylko, co u Dotty. — Richard ma niepewną minę.

— Wcześniej jej to nie obchodziło.

Patrzy na swoją córeczkę, która wymachuje pałeczką i chichocze.

— Nie — mówi. — Rzeczywiście. Nie mogę pozbyć się myśli, że chce nas czymś zaskoczyć.

— Chyba nie ma zamiaru ci jej odebrać, prawda? Potrząsa głową, ale robi to bez przekonania. Kładzie palec na ustach, dając mi do zrozumienia, że powinniśmy uważać na to, co mówimy przy małej. Dotty ma cztery lata, a

Jemima od trzech mieszka w Paryżu z innym facetem. Przez cały ten czas nie widziała córki ani razu. W ogóle nie przejawiała żadnego zainteresowania dzieckiem. Przez ułamek sekundy widzę strach w oczach Richarda, zaciśnięte usta, gwałtowność ruchów, kiedy pociera czoło. Ten strach prawdopodobnie czaił się w nim od dnia, kiedy ich opuściła. Teraz wybija się na powierzchnię. Nagle Richard zdaje się mały, skulony pod płaszczem, przytula córeczkę i garbi się jak zwykle. Jest uosobieniem zmartwień. Wyciągam rękę i głaszczę go po ciepłym policzku. Uśmiecha się do mnie.

Rozlega się głos bębnow, orkiestra zaczyna grać skoczną melodię, kiedy mistrz ceremonii wychodzi na arenę. Nosi czarno-biały strój pierrota — ma nawet srebrną łezkę namalowaną na policzku. Reflektor jak księżyc oświetla twarze widzów, wyluskując je z mroku. Nagle sztywnieję ze strachu. Po drugiej stronie areny widzę znajomą twarz. Jest ledwie widoczna w tłumie, ale wyraźna. To nie może być... Światło rozjaśniło ją tylko na mgnienie oka. Na pewno mi się przywidziało. Czuję się jednak nieswojo, kiedy dziewczyna w błyszczącym, żółtym kostiumie, tańcząc, wybiega na arenę i potrząsa taśmą z powiązanych jedwabnych szalików, wiruje, fika koziołki, a uśmiech ani na chwilę nie znika z jej ust.

Jeszcze jest jasno. Idziemy po trawniku do samochodu, przedzierając się przez ciężki zapach hot dogów. Richard obejmuje mnie, a Dotty popiskuje i zagaduje nas oboje. Najbardziej podobał jej się tresowany pies — nie, linoskoczkowie — nie, kłowni, oblewający się wodą. Próbuję ukryć rozczarowanie faktem, że nie było lwów, słoni ani szympanów. Chyba powinnam się cieszyć, że w cyrkach nie stosuje się już okrutnych praktyk trzymania dzikich zwierząt w klatkach ani faszcerowania ich środkami uspokajającymi, ale egoistycznie uważam, że przydałoby się trochę grozy w przedstawieniu — trzaskania z bicia, błysku ostrych zębów i widoku wielkich paszcz. Dotty postanawia wreszcie, że najlepszy był moment, kiedy jej tato został wybrany spośród publiczności, żeby wziąć udział w skeczu kłownów razem z innymi tatusiami. Jej tatuś był prawdziwą gwiazdą wieczoru. Czyż nie jest nią zawsze?

Richard przytula mnie mocniej, żeby dać dowód swoich uczuć. Odwzajemniam uścisk.

— Masz ochotę na restaurację chińską? — pyta.

— McDonald! Chodźmy do McDonalda! — piszczy Dotty, uśmiechając się wdzięcznie. To dziecko szybko się uczy.

Nagle, Chryste, znów ją widzę! Idzie niedaleko przed nami. Nałożyła swoją cętkowaną kurtkę ze sztucznego futra i džinsy od Paula Smitha. Jeśli odwróci głowę, zobaczy, że spaceruję objęta z obcym facetem i małą dziewczynką, bawiąc się w mamusię i tatusia.

— Kurwa! — Staję w pół kroku.

— Kitty, co się stało?

Mam pustkę w głowie. Moje światy zderzyły się ze sobą.

— Kitty?

Kim jest ta dziewczyna? Z kim Amy idzie pod rękę? Oddalają się, zbliżają się do drzew. Chyba się śmieją. Krótkie włosy i džinsowa kurtka — czy to Cheryl? Nie, nie wygląda jak Cheryl. Cholera, nie powinnam się tak gapić. Jeśli się odwróca...

— Kitty, co ci się stało? — Richard chwyta mnie za ramiona i poważnie patrzy na moją przerażoną twarz. Dotty podskakuje dookoła i rzuca zaklęcia.

Powiedz coś. Cokolwiek.

— Zgubiłam kluczyki do samochodu. Chyba wypadły mi z kieszeni w namiocie.

— Pójdę tam i się rozejrzę. — Richard chce być rycerski. — Ty czekaj tu z Dotty.

— Nie, w porządku, sama pójdę. — Biegiem wracam do cyrku. Nie zauważona.

Taka sytuacja nigdy przedtem się nie zdarzyła. To mi się nie podoba.

Położyliśmy Dotty do łóżka. Teraz piję herbatę w kuchni, przy wspaniałym, starym stole Richarda, podczas gdy on wyciąga naczynia ze zmywarki. Big Mac ciąży mi jak cegła w żołądku. Rozmyślam o Finsbury Park. Nie powinnam tam chodzić już nigdy więcej z Richardem. Ani z Amy.

— Naprawdę obrzydzał mnie ten zapach — mówi Richard, postukując talerzami. — Ten smród słomy i łajna. Wata cukrowa i plastikowe krzesła. Teraz patrzy się na to z innej perspektywy. Kiedyś cyrki były ogromne, linoskoczkowie robili swoje akrobacje pod samym niebem. Tym razem wszystko było jakieś małe, nie sądzisz? Chciałbym móc oglądać to przedstawienie oczami Dotty, doświadczyć tych samych uczuć, których ona doświadczyła. Chciałbym znów być dzieckiem, a ty?

— Boże, nie! — Finsbury Park leży w bardzo niewygodnym miejscu: w połowie drogi między Islington i Crouch End, na pasie ziemi niczyjej między Amy i Richardem.

— Byłaś nieszczęśliwa jako dziecko?

— A kto nie jest? Chyba nie powiesz mi, że żyłeś w nieustannym szczęściu od chwili, kiedy pojawiłeś się na świecie, do dnia, w którym zdmuchnąłeś osiemnaście świeczek.

— Wiesz, co mam na myśli.

Teraz, kiedy o tym myślę, widzę, że w Londynie jest mnóstwo takich skrawków ziemi niczyjej. Mogę natknąć się na Jonny'ego, wychodząc ze Stefem ze stacji London Bridge. Mogę spacerować w niedzielne przedpołudnie z Amy wzdłuż Grand Union Canal, kiedy Stef minie mnie, jadąc rowerem. Zresztą niby dlaczego niebezpieczeństwo miałyby ograniczać się do ich najbliższego sąsiedztwa? Joel może przechadzać się bez celu po Covent Garden, kiedy wychodzi z próby tańca, a w tym samym czasie Amy wpadnie do pobliskiego baru na gin z tonikiem, Richard i Dotty zajrzą do „Neil's Yard Dairy”, żeby kupić ser organiczny, Stef wyjdzie z „Belgo” z brzuchem pełnym belgijskiego piwa i kiełbasek i potrafi pijanego Jonny'ego, który zamachnie się na oślep i upadnie na chodnik.

Słyszę szuranie krzesła na kamiennej posadzce. Richard siada obok i chwytą mnie za rękę.

— Kitty, myślami jesteś daleko stąd. Przez cały dzień tak się zachowujesz.

— Przepraszam. — Próbuję się uśmiechnąć. Jego dłoń jest ciepła. — Podobało mi się. W cyrku.

— Zostaniesz na noc?

Cofam dłoń z jego uścisku i sięgam po kubek. Herbata wystygła.

— Chciałbym, żebyś została.

— Ostatnim razem mówiłeś co innego.

— Nieważne. Chcę, żebyś została. — Ma smutek w oczach. Patrzy za okno z błagalną miną.

— Nie mogę. Muszę dzisiaj pracować. Nie stać mnie na opuszczenie kolejnej nocy.

Puszczą moją dłoń i, wzdychając, wraca do zmywarki.

— Nie gniewaj się na mnie.

— Nie gniewam się, do diabła! — Zatrząskuje drzwi kredensu.

— Nie jestem gotowa na taki związek, Richard. Chciałabym powiedzieć ci, że jestem gotowa, ale to nieprawda. Wiem, że z naszej miłości nic by nie wyszło, gdybym się przeprowadziła do ciebie. Jeszcze za wcześnie... Nie byłabym uczciwa w stosunku do ciebie. Ani do Dotty.

— Hej, popatrz. — Żongluje długą drewnianą łyżką jak pałeczką na paradzie. Po chwili traci koordynację i upuszcza łyżkę. Pochyla się z

poważną miną, żeby ją podnieść. — Nie przejmuj się, Kitty. Nie musimy znów poruszać tego tematu. Rozumiem cię. Nie podoba mi się ta sytuacja, ale wiem, o co ci chodzi. Nie będę cię do niczego zmuszał.

To zwrot o sto osiemdziesiąt stopni od tamtego dnia, kiedy powiedział, że nie chce, żebym zostawała u niego na noc, jeśli nie przeprowadzę się na stałe. Powiedział, że to tak, jakby był głodny, a ktoś karmiłby go okruchami, zamiast dać całe ciastko. Zażartowałam, że od przejedzenia może rozboleć brzuch, ale ten żart go nie rozbawił.

— Posłuchaj, chyba już pójdę.—Wstaję, ale ociągam się, Ta kuchnia jest chyba moim ulubionym miejscem na świecie.

Nagle Richard jest przy mnie i czuję jego gorący oddech na szyi. Leżę na plecach, na moim ulubionym stole, i rozpinam spodnie bojówki, a on wspina się na mnie i wyciąga penisa. To jest jeszcze jedna zaleta Richarda. Ma wielkiego ptaka i wie, jak go używać.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czerwony telefon. Jonny.

— Katy?

— Jonny, gdzie byłeś? Znikłeś na tyle cholernych dni.

— Nie zaczynaj. Boli mnie głowa.

— Słuchaj, teraz prowadzę. Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Tylko znów nie zniknij. — To prawda. Jadę Wood Lane, a z tyłu siedzą dwie nawalone laski z biura BBC.

— Przyjedź tu, Katy. Przyjedź do mnie.

Jest dopiero dziewiąta trzydzieści, a przede mną jest cała noc ciężkiej harówki. Co więcej, nadal czuję zapach Richarda na skórze. Temu facetowi naprawdę brakuje wycucia czasu.

— Katy?

— Nie mogę, Jonny. Niedługo zadzwonię do ciebie, OK? Nie mogę rozmawiać za kierownicą.

— Musisz przyjechać. Proszę. — Co za jękliwy głos. Jak pięciolatek, który chce do mamusi.

Z tyłu taksówki jedna z dziewczyn mówi drugiej, że nie tak trudno spotkać Jeremy'ego Paxmana, tak samo jak Frencha i Saundersa, i że niedługo znudzi jej się wypatrywanie gwiazd w barze „TV Centre”, wtrącając mimochodem, że kiedyś widziała Michaela Caine'a na korytarzu.

— Katy, boli mnie głowa. To jeden z tych ataków. Tych najgorszych.

— Powiedziałam, że zadzwonię do ciebie później, Jonny. Jestem w trasie.

Wyłączam telefon. Jesteśmy teraz na Westway, chyba najmniej lubianej przeze mnie ulicy w całym mieście. Kiedy byłam w Knowledge, śniły mi się koszmary o szarych wstążkach ulic, poskręcanych, bez początku i końca. W centrum tych koszmarów była zawsze Westway. To były moje najgorsze sny, zanim nie zaczęłam śnić o kolorze.

— Powiedziałam mu, że nic z tego — mówi jedna z dziewczyn na tylnym siedzeniu. — Przynajmniej dopóki nadal z nią jest. Za kogo on mnie, do diabła, uważa?

— I co zrobiłaś? — pyta druga.

— Zerznęłam go.

Wybuchają bełkotliwym, mokrym śmiechem. Dziewczyna, która się rznęła, traci panowanie nad sobą i niemal ześlizguje się z fotela na podłogę, przez co obydwie śmieją się jeszcze głośniejsze. Druga ma tusz do powiek

rozmazany na bladym policzku. Nagle przestaje się śmiać, a pod przykrywką radości jej oczy są pełne smutku. Wygląda jak mistrz ceremonii w przebraniu pierrota z cyrku „Zippo”.

— Ale już z nim nie sypiam. Jest skończonym dupkiem, jeśli myśli, że może trzymać wiele srok za ogon.

Widzi, że przyglądam się jej we wstecznym lusterku. Odwracam się, zawstydzona. Przestań podsłuchiwać i zajmij się swoim pokręconym życiem uczuciowym.

Jonny.

Wsiadł do mojej taksówki pewnej wietrznej listopadowej nocy trzy lata temu. Jechałam przez Kings Cross, kiedy ujrzałam ten podłużny, ciemny cień szarpany wiatrem, w rozwianym płaszczu, z twarzą ukrytą pod kołnierzem. Gdy zobaczył pomarańczowe światło taksówki, wyciągnął rękę niczym kij od miotły. Zatrzymałam się, a on poprosił, żebym zawiozła go do Elephant. Było późno, około czwartej nad ranem, albo jeszcze później. Mieszkałam na Pekham, a Elephant było po drodze. Kazałam mu wsiadać.

Nie próbował mnie zagadywać. Tylko siedział i patrzył za okno. To mi pasowało. Rozmyślałam o czymś innym. Do momentu, kiedy zobaczyłam jego twarz oświetloną przez sekundę światłem latarni. Do chwili, gdy zobaczyłam blizny.

Miał je na całej twarzy. Cięcia wzdłuż prawego policzka, bulwiasta blizna pod szeroko otwartym prawym okiem. Ślady po przeszczepach skóry. Jego czarne włosy były długie i rozczochrane, zaczesane do przodu — prawdopodobnie po to, by ukryć największe zniszczenia. Lewa strona była mniej poturbowana.

„Biedny gość” — pomyślałam. „Ciekawe, co mu się stało”.

Pamiętam, jak zauważył, że go obserwuję. Miał wkurzoną minę. Domyśliłam się, że wypadek, czy cokolwiek go spotkało, zdarzył się niedawno. Jeszcze nie przyzwyczyił się do ciekawskich spojrzeń.

Nagle mnie olśniło. Patrzyłam w lusterku na jego cierpiące, zaczerwienione oczy, a po chwili znalazłam się w zupełnie innym miejscu. W szkole, na sali gimnastycznej, otoczona wrzeszczącymi dziewczętami, wciśnięta między kolegów z klasy, walcząc o lepsze miejsce, z którego mogłabym lepiej widzieć chłopców na scenie. Przepychałam się, żeby stanąć jak najbliżej ślicznego wokalisty.

To nie mógł być... To nie on...

Nazywali się The Capones. Było ich czterech, jak Beatlesów. Perkusja, dwie gitary i bas. Wokalista grał też na gitarze solowej — elektryzująco niebieskiej kopii fenderà stratocastera. Był siłą napędową zespołu, prawdziwym talentem. Grali przede wszystkim covery: Planet Earth Duran Duran, Roxanne The Police, Te-enageKicks The Undertones. Ale mieli też kilka własnych numerów. Chocker Later, Maddy, Please, Mrs Sinclair i mój ulubiony: smutną piosenkę miłosną, zatytułowaną Weeping Willow. Nagrali demo na pożyczonym sprzęcie czterościeżkowym i sprzedawali je dzieciakom ze szkoły. Słuchałam go, aż taśma zupełnie się zużyła, potem kupiłam jeszcze jedną kopię.

Chłopcy z szóstej klasy zawsze są gwiazdami w oczach pierwszoklasistek. Mają ciała dorosłych mężczyzn i są podniecająco niedostępni — ale ci byli kimś więcej. Zawsze podczas przerw obiadowych kręcił się wokół nich tłum dziewczyn, które chichotały i rumieniły się, kiedy któryś się do nich uśmiechnął. Zakradałyśmy się do zakazanej dla nas szatni, żeby zostawiać listy w ich szafkach. Czatowałyśmy przy bramkach, kiedy grali w piłkę, życzyłyśmy najbardziej wyrafinowanej śmierci ich dziewczynom. Byli naszymi bohaterami, a największym bohaterem był wokalista.

To on. Jonny Jordan, lider The Capones, chłopak, którego pragnęłam i dla którego wydierałam się piętnaście lat temu, a który nigdy nie wiedział nawet o moim istnieniu. Siedział tu, w mojej taksówce, a jego niegdyś gładka skóra była poharatana i poblizniona prawie nie do poznania. Prawie...

Poczułam, że zbiera mi się na płacz. Niemal straciłam panowanie nad kierownicą ale jakoś się udało. Przejeżdżaliśmy przez most Blackfriars, a Londyn rozpościerał się po obu stronach, migoczący i zaczarowany, rzucał błyszczące refleksy na fale.

— Piękne, prawda? — Z emocji drżał mi głos.

— Co?

— Most. Rzeka. Są chwile, kiedy kocham swoją pracę.

— Nie umywa się do Mostu Brooklyńskiego — słyszę jego głos, bardziej szorstki niż kiedyś. — Manhattan jest fantastyczny w nocy. Serce bije szybciej, kiedy się na niego patrzy.

— Nigdy nie byłam w Nowym Jorku.

— Mieszkałam tam przez jakiś czas.

— Podobało ci się? Prycha półgębkiem.

— Nie powinienem był wracać.

Oczami wyobraźni widzę tylko tamtego chłopca, Jonny'ego, który grał na niebieskiej gitarze. Chciał wszystkiego od świata— mógłby go wchłonąć. Teraz zdaje się, że to świat pochłonał jego — albo przynajmniej odgryzł potężny kęs, wyssał całą słodycz, potem wypluł kości i chrząstki. Jonny oparł się o zagłówek fotela. Zobaczyłam jego szyję, kępki włosów w wycięciu koszulki. Szramy prowadziły przez całą szyję. Boże, czy całe jego ciało tak wygląda?

Jechaliśmy London Road, milcząc, aż mineliśmy jaskrawe, różowe centrum handlowe „Elephant and Castle”.

— Gdzie dokładnie jedziemy? — zapytałam.

— Na Appleton Street.

Wjechałam na Kent Road. Wiatr poprzewracał kosze na śmieci i odpadki latają po całej ulicy, przez co okolica wygląda na jeszcze bardziej zapuszczoną niż zwykle. Nie lubię tego zakątka Londynu: śmierdzi tu nieszczęściem. Skręciłam w Appleton Street — pokraczne bloki komunalne z lat pięćdziesiątych, ciasne klatki schodowe, balkony przez całą długość budynków i zabite dyktą okna.

— To tutaj?

— Tak.

— Gdzie mam się zatrzymać?

— Gdziekolwiek. Tutaj — powiedział niedbale.

Stałam za zniszczoną białą furgonetką. Zgarbiłam się z przygnębienia. Prawdę mówiąc, nie chciałam, żeby wychodził, nie chciałam, żeby znów znikł. Chciałam porozmawiać z nim o tych bliznach, o muzyce, o jego życiu. Chciałam opowiedzieć mu o swoich nie najlepszych doświadczeniach z nastoletnich czasów, o matce... Ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Było w nim coś nieprzeniknione. Jego okaleczona twarz kazała każdemu trzymać się z daleka od jego prywatnego życia. Zbliżyć się do niego to tak, jakby się przytulało papier ścierny. Musiałam znaleźć inny sposób.

— Halo. — Pukał w szybę z pleksi, trzymając banknot dziesięcio- i pięciofuntowy. — Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego tu tkwimy?

— Przepraszam, zamyśliłam się. — Wzięłam od niego piętnaście funtów. Czulałam, że czeka, aż otworzę drzwi, ale ociągałam się. Minęło kolejnych parę sekund.

— W czym problem? Wypuścisz mnie czy nie? Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć — na jego pełne wściekłości oczy i poharataną skórę.

— Zastanawiałam się, czy... — zaczęłam, ale zabrakło mi słów.

— Czy co?

Nad czym właściwie się zastanawiałam?

— Zastanawiałam się, czy mogę ci obciągnąć fiuta.

— Co?

Cholera. Dlaczego to powiedziałam? Odwróciłam się i otworzyłam zamki w drzwiach. Ale on się nie ruszył.

— Jesteś kurwą? Czy to jakiś dziwaczny sposób naganiania klientów?

— Nie jestem kurwą. Po prostu... podobasz mi się. Parsknął gorzko.

— Chyba masz nie po kolei w głowie.

Tego było za wiele, nawet dla mnie. Od upokorzenia paliła mnie twarz.

— Tak, jestem wariatką. Proszę wysiąść. Jonny zamilkł. Czułam, że mi się przygląda.

— Kazałam ci wysiąść!

Usłyszałam, że otwiera drzwi, ale nie odwróciłam się, żeby spojrzeć. Zatrzasnął drzwi. Dźwięk oddalających się kroków na chodniku. Włączyłam silnik.

Pukanie w szybę po lewej stronie. Stał na zewnątrz, pochylony, i patrzył na mnie. Uniósł brwi.

— Mówiłaś poważnie?

— Nie wiem.

— Chcesz wejść na kawę?

— Dobrze.

Kilburn. A raczej Hampstead, jeśli zapytać w agencji nieruchomości. Dziewczyny wysiadają przy wysokiej wiktoriańskiej kamienicy na Dynham Road. W środku jest impreza — trzej goście idą alejką, niosąc torby z „Threshers”^{*}.

^{*} „Threshers” — sieć angielskich sklepów monopolowych.

Dziewczyny nie mają własnej butelki — i tak wypity już za dużo. Sięgając po czerwony telefon, patrzę, jak się zataczają. Kobieta w garniturze stoi na schodach i całuje wszystkich gości. Jeśli się nie mylę, nie wygląda na szczęśliwą widząc dziewczyny.

Odsłuchuję wiadomości z czerwonego telefonu. Jonny dzwonił dwukrotnie — raz, błagając, żebym przyjechała, a drugi raz, mówiąc, żebym spierdalała.

Nie mogę sobie pozwolić na opuszczenie kolejnej nocy w pracy, ale też nie mogę ignorować Jonny'ego. Nie, kiedy jest w takim stanie. Zapuszczam silnik. Może uda mi się złapać jeszcze jednego klienta w drodze do domu.

Jonny jechał motocyklem. To był wielki błąd. Wszyscy inni kierowcy jechali samochodami osobowymi — oczywiście oprócz kierowcy ciężarówki. Byli osłonięci pancerzami, zapuszkowani, a Jonny był odsłonięty, podatny na skaleczenia. Nie znam szczegółów — nigdy mi nie powiedział. Nie jestem pewna, czy pamiętał, nawet gdyby chciał opowiedzieć. Mówi, że ma pustkę w głowie. Wiem, że to się stało na drodze M4, gdzie każdy pędzi z dużą szybkością. Wiem, że w wypadku brało udział kilka pojazdów, a Jonny na motocyklu znalazł się w samym środku. Wiem, że wybuchł pożar.

Jonny był w okropnym stanie. Poparzenia, odłamki szkła w skórze, połamane kości, stłuczenia. Nie odzyskał przytomności, kiedy lekarze zawieźli go do szpitala i skierowali na salę operacyjną a po zabiegu bardzo długo leżał bez czucia. Wszyscy byli przygotowani na najgorsze. Ale stało się coś niezwykłego — Jonny otworzył oczy i przypomniał sobie, jak ma na imię, pamiętał imiona wszystkich, którzy go otaczali, swój wiek i rozmiar buta. Wiedział, ile palców pokazywali mu lekarze, recytował z pamięci modlitwę „Ojcze nasz”. Nadal był Jonnym Jordanem.

Dopiero po powrocie do domu matki, gdzie miał wrócić do zdrowia, ujawniła się bardziej subtelna skaza. Jonny spał całymi dniami, a kiedy się budził, siedział beczynnie przez wiele godzin w swoim zaciemnionym pokoju. Obydwie gitary stały w szafie nietknięte, zamknięte w futerałach. Powód załamania zdawał się oczywisty. Każdy wpadłby w depresję, gdyby ktoś odebrał mu twarz, a dał w zamian połataną maskę. Było jednak coś jeszcze. Jonny wpadał we wściekłość, wykrzykiwał obsceniczne uwagi pod adresem matki i rzucał w nią kulami. Dostawał ataków bólu, tak silnych, że tarzał się wściekle na łóżku, jęcząc i waląc w głowę pięściami. Zaniepokojona pani Jordan szukała pomocy. Jonny poszedł na szczegółowe badania.

Lekarze dali mu paramax — silny koktajl paracetamolu i kodeiny. Zapytali, czy cierpiał na utraty przytomności. Powiedział, że nie, co ich uspokoiło. Skończył w gabinecie szpitalnego psychologa, który specjalizował się w urazach głowy. Pani psycholog rozmawiała z nim o wyrobieniu nowych nawyków — o konieczności wstawania o ósmej rano i wychodzenia na spacer. Kazała mu wracać do poprzednich zajęć stopniowo, krok po kroku. Jonny nie znosił tej kobiety — jej radosnego charakteru, zadbanych drobnych dłoni i starannie zawiązanych jedwabnych szalików — ale sesje zaczęły pomagać. Przeprowadził się z powrotem do swojego starego

mieszkania na Elephant. Jadł warzywa gotowane na parze i chodził na basen do lokalnego ośrodka sportowego. Wyciągnął z szafy gitarę — nie gibsona, na którym ostatnio grał na koncertach i podczas nagrań, następcę niebieskiej kopii stratocastera z czasów The Capones — ale starą gitarę akustyczną, którą kupił za zaoszczędzone kieszonkowe w dzieciństwie. Znow zaczął ćwiczyć. To była trudna przeszkoda do pokonania — obawiał się, że już nigdy nie będzie mógł grać. Miał trochę zastałe palce, ale to wszystko. Pani psycholog powtarzała, że jest z niego dumna.

Przez pewien czas ignorował telefony. Jeszcze nie był gotowy na powrót do świata show-biznesu. Potem jednak dzwonek rozlegał się coraz rzadziej, więc Jonny zrozumiał, że musi wrócić do studia, jeśli chce ratować karierę. Bo Jonny był zawodowym muzykiem — dawno minęły czasy The Capones, a także jazzowo-funkowej kapeli, z którą grał w Nowym Jorku, ale od paru lat nieźle sobie radził jako gitarzysta sesyjny. Miał talent i dobre kontakty. Grał przede wszystkim w studio, ale najbardziej lubił koncerty na żywo — uwielbiał stać na scenie przed tłumem fanów, grając dla takiej czy innej nastolatki o anielskim głosie, noszącej ultrakrótkie szorty. Wciągał kokę i pieprzył się z fankami po występie. Jonny był prawdziwym rockandrollowcem.

Tego dnia, kiedy miał zacząć wszystko od nowa, obudził się z dziwnym przeczuciem, jakby czekał go pierwszy dzień w szkole, i wiedział, że coś się zmieniło. Gdy zjawił się w studio, wszyscy witali go jak bohatera, ale kiedy wychodził z sali, wiedział, że go obgadywali. Dziewczyny z chórków wciąż szeptały do siebie i czuł, że narasta w nim paranoja, chociaż wiedział, że tamte dwie zawsze plotkowały w kącie. Po paru godzinach kręcenia się bez celu, palenia fajek i picia kawy wreszcie byli gotowi. Jonny nałożył słuchawki i podpiął gitarę do wzmacniacza.

Skąd, do cholery, wzięło się to drżenie palców? Z trudem trzymał gryf, nie mówiąc już o uderzaniu we właściwe struny. A ten pot? Spływał mu po twarzy i kapał na złociste pudło gibsona. Nigdy się tak nie pocił, nawet na scenie, a co dopiero w studio. Tony powiedział, że to nic i że powinni zrobić sobie piętnastominutową przerwę, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Rozumieli go ze względu na okoliczności.

Po przerwie nic się nie zmieniło. Trząśł się jeszcze bardziej. Podniósł głowę i zobaczył swoje odbicie w szklanej ścianie kabiny nagraniowej — siatkę blizn i strach, czający się pod nimi. To przerażone zwierzę nie mogło

być nim. Potem zobaczył Tony'ego — zauważył współczucie w jego oczach. Wyszedł z kabiny, podał gitarę Tony'emu i odszedł.

Wysadam starszego gościa o kulach, z siatką w ręce, przy Liverpool Street Station. £6,60, nie dostałam napiwku. To znaczy, że dzisiaj w nocy zarobiłam w sumie £57,80. Nic dziwnego, że nie mogę nic oszczędzić. Wyłączam pomarańczową lampkę i dzwonię do Jonny'ego.

— Jonny?

— Katy, kiedy przyjedziesz?—Ma taki głos, jakby umierał.

— Będę tam za dwadzieścia minut. Może szybciej. Dlaczego tak daję sobą manipulować?

Obecnie centrum handlowe „Elephant and Castle” jest pomalowane na czerwono. Przemalowano je w zeszłym roku na Święto Uśmiechu. Wielki czerwony nos południowego Londynu. Tradycyjnie położono tylko jedną warstwę farby, więc róż zaczyna już przeświecać spod czerwieni. Ten niezniszczalny, nieziemski róż, który jest pod spodem.

Skrećam w Appleton Street i parkuję w tym samym miejscu, w którym zatrzymałam się pierwszej nocy, kiedy przywiozłam tu Jonny'ego. Ta sama brudna, biała furgonetka nadal tu stoi. Nie wiem, czy kiedykolwiek się ruszyła. Patrząc na brązowe ceglane ściany budynku, odliczam siedem pięter i namierzam trzecie okno. Światło jest zapalone. Czuję się nieswojo, nerwowo. Nie jestem pewna, czy chcę się z nim spotkać, czy raczej już nigdy go nie widzieć. Granica między tymi dwoma ekstremalnymi stanami zdaje się śmiesznie cienka.

Wyciągam saszetkę z pieniędzmi spod fotela, zamykam taksówkę i wciskam kluczyki do kieszeni. Czuję kulkę papieru — list od ojca. Idę ścieżką i wbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Nie jadę windą, bo przyda mi się trochę wysiłku fizycznego.

Kiedy poznałam Jonny'ego, był naznaczony bliznami, przepelniał go ból i złość z powodu wszystkiego, co stracił. Był przeciwieństwem konstruktywnej postawy, wszystko stanowiło dla niego problem nie do pokonania. Kiedy pani psycholog zasugerowała, że może byłby szczęśliwszy, gdyby porzucił muzykę i zajął się czymś innym — podjął pracę albo studia — Jonny krzyknął:

— Ale ja wcale nie chcę być szczęśliwy!

Gdy powiedziała, że mógłby nadal grać na gitarze, traktując to jako hobby, wyszedł z gabinetu i nigdy tam nie wrócił.

Jonny stoi w drzwiach i patrzy na mnie. Tylko patrzy. Ma zaczerwienione oczy, przetłuszczone włosy, wygląda niezdrowo. Czuć od niego papierosy i whisky.

— Jak tam twoja głowa?

— Paskudnie — mówi i od razu obejmuje ją, jakby chciał zilustrować swoje słowa.

— Wpuścisz mnie, skoro już spieprzyłeś mi pracę? Odwraca się i idzie do środka. Wchodzę za nim i zamykam drzwi.

W kącie błyska telewizor z wyłączonym głosem. Zdaje się, że Jonny posprzątał przed moją wizytą. Znikły opakowania po daniach na wynos, puste puszki i przewrócone popielniczki, które zawsze tu były. Stolik jest pusty, jeśli nie liczyć butelki whisky (na wpół opróżnionej), szklanki z dużą ilością alkoholu, popielniczki (pełnej do połowy) i paczki marlboro. Stara gitara akustyczna leży na sofie. Widzę, że coś pisał na kartce.

Stoi przy oknie, odwrócony plecami do mnie, i patrzy na ulicę.

— Co się dzieje? — pytam.

— Wiesz, co się dzieje. Znowu boli mnie głowa. Dostrzegam drugą szklankę whisky na kominku, obok sterty nie otwartej poczty. A więc nie dla mnie posprzątał mieszkanie.

— Kto był u ciebie?

— Jason Greaves.

Jason Greaves z chytrym uśmieszkiem — gitarzysta z The Capones... Przecież nie widział się z Jonnym od wielu lat! Prawie wykrzykuję na cały głos, ale się powstrzymuję. Sęk w tym, że nigdy nie powiedziałam Jonny'emu, że pamiętam go z tamtych czasów. Trudno mu mówić o przeszłości. Wyczułam to pierwszej nocy — domyśliłam się, że nie powinnam odgrzebywać wspomnień. Dlatego pytam:

— Kim jest Jason Greaves?

— Och, gitarzystą którego kiedyś znałem. W liceum grałem z nim w zespole.

— Tak? — Odsuwam gitarę na bok, zdejmuję kurtkę i saszetkę i siadam na czekoladowobrązowej sofie.

— Teraz mieszka w Kornwalii. Ma żonę i dziecko. Pracuje dla National Trust. — Jonny mówi tak, jakby używał obcego języka, jakby nie wiedział, co znaczą te słowa. Podejrzewam, że w pewnym sensie rzeczywiście nie wie. Cały czas stoi przy oknie.

Sięgam po szklaneczkę whisky i sączę wolno.

— Miło było go spotkać?

— Graliśmy razem jam session — mówi Jonny, wskazując na gitarę. — Próbowaliśmy przypomnieć sobie piosenki, które graliśmy w dzieciństwie. On już nie gra. Teraz tylko od czasu do czasu bawi się gitarą.

— Ach, tak. Tak samo jak ty. Rzuca mi wściekłe spojrzenie.

— Długo tu był?

— Nie.

— Myślisz, że jeszcze się spotkacie?

— Nie.

Jonny podchodzi i zdejmuje gitarę z sofy. Siada przy mnie, potem kładzie się z głową na moich udach. Ma ciężką głowę, tak samo jak resztę ciała. Łapię aluzję i zaczynam masować mu skronie. Pomrukuje z zadowoleniem.

— Ja też za tobą tęskniłam. — Wyraźnie czuję zapach Richarda na swojej skórze. Nie sędzę, że Jonny się domyśli, ale i tak żałuję, że nie wzięłam prysznicza. Amy wywęszyłaby zdradę w pierwszej minucie po moim wejściu do domu. Amy... Z kim, do cholery, była w „Zippo”?

Jonny siada i przyciąga moją twarz, całuje mnie wolno, namiętnie. Sofa rozpływa się, a ja zanurzam się coraz głębiej i głębiej. Istnieją tylko jego usta. Mam zamknięte oczy, a kiedy je otwieram, kręci mi się w głowie, więc znów muszę je zamknąć. Wyciągam dłoń, żeby pogłaskać go po twarzy, dotykam pobrużdżonej powierzchni policzka.

Wyrywa się. Chwyta się za głowę i zwija się z bólu.

— Wzięłeś tabletki? — Są do dupy.

— OK, ale wzięłeś je?

Chwiejnym krokiem idzie przez otwarte drzwi do kuchni. Przez chwilę siedzę sama, pociągam jeszcze jeden łyk whisky. Słyszę, jak Jonny nalewa wodę do szklanki. Skrzypią drzwi szafki i rozlega się grzechot pigulek w buteleczce. Potem dobiega mnie jego głos:

— Katy...

— Co?

— Nic.

Związek z Jonnym przypomina związek ze zwierzęciem wlekącym za sobą sidła, w które wpadło.

Sięgam po zapisaną kartkę papieru. To stary rachunek za gaz. Przyglądam się dokładnie.

You are sailing While I am trailing Through the water

Weeping willow sees you sail I look on behind the veil Of leaves. As you leave.

Łza. kapie na papier. Upuszczam kartkę na podłogę i oddaję się wspomnieniom, emocjom, ale już nie płaczę. Łzy wyschły. Myślę o samochodzie matki, zaparkowanym na szczycie klifu w Kent, z wciąż uruchomionym silnikiem, i o matce, leżącej na kierownicy, i o gumowym wężu, prowadzącym z rury wydechowej do kabiny samochodu. Tego dnia nałożyła nową sukienkę z kolekcji „Monsoon”. Swoją urodzinową sukienkę.

— Co jest? — Jonny stoi w drzwiach ze szklanką wody w ręce.

— Nic, tylko napięcie przedmiesiączkowe. — Wiem, że to zamknie mi usta. — Pójdziemy do łóżka?

— Jeszcze wcześniej. — Rzuca okiem na zegarek.

— Proszę.

Siada przy mnie, dopija wodę i sięga po butelkę whisky.

— Napij się jeszcze.

— Wolalabym pójść do łóżka.

Świdrujący dzwonek telefonu rozlega się głośno i nagle — zbyt ostro i wyraźnie w tym mglistym nastroju, jaki stworzyliśmy.

— Kto to, kurwa... — przeklina Jonny, sięgając do mojej kurtki, która leży na końcu sofy. Nie reaguje, gdy mówię, by nie ruszał telefonu.

— Zostaw — powtarzam, kiedy wyciąga telefon z kieszeni i wciska przycisk, żeby odebrać.

Ktoś się odezwał, ale nie słyszę kto. Twarz Jonny'ego ciemnieje. Rzuca mi mordercze spojrzenie przekrwionych oczu.

— Czekaj — mówi i rzuca we mnie telefonem. Próbuję go złapać, ale nie udaje mi się i pozwalam mu spaść na podłogę. Schylam się, a Jonny następuje na moją dłoń, boleśnie przygniatając palce. Podnosi telefon i wyłącza go, nadal nie pozwalając mi wstać.

— Jonny... — Bardzo mnie boli.

— Kim, do kurwy nędzy, jest Craig? — Nareszcie puszcza moją dłoń. Wycofuję się, obejmując ją drugą ręką. Kulę się na podłodze. Jonny stoi nade mną, wpatruje się.—Pytałem, kim, do kurwy, jest Craig?

— To jeden z gości, którego podwiozłam taksówką.

— Tak, na pewno nieźle dałaś mu pojeździć.

— Na Boga, Jonny. Ten facet jest dla mnie nikim.

Stoi teraz przy oknie, odwrócony plecami do mnie. Chyba nie chce na mnie patrzeć. Gdyby spojrzął, wkurzyłby się jeszcze bardziej.

— Jeśli jest nikim, to dlaczego do ciebie dzwoni? — Próbuje mówić spokojnie, ale złość przebija się jak soczysty róż na czerwonych ścianach „Elephant and Castle”.

— Nie wiem! — Moje oczy znów są pełne łez. Jestem na to zbyt słaba.

— Kłamiesz, Katy.

— Nie kłamię. Naprawdę nie wiem, dlaczego do mnie dzwoni. Nic nie zrobiłam. — Wstaję i sięgam do kieszeni. Chcę stąd wyjść.

— Skąd ma twój numer?

— Jego kumpel puścił pawia w taksówce. Pomogłam go zanieść do mieszkania Craiga. Zostawiłam tam swój telefon. Żeby go odzyskać, musiałam zjeść z tym gościem kolację.

— Co ty pierdolisz? Musiałaś zjeść z nim kolację?

— Tak, ale nic się nie stało, Jonny. Przysięgam, że do niczego nie doszło!

— Ty kłamliwa dziwko!

Nagle głęboko w moim lewym oku eksploduje tysiąc fajerwerków, a ból jest tak intensywny, że go nie czuję. Osuwam się i uderzam głową o kant stolika, potem padam na ziemię. Chyba straciłam przytomność na parę sekund albo minut, bo po chwili zdaje mi się, że się budzę i nie mogę otworzyć lewego oka. Czuję zatechły smród dywanu, a gdzieś nade mną Jonny trzyma się za zaciśniętą dłoń, płacze i powtarza:

— Przepraszam, Katy, przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Przepraszam.

Mam rozrzucone bezwładnie ręce i nogi. W myśli pochylam się nad oczkiem wodnym na kamienistej plaży i patrzę na martwą rozgwiazdę, wyrzuconą na ląd przez sztorm. Jonny kuca przy mnie, podtrzymuje mi głowę i mówi:

— O kurwa. O kurwa, co ja zrobiłem? Kocham cię, Katy. Pod stopą czuję kartkę papieru. Przez chwilę myślę, że to list

od ojca, ale okazuje się, że to stary rachunek za gaz z tekstem piosenki.

Weeping willow sees you sail I look on behind the veil Of leaves. As you leave.

SNY O KOLORZE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Różowy telefon — Amy: Nie jesteś sexy, kiedy się dąsasz... Daj spokój, Kathy. Zadzwoń. Przyjdź do mnie. Czy matka całkiem cię uziemiła?

*

Niebieski telefon — Joel: Kat, dzwonię z salonu. Słyszysz suszarki? Jutro jest wieczór praktykantów. Może wpadniesz około szóstej? Zrobię ci nową fryzurę. Jestem w tym świetny, szczerze. Chcę się z tobą spotkać. Pa.

*

Żółty telefon — Stef: Cześć, K. Mam nadzieję, że udała ci się wycieczka do Szkocji. Wróciłaś? Mam ci wiele do opowiedzenia. Aha, nie znasz kogoś, kto chciałby kupić parę tanich Furbies? Nasz kupiec wziął tylko dwieście. Nie są trefne ani nic z tych rzeczy. Daj mi sygnał.

*

Zielony telefon — Richard: Kitty, to ja. Przechodzi ci grypa? Dotty chce wpaść do ciebie i być twoją pielęgniarką. Ja też. Właściwie, gdzie mieszkasz? Zaczynam podejrzewać, że masz męża czy coś takiego... Ale poważnie, byłoby miło zobaczyć twój dom. Dobra, nie naciągam cię dłużej. Odezwij się. Zdrowiej.

*

Czerwony telefon — Jonny: Katy, kocham cię. Tysięczny raz powtarzam, że jest mi przykro. Przepraszam. To się nigdy nie powtórzy. Przysięgam. Posłuchaj, przygotowuję koncert... To nie byłem prawdziwy ja — nie jestem taki. Katy...

*

Winnie czyta „London Taxi Times”. Pewnie piszą o kolejnym proteście przeciwko licencjonowaniu minicabów*.

* **Minicab** — szeroko rozpowszechnione w Wielkiej Brytanii, na wpół legalne małe firmy taksówkowe (zazwyczaj tańsze od tzw. „czarnych taksówek”), nie wymagające licencji od kierowców.

Podchodzę do stolika. Winnie spogląda na mnie i mówi:

— Jezu, co ci się stało? Zamów mi jeszcze jedną herbatkę. Siniak jest plamą jaskrawych odcieni żółci i brudnych zieleni.

Jeśli, zdaniem Winnie, teraz wygląda źle, to ciekawe, co by powiedziała przed tygodniem?

Zdejmuję kurtkę i wieszam ją na oparciu krzesła. Przez okno widać, że niebo się rozjaśnia i nabiera koloru indygo wzdłuż krawędzi czarnych, ciężkich, deszczowych chmur. Październikowy deszcz — zimny i nużący. Zarobiłam £300, czyli fenomenalnie, jak na niedzielną noc, ale jestem wykończona. Po tygodniu niechodzenia do pracy musiałam jeździć maksymalnie długo. Teraz potrzebuję czegoś tłustego. Stół chwieje się, kiedy siadam. Winnie zapala papierosa i zaciąga się głęboko, pochylając się, żeby dokładnie obejrzeć mój siniak. Przymyka jedno oko, przy czym jej blada twarz marszczy się jak pomięte prześcieradło.

— Wystarczy, Win. Już się napatrzyłaś. Możesz przestać. — Rozglądam się, szukając Big Keva w zatłoczonej sali. Powietrze w kafeterii jest gęste od dymu i pary. — Kev, podaj nam angielskie śniadanie i kawę. Dzięki.

Przez środek sali idzie Rog Hackenham, dumnie niosąc w wielkich rękach coś, co wygląda jak tania różowa bluzka z poliestru.

— Dziewczyny, jesteście damami, jakich szukam. Co powiecie na ten pierwszorzędny towar? Wszystkie oryginalne, od projektantów. Jedna za piętnaście funtów, dwie za dwadzieścia.

— Oduść sobie, Rog — mówi Winnie.

— Dalej, zróbcie sobie przyjemność — nalega. — Spójrzcie na wykończenie kołnierzyka. Prawdziwy haft. W taksówce mam jeszcze inne kolory.

— Zapomnij o tym, Roger. Nigdy nic nie kupię od gościa z taką fryzurą. — Kiedy odwracam się, dostrzega siniak. Uśmiech na chwilę gaśnie, ale zaraz znów wykwita. Rog posyła nam dyskretny ukłon i rusza w kierunku stolika przy drzwiach, przy którym siedzi Janet Jakaś tam z Grubym Richardem.

Winnie opiera się na krześle i kręci głową. Jej „wszystkowiedząca” mina trochę mnie drażni.

— To Jonny, prawda? — pyta. — Bił cię już przedtem czy to nowy dodatek do jego czarującego repertuaru?

— O co ci chodzi? — Patrzę na kółka od gorącej kawy na laminacie stołu i zabawiam się saszetkami cukru w porcelanowej miseczce.

— A jak myślisz? — W głosie Winnie słyszę złość. — Zrobił ci to, a ty się ukrywasz, czekając, aż siniak zniknie.

— Właściwie, to był pasażer. — Przypadkowo rozdieram saszetkę i rozsypuję cukier w kałuży rozlanej herbaty. — Chciał mnie okraść. Ale nie udało mu się. Oberwał jeszcze gorzej niż ja.

— Dlaczego więc się ukrywałaś?

— Kto mówi, że się ukrywałam? Tylko dlatego, że przez parę dni nie zaglądałam do tej speluny... Ty nigdy nie masz dosyć tego miejsca?

Winnie wzdycha i koncentruje się na papierosie, patrząc na niego tak intensywnie, że robi zeza.

— Cóż, to twoje życie — mówi krótko.

— Win, to nie Jonny! — Uniosłam głos, chociaż nie chciałam, żeby zabrzmiał tak gniewnie. Nagle widzę, że wszyscy w kafeterii patrzą na mnie. Rog Hackenham, ze swoim trefnym towarem, spogląda od czasu do czasu przez ramię. Frank Wilson udaje, że czyta „Daily Mail”. Jakiś łysol, którego nawet nie znam, szepcze coś do Orhana Atamana. Zdaje się, że zostałam atrakcją lokalu. Może powinnam zrobić rundkę z kapeluszem między stolikami?

Na szczęście w torebce dzwoni różowy telefon. Nie dzwoniłam do Amy od tamtego wieczoru, kiedy jadłyśmy razem fatalną kolację, ale teraz cieszę się ze zmiany tematu.

— Przepraszam — rzucam prosto w oskarżycielską twarz Winnie i odwracam się, wciskając guzik, żeby rozpocząć rozmowę. — Cześć, Amy.

— Katerina?

O Boże. To on.

— Kathryn, to ty?

— Cześć, Craig.

— Jak się czujesz? Ja... czy możesz teraz rozmawiać? Ostatnim razem...

— Tak, w porządku. — Czuję, że Winnie próbuje podsłuchiwać, więc odwracam się jeszcze bardziej.

— Na pewno?

— Tak. Czego chcesz? — Zdaję sobie sprawę, że zaciskam zęby i próbuję się powstrzymać, żeby nie warknąć.

— Zastanawiałem się... Myślałem o tym, co powiedziałaś wtedy, przy kolacji... Wiesz, o ćwiczeniach, rozwijaniu kondycji...

— No i co?

Big Kev podaje mi kawę. Kiwam do niego głową, nie patrząc na Winnie.

— Trochę się zastanawiałem i uważam, że masz rację. Brakuje mi kondycji. Jestem żałośnie cherlawym facetem.

— Craig, czy ta rozmowa do czegoś zmierza?

Zapada krótka cisza, kiedy Oczko próbuje odgadnąć, dlaczego jestem wrogo nastawiona. Potem brnie dalej:

— Tak. Miałem nadzieję, że możesz mi coś doradzić...

— Zapisz się na siłownię.

— Hmm... Myślałem raczej o czymś bardziej konkretnym. Może umówimy się gdzieś... na przykład na kolację... i mógłbym zapytać cię o rekomendacje. Może jutro o ósmej w „Sugar Club”?

Jego plan jest taki przejrzysty, że uśmiecham się wbrew woli.

— Craig, nigdy nie schudniesz, jeśli wciąż będziesz chodził do drogich restauracji.

— Chyba masz rację. Zawsze możemy zrezygnować z deseru. ..

Piję łyk kawy i przez przypadek kątem oka spoglądam na Winnie. Wygląda tak chytrze, że mam ochotę ją prasnąć. Wracam do mężczyzny miotającego się przy telefonie.

— Słuchaj, Oczko, teraz jestem zajęta.

— To może chociaż na drinka? Drink nie zabierze ci dużo czasu — protestuje. — Potrzebuję tylko nazw paru fitness clubów.

— Sprawdź w książce telefonicznej. — Wyłączam telefon i wsuwam go do kieszeni.

— Czy to ten mężczyzna, z którym jadłaś kolację? — Winnie gasi papierosa. — Jest dość miły, prawda? Zaprasza cię na kolację, na drinki...

— Zamkniesz się czy nie? To tylko gość, który mnie prześladowa. Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, to właśnie przez niego to mam. — Wskazuję na siniak.

— Co? Ten facet ci to zrobił?

Piorunujący efekt. Siedzi z otwartymi ustami i oczami okrągłymi jak spodki. Wygląda jak złota rybka, jeśli nie liczyć krzaczastych brwi.

Inni taksówkarze stracili zainteresowanie, więc mogę się zrelaksować. Popijam łyk kawy i robi mi się żal Winnie. Po co kłamać? Ze wszystkich ludzi na świecie jej należy się najmniej kłamstw.

— Nie, Win. To Jonny. Miałas rację. Byłam u niego, kiedy zadzwonił Craig. Jonny był podпиты. Wiesz, jak to jest. Wynikło nieporozumienie.

— I uderzył cię. Założę się, że nawet mu nie oddałaś.

— Nie mogłam. Leżałam znokautowana na podłodze.

Wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po twarzy, ale cofam się. Nie potrzebuję jej współczucia.

— Co teraz zrobisz? — pyta łagodnie. Wzruszam ramionami.

— Nigdy przedtem mnie nie bił. Mówi, że to się nie powtórzy. Może stracił panowanie...

— Na litość boską, zostaw go, Kathryn. Nieważne, co mówi, i tak to zrobi jeszcze raz. Takie zachowanie wchodzi w krew.

Zapala następnego papierosa i rozpira się na krześle. Nagle wydaje się odległa i krucha. Widzę, że trzęsą jej się ręce. Kaszle, popija herbatę. Wygląda jak ktoś, kto zna takie historie z doświadczenia.

— Może masz rację — mówię.

— Wiem, że mam rację. Po wypadku jest zgorzkniały, rozczarowany światem i wyżywa się na tobie, kwiatuszku. Możliwe, że teraz cieszy się z poczucia winy. Przynajmniej przez chwilę czuje coś innego niż złość. Następnym razem uderzy cię mocniej, żeby mieć takie same wyrzuty sumienia jak dzisiaj. Logiczne, nie?

Rozumiem, co ma na myśli, ale — paradoksalnie — jej słowa powodują, że jest mi żal Jonny'ego. Ma takie straszne życie. Jestem jedyną dobrą rzeczą, jaka mu została.

— W porządku, Win. Powiedziałaś już dosyć. Zmieńmy temat, dobrze? Przekaż mi jedną ze swoich mądrości życiowych.

Winnie daje się złapać na haczyk. Z zadowoloną miną wpatruje się w dno filiżanki, szukając inspiracji.

— Już mam — mówi z szelmowskim uśmieszkiem. — Posłuchajmy.

Koncentruje się, a jej oczy zmieniają się w wąskie szparki ukryte pod gęstwiną krzaczastych brwi. Kev podaje mi śniadanie na wyszczerbionym talerzu — przysięgam, że wszystkie talerze w „The Crocodile” mają regulaminową szczerbę — a intensywny zapach powoduje, że burczy mi w brzuchu. Tłuszcz spływa z dwóch jajek sadzonych i zbiera się w kałuże wokół parówek. Bekon skulił się z boku. Od tygodnia nie byłam na siłowni...

— Gdyby życie było grą hazardową... — zaczyna Winnie, zawieszając głos dla właściwego efektu — to moje byłoby wieczorkiem w lokalnym salonie bingo, a twoje rosyjską ruletką.

— Ależ, Winnie — mówię z uśmiechem — przecież życie naprawdę jest formą hazardu.

Na siłowni jest urządzenie o nazwie „Pokonaj piramidę”. To zwyczajny stepper — trzyma się dwa długie uchwyty i depcze dwa duże pedały. Ćwicząc, patrzy się na niewielki ekran — jak w grze komputerowej — na którym dwie postaci ścigają się, biegnąc w górę po zboczach piramidy. Grafika jest prymitywna — urządzenia nie są najnowsze — ale się sprawdza. Im szybciej idziesz, tym szybciej biegnie twoja postać. Druga postać nadaje tempo. Biegną bez wytchnienia, a od czasu do czasu na płaskim, błękitnym

niebie pojawiają się stylizowane chmury albo komiksowy samolot. Wspinając się, widzisz coraz więcej krajobrazu: piramidy, jeziorko, przy którym pasie się wielbłąd, dwie palmy. Bawi mnie pomysł projektantów. „Co możemy zrobić, żeby nasz nowy stepper był inny niż poprzednie? Oczywiście — zrobmy Dolinę Królów!”

Można by oczekiwać, że ćwiczenie na urządzeniu, które nazywa się „Pokonaj piramidę”, skończy się pokonaniem piramidy. Można sądzić, że taki jest cel — że jeśli będzie się biec szybko i długo, komputerowa postać wejdzie w końcu na szczyt, odwróci się do ciebie z szerokim uśmiechem i wreszcie ujrzysz dolinę w całej okazałości. Nieprawda. Nieważne, jak długo się biegnie, człowieczek wspina się bez końca... Film jest zapętłony. To oszustwo. Ale ty cały czas pędzisz.

Tego ranka ćwiczę na „Pokonaj piramidę” przez ponad piętnaście minut. Doszłam do poziomu dwunastego (urządzenie ma biegi jak przerzutki rowerowe), pot kapie mi z brody i cieknie po szyi. Wygląda jak tłuszcz spływający z jajek, które zjadłam po pracy. Wyobrażam sobie, że tłuszcz się ze mnie wytapia. Pot ma dziwny, brzoskwiniowy kolor. To podkład i sztyft maskujący, które nałożyłam, żeby ukryć siniak pod okiem. Efekt tego zabiegu nikogo nie przekonuje, ale trzeba próbować. Na szczęście na siłowni są tylko dwie osoby, które mogą gapić się na mnie: cherlawy rudzielec, który przymierza się do ciężarów, przekraczających jego możliwości, i kobieta o wyglądzie gospodyni domowej, która czyta powieść Marian Keyes, pedałuąc wolno na jednym z rowerów treningowych. Oboje patrzą na mnie, kiedy wchodzę na salę, ale posyłam im miazdzące spojrzenie, więc już nie podnoszą wzroku.

Niemożliwa do pokonania piramida wkurza mnie tym razem. Depczę tak szybko, że wpadam w trans — chociaż wiem, że nie mogę liczyć na zdobycie szczytu. Chyba wyglądam dość agresywnie — mam pociemniałą twarz, zaciśnięte usta, napięte ścięgna karku i ramion, moje stopy naciskają pedały tak, jakbym była częścią maszyny. Siniak może wyrażać groźbę, a nie słabość — jak maska wojenna. Ale gdyby ktoś mnie widział, leżącą bezwładnie na tamtym dywanie — gdyby zobaczył, jak wyrrywam się z ramion Jonny'ego i czołgam się po podłodze niczym zaniedbany stary kundel, który nie może uciekać o własnych siłach — jak wlekę się do ciemnej sypialni, gdzie mogę zwinąć się na zdrowym boku między brudną pościelą Jonny'ego, potem leżę, patrząc na sufit ze złuszczoną farbą, i czekam na sen — cóż, zobaczyłby zupełnie inną kobietę, prawda?

Kiedy obudziłam się o czwartej nad ranem, ogarnięta i wypełniona kolorem, cieszyłam się, że ból twarzy pozwolił mi na powrót do rzeczywistości, wyciągnął mnie z koszmaru. Zeszłam z łóżka i pokuśtykałam do pokoju, żeby znaleźć buty i kurtkę. Jonny leżał w ubraniu na sofie. Jedną ręką zasłonił twarz. Chrapał. Pusta butelka whisky stała na stoliku. Musiałam wyciągnąć kurtkę spod jego bezwładnych nóg. Poruszył się przez sen, jęcząc niezrozumiale. Przypominał śpiącego tygrysa, którego widziałam w „London Zoo”, kiedy byłam mała.

Teraz cisnę pedały tak mocno, że urządzenie chwieje się i skrzypi. Jak on śmiał mi to zrobić! Nikomu nie pozwolę tak się traktować, zwłaszcza temu ocieżalemu, przesiąkniętemu whisky, poplamionemu tytoniem, śmierdzącemu dymem wrakowi człowieka, który kiedyś był ładnym chłopcem — Jonnym Jordanem. Nigdy w życiu nie musiałam chować się tak jak w zeszłym tygodniu — nakładałam okulary słoneczne tylko po to, żeby kupić chleb i mleko w pobliskim sklepie — kuliłam się pod wzrokiem starych kobiet w autobusach. Próbowалам wmówić sobie, że to dobra okazja, by zrobić porządki w mieszkaniu, ale nie mogłam się do nich zabrać. Zamiast tego zamknęłam żaluzje i siedziałam w półmroku między kartonami, oglądając bez końca telewizję i śpiąc po piętnaście godzin dziennie. Dzwoniły telefony, ale nie zwracałam na nie uwagi. Wreszcie odebrałam i wymyśliłam parę wymówek. Nadal jednak ignorowałam Jonny'ego. Przed upływem tygodnia miałam dość własnego towarzystwa, głupawych teleturniejów i seriali, które wypełniały mi czas. Zaczęłam myśleć o ostatnich dniach mojej matki — o tym, jak krążyła bez celu po domu, w koszuli nocnej, z papierosem w jednej ręce i szklanką czegoś mocnego w drugiej...

Siniak zmienił kolor, przechodząc z intensywnej czerwieni do brzydkiej bagnistej barwy. Wczoraj wieczorem znów usiadłam za kierownicą taksówki. Przeżyłam jednak chwilę upokorzenia — jedna z pasażerek poklepała mnie po ramieniu, wysiadając na Highgate, i dała mi wizytówkę z adresem schroniska dla maltretowanych kobiet. Próbowалам odmówić, ale pasażerka uśmiechnęła się wyrozumiale i zatrzasnęła drzwi.

Jak on śmiał mi to zrobić! Jak śmiał!

— Przepraszam, czy wszystko w porządku? Zwalniam bieg na urządzeniu i odwracam się, żeby spojrzeć na Jema — kierownika siłowni noszącego dres — który przygląda mi się z troską.

— Co? Rumieni się.

— Chodzi o to, że...

Zatrzymuję się. Widzę twarz rudego łamagi, paniusi z książką Marian Keyes i drobnej Japoneczki, która chyba przyszła tu, kiedy ćwiczyłam na stepperze. Wszyscy gapią się na mnie.

Przerażona, uświadamiam sobie, że przeklinałam na głos.

Jem próbuje znaleźć taktowny sposób, żeby mi o tym powiedzieć. Widzę, jak pulsuje mu żyłka na czole. Denerwuje się przeze mnie. Może myśli, że jestem agresywna, nieobliczalna. Nie wie, że to nie ja jestem nieźrównoważona.

Schodzę ze steppera.

— Przepraszam, Jem. Chyba miałam zły tydzień.

— Zdarza się. — Odetchnął z ulgą. Widzę, że się rozluźnił. — Co ci się stało w oko?

— Och, wiesz. Sport — mówię bez związku z tematem, sięgając po ręcznik. Ręcznik jest biały, ale kiedy wycieram twarz, pojawiają się na nim pomarańczowe plamy.

Wystrój „Shamana” to żółte płytki na ścianach i kiczowate lamparcie obicia w stylu lat siedemdziesiątych. Pod ścianą stoi rząd krzeseł ze staromodnymi, pękatymi suszarkami do włosów, których już nie używa się nigdzie oprócz najbardziej zapyziałych retro salonów dla starszych dam — ale tutaj stosuje się z przymrużeniem oka, więc są OK. Szukam Joela wśród klientów i podnieconych praktykantów w ciasnych džinsach, z wybielonymi, zmierzwionymi czuprynami i trądzikiem.

— Przyszłaś na wieczór praktykantów? — pyta dziewczyna z niebieskim kokiem, siedząca przy biurku.

— Prawdę mówiąc, nie. — Już zdecydowałam, że nie pozwolę Joelowi szaleć z moimi kręconymi włosami, chociaż potrzebuję pewnej stylizacji. Nigdy nie wybaczyłabym mu, gdyby coś zepsuł.

— Chcesz się umówić na wizytę? — Dziewczyna ma hinduską czerwoną kropkę na czole, chociaż wątpię, by w jej przypadku miało to związek z religią. Kropka wygląda jak identyfikator, którym oznacza się grzbiety książek w bibliotece. Kusi mnie, żeby zobaczyć, czy łatwo się odkleja.

— Szukam Joela Marsha.

Przez chwilę dziewczyna jest zmieszana.

— Joela? Och, już go nie ma.

— Na pewno? — Znów spoglądam w stronę kandydatów na stylistów. Zakład jest pełen praktykantów. Łatwo się pomylić.

— Chwileczkę — mówi dziewczyna i sięga do telefonu. Wystukuje numer i prosi: — Gino, możesz tu przyjść na minutę? Jakaś pani szuka Joela. Dzięki. — Patrzy na mnie i odkłada słuchawkę.

— Proszę usiąść. — Wskazuje obite brązową skórą krzesło ze śmieszną suszarką która wygląda jak hełm kosmonauty.

Siedzę przez parę minut, czekając na Gino, i zastanawiam się, o co chodzi. Potem zjawia się facet w czarnych dżinsach marki Paul Smith i białej koszuli. Ma ciemne włosy zaczesane na żel, kolczyk w nosie i owłosione dłonie. Jest bardzo blady i ma głębokie zakola. Wygląda jak Drakula. Wstaję, żeby z nim porozmawiać.

— Gino?

— To ja — mówi, obracając sygnet na środkowym palcu. — A pani jest... — Zawiesza głos. — Pani nie jest matką Joela, prawda?

Czy ten gość zwariował? Nie zauważył, że Joel jest czarny? Nie jest Mulatem, tylko stuprocentowym Murzynem.

— Spodziewał się pan matki Joela?

— Cóż, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziała, że może... — Patrzy ze złością na recepcjonistkę, jakby wyciągnęła go z biura, wywołując fałszywy alarm.—Kim pani właściwie jest?

— Przyjaciółką. — Gino jest chudy i niższy ode mnie o głowę. Nie podoba mi się ten typ.

— Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed każdym z osobna.

— Wymachuje dłońmi, jakby się opędał. — Jeśli ten dzieciak chce się poskarżyć, to niech wyśle list do mojego prawnika, ale uprzedzam, że to strata czasu.

— Poskarżyć się? O czym pan mówi?

Gino jest zły. Jego okrutna, drobna twarz robi się purpurowa. Grozi mi palcem.

— Proszę pani, jestem szanowanym biznesmenem, byłym mistrzem świata we fryzjerstwie! Żaden mały, wredny szantażysta nie będzie mi szargał reputacji! Słyszysz mnie pani? Ten smarkacz jest kłamcą i złodziejem. Nic więcej nie mam do po wiedzenia. Do widzenia. — Odwraca się do recepcjonistki. — Nie ma mnie dla nikogo, Judy.

Spodziewam się całej rodziny Joela, zebranej na naradzie wojennej u niego w domu, ale nikt nie otwiera, kiedy dzwonię do drzwi. Stoję przez parę minut na progu, w końcu rezygnuję i wracam do taksówki. Zaparkowałam

przed pubem „Lord Palmerston” na rogu ulicy. Szukając kluczyków w kieszeni, spoglądam w okno i widzę...

Tak, to on. Joel. W pubie. Joel w pubie?

— Co się dzieje? — Podnoszę pustą szklanę i wacham ją. Pachnie anyżem. — Co pijesz?

Opiera łokcie na blacie, a brodę na dłoniach. Patrzy tępo przed siebie.

— Pernoda — mówi, nie odwracając się.

— Przecież ty w ogóle nie pijesz.

— Dzisiaj piję. Kupisz mi jeszcze jednego?

— I to pernoda!

— Z sokiem porzeczkowym, proszę. Proszę, Kat. Niechętnie spełniam jego życzenie. Zamawiam jeszcze kufel stelli dla siebie i talerz panierowanych krewetek do podziału. Kiedy barman nalewa moje piwo, spoglądam przez ramię na Joela. Wciąż patrzy przed siebie.

— O co chodzi, Joel? — pytam znów, siadając. — Szukałam cię w „Shamanie”. Rozmawiałam z Gino.

— Co mówił? — Pernod z czarną porzeczką zostawił ciemne plamy w kącikach jego ust. Przypominam sobie wszystkie ribeny*, które wypłam w dzieciństwie. Ciekawe, ile Joel już wypił.

*** Ribena—nazwa popularnego angielskiego soku z czarnej porzeczeki**

— Niewiele. Wyglądał na... przestraszonego. — Dopiero kiedy to mówię, uświadamiam sobie, że rzeczywiście tak było. — Myślał, że jestem twoją matką.

Moje słowa wywołują zniecierpliwione westchnienie, potem Joel znów milczy.

— Nazwał cię kłamcą—mówię. — I złodziejem. I wrednym szantażystą. Co mu zrobiłeś, Joel?

— Gówno mu zrobiłem! — krzyczy, pryskając śliną. — To on mi coś zrobił. To Gino!

— Co zrobił?

Joel jednym łykiem opróżnia szklanę i z hukiem stawia ją na blacie. Wrzuca do ust dwie krewetki. Kiedy mówi, okruszki lecą mu z ust.

— Wczoraj pod koniec dnia wezwał mnie do biura. Powiedział, że musimy pogadać. Siedział za biurkiem. Widziałem tylko górną połowę jego ciała. Mówił, że nieźle sobie radzę. Uważał, że mam talent. Powiedział, że wybrał mnie ze wszystkich praktykantów, i obiecał, że dostanę stałą pracę po zakończeniu kursu, ale w zamian muszę coś dla niego zrobić.

— Joel, nie musisz mi mówić, jeśli... Odwraca się do mnie. Ma przestraszoną minę.

— Kiedy wstał, miał kutasa na wierzchu. Miał kutasa na wierzchu, Kat. Kazał mi uklęknąć...

— Jezu, co za skurwiel... Nic dziwnego, że się boi!

— Nie zrobiłem tego, o co mnie prosił, Kat. Chciałem być uprzejmy. Wyjaśniłem mu, że nie interesują mnie faceci. Wiesz, co powiedział? Powiedział, że pierdołę... że z daleka rozpozna pedała i jeszcze nigdy się nie pomylił. Powiedział, że powinienem zrobić sobie przysługę i spróbować.

— Ale odmówiłeś.

— To prawda. Odmówiłem! Co on sobie wyobraża, próbując mi wmówić, że zna mnie lepiej niż ja! Wtedy powiedział, że mogę zapomnieć o pracy. Kazał mi się wynosić. Wrzeszczał, żebym spierdalał. Tak jakbym to ja zrobił mu coś złego.

Obejmuję go ramieniem i mocno przytulam.

— Poszedłeś więc do mamy.

Czuję na piersi, że Joel potakuje.

— Teraz ona jest z nim na wojennej ścieżce, a ty ukrywasz się tutaj.

— Tak. — Patrzy na mnie i po raz pierwszy widzi siniak. — Co ci się stało?

— Nic takiego. Miałam kłopot z pasażerem. Joel, co teraz zrobisz?

Wzrusza ramionami.

— Nie możesz do końca życia kazać swojej matce walczyć za ciebie. Musisz się nauczyć sam załatwiać swoje sprawy.

Wkurza się na mnie. W jego oczach znów widzę koncentrację i zacięcie, które tak dobrze pamiętam z pierwszego spotkania na siłowni.

— I co niby mam zrobić, Kat? Napisać list do jego prawnika, tak jak mi kazał? Kto mi uwierzy? Jestem tylko bezrobotnym czarnuchem. Byłem tancerzem, który nie umie załatwić sobie roli choćby statysty w Gorączce sobotniej nocy. Tak, to też spieprzyłem. Jestem do dupy. Nadaję się tylko na tanią męską dziwkę.

Wstaje i wychodzi. Po drodze wpada na krzesło, opiera się o drzwi, żeby je otworzyć, i potyka się na progu. Wstaję, żeby pójść za nim, ale zmieniam zdanie — lepiej niech idzie sam, niech ochłonie.

Zastanawia mnie jednak jeden fakt... Joel zdawał się bardziej przejęty tym, co Gino powiedział, niż tym, co rzeczywiście zrobił.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzisiaj mam bardzo słaby utarg, nawet jak na poniedziałek. Poza tym wszystko jest przesiąknięte wilgocią. Kiedy spadnie nagła ulewa, wszyscy pędzą do taksówek, ale gdy sięgniemy przez cały dzień, po prostu nikt nie wychodzi na dwór. Do wpół do pierwszej w nocy zarobiłam tylko siedemdziesiąt funtów. W takim tempie już nigdy nie zrekompensuję sobie straconego tygodnia. Na co liczyłam, ukrywając się w domu? Zabieram niewidomego z psem-przewodnikiem na Tottenham Court Road. Prosi, żebym zawiozła go do Mile End. Na początku nie zauważyłam, że jest niewidomy, i prawie mu odmówiłam — nie pozwalałam ludziom jeździć ze zwierzętami. Mam alergię na sierść, ale przecież nie można nie pomóc niewidomemu, prawda? Przynajmniej nie będzie wygłaszał głupich komentarzy na temat mojego podbitego oka.

Zapach wilgotnej sierści wypełnia taksówkę. Pies cały czas się otrząsa, przez co smród jest jeszcze bardziej dokuczliwy. Chcę poprosić niewidomego mężczyznę, żeby kazał psu przestać, ale się rozmyślam. Facet jest w moim wieku. Biedaczysko.

— Zadziwiające, jak pan sobie radzi w tym mieście — mówię. — Nawet mi jest trudno się połapać. Nie wyobrażam sobie, co bym zrobiła, gdybym straciła wzrok.

Facet wzdycha. Widzę, jak znudzenie, a potem frustracja pojawiają się na jego twarzy.

— Takie życie — mówi. — Nigdy nie znałem innej rzeczywistości.

Od razu żałuję, że to powiedziałam. Nasza rozmowa musi być dla niego tak samo nudna jak dla mnie pytania o życie kobiety-taksówkarza. Jadę więc dalej, milcząc, i tylko od czasu do czasu spoglądam na niewidomego we wstecznym lusterku.

Zatrzymuję się i patrzę, jak podchodzi do drzwi i wkłada klucz do zamka. Nie waha się ani przez chwilę. Potem jadę przez niezwykle, rozległe łąki, mijając brzydkie bloki i eleganckie wiktoriańskie kamienice terasowe, które są spuścizną drugiej wojny światowej w tej części miasta. Jest późno i męczy mnie widok wycieraczek, ślizgających się i skrzypiących na przedniej szybie. Dzięki temu pasażerowi znalazłam się w pobliżu domu Stefa.

W okolicach Brick Lane stoi wiele prostytutek, bez klientów. Zdaje się, że dla nich też deszcz jest nie lada problemem. Mamy ze sobą coś wspólnego.

Restauracje curry są w większości otwarte, ale puste, a kelnerzy czyhają w drzwiach na klientów. Powietrze jest ciężkie od wilgoci i zapachu balti.

Wysiadam z taksówki i zbliżam się do mieszkania 134A, kiedy widzę znajomo wyglądającą blond czuprynę przy stoliku w „Shameer”, ulubionej restauracji Stefa. Stef siedzi z Jimmym, pochylają się i rozmawiają poważnie wśród kłębow dymu papierosowego. Zmieniam kierunek marszu i wchodzę do restauracji. Nie widzą, jak idę po wzorzystym dywanie. Dopiero gdy stoję za Stefem i uderzam go pieszczotliwie w ramię, odwraca się przestraszony.

— Jezu, K, co ty wyprawiasz?

— A co z pocałunkiem, Stef? Co z powitaniem: „K, tak bardzo za tobą tęskniłem. Jak było w Szkocji?”

Mięśnie jego twarzy rozluźniają się i pojawia się typowy uśmiešek z dołkami w policzkach. Wygląda chochlikowato w czerwonym przygaszonym świetle.

— K, tak bardzo za tobą tęskniłem. Jak było w Szkocji? — recytuje, naśladując mój głos, i daje mi lekkiego klapsa w pupę. Mierzwię mu włosy i odsuwam sobie krzesło.

— Ciao, K — mówi leniwie Jimmy, a ja kiwam głową na powitanie.

Zapada niezręczna cisza. Chłopcy wymieniają spojrzenia. Rozumiem, że coś im przerwałam. Zjawia się kelner, sprząta resztki curry i plastikowym przyrządem zeskrobuje rozrzucony ryż ze stołu. Potem podaje mi menu. Kiedy zamawiam heinekena i bunę z jagnięciny z ryżem, chłopcom udaje się ukryć wszelkie ślady tajemnicy i obydwaj są gotowi do towarzyskiej rozmowy.

— Stef, pokaż jej to — mówi Jimmy.

— Co? Ach, to. — Stef sięga do torby i wyciąga maskotkę Furbie. Trzyma ją przy twarzy i wyraźnie mówi: „Kocham cię”. Groteskowe stworzenie natychmiast zaczyna mrugać, piszczeć i pomrukiwać. — Mówi, że chce mnie pocałować — wyjaśnia Stef.

— Och, daj spokój.

— Nie, naprawdę. — Jimmy zapala papierosa. — One uczą się języka. Można z nimi porozmawiać.

— Boże, nie znoszę tych bzdur.

— Cierpliwości — mówi Stef i stawia gaworzącego Furbiego na stole. Potem wyciąga drugą zabawkę. Stawia ją naprzeciw pierwszej.

— Stef...

— Cśśś, słuchaj. — Stef przykłada palec do ust. Furbie numer jeden powtarza swoją prośbę o pocałunek Furbiemu numer dwa. Furbie numer dwa piszczy. — Ona mówi, że go kocha — tłumaczy Stef. Furbie numer jeden znów coś mówi. — Rozmawiają ze sobą. Romantyczne, nie? — Stef ściska moją dłoń. — Hej, K, co ci się stało w oko?

— Są romantyczne jak dwa budziki na baterie. Kelner podaje heinekena. Pociągam długi łyk.

— Co z twoim okiem, K?

— Nieporozumienie ze szkocką barmanką — mamroczę. Stef wybucha śmiechem.

— Jesteś szalona! — Potrząsa głową patrząc na Jimmy'ego i wskazuje na mnie kciukiem. — A jak ona teraz wygląda?

Dzwoni telefon. Przez chwilę myślę, że to mój, ale moje nie grają melodyjki Entertainen Nienawidzę melodyjek w telefonach. Wkurzają mnie tak samo jak muzyczka podczas przełączania na numer wewnętrzny czy elektroniczne dźwięki w windzie. To natychmiastowa dźwiękowa lobotomia. Wykrzywiam twarz z obrzydzeniem, kiedy Jimmy przykłada motorolę do ucha.

— Tak? — mówi. Tępy wyraz jego twarzy zmienia się, rozjaśnia. — Cześć. Co słyhać, stary? Tak...? Już jutro? O której godzinie?

Widzę, jak twarz Stefa zastyga w uważnym napięciu. Na stole Furbies nadal wymachują krótkimi skrzydłami i trzepoczą powiekami.

— Pewnie. Tak. Na razie. — Jimmy kończy rozmowę i wsuwa motorolę z powrotem do kieszeni. Niepokoi mnie coś w jego zachowaniu.

— Jutro? — powtarza Stef.

— Tak. O wpół do pierwszej — potwierdza Jimmy.

— Kurczę, nie mogę być w domu o wpół do pierwszej. Dlaczego nie dałeś mi z nim pogadać?

Jimmy macha ręką, jakby się opędział.

— Spokojnie. Będę w domu. Mogę to załatwić. Stef kiwa głową i siorbie piwo.

„Co możesz załatwić?” — chcę zapytać. Ale wiem, że nie warto naciskać na Jimmy'ego.

Na stole pojawia się moja buna z jagnięciny. Właściwie, to nie jagnięcina — dali mi kurczaka, ale nie chce mi się składać reklamacji.

Furbies wyglądają tak, jakby za chwilę miały zacząć kopulować.

— Udało wam się opchnąć resztę? — pytam.

— Nie — odpowiada Jimmy. — Problem w tym, że to stary model. Nikt już ich nie chce. Wszyscy szukają teraz młodych, nazywają się Tweenies czy Dweenies, czy jakoś tak.

— Oszukano nas — dodaje Stef.

— Och, rzeczywiście? Co za niespodzianka. — Próbuję ukryć sarkazm, ale i tak go słychać. Furbies na stole dostają teraz kompletnego fioła.

— Patrz — mówi Stef. — To się dzieje, jeśli zostawiasz je zbyt długo razem. Odbija im.

Kiedy pierwszy raz ujrzałam Stefa, dwaj goście gonili go wzdłuż South Bank. Obydwaj byli co najmniej dwa razy więksi niż on. Stałam na parkingu i schylałam się za samochodem, żeby sprawdzić lewe tylne koło, bo myślałam, że złapałam gumę. Uniosłam głowę i zobaczyłam tę chudą postać, wymachującą rękami, z czerwoną twarzą, szalonym wzrokiem, pędzącą na mnie z krzykiem.

— Chcą mnie zabić. Chcą mnie zabić!

W pierwszej chwili nie zauważyłam tamtych dwóch. Było niedzielne popołudnie, a w amfiteatrze przed Festival Hall James Taylor Quartet grali motyw z filmu *Star sky and Hutch*. Tłumy ludzi przytupywały i falowały w rytm muzyki. Potem jednak ujrzałam dwa łyse łby, przedzierające się przez ciżbę, ujrzałam wściekłość, która czała się w ich kaprawych oczach, usłyszałam stuk butów na schodach i na chodniku.

Drobny blondas zatrzymał się przy mnie. Zgiął się wpół, dysząc i kaszląc. Wyglądał tak, jakby z wysiłku miał nagle zwymiotować.

— Proszę... — wykrztusił, ale zdołał powiedzieć tylko tyle. Otworzyłam drzwi taksówki.

— Wsiadaj.

Ten głupi gnojek śmiał się i pokazywał wystawiony środkowy palec łysym łbom, kiedy ruszyliśmy.

— Dokąd jedziemy? — zapytałam, kiedy oddaliliśmy się od ścigających.

— Do Maida Vale.

Przez całą drogę rozmawiał przez telefon. Próbowałam coś podsłuchać, ale dookoła panował taki zgiełk, że nie mogłam zrozumieć ani słowa. Chciałam zapytać, dlaczego go ścigali, ale zdawało mi się, że nie chce, by mu przeszkadzać, a poza tym był zajęty rozmową.

Kiedy zbliżyliśmy się do celu, kazał mi skrócić dwa razy w prawo, a potem w lewo, i zatrzymaliśmy się przed eleganckim blokiem z lat dwudziestych. Sprawdziłam licznik.

— To będzie dziesięć sześćdziesiąt.

Zauważyłam panikę na jego twarzy i zablokowałam drzwi, zanim sięgnął do klamki. Powinnam domyślić się, że będzie próbował zwać, ale byłam zaintrygowana sytuacją i nie chciałam, żeby dopadły go te osiłki. Kiedy jeżdżę w dzień, nie spodziewam się takich sytuacji, więc pewnie nie jestem dość ostrożna. Pasażerowie na gapę zdarzają się zazwyczaj w nocy.

— Tak mi dziękujesz za to, że uratowałam ci skórę?

— Przepraszam. To nie jest tak, jak myślisz. Nie planowałem tej sytuacji.

Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

— Ile masz przy sobie?

— Cóż... — Zaczął przetrząsać kieszenie. Uśmiechnął się bezradnie, a blond włosy opadły mu na oczy.

— Jedziemy do bankomatu?

— Nie wziąłem karty. Zostawiłem ją w domu... Może pozwolisz mi wysiąść i przynieść ją...

Czy ten mały śmieć naprawdę myślał, że urodziłam się wczoraj?

— Widzę, że mamy problem. Zastanawiam się, jak chciałeś mi zapłacić.

Gość wił się żałośnie.

— Problem w tym, że musiałem zostawić całą kasę, uciekając przed tamtymi facetami.

Byłam bardziej rozbawiona niż zdenerwowana, ale nie chciałam mu tego pokazać.

— Słuchaj, Blondi, jak z tobą skończę, będziesz żałował, że nie zostawiłam cię tym oprychom.

— Zaraz, jak możemy to... eee... jak się dogadamy? Może zadzwonię? Poproszę kogoś, żeby przyniósł forszę.

— Myślisz, że mam tyle czasu, żeby siedzieć tu z tobą przez cały dzień?

— Nie, ja... eee... rozumiem, że twój czas jest bezcenny.— Nerwowo drapał się po głowie i patrzył za okno. Wyraźnie żałował, że nie jest na zewnątrz, zamiast siedzieć ze mną w zamkniętej taksówce, — Widzisz... — kontynuował — kupuję dobry towar od kierowców takich jak ty. Prawdę mówiąc, właśnie beztrosko, nie podejrzewając niczego, robiłem zakupy, kiedy ci dwaj wysocy dżentelmeni obrazili się i postanowili pokroić mnie na kawałki...

— Co dokładnie kupowałeś?

— Koralikowe pokrowce na fotele. Mam ich więcej w mieszkaniu. Ale chyba nie chciałabyś zatrzymać takiego pokrowca zamiast... Nie, widzę, że nie jesteś zainteresowana.

Kiedy mówił, od czasu do czasu słyszałam akcent, który nie pasował do podejrzanego handlarza. Widziałam coś dziwnego w kształcie szczęk, w jego ustach, w podbródku. Ten cockney* był w rzeczywistości czystej krwi absolwentem szkoły publicznej, dzieckiem bogatych rodziców.

* **Cockney** — slangowe określenie rodowitego mieszkańca wschodniej części Londynu, uważanej za najbiedniejszą i najbardziej niebezpieczną.

Byłam tego pewna w dziewięćdziesięciu pięciu procentach.

— A co powiesz na zapłatę w naturze? — zachichotał nerwowo.

— W porządku.

— Co? — Wyglądał na przerażonego.

Później dowiedziałam się, że mieszkanie należało do jego matki. Przeprowadziła się do Suffolk ze swoim nowym mężem, ale pozwalała mu tam mieszkać, bez czynszu, dopóki dom nie został sprzedany. Na kominku w salonie stało zdjęcie jego matki z nowym mężem. Wyglądała trochę jak moja matka. Parę tygodni później, w „The Crocodile”, Steve Ambley opowiedział mi zasłyszaną historię o Fredzie Zeffym. Fred nadal jeździ, ale przede wszystkim zajmuje się handlem na targowiskach. Ma z tego więcej kasy niż z taksówki. Przechadzał się po South Bank, kiedy jakiś głupi cwaniaczek zaczepił go, pytając, czy nie chce kupić koralikowych pokrowców na fotele. Na nieszczęście Fred rozpoznał pokrowce jako część łupu skradzionego wcześniej w tym samym tygodniu z jego taksówki. Zabrano mu nie tylko pokrowce. Podczas tego włamania stracił rzeczy o wartości dwóch tysięcy funtów. Fred pojechał do garażu, żeby zwołać kumpli, ale kiedy z nimi wrócił, chłystkowi udało się uciec. Zostało po nim tylko parę pokrowców wyrzuconych na śmietnik.

Leżąc na łóżku, Stef sięga po butelkę jacka danielsa. Znajduje ją bez trudu, chociaż jest całkiem ciemno. Pociąga łyk i podaje mi. Woda ognista. Rozgrzewa mnie, rozwiązuje mi język.

— O co chodziło w tej rozmowie, Stef? Co się dzieje?

— Nie chciałabyś wiedzieć.

Szkoda, że światło jest zgaszone i nie widzę jego oczu.

— Chciałabym.

— Czy mogę zachować parę tajemnic dla siebie? Ty masz ich o wiele więcej.

— Nieprawda. Po prostu jestem tajemniczą dziewczyną.

— Tak, tak, K.

— No, Stef, powiedz mi. Czy to ma coś wspólnego z winem?

— Eee... tak, właśnie o to chodzi. Nawet nie muszę patrzeć mu w oczy.

— Kłamiesz. — Podaję mu jacka danielsa. Pije jeszcze jeden łyk. —

Powiedz mi prawdę, Stef.

Słyszę, jak wzdycha.

— W porządku. Zdradzę ci sekret w zamian za sekret.

— Dobrze... Ty pierwszy.

Znów podaje mi whisky, odchrząkuje, żeby przeczyścić gardło, opóźnia moment prawdy.

— To zupełnie inny biznes — mówi wreszcie. — Bardzo lukratywny. Maksymalny profit osiągnięty minimalnym wysiłkiem.

— Co musisz zrobić?

Cisza. W pokoju jest tak ciemno, że nie mogę rozróżnić kształtów, chociaż oczy już przyzwyczyły mi się do mroku. Czuję, że moje źrenice są tak rozszerzone, że wychodzą mi z orbit. Ciemność ma ciężar i barwę — fioletową.

— Pewien facet przychodzi tu i zostawia pieniądze. Trzymamy je przez tydzień. Potem wraca i odbiera gotówkę. My dostajemy prowizję.

— Jaki facet? He przynosi pieniądze?

— Różnie. Jutro będzie chyba ponad milion. Następnym razem pewnie jeszcze więcej.

— Ile z tego dostajecie?

— Dziesięć tysięcy do podziału między nas trzech. Nagle wszystko wiruje. Muszę na coś spojrzeć, zatrzymać

wzrok, ale ciemność spowija wszystko dookoła. Pociągam jeszcze jeden łyk jacka danielsa i kaszlę.

— Chryste, Stef! O co tu, kurwa, chodzi?

— Ćśśś. Nie krzycz. Nie wiem.

Macam wokół, szukając włącznika światła, ale nie mogę go znaleźć. Nie kontroluję swojego głosu.

— Stef, powinieneś trzymać się od tego z daleka... To musi być jakieś wielkie gówno! Dlaczego ktoś miałby płacić wam dziesięć tysięcy za przechowanie pieniędzy? Dlaczego sam nie może ich trzymać? Kim są ci ludzie?

— Nie wiem. Eddie ich zna.

— Stef, jesteś kompletnym dupkiem!

Skrzypi deska w podłodze na korytarzu. Stef kładzie mi rękę na ramieniu i natychmiast się zamykam.

— Halo? — woła Stef.

— Steven, załóż knebel i zachowaj swoje prywatne sprawy do jutra — słyszę znajomy głos. — Niektórzy z nas próbują spać.

— Dobra, Eddie. Przepraszam, stary. — Podłoga znów skrzypi, kiedy Eddie odchodzi.

Odczekuję prawie całą minutę.

— Myślisz, że słyszał?

Słysząc pstryknięcie i światło zalewa pokój. Stef włączył lampkę po swojej stronie łóżka. Widzę niepewność na jego twarzy, kiedy odwraca się do mnie i szepcze:

— Co ty chcesz zrobić, K? Nie, nie wydaje mi się, że słyszał. Wiem, że słyszał.

— Stef, przepraszam. Naprawdę. Przecież nie chcę, żebyś pokłócił się z Eddiem, ale...

— Hej. — Wyciąga rękę, żeby mnie uciszyć. Setki pojedynczych, naelektryzowanych włosów sterczą wokół jego głowy jak puszysta złota korona. Jego twarz jest teraz łagodna. Głaszcze moją pierś. — K, musisz zrozumieć, że tym się zajmuję. Dobrze wiem, co robię. Jeśli będziesz się tak zachowywać, to nic więcej ci nie powiem. Proste, prawda? Chciałaś wiedzieć, więc zdradziłem ci swoją tajemnicę.

Waham się. Chcę zapytać o więcej szczegółów, ale straciłam szansę.

— OK.

— Dobrze—mówi i znów się uśmiecha. — Teraz twój sekret.

— Och, Stef...

Całuje mnie. Wdycham przyjemny atramentowy zapach.

— K, dlaczego ostatnio jesteś taka smutna? Dzieje się coś złego. Widziałem to poprzednim razem, kiedy przyszłaś, i dzisiaj znów to widzę.

— Nie wiem, o czym mówisz.

—: Wiesz. — Jego oczy są tuż przy moich. Mają bladobłękitny kolor.

— Daj mi jeszcze trochę jacka danielsa. Pozwala mi się napić i odbiera butelkę.

— Chodzi o moją matkę.

— O twoją matkę?

— Tak. Zbliża się rocznica jej śmierci. Czuję, że prześladowuje mnie jej duch.

— To znaczy, że jest zjawą czy coś w tym stylu? — Wygląda na zdziwionego.

— Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Po prostu ta pora roku tak na mnie działa. Tylko tyle. Nie ma żadnego wielkiego sekretu.

Stef dotyka dłonią mojego policzka i zostaje w tej pozycji.

Sen jest dla mnie niebezpieczny. Nie mogę już ufać swojemu umysłowi. O wpół do szóstej rano znów jestem w drodze. Wilgotne dłonie ślizgają się na kierownicy, mam sucho w gardle, a w oczach czai się szaleństwo, do tego stopnia, że boję się własnego odbicia w lustrze. Często, kiedy śni mi się koszmar, pędzę do Stefa, żeby zrobił mi kojący masaż, ale dzisiaj wyczołguję się z łóżka i uciekam jak najdalej. Może nie chcę go budzić po długim wieczorze, kiedy wymienialiśmy sekrety, a może po prostu chcę być sama w trasie. Kolor rozdziera mi mózg niczym wstrząs elektryczny, szarpie mi nerwy, przypala zmysły. Przysięgam, że kiedy wyrwałam się ze snu, czułam zapach spalenizny.

Mam zgaszoną lampkę, ale i tak zatrzymuję się przy jakiejś dziewczynie przed Tower Bridge. Kiedy opuszczam okno, widzę cierpienie w jej rozmazanych oczach.

— Podwiesz mnie do Pimlico?

Ma zmęczony głos.

Potakuję ruchem głowy, ona zaś wsiada i odjeżdżamy.

Dziewczyna jest wystrojona jak do klubu — nosi maleńkie, ciasne szorty i kusą koszulkę. Jest klubowiczką albo prostytutką. Ma niewiele lat. Kuli się w kącie samochodu i wyciera nos w rękaw. Ktoś ją zdenerwował. A może jest na „zejściu” po narkotykach?

Nie zatrzymuję się przy każdej przypadkowej osobie, a na pewno nie wtedy, gdy próbuję otrząsnąć się z koszmaru. Już chciałam ją ominąć, kiedy wyczułam w niej coś dziwnego. Wyczułam desperację.

W nocy ludzie są jakby nadzy, odkryci. Widać, co kryje się pod eleganckim garniturem, pod starannym, wystudiowanym uśmiechem, pod wypolerowaną powłoką. Można wtedy na mgnienie oka ujrzeć skrawki ich historii — prawdziwych historii. Rzut oka wystarczy. Wysadzam dziewczynę przy jednym z dużych, białych domów na Bessborough Street. „Chyba jednak dziwka” — myślę. Jak inaczej mogłaby sobie pozwolić na

taki dom? Czekam, aż znajdzie klucz i wejdzie do środka. Potem jadę do „The Crocodile”.

— Opada mgła — mówię na powitanie. Wieszam kurtkę na oparciu krzesła i siadam.

— Cześć, Kathryn. — Winnie jest podejrzenie niepewna siebie. Patrzy nad moim ramieniem. Odwracam się, ale oczywiście nikt za mną nie stoi.

— Jak tam twój kaszel?

— Och, o wiele lepiej. Dziękuję. — Nadal się rozgląda.

— Stało się coś złego, Win?

— Złego? — Teraz zdaje się jeszcze bardziej osłupiała. — Skądże. A miało się stać?

— Dwa jajka, dwa tosty z białego chleba, kawę i jeszcze jedną herbatę dla Winnie, proszę! — wołam w stronę Keva. W barze jest cicho. Big Kev wyciera stoły w kącie starą, brudną ścięgą.

Winnie siorbie herbatę. Dopiero teraz widzę, że na stole stoi jeszcze jedna filiżanka z nie dopitą kawą. Chcę zawołać Keva, żeby posprzątał, ale w porę widzę minę Winnie. Nie patrzy mi w oczy, tylko na stół.

— Win...

Po prawej stronie otwierają się drzwi toalety.

— Kathryn, jak miło! Co ci się stało w oko?

— Co ty tutaj robisz?

Craig Summer wygładza oliwkowy krawat, obciąga czarną marynarkę, sprawdza, czy zapiął rozporek, puszcza wahadłowe drzwi toalety, które same się zamykają, i uśmiecha się jak Święty Mikołaj. W oczach migają mu radosne ogniki.

Podchodzi do naszego stolika, siada na wolnym krześle przy Winnie i sięga po kawę.

— Co za zabawny zbieg okoliczności...

— Nie próbuj mi wmówić, że to przypadek! — Patrzę na Winnie, która nagle pąsowieje. — Co tu się dzieje, stara jędzo?

Winnie otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Oczko ją uprzedza:

— Oczywiście, masz trochę racji, Katerina. To nie przypadek. Przynajmniej niezupełnie. Akurat byłem w okolicy, więc...

— Akurat byłeś w okolicy? O szóstej rano? Śledzisz mnie? O to chodzi?

— Nie bądź śmieszna — odpowiada i woła w stronę Keva: — Mogę poprosić jeszcze jedną kawę?

Postanawiam nie zwracać na niego uwagi.

— Winnie?

Winnie nic nie mówi. Wygląda na wkurzoną że nazwałam ją starą jędzą. Odwracam się z powrotem do Oczka.

— Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

— Sama mi powiedziałaś podczas kolacji w „Club Gascon”. Mówiłaś, że często wpadasz do baru dla taksówkarzy o nazwie „The Crocodile” w Pimlico. Dzisiaj wracałem do domu i zauważyłem ten bar. „The Crocodile” to charakterystyczna nazwa. Zajrzałem więc, żeby spróbować szczęścia.

— Logiczne, nie? — kończy za niego Winnie, potakując ruchem głowy.

— Martwiłem się o ciebie, Katerina. Świetnie się bawiłem przy naszej wspólnej kolacji. Ale kiedy zadzwoniłem następnego dnia...

— W porządku, już wystarczy. — Boli mnie głowa, resztki koloru nadal czają się w zakamarkach mojego umysłu. — Kev, rezygnuję ze śniadania.

— Co? — dobiega mruk z zaplecza. Wstaję i sięgam po kurtkę.

— Nie rób mi nic do jedzenia, Kev. Już nie jestem głodna.

— Dokąd idziesz? — Winnie jest zdumiona.

— Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

— Ale on czekał na ciebie ponad godzinę!

— A czy ja go o to prosiłam? Wychodząc, słyszę, jak Oczko mówi:

— Niech idzie, Winnie.

Jego słowa wkurzają mnie bardziej niż cokolwiek do tej pory.

Zostawiam taksówkę na parkingu i idę pieszo nad Tamizę. Drzę z zimna, ale jestem zadowolona. Nad rzeką mogę oddychać swobodniej, a bardzo potrzebuję poodychać. Niebo — zamglony szary fiolet przedświtu — zaczyna mieszać się z kolorem z koszmaru, rozplywa się jak farba, wtapia się w tło, z którym mogę się psychicznie uporać.

Po paru minutach spaceru słyszę, że ktoś sapie za moimi plecami. Odwracam się i widzę, że Oczko biegnie po chodniku, potem zatrzymuje się, dysząc.

— Nie zrozumiałaś aluzji? Nie widziałeś, że chcę zostać sama?

Oczko próbuje złapać oddech, ale nie może.

— Co jest, Craig?

Nadal sapiąc, sięga do kieszeni i wyciąga coś brzęczącego. Podaje mi przedmiot. Moje kluczyki.

— Cholera. — Czuję, że się czerwienię. Biorę kluczyki. — Dzięki. Ale nie możesz mnie winić za to, że myślę...

— Wiem — mówi, kiedy wreszcie odzyskuje oddech. Jest w kiepskiej formie, wymięty, zaniedbany, trudno mu utrzymać się w prostej pozycji. Wygląda na smutnego.

Łagodnieję.

— Słuchaj, idę na spacer nad brzegiem rzeki. Chcesz przejść się ze mną?

— Chętnie.

Idziemy w milczeniu, aż docieramy do wody. Stoimy przez chwilę, patrząc na Westminster Bridge, na Parlament, słuchamy szumu West Endu, budzącego się do życia. London Eye* góruje na scenerią.

* **London Eye (Londyńskie Oczko)** — nazwa stojącej nad Tamizą największej na świecie karuzeli — diabelskiego młyna.

Przy nim nawet Big Ben wygląda jak karzeł. Oczko sięga do kieszeni po papierosa, wkłada go do ust, ale nie ma zapalniczki. Kiedy patrzy na mnie, spodziewam się, że poprosi o ogień, ale widzi moją minę, więc wzrusza ramionami i wkłada papierosa z powrotem do pudełka. Idziemy dalej. Towarzyszy nam stuk metalowych podkówek jego butów.

— Skąd masz tego sińca pod okiem? — pyta nagle.

— Ktoś mnie uderzył. Przyjaciel. Był pijany.

— Czy to ten facet, który odebrał telefon?

— Co Winnie ci naopowiadała? — Nie odrywam wzroku od rzeki.

— A więc to on. Winnie nic mi nie powiedziała. Przepraszam, Kathryn. Nie chciałem narobić ci kłopotu z twoim chłopakiem.

— On nie jest moim chłopakiem. — Słowa wymykają mi się szybko, bez zastanowienia. Prawda, ale nie do końca.

Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyśla. Wiem, co się dzieje, chociaż na niego nie patrzę.

— Kim jest Marianne? — pytam.

Mam go. Staje jak wryty, a ja w końcu pozwalam sobie na krótkie spojrzenie w jego stronę. Cieszę się, że udało mi się go zaskoczyć.

— Skąd wiesz o Marianne? Ha! Punkt dla mnie.

— W twoim domu widziałam kartkę z życzeniami.

— Ach. — Znów widzę błyski w jego oczach. — Trochę tam pomyszkowałaś, co? Cóż, na twoim miejscu pewnie bym zrobił to samo.

— Kim więc jest Marianne?

— Moją byłą żoną.

— Byłą żoną która odeszła od ciebie, kiedy chciałeś się wybrać z kochanką na Hawaje?

— Nie. Ożeniłem się drugi raz. Potem znów się rozwiodłem. Brak porozumienia.

— Dlaczego zatrzymałeś kartkę? Wzrusza ramionami.

— Nie wiem.

— Człowiek czasami robi dziwne rzeczy, prawda? To znaczy, kiedy jest zakochany.

Patrzy na mnie.

— Już jej nie kocham.

— Och.

Mijamy pijaka, który leży na ławce i śpi. Gołąb siada na jego bucie i wydziobuje śmieci z podeszwy. Pijak nie reaguje. Niebo ma teraz kolor ognistej pomarańczy, blask odbija się w wodzie. Mijają nas taksówki z zapalonymi lampkami. Lampki mają tę samą barwę co niebo. Za kierownicą jednej z taksówek siedzi Danny McKay. Macha do mnie przyjacielsko.

— Śnią ci się czasami koszmary? — pytam. Marszczy brwi.

— Niezbyt często. Od czasu do czasu śnią mi się seryjni mordercy.

— Seryjni mordercy?

— To nie tak, jak myślisz. Za każdym razem jest inaczej, ale te koszmary zawsze są wersją jednego schematu: że ich ścigam. Muszę ich ścigać, łapać, obezwładniać i przytrzymywać, zanim pojawi się policja. Leżę na jakimś szaleńcu z nożem, który rzuca się i wyrwa ile sił. Przygniatał go do ziemi. Próbuję go powstrzymać. Kiedy się budzę, jestem fizycznie wykończony.

— Jezu...

Mruczy pod nosem coś, czego nie słyszę. Zdaje się, że powiedział „demony duszy”. Znów sięga po papierosy i tym razem znajduje zapalniczkę.

— Przepraszam, próbuję się pozbyć nałogu, ale rano jest najgorzej.

Powstrzymuję się, żeby nie robić mu wykładu o zdrowiu i kondycji. Zamiast tego opowiadam mu o swoim koszmarze.

— Mnie śni się kolor. Kolor niepodobny do żadnego innego. Nie ma go w spektrum. Wypełnia mi umysł i śmiertelnie przeraża.

Unosi brew, wydmuchując dym.

— Jak wygląda ten kolor?

— Trochę jak różowy, ale niezupełnie. Może bardziej zielony... Czasami zdaje mi się, że to złamany niebieski.

Mijamy „Tattershall Castle”, pub stylizowany na statek.

Na południowym brzegu zapalają się światła w wielkich betonowych segmentach, z których zbudowano Festival Hall.

— Jest zbliżony do szarego, takiego jak ściany Festival Hall... — zastanawiam się na głos.

— Jesteś zwariowana—mówi. — Jak może śnić ci się kolor, którego nie ma? Wszystkie barwy wynikają ze spektrum. Musi gdzieś istnieć. Trzeba tylko wykombinować, z czego się składa.

— Nie ma go w spektrum! To kolor wnętrza mojej głowy. Jak możesz mi wmawiać, że wnętrze mojej głowy wynika z jakiegoś spektrum? To po prostu coś zupełnie innego. I bardzo się tego boję.

Przyspieszam, mijam ponury most Hungerford i stację metra Embankment, zostawiając go z tyłu.

— Przepraszam, Katerina. Nie chciałem...

— Nie nazywaj mnie tak!

Siedzimy z Oczkiem we włoskiej kawiarni-sklepie-piekarni niedaleko Oxo Tower. To jego ulubione miejsce. Mówi, że pieką tu najlepsze rogaliki w mieście, i proponuje mi śniadanie. Wrócił mi apetyt, głośnie burczy mi w brzuchu, więc nie zastanawiam się, czy odmówić. Kawiarnia przed chwilą została otwarta, jesteśmy dzisiaj pierwszymi klientami. W powietrzu unosi się zapach wybielacza i smażonego bekonu. Siadamy w zacisznym kącie, przy stoliku nakrytym obrusem w biało-zieloną kratę i pochylamy się nad menu ze specjalnościami zakładu. Trzy puszyste Włoszki, które prowadzą to miejsce, układają na oszklonej ladzie pojemniki z różnościami do kanapek. Drobną dziewczyną, która nas obsługuje, gwizdże Star Spangled Banner, zapisując zamówienie. Chyba robi to bezwiednie.

Rogaliki są smaczne, ale nie nazwałabym ich najlepszymi w mieście. Oblizuję palce i sięgam po masło.

— Powiedz mi, Oczko, czym się właściwie zajmujesz? — pytam.

Macha ręką jakby się opędzał.

— Och, nie rozmawiajmy o tym. Moja praca jest zbyt nudna.

— Ale naprawdę chcę wiedzieć. Tyle razy pytałeś o mnie. Jediną rzeczą, jaką chcę wiedzieć o tobie, jest twoja praca.

Oczko drapie się po głowie. Wygląda tak, jakby ktoś złapał go w pułapkę.

— Mam własny biznes. Coś w rodzaju PR. W tej chwili pracuję nad organizacją międzynarodowej konferencji dla producentów wykałaczek.

— Rozumiem.

— Tak. Uprzedzałem cię, że to nudny temat, ale nalegałaś.

— Siorbie cappuccino.

— Nie taki nudny jak jeżdżenie taksówką — mówię z pełnymi ustami, ale głos w głowie ostrzega: „on kłamie”. Jestem tego pewna. Może zdradza go pudełko wykałaczek, leżące na stole — w takim razie jest kiepskim kłamcą. Może chodzi o to, że nazwał swoją działalność „czymś w rodzaju PR” — chyba niewiele osób ma takie niejasne pojęcie o tym, co robią. A może sprawia to ogólna niechęć Oczka do opowiadania o sobie.

— Chciałbym zabrać cię na jeden dzień za miasto — mówi.

— Chcę z tobą pojeździć. Założę się, że nieczęsto jeździsz jako pasażerka.

— Nie polecam takiego wariantu. Jestem okropnym pasażerem.

— Mimo wszystko chciałbym spróbować. — Całą twarz ma usmarowaną lukrem z painau-chocolat. Wygląda głupawo i przyjacielsko, ale nagle ten miły uśmiech zdaje się nienaturalny. Dlaczego Oczko kłamie na temat pracy, jeśli nie ma nic do ukrycia?

— No, zgódź się — nalega.

— Nie mogę sobie pozwolić na przerwę. Mam dużo pracy.

— Nie musisz z niej rezygnować. Przywiozę cię do Londynu, kiedy tylko zechcesz. — Obydwoma dłońmi obejmuje filiżankę cappuccino, opiera łokcie na stole, mankiety koszuli wystają spod rękawów marynarki. Nosi spinki. Kto, u diabła, nosi spinki do mankietów w dzisiejszych czasach? Tylko podejrzane typki. — Może w piątek? — pyta. — Będiesz miała czas?

Piątek. Trzynastego. Dzień mszy zorganizowanej przez ojca w intencji mojej biednej nieżyjącej matki. Chudy, siwy mężczyzna, przestępujący z nogi na nogę przed wejściem do kościoła. Nosi ten sam garnitur, który wybierał na wywiadówki w szkole. Wita się z gośćmi, dziękuje, dziwnie zadowolony z siebie, chociaż zrećnie się maskuje. Nic nie zostało z tej roześmianej, roztańczonej, pijanej ginem, nafaszerowanej tabletkami kobiety. Tylko garść popiołu pod ziemią.

Dzwoni telefon — nie mój. Drażniąca melodyjka nokii. Oczko wyciąga komórkę z kieszeni.

— Halo? — Słucha uważnie. Dociera do mnie stłumiony, metaliczny dźwięk głosu po drugiej stronie linii. Oczko kiwa głową marszczy brwi, nieporadnie wstaje. — Tak, zaraz tam będę. Za pół godziny. — Wciska guzik, żeby zakończyć rozmowę.

— Co się stało?

Posyła mi spojrzenie, które mogłoby znaczyć: „Czy my się znamy?” Tak jakby myślami był już na ulicy.

— Craig?

— Muszę już iść—udaje mu się wykrztusić. — Przepraszam.

Po tych słowach pospiesznie rusza do drzwi. Słyszę, że krzyczy coś przez ramię. Mogło to być: „Zadzwoń”, ale równie dobrze mógł powiedzieć coś innego.

Drobna kelnerka podchodzi z rachunkiem. Wielkie dzięki, Oczko.

Pedałuję szybko na jednym z rowerów treningowych, żeby wypocić rogaliki, które zjadłam przed dwiema godzinami. Pozwalam myślom krążyć swobodnie. Klimat siłowni sprzyja takim stanom. Ciało jest zajęte pompowaniem ze wszystkich sił, a umysł może sobie pozwolić na krótki odlot.

Oczko.

Wciąż powtarzam mu, żeby się odczepił. A on zawsze wraca. Kluczem do sukcesu, kiedy żyje się na pięć różnych sposobów jednocześnie, jest poczucie, że ma się nad wszystkim kontrolę. Z nim to nie takie łatwe. Zawsze mnie zaskakuje, więc trudno się z nim uporać. Ale dzięki niespodziankom jest atrakcyjny. Prowokuje mnie, a ja lubię prowokacyjne zachowanie u facetów. To intrygujące.

Maeve zawsze mówiła, że jeśli zatrzyma mnie klient, który opiera się o latarnię, powinnam zaparkować parę jardów dalej, żeby musiał podejść, dzięki czemu będę pewna, czy utrzyma się na nogach. Jeżeli w podejrzaney okolicy zatrzymuje mnie samotna dziewczyna, muszę podjechać wolno, minąć ją, żeby widzieć we wstecznym lusterku, czy w bramie nie czai się grupa wyrostków. Gdy ktoś wsiada do taksówki, to wkracza na moje terytorium. Zawsze trzeba o tym pamiętać.

Dziewczyna, której nie znoszę, wchodzi na siłownię i taksuje mnie wzrokiem. Odpowiadam jej równie natarczywym spojrzeniem. Nienawidzę jej starannie wydepilowanych, łukowatych brwi i jej blond włosów upiętych w kucyk, który trzęsie się przy każdym kroku. Nienawidzę jej drogiego niebieskiego dresu i tego, jak porusza swoją małą, zgrabną dupcią, podchodząc do bieżni. Nienawidzę jej, kiedy robi ćwiczenia rozgrzewające — wykonuje wdzięczne ruchy jak balerina — i kiedy pochyla głowę na bok, nakładając cytrynowożółte słuchawki. Zaczyna delikatnie, z gracją — kobieco i seksownie. Wszyscy mężczyźni podnoszący ciężary na sali patrzą na nią, a ona dobrze o tym wie. Królowa siłowni. Próbuję nie zwracać na nią uwagi i skoncentrować się na ćwiczeniach.

Wszystko opiera się na instynkcie. Jeśli ktoś nie może polegać na swoim instynkcie, nigdy nie zostanie dobrym taksówkarzem. Ryzyko podejmuje się za każdym razem, kiedy wpuszcza się kogoś do samochodu. Mojemu instynktowi nie można nic zarzucić. Mój instykt podpowiada, że powinnam trzymać się z daleka od Craiga Oczka Summera.

Królowna przyspiesza i zaczyna cichutko pojękiwać przy każdym kroku. Jej głos brzmi bardzo sugestywnie. Chłopcy wciąż na nią patrzą i doskonale wiem, o czym myślą.

Sę w tym, że byłoby fajnie wyjechać w piątek z Oczkiem — pozwolić, żeby mnie wioził, zabawił, zabrał na obiad lub do baru. Bez stresu, bez problemów, bez myślenia o mszy. Gdybym tylko mogła przejąć nad nim kontrolę... Oczywiście, mogę to zrobić. Przecież jest zwykłym facetem...

Wracam myślami do siłowni i roweru. Pedaluję od dwudziestu pięciu minut. Czas zejść. Zwalniam i obserwuję cyfry na prędkościomierzu, zmniejszające się do zera. Potem zsuwam się z siodełka i spokojnie podchodzę do bieżni koło pojękującej blond królowej. Czas skopać komuś tyłeczek!

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Wtorek, dziewiętnasta trzydzieści. Przed chwilą wyszłam z centrum rzeczy znalezionych w Biurze Transportu Publicznego na Penton Street, gdzie sprawdziłam, czy ktoś zgłosił się po discmana Sony, którego oddałam w ręce policji przed trzema miesiącami. Już go nie było. Szkoda — podobał mi się. Staję na chwilę, żeby odsłuchać wiadomości, zanim ruszę do dalszej pracy.

*

Różowy telefon — Amy: Cześć, Kathy, to ja. Jest wtorek wieczorem. Bardzo chcę się z tobą spotkać. Może przyjedziesz do mnie rano, kiedy skończysz pracę? Zostawię klucz pod doniczką na zewnątrz. Możesz sobie otworzyć i wśliznąć się do łóżka. Czy nie byłoby słodko?

*

Niebieski telefon — Joel: Cześć, Kat, przepraszam, że tak długo się nie odzywałem. Chcę ci tylko powiedzieć, żebyś się o mnie nie martwiła. Wszystko jest w porządku. Sprawdziłem swój kalendarz spotkań i mogę cię wcisnąć w czwartek o drugiej. OK?

*

Żółty telefon — Stef: K, dlaczego uciekłaś? Okropnie jest zasypiać ze swoją kobietą a budzić się w pustym łóżku. Jestem nieźle upalony. Wszystko w porządku, kochanie?

Zielony telefon — Richard: Witaj, Kitty, to ja. Chyba już nie leżysz w łóżku z grypą, prawda? — Dotty, nie teraz, tatuś rozmawia przez telefon. — Dotty, przestań, bo go stłuczysz! Zaraz go... —No, świetnie... Przepraszam, Kitty, muszę kończyć. Dotty właśnie zbiła mój...

*

Czerwony telefon — Jonny: Katy, proszę, przyjedź. Nie zostawiaj mnie tak. Już nie wiem, co robić, żeby było lepiej. Proszę, Katy, błagam cię.

*

Budzi mnie nie ustające stukanie. Leżę pod ciepłą kołdrą, a kiedy otwieram oczy, słońce świeci mi prosto w twarz. Pościel pachnie cudownie czysto i świeżo. Stukanie ustaje.

— Och, a więc już się obudziłaś — dobiega czyjś głos. Ach, tak. Jestem u Amy.

— Może. — Wyglądam spod kołdry.

Amy siedzi przy komputerze i pisze. Ma na sobie obcisłe dzinsy i ładny brązowy sweter z kaszmiru. Odwraca się i uśmiecha, a do mnie wracają

wspomnienia seksu, który uprawialiśmy przed paroma godzinami, kiedy przyjechałam. Usiadłam na słodko pachnącym łóżku, na którym Amy leżała naga, odwrócona twarzą do ściany. Dłoń z leciutko zgiętymi palcami położyła pod głową. Siedziałam przez chwilę, patrząc, jak śpi. Ma piękne, smukłe plecy. Po paru minutach poczułam, że muszę pochylić się i ją pocałować — między ramionami, wzdłuż kręgosłupa, aż do pupy. Potem pocałowałam ją w nieskromnym miejscu, na co obudziła się i wypięła jeszcze bardziej, żeby lepiej poczuć moje usta.

Kiedy Amy pojawiła się na przyjęciu, powiedziała wszystkim, że pisze dla „Up West”, ale nie wspomniała, że jej kolumna to MuffMatters. Myślę, że sami powinniśmy się tego domyślić.

Jaki dziennikarz byłby poważnie zainteresowany imprezą, na której dwustu taksówkarzy tłoczy się w dusznej salce, popijając ciepłe chardonnay i chrupiąc chipsy, podczas gdy jakiś gość ze Związku Londyńskich Taksówkarzy dziękuje wszystkim za ciężką całoroczną pracę i wręcza czek przewodniczącemu organizacji charytatywnej?

Prawdę mówiąc, sama też nie wiem, co tam robiłam. Zgodziłam się na parę darmowych kursów — zawiozłam opóźnione w rozwoju dzieci na wycieczkę do Margate i temu podobne rzeczy. Zrobiłam to przede wszystkim dlatego, że słyszałam plotkę, iż jedynymi kobietami, które udzielają się w działaniach charytatywnych, są żony byłych taksiarzy. Warto wszystkim pokazać, że w tym fachu są też kobiety i że odgrywamy ważną rolę — nie jako kumoszki z komitetu, tylko jako kierowcy. To nie znaczy, że ostatnio oddawałam się działalności charytatywnej. Nie mam na nią czasu... Ale wtedy nie miałam tak napiętego planu — martwiłam się tylko o Jonny'ego i Richarda.

Poszłam na przyjęcie z Winnie, ale po wstępnej przemowie zgubiłam ją w tłumie. Kiedy próbowałam ją znaleźć, ujrzałam piękną krągłą pupę w białych lewisach. Właścicielka pupy pochyliła się, żeby wyciągnąć coś z torebki. Wyprostowała się i zobaczyłam lśniące rude włosy (wtedy były długie), smukły kark, wiotką talię. Ta dziewczyna nie wyglądała na taksiarke — większość z nich jest albo przysadzista, albo bardzo drobna, rzadko zdarza się kompromis. Rozmawiała z Jenny Farrow ze szkoły wieczorowej Knowledge. Zauważyłam mikrofon i urządzenie do nagrywania na minidysk, więc domyśliłam się, że jest z prasy. Jenny zobaczyła mnie i machnęła ręką na powitanie, a ładna dziennikarka odwróciła się, żeby spojrzeć. Na

początku nie mogłam uwierzyć, kiedy otaksowała mnie wzrokiem, mierząc uważnie od stóp do głów.

Teraz nie jestem pewna, czy nie przesadzam, ale wtedy mogłabym przysiąc, że poczułam dziwne mrowienie między nogami.

Nagle Jenny odwróciła się, żeby porozmawiać z kimś innym — pewnie szukała pretekstu, by uciec od dziennikarki. Ta zaczęła przeciskać się przez tłum w moją stronę.

Spanikowana, rozglądałam się, rozpaczliwie szukając Winnie, lecz ujrzałam tylko jej plecy, kiedy wychodziła z sali. Ruszyłam za nią, ale poczułam dłoń na ramieniu i już wiedziałam, że to ta dziennikarka.

— Piszę artykuł do magazynu „Up West” — powiedziała. Miała zalotne zielone oczy i naprawdę szelmowski uśmiech. — A ty wyglądasz tak, jakbyś chciała udzielić wywiadu.

— Naprawdę? — Wcale nie chciałam. Wolałabym być jak najdalej od tego miejsca, pojechać do Jonny'ego albo do Richarda. Miałam wtedy tylko dwóch kochanków, którym poświęcałam dużo czasu. Wiedziałam, co mnie z nimi łączy. Chodziło o wsadzenie penisa do waginy. Prosto i bez komplikacji.

— Nie, właściwie to nieprawda. — Wyjęła kieliszek z mojej dłoni, dopiła resztę wina, wykrzywiła się z niesmakiem i odstawiła kieliszek na stół. — Prawdę mówiąc, wyglądasz jak ktoś, kto wie, jak pieprzyć się z kobietą. Pieprzyć się ze mną.

Później, w łóżku, przeprowadziła ze mną wywiad. Kiedy zapytała, jakie są największe problemy przeciętnego taksówkarza, odparłam:

— Nuda i samotność.

— Mogę ci w tym pomóc — odparła.

— Droga Zazdrosna z Leicester — czyta Amy na głos, stukając w klawiaturę. — Wcale nie jesteś głupia. Jak myślisz, dlaczego po świecie krąży tyle dowcipów o teściowych? Tylko dlatego, że większość ludzi boryka się z tym samym problemem. Chociaż to może ci się wydawać dziwne, matka twojego chłopaka na pewno boi się, że odbierasz jej synka. Postrzega cię jako konkurentkę. Możesz być pewna, że będzie wami manipulować tak długo, aż zmusi cię do zdecydowanego działania.

Kołdra jest za cienka, by stłumić jej słowa.

— Czy naprawdę muszę tego słuchać? Amy kontynuuje, nie zniechęcona:

— Może powinnaś poświęcić więcej czasu na poznanie matki swojego chłopaka — tylko ty i ona, bez niego. Czy chodzi do kina albo do teatru?

Gra w bingo? Musi być coś, co możecie robić wspólnie, co was zbliży. Zaciśnij zęby i zrób to. Może nie będziesz się czuła swobodnie w jej towarzystwie, ale wysiłek na pewno się opłaci.

OK, jeśli chce konfrontacji, to będzie ją miała. Siadam, opieram się o metalowe wezglowie łóżka.

— Amy, czy dwa tygodnie temu byłaś w cyrku w Finsbury Park?

— Myślę, że powinnam poznać twoją matkę — oświadcza Amy. Robi zdecydowaną minę. Ma nade mną przewagę, bo nie śpi już od dawna, a ja dopiero wstałam.

— Byłam w cyrku z przyjaciółmi i mogłabym przysiąc, że cię tam widziałam.

— Czy swoich chłopaków przedstawiałaś matce? Czy to dlatego, że jestem dziewczyną?

— Jezu. Która w ogóle jest godzina?

— Minęła dziesiąta.

— O Boże. Spałam tylko cztery godziny!

— Droga Stello — czyta Amy ze skrawka różowego papieru. — Jesteśmy razem z moim chłopakiem od ponad roku. Naprawdę się kochamy i zawsze byliśmy szczęśliwi, ale teraz boję się, że może nas rozdzielić zazdrość. Jego była dziewczyna niedawno wróciła z podróży do Indii. Wiem, że się rozstali z powodu jej wyjazdu, więc boję się, że mnie porzuci, by do niej wrócić. Zawsze, kiedy wychodzi, żeby spotkać się z kolegami, mam obsesję, że poszedł zobaczyć się z nią. Próbowałam porozmawiać z nim o moich uczuciach, ale zawsze powtarza, że pragnie tylko mnie. Wiem jednak, że jego cierpliwość się kończy. Mówi, że powinnam mu ufać, więc dlaczego tak się martwię? Twoja Paranoiczka z Doncaster.

Pocieram oczy, myśląc przez chwilę o tym, co kiedyś w kuchni usłyszałam od Willi.

— Droga Paranoiczko z Doncaster — czyta Amy, odwracając się do klawiatury. — Klucz do rozwiązania twoich problemów widzę w drugim zdaniu: „Naprawdę się kochamy”. Jeśli kochasz swojego chłopaka, musisz nauczyć się wierzyć w to, co mówi. Może kiedyś był szczęśliwy ze swoją byłą dziewczyną, ale teraz ona należy do przeszłości. Ludzie się zmieniają, a życie toczy się dalej. Ty jesteś częścią jego obecnego życia. Wiem jednak, że trudno uwolnić się od obsesji. Jeśli trudno ci o tym nie myśleć, to powiedz swojemu chłopakowi, że chciałabyś poznać tę dziewczynę — zaprosz ją na kolację albo wyjdźcie na drinka. Na pewno zauważysz, że nie jest dla ciebie

zagrożeniem. Może nawet ją polubisz. A w mało prawdopodobnym wypadku, jeśli naprawdę jest czego się bać, będziesz mogła stawić czoło sytuacji.

To rada typowa dla Amy. Jej filozofią życiową jest radzić sobie z życiem w jak najbardziej bezpośredni sposób. Stawić czoło problemom i — łup — zderzyć się z nimi jak podczas kolizji samochodowej. Teraz moja kolej.

— Amy, przestań pisać na moment. Chcę cię o coś zapytać.

Amy odwraca się na obrotowym krześle i rzuca mi badawcze spojrzenie. Założyła rękę na rękę i zawadiacko wysunęła podbródek.

— Kathy, wiesz, że za tobą szaleję... Ale są granice, których nie przekroczyć dla nikogo. Nawet dla ciebie!

— Amy, ja nie...

— Pozwól mi skończyć! Znosiłam wszystkie bzdury, jakie mi wciskałaś. Przełknęłam nawet fakt, że nie chcesz zaprosić mnie do domu, żeby nie denerwować swojej szanownej mamuśki. Siedzę spokojnie, kiedy naśmiewasz się z moich artykułów i krytykujesz moich przyjaciół i ich preferencje seksualne, które są też moimi preferencjami — może nawet twoimi, Kathy, chociaż nie lubisz się do nich przyznawać. Wysłuchiwałam oskarżeń i insynuacji na temat mojej wierności i zawsze próbowałam cię przekonać, że jesteś jedyną kobietą na tej planecie, której naprawdę pragnę... I po co to wszystko? Tylko dla przywileju spotykania się z tobą raz w tygodniu, żeby dać się przelecieć i znów czekać, kiedy wychodzisz. Super życie!

— Ale...

— Nie, Kathy. Wystarczy. Nie sypiam z Cheryl i nie byłam w żadnym cyrku. Teraz się zamknij i weź się w garść. — Unosi dłoń, zbliżając palec wskazujący do kciuka. Między palcami pozostaje niewielka szparka, przez którą świeci słońce. — Tylko tyle brakuje, żebym cię rzuciła. Nie każ mi tego robić. — Kiedy milknie, jest wyraźnie zrelaksowana. Przeczesuje włosy ręką i pochyla się, żeby wcisnąć klawisz myszki i wydrukować list napisany do swojej rubryki w gazecie. — Co powiesz na wspólne śniadanie? — pyta z radosnym, asertywnym uśmiechem.

Siedzę, ociężała, przy dużym, zielonym stole, a Amy parzy kawę i kroji mango i truskawki. Bawię się czerwonym długopisem, bezwiednie rysując spirale na karteczce, i próbuję pozbierać myśli: Amy jest niewiarygodnie zręczna — powinna zajmować się propagandą. Jej opinia o naszym związku nie uwzględnia tygodniowego romansu z Lindą którą poznała na jakiejś

konferencji. Przyznała się do zdrady — chociaż, oczywiście, znalazła sposób, by wytłumaczyć to pełnymi cierpienia zmaganiem z samą sobą w celu odkrycia, czy w monogamii chodzi o miłość czy o chęć posiadania. W końcu stwierdziła, że obydwie czynniki są równie istotne i niezbędne w dobrze funkcjonującym układzie partnerskim — ale tylko do czasu, kiedy odkryła rozwiązanie alternatywne. W jej wersji brak również Sary, ogolonej na łyso bywalczynie klubów, która wyszła kiedyś z jej pokoju, z szyją całą w „malinkach”, gdy przed trzema miesiącami niespodziewanie przyjechałam nad ranem po ciężkiej nocy. Amy świetnie sobie radzi z wewnętrznym chaosem, który modeluje jak glinę, nadając mu kształt takiej prawdy, jaka najbardziej jej odpowiada. To ja nie umiem się poświęcić. To moja wierność jest pod znakiem zapytania. I to ja jestem paranoiczką żyjącą w wiecznym poczuciu zagrożenia.

— Kathy, moja droga. Jak tam życie na ulicy? — Do kuchni wpływa Willa w długiej do ziemi, błękitnej, jedwabnej tunice. Poprawia na nosie okulary ze szklami, które nie poprawiają wzroku, i złowieszczo atakuje kopertę nożem do otwierania listów.

— Zatłoczone.

— Papierosa? — Wskazuje ruchem głowy na otwartą paczkę cameli.— Ach, nie, przecież nie kuszą cię takie rzeczy, prawda?

Sama zapala i siada przy stole. Obydwie patrzymy, jak Amy płucze i kroje owoce. Widzę miękkie, jasne włoski na rękach Amy. Długą, białą szyję. Usta. Jest jedyną kobietą, na jaką zwróciłam uwagę. Zastanawiam się, czy wiele heteroseksualnych dziewczyn patrzy na nią inaczej niż na inne kobiety — na te po prostu ładne, na te zwyczajnie urocze. Amy to kwintesencja seksu. Dżinsy ciasno opinają piękną pupę, która przyciąga mój wzrok...

Pierwszy raz widzę, że przyciąga również wzrok Willi.

— Kathy — szepcze, a jej szept jest niezwykle głośny, i kładzie dłoń na mojej dłoni. — Miałaś już okazję porozmawiać z naszą madom o tym interesiku, o którym kiedyś gawędziłyśmy?

Zawsze sądziłam, że jej uczucia do Amy są trochę matczyne. Jak bardzo mogłam się mylić!

— Co to za „interesik”? — pyta Amy.

— Willa uważa, że za tanio się sprzedajesz, pisząc do „Agony Aunt”. Twierdzi, że masz za duży talent, żeby być „drogą Stellą” — mówię prosto z mostu, beznamiętnie.

Willa rzuca mi spojrzenie, które znaczy, że ją zdradziłam, i kopie mnie w kostkę puszystym laczkiem.

— Słowo daję, Willa! — Amy z hukiem odkłada nóż na stół ; i opiera dłonie na biodrach. — Myślałam, że skończyliśmy z tym tematem. To tylko zabawa i trochę pieniędzy na boku. Jestem zmęczona wymyślaniem zabawnych komentarzy na temat tenisistek, the Corrs* i lejków, które pozwalają dziewczynom na sikanie na stojąco... Potrzebuję odmiany.

Patrzę, zadowolona, jak Willa wydyma usta. !

* **The Corrs**—nazwa popularnego irlandzkiego zespołu muzycznego.

— Ależ, Amy, powinnaś pomyśleć o przyszłości. Dokąd doprowadzi cię „Agony Aunt”? Jak takie gówno może umożliwić ci pisanie na głównych stronach? Myślałam, że jeśli Kathy z tobą porozmawia...

— Czy masz zamiar obniżyć mi czynsz o połowę, Willa? — Amy sięga po nóż i zaciekle atakuje ananasa. — Nie. Tak myślałam. Sądzę też, że nie chcesz, żebym się wyprowadziła, prawda? W takim razie lepiej będzie, jeśli nadal będę robiła to, co robię... Komu sałatki owocowej?

Spogląda na mnie i coś iskrzy między nami. Amy promienieje.

Amy wciąż zatrzymuje się przed witrynami agencji mieszkaniowych, kiedy spacerujemy w ciepłym październikowym słońcu po Upper Street. To niezbyt dyskretna aluzja.

Nigdy nie rozumiałam Islington. To okolica pełna szczupłych, zgrabnych zwolenników polityki Blaire'a, modnie uczesanych, w strojach z „Agnes B” i „Nicole Farhi”, szczekających do telefonów komórkowych, kiedy zatrzymują taksówkę. Bogaci, alternatywni — jak Willa — kupują cannellini i dziki ryż. Dojrzałe „stateczne damy” wychodzą z salonów fryzjerskich ze swoimi głupimi, małymi pieskami. Czuję zapach spalin, pizzy i „Calvina Kleina”, unoszący się w powietrzu. Islington jest jak każde inne miej see w Londynie—niezbyt ładne, niezbyt zielone. Są tutaj włóczędzy, alkoholicy i żebracy, tak jak gdzie indziej. Przecież w Pekham i w Mile End też są georgiańskie kamienice i rozległe otwarte przestrzenie. Dlaczego więc równie obskurny i śmierdzący Islington tak nachalnie przyciąga pieniądze?

— Spójrz. — Amy wskazuje palcem w kierunku kolejnej witryny biura nieruchomości. — Cafford Square, niedaleko od Willi. Dwie sypialnie, dwa pokoje gościnne. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów!

— Chodźmy. — Ciągnę ją za ramię. — Obejrzyjmy antyki. Idziemy przez Camden Passage, mijając sklepiki, w których leżą stosy mosiężnych

końskich ozdób i kołatek do drzwi, wdychamy kurz i rdzę, po czym zatrzymujemy się przed wystawą, na której stoi ładne cedrowe biurko.

— Czy myślisz, że pasowałyby do mojego... — zaczyna Amy, ale nagle...

— Kitty, to naprawdę ty!

Za mną stoi Richard. Widzę jego odbicie w szybie okna wystawowego, potem się odwracam — szerokie, obwisłe ramiona, włosy piaskowego koloru, zakola, brązowe oczy. Wygląda na szczęśliwego, że mnie spotkał. Dostrzegam jego radość — w ułamku sekundy, przed spojrzeniem na niego. Kątem oka widzę mały, ciemny kształt. To Dotty. Trzyma go za rękę. Szarpie mnie za rękaw, kiedy się odwracam, żeby na nich popatrzeć.

— Kits, Kits, podobają ci się moje nowe buty? — Dotty podskakuje dookoła, wyrzucając wysoko nogi. Nosi czerwone lakierki, jak Dorotka z krainy Oz.

Richard obejmuje mnie, niemal całą okrywając polarem. Chcąc nie chcąc, wtulam twarz w jego ramię. Sztywnym ruchem odsuwam się od niego i jakoś udaje mi się wykrztusić:

— Richard, co za niespodzianka!

Amy stoi z rękami w kieszeniach i wygląda na zdziwioną, a nawet zagubioną. Pospiesznie szukam sposobu, by obydwaj światy dobrze się skomponowały, a nie zderzyły z hukiem.

Gdzieś w tle Richard mówi:

— A więc już przeszła ci grypa? Ładnie wyglądasz, ale... co ci się stało w oko?

— Cześć, jestem Amy. — Amy podaje mu rękę na powitanie. Richard dopiero teraz ją zauważa, waha się, ale też wyciąga dłoń.

— Richard, to moja przyjaciółka, Amy — starannie dobieram słowa. Zdaje się, że Amy jest trochę obrażona, że przedstawiłam ją jako przyjaciółkę, ale, dzięki Bogu, nie protestuje. — Amy, to Richard i Dotty.

— Cześć, Dotty. — Amy pochyla się, żeby zmierzić jej włosy. Dotty tego nie znosi, więc odsuwa się i chowa za nogą taty. Spogląda nieśmiało z ukrycia.

Boże, proszę, nie pozwól żadnemu z nich zrobić czegoś...

— Kiedy wyzdrowiałaś? — Chwila zaskoczenia nagłym spotkaniem minęła i Richard czuje się urażony, że wyszłam na spacer z przyjaciółką, zanim się z nim skontaktowałam. Złości się. Poznaje po plamkach na szyi, pod szczęką Zazwyczaj łagodne, przyjazne, brązowe oczy zdają się twarde i dziwnie matowe.

— Och, dopiero przedwczoraj. Byłam bardzo chora, Richard, aż trudno uwierzyć.

— Nie wiedziałam, że byłaś chora — wtrąca nagle Amy.

— Nie chciałam robić z tego tragedii.

Parę kroków dalej, przed stoiskiem z antyczną biżuterią stoi para młodych ludzi. Dziewczyna podnosi ze stołu pierścionek, wsuwa go na palec i pokazuje chłopakowi. Nie jest ładna, ale promienieje szczęściem — oboje promienieją — przez co stają się piękni. Czuję ukłucie zazdrości w sercu.

— Chodźmy na kawę — proponuje Amy. — Pięć minut stąd jest kawiarnia, w której podają doskonale ciasto bananowo-karmelowe.

Mam ochotę ją prasnąć.

— Dziękuję, ale obawiam się, że powinniśmy już iść. — Richard nadal jest zły, ale chyba rzeczywiście brakuje mu czasu, żeby pójść z nami. — Idziemy po zdjęcia, a potem muszę zaprowadzić Dotty do przedszkola.

— Och, szkoda. — Staram się, żeby moje słowa zabrzmiały szczerze, ale skutek jest żalospny. — Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

— Koniecznie. — Rzuca mi spojrzenie, które znaczy, że czeka nas poważna rozmowa. Potem mamrocze: — Miło było cię poznać... Amy.

— Ciebie też. — Amy straciła zainteresowanie i znów patrzy na cedrowe biurko.

Richard pochyla się, żeby pocałować mnie na pożegnanie. Na szczęście jest zły, więc tylko cmoka mnie w policzek.

— Do zobaczenia. — Kucam, żeby ucałować Dotty w usta, na co ona mówi:

— Fuj, mokro! — Zawsze tak reaguje, kiedy całują ją dorośli. Potem chwyta ojca za rękę i próbuje go odciągnąć.

Richard pozwala się ciągnąć, ale odwraca się i woła przez ramię:

— Wpadnij obejrzyć zdjęcia. Powinno wyjść parę ładnych fotek z cyrku!

Spoglądam niepewnie na Amy, ale ona znów patrzy na biurko. Chyba już nie słucha. Richard i Dotty znikają za rogiem ulicy, skręcają w Upper Street. Młoda para nareszcie wybrała pierścionek. Srebrny, a może platynowy. Ma duże szafirowe oczko. Twarz dziewczyny marszczy się w uśmiechu i słyszę podekscytowany chichot. Chłopak przyciąga ją i całuje w czoło, potem w usta. Ponury straganiarz uśmiecha się, nagle odmieniony.

— Co? — Nie dosłyszałam, co Amy mówiła.

— Pytałam, czy sądzisz, że powinnam kupić to biurko. Jest piękne, ale nie wiem, czy to dobra cena. Myślisz, że trzysta funtów to za drogo?

Wzruszam ramionami.

— Nie znam się na antykach. Amy ciągnie mnie za rękaw.

— Wejźmy i porozmawiajmy ze sprzedawcą.

Popycha drzwi i w zatęchłej ciemności brzęczy dzwonek. Zaczynam myśleć, że tym razem mi się upiekło, ale nagle Amy staje w przejściu.

— Kim jest ten Richard?

— Moim kuzynem.

— Nigdy nie wspominałaś, że masz kuzyna.

Starsza kobieta w futrze z norek chce wyjść ze sklepu, ale Amy blokuje jej drogę.

— Amy... — mówię. Ta widzi staruszkę i cofa się na chodnik.

— Dziwne, że nigdy mi o nim nie mówiłaś.

— A ty masz kuzynów? — próbuję.

— Tak, czterech.

— Cóż, ja też o nich nie wiedziałam. Amy posyła mi lodowate spojrzenie.

— Tyle że ja widuję ich najwyżej raz w roku, a wy dwoje najwyraźniej jesteście sobie bliscy. Po prostu dziwi mnie, że nigdy o nim nie wspominałaś.

— Na pewno powiedziałam ci o nim raz czy dwa.

— Nie, nigdy. Ani o tej dziewczynce. Jestem pewna. — Zakłada rękę na rękę i wysuwa podbródek do przodu. — A jednak poszłaś z nimi do cyrku.

— Przecież powiedziałam ci, że byłam w cyrku. Prawdę mówiąc...

— Powiedziałaś, że poszłaś z przyjaciółmi. Nic nie mówiłaś o kuzynie.

— Jest moim przyjacielem. Za takiego go uważam. Jest dla mnie nawet bardziej przyjacielem niż kuzynem.

Nerwowy tik przebiega przez moją twarz. Patrząc na odbicie w lustrze i widząc pełen winy grymas. Amy wyniuchała, że coś jest nie w porządku. Zawsze przeczuwałam, że nadejdzie dzień, w którym wszystko się wyda. Przecież większości ludzi nie udaje się uniknąć konfrontacji, jeśli mają dwoje kochanków, a co dopiero pięciu. Chciałabym położyć się na ulicy i zasnąć. Zamiast tego muszę przyjąć najgorszy atak.

— Dlaczego tak bardzo się mnie wstydzisz? — Jej głos jest cichy i słaby.

— Co?

— Wcale byś mnie nie przedstawiła, gdybym nie zrobiła tego sama. Nawet nie powiedziałabyś, że to twój kuzyn.

— Amy...

— Myślałam, że nie wolno mi spotykać się tylko z twoją matką ale teraz widzę, że zakaz dotyczy całej rodziny! — mówi coraz głośniej. — Dlaczego tak ci przeszkadza to, kim jestem... Kim ty jesteś. Co straszego jest w miłości do innej kobiety?

Straganiarze i sklepikarze nagle milkną. Przysadzisty facet z wąsem, zamiatający chodnik przed włoską restauracją opiera się na miotle i z zainteresowaniem przygląda się przedstawieniu. Młodzi narzeczeni otwarcie gapią się na nas, chłopak obejmuje dziewczynę ramieniem, jakby chciał ją ochronić. Nawet gołębie przestały dziobać resztki z rynsztoka i stoją nieruchomo, patrząc swoimi brzydkimi, strasznymi oczami bez powiek.

— Nie przejmuj się, ślicznotko — krzyczy facet z miotłą. — Jak chcesz, to mogę cię przelecieć w każdej chwili!

— Cholera. — Amy ociera łzy rękawem i wchodzi do sklepu, pobrząkując dzwonkiem nad drzwiami.

Odwracam się, żeby pójść za nią.

— Mogę przelecieć was obie! — woła zamiatacz, kiedy drzwi wolno zamykają się za mną. — Jestem hojny. Wystarczy dla jednej i drugiej!

11.02 w nocy. Zabrałam dwie kobiety sprzed Royal Opera House na Covent Garden i wiozę je na Muswell Hill. Matka i córka — pięćdziesięcio- i trzydziestolatka. Żydówki, może nawet chasydki. Ktoś mi powiedział, że kobiety ze społeczności chasydów golą włosy i noszą peruki, więc przyglądam im się we wstecznym lusterku, próbując zgadnąć, czy te długie brązowe loki są prawdziwe czy nylonowe. Kobiety są elegancko wystrojone, bo starsza obchodzi urodziny. Dziękuję córce za cudowny wieczór, ale widzę, że niezbyt dobrze się bawiły. Kiedy rozmawiają, w ich głosach nie słychać entuzjazmu. Córka wydaje odgłosy typowe dla osób, które nie słuchają co ktoś do nich mówi. Matka wciąż ziewa, dyskretnie zasłaniając usta. Jedyne, co mówią o przedstawieniu, to: „Bardzo ładny występ, prawda?” Powtarzają to zdanie na zmianę, w regularnych odstępach czasu. Może opera była do niczego, a może obydwie wolałyby być w innym miejscu, z innymi ludźmi. W końcu przestaję interesować się ich włosami i włączam radio — Jazz FM.

Miałam męczący dzień. Nadal nie mogę uwierzyć, że wyszłam z opalów obronną ręką, nie zdemaskowana. Amy wyczuła, że ktoś jej podkłada świnię, ale to była inna świnią. Richard zdenerwował się, że nie zadzwoniłam, ale też nic nie podejrzewał. Jestem tego pewna. Niby dlaczego Richard miałby domyślić się zdrady, widząc, że spaceruję z koleżanką po Islington? Tym ra-

zem mi się upiekło — chociaż byłam bardzo blisko wpadki — ale mam wrażenie, że czas działa na moją niekorzyść.

Może nie byłoby tak źle, gdyby ktoś odkrył intrygę. Męczy mnie bycie całym światem dla moich kochanków, bo w ten sposób trudno poświęcić się każdemu. Problem w tym, że przyzwyczaiałam się do zróżnicowanej diety. Dlaczego co wieczór mam jeść makaron, kiedy mogę mieć ochotę na pieczeń czy curry z kurczaka...

Skrećam w prawo, koło Highgate Woods, potem znów w prawo i wysadzam kobiety przy wielkim domu w Woodland Gardens, przed którym stoi mercedes. Obydwóm wyczerpały się tematy rozmowy, więc z ulgą wysiadają na końcu trasy.

Wracając na West End, podrzucam młodego gościa o wyglądzie kujona, w płaszczu i z laptopem pod pachą. Kiedy zgadzam się zawieźć go do Camberwell, jest taki wdzięczny, że boję się, iż zaraz wychyli się przez okno i będzie chciał mnie pocałować.

Nadal myślę o swoich kłopotach. Gdybym zrezygnowała z jednego lub dwóch kochanków, to zaoszczędziłabym dosyć pieniędzy, żeby wreszcie urządzić mieszkanie. Utrzymywanie pięciorga kochanków jest kosztowne, a na domiar złego mam miękkie serce. Na przykład dzisiaj kupiłam Amy to biurko z cedrowego drewna — wydałam całe czterysta funtów. Wybaczanie to drogi luksus. Gdybym jednak miała kogoś zostawić, to na którego z nich bym się zdecydowała? Czym miałabym się kierować?

Tak rozmyślając, dojechałam aż do Camberwell. Camberwell to dzielnica, której nie lubię najbardziej w całym Londynie, chociaż wiem, że tutaj też są ładne miejsca, z daleka od głównych „atrakcji”. Kiedy patrzę na nie kończące się ciągi sklepów monopolowych i bukmacherów, przystanków autobusowych i ciasnych sklepików spożywczych — kiedy widzę smutnych ludzi, wchodzących do poszarzałych budynków albo obejmujących się dla ochrony przed wiatrem—ulica jest bardzo długa i zawsze zatkana korkami — to wystarczy, żeby podciąć sobie żyły.

— Dzięki za podwiezienie — Pasażer pochyła się, żeby uciąć sobie pogawędkę, i poprawia okulary na nosie. — Wie pani, machałem na cztery taksówki i żadna się nie zatrzymała, chociaż wszystkie miały zapalone pomarańczowe światło!

— Południowa strona miasta... — Wiele razy brałam udział w podobnej rozmowie.

— Proszę mi wytłumaczyć, co złego jest na południe od rzeki? — pyta, jakby nagle obudził się w nim polityk. — Jazda z południa na północ nikomu nie sprawia kłopotu. Podobnie ze wschodu na zachód albo z zachodu na wschód. Dlaczego więc robi się tyle szumu wokół trasy północ-południe? Taksówkarze są po prostu uprzedzeni.

— Chodzi o to, że trudno znaleźć klienta na drogę powrotną. Ale wiem, o co panu chodzi. Taksówkarze to banda złamasów.

Zdaje się, że słowo „złamas” uraziło kujona do żywego. Zamyka buzię na kłódkę i z zaciśniętymi ustami siada wyprostowany na swoim fotelu.

Dla mnie to żadna różnica. Mam tylko nadzieję, że nie pozbawiłam się napiwku.

Minęła 4.53 rano. Jestem wykończona. Dowożę trzech gości na Clapham Common i zostaję tam przez chwilę, żeby odsłuchać wiadomości z poczty głosowej. Nikt się nie nagrał. Nikt mnie nie kocha.

Ktoś puka w szybę. Odwracam się i widzę napuchniętą bladą twarz. Pięciodniowy zarost i dziwne spojrzenie — jakby oderwane od rzeczywistości. Nie podoba mi się wygląd tego człowieka, ale z grzeczności otwieram okno na dwa cale.

— Charing Cross. — Ledwie wyczuwalny północny akcent.

— Nie, niestety. Kończę pracę.

— Lampka jest włączona. Musisz mnie zabrać. Cholera. Zapomniałam ją zgasić. Gość się uśmiecha — ma odrażające żółte zęby. Nie chcę tego menela w moim samochodzie.

— Właściwie, nie muszę cię zabierać. Nie zatrzymałam się dla ciebie i już nie jestem na służbie. Po prostu jadę do domu.

— Proszę. Proszę mnie zawieźć na Charing Cross. — Uśmiech znikł i wyraz desperacji pojawił się na jego twarzy. Robi mi się żal tego człowieka. Instynkt mi podpowiada, że to szaleniec, naprawdę chory psychicznie. Jeśli go nie podwiozę, to kto inny, do diabła, to zrobi? Chociaż Bóg wie, czy ma przy sobie pieniądze...

— Nie chcę, żeby to dziwnie zabrzmiało, ale masz czym zapłacić?

Najwyraźniej urażony, wyciąga z kieszeni zwitek banknotów i wymachuje nim przede mną.

— W porządku. Wskakuj. — Odblokowuję drzwi. Mam za miękkie serce.

Gość wsiada. Nosi brązowy płaszcz, taki jak faceci z warzywniaka, skarpetki i sandały. Znow się uśmiecha, odsłaniając żółte siekacze.

Kolejny długi, nudny kurs w mniej więcej prostej linii. Mijamy stację metra Clapham North. Kiedyś usłyszałam, jak ktoś porównał Clapham do „Chelsea południa”. Londyńczycy czasami potrafią palnąć prawdziwe głupstwo. Droga wije się wśród klubów nocnych o podejrzanej reputacji i irlandzkich pubów, potem wiedzie przez Stockwell aż do Kennington.

Słyszę trzask i zerkam w lusterko. Widzę, że mój pasażer bawi się zapalniczką Zippo. Przed samym nosem ma tabliczkę z napisem „Zakaz palenia”.

— Hej, nie umiesz czytać?

Na jego twarzy widzę nieobecną minę, jakby wcale nie siedział w taksówce, tylko bujał w kosmosie. Nie zapala papierosa. Po prostu bawi się zippo. Płomień wybuchu i gaśnie, wybuchu i gaśnie.

— Przestań — mówię głośno i wyraźnie. On jednak bawi się dalej. Zapala i gasi. Zapala i gasi. — Nie chcę, żebyś to robił w mojej taksówce. — W jego oczach nie widzę ani śladu zrozumienia. Przez pomyłkę przejeżdżam przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i dookoła rozlega się ryk klaksonów. Kiedy odzyskuję równowagę, skręcam w lewo, żeby pojechać na skrót. Kieruję się ku pustej, zadrzewionej drodze. Za drzewami stoją bezładnie rozrzucone niskie bloki z lat trzydziestych. Płomień, ciemność. — Schowaj tę zapalniczkę, człowieku! Rozpraszasz mnie, a to może się źle skończyć.

Nagle przestaje pstrykać zapalniczką, chociaż jego wzrok nadal nie zdradza, że mnie usłyszał. Ręka opada bezwładnie na siedzenie. Czuję ulgę. Im prędzej skończy się ta podróż, tym lepiej.

Kurwa, facet próbuje podpalić fotel!

We wszystkich oddziałach Knowledge instruktorzy radzą, żeby nie ryzykować. Jeśli masz kłopoty na tylnym siedzeniu, w nocy, na opustoszałej drodze, to jesteś narażony na niebezpieczeństwo. Zapomnij więc o taryfie, odblokuj drzwi i wyrzuć pasażera na zbity pysk.

Szybko zjeżdżam na pobocze i gwałtownie hamuję przy krawężniku, odblokowuję zamek i odwracam się do tyłu.

— Wystarczy. Wynocha!

Uśmiech znów pojawia się na jego ustach. Złowieszczy. Nadal przykładają płomień do tapicerki.

— Powiedziałam, wynocha! — Czuję smród palonego plastiku.

Mogłabym wezwać policję przez telefon, ale zajęłoby mi to za dużo czasu. Mogłabym pojechać na najbliższy posterunek, ale nie chcę odwracać się plecami do tego skurwiela. Nie wiem, co jeszcze wymyśli.

Taksówkarzom nie wolno wozić broni. Biuro Transportu Publicznego może odebrać licencję, jeśli policja złapie kierowcę, który ma przy sobie niebezpieczne narzędzie. Są jednak sposoby na obejście tego zakazu: duża metalowa latarka albo ciężki klucz francuski mogą wyrządzić wiele zniszczeń.

Mam latarkę i klucz francuski w bagażniku. Problem w tym, że musiałabym wysiąść, żeby je wyciągnąć, łamiąc kolejną niepisaną zasadę taksówkarzy: pod żadnym pozorem nie wysiadaj z taksówki, kiedy ktoś siedzi z tyłu. W ułamku sekundy może ci zwinąć saszetkę z pieniędzmi. Ale jeśli nie wezmę broni, to jak — do cholery — mam się pozbyć tego idioty?

Mam krótki, urywany oddech, kiedy drżącymi dłońmi macam w poszukiwaniu klamki. Włóczęga siedzi spokojnie, gdy wyciągam latarkę z bagażnika. Szybkim szarpnięciem otwieram tylne drzwi i łapię go za lewe ramię. Śmierdzi alkoholem i parkowymi alejkami. Nadal się nie rusza, nawet żeby mnie odpędzić. Ciągnę go i szarpie, ale nie reaguje. W prawej ręce trzyma zapalniczkę. Wciąż próbuje podpalić tapicerkę.

Unoszę latarkę. Czy naprawdę zamierzam jej użyć?

— Wysiadaj z taksówki, pojebie!

Nagle widzę, że jego głowa zmierza w moim kierunku — bez ostrzeżenia, bez wahania, jak taran. Uderza prosto w brzuch. Chwieję się, próbując złapać równowagę, a on wysiada, odpycha mnie na bok i czmycha wzdłuż ulicy, potem znika między blokami.

Zgięta w pół, opieram się o taksówkę i próbuję odzyskać oddech, słuchając coraz cichszego kłapania sandałów na chodniku. Księżyc nade mną jest blady, napuchnięty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jonny gotuje dla mnie zupę — właściwie, wlewa ją do rondla i podgrzewa. To nic wykwintnego — żaden karton świeżej „Covent Garden” czy „Joubere”, tylko zwyczajna mała puszka minestrone „Heinza”. Kiedy jest gorąca, przelewają do wyszczerbionego kubka i szpera w szufladzie, szukając łyżki.

— Wybacz — mówi, podchodząc do sofy. — Dałbym ci chleba z masłem, ale już nie mam.

— Nie szkodzi — odpowiadam zgodnie z prawdą. Siorbię zupę, a Jonny sięga po gitarę akustyczną. Pełno na niej wypalonych śladów po papierosach, tłustych plam i resztek naklejek, które dawno się złuszczyły. Gitara pokryta jest bliznami tak samo jak jej właściciel. Jonny gra Wish You Were Here Pink Floyd. W jego wykonaniu piosenka brzmi smutno, nostalgicznie. Nie pyta, co mi się stało, a ja nie palę się do opowiadania. To najlepsze chwile z Jonnym — kiedy on nie pyta, a ja nic nie muszę mówić. Gra Hotel California. Gra Roxanne. Zaczyna Psycho Killera i kiedy zamykam oczy, widzę przed sobą tę napuchniętą, bladą twarz w świetle księżyca. Płomień i ciemność. Płomień i ciemność.

Czy przyszedłam tutaj dlatego, że mieszkanie Jonny'ego jest najbliżej posterunku policji, czy też był inny powód? Każdy inny z moich kochanków na pewno zapewniłby mi trwalsze poczucie bezpieczeństwa, ale robiliby przy tym dużo zamieszania. Jonny ma lepsze wyczucie taktu. Uspokaja mnie w najdoskonalszy sposób, jaki zna — śpiewając piosenki. Wiedziałam, że wrócę do niego. Wiedziałam, że mu wybaczę.

— Hej — mówi, odkładając gitarę. — Chcę ci coś pokazać.

— Co?

Sięga pod poduszkę i wyciąga starą brązową kopertę. Podaje mi ją

— Otwórz.

Spoglądam na niego. Uśmiecha się — to rzadkość.

— No, dalej. Otwórz.

Koperta nie jest zaklejona. Otwieram ją i wsuwam dłoń.

— Jonny... — Zwitek banknotów. Dziesiątki i dwudziestki, stare i nowe.

— He tu jest?

Jonny zaciera ręce i z radością cmoka w powietrze.

— Pięćset czterdzieści ślicznych funtów Jej Wysokości Królowej Anglii.

— Skąd je masz? Przestaje cmokać.

— Jezu, Katy, mówisz tak, jakbyś była niewiarygodnie podejrzliwa.

— Bo naprawdę jestem podejrzliwa. — Wsuwam pieniądze z powrotem do koperty.—Przecież ty nigdy nie masz pieniędzy.

— Miło, że mam u ciebie wotum zaufania. — Wrywa mi kopertę i wciska pod poduszkę. — Chciałem cię zapytać, czy masz ochotę na tygodniowe wakacje. Chciałem, ale już się rozmyśliłem.

— Och, przepraszam, Jonny. Miałam fatalną noc. Ale chyba sam przyznasz, że to dość dziwne. Ty naprawdę nigdy nie masz pieniędzy.

Sięga po puszkę beksa i pociąga solidny łyk, patrząc na mnie z niechęcią

— Powiedzmy, że wygrałem. Wygrałem je w pokera.

— Za pierwszym razem? Jesteś prawdziwym czarnym koniem, Jonny. Od kiedy grasz w pokera? Z kim grałeś?

— To nie powinno cię obchodzić, dziewczynko. Teraz lepiej zacznij się grzecznie zachowywać albo zapomnimy o wakacjach i zamiast nich kupię sobie nową gitarę. — Bierze do ręki stary instrument. — Gdzie chcesz wyjechać? Do Grecji? Do Włoch? Na Wyspy Kanaryjskie?

— Niech się zastanowię. — Wakacje to dla mnie tylko niepotrzebna komplikacja. Jeśli zniknę na tydzień lub dwa, po czym wrócę z opalenizną i śladami po ukąszeniach komarów, to ludzie od razu domyśla się, że nie spędziłam tego czasu, jeżdżąc taksówką po Londynie... — Lepiej schowaj pieniądze w jakimś bezpiecznym miejscu. Zanieś je do banku czy gdzieś. Tam, gdzie nikt ich nie znajdzie.

— Tak, tak. — Uderza parę przypadkowych akordów. Zaczynam marzyć. Może byłoby miło wyjechać z Jonnym.

Może powinniśmy połączyć nasze oszczędności i uciec razem. Uciec od Londynu i wszystkich wariatów, którzy tu mieszkają. Moglibyśmy wyjechać i nigdy nie wrócić.

— Zagraj mi tę piosenkę, którą napisałeś — proszę. — Weeping Willow.

Ignoruje mnie i wraca do przerwane Psycho Killera.

11.03 rano. Zero snu. Jonny jeszcze śpi, kiedy wychodzę z domu. Leżałam przy nim przez parę godzin i patrzyłam, jak rusza oczami pod powiekami, jak drżą mu kąciki ust, jak zaciska i prostuje palce. Wykonuje mnóstwo ruchów przez sen. Ciekawe, o czym śni. Obudziłam go i zaproponowałam wyjście na śniadanie, ale nie chciało mu się wstawać. Powiedziałam, że powinien częściej wychodzić na świeże powietrze, bo nabawi się agorafobii. Odparł, żebym odpieprzyła się od niego, i znów zasnął.

Na zewnątrz jest mokro, po chodniku pełzają ślimaki, zostawiając za sobą srebrzyste ślady. Moja taksówka stoi — jak zwykle — za przerdzewiałą, białą furgonetką. Wsiadając, nadal czuję smród stopionego plastiku. Opuszczam szybę w oknie, żeby wpuścić trochę powietrza, i po kolei sprawdzam wiadomości na telefonach. Z niewyspania klejami się oczy, są jak galareta, jak oślizłe jajka gotowane na twardo.

*

Różowy telefon — Amy: Kochanie, bardzo dziękuję za biurko. Cudownie wygląda w moim pokoju. Jest piękne i takie staroświeckie, że aż szkoda stawiać na nim komputer. Jesteś wspaniała.

*

Zielony telefon — Richard: Cześć, Kitty. Proszę, oddzwoń do mnie. Mam wrażenie, że mnie unikasz, ale nie wiem dlaczego. Zadzwoń.

*

To wszystko. Żadnych innych wiadomości. Najgorsze, że nie ma nic od Oczka na temat jutrzejszego wyjazdu. To nie w jego stylu, żeby nie zadzwonić, by omówić szczegóły. Zastanawiam się, czy milczenie ma związek z jego nagłym wyjściem z kafeterii tamtego dnia...

Nie czuję się w odpowiednim nastroju, żeby dzwonić do Richarda, ale jego głos na automatycznej sekretarce jest drżący i spięty. Lepiej nie przeciągać struny. Wciskam jedynekę i telefon automatycznie wybiera jego numer. Richard podnosi słuchawkę po dwóch sygnałach.

— Richard Meadows przy telefonie.

— Cześć, Richard. To ja.

— Och, cześć. — Słyszę, że radość i zdenerwowanie walczą ze sobą w jego głosie. — Jak się masz, Kitty?

— W porządku. Wcale cię nie unikam, Richard.

— Ale tak się czuję. Mówisz, że leżysz w łóżku z grypą ale nie pozwalasz, żebym cię odwiedził. Postawmy sprawę jasno: nie wiem nawet, jaki jest twój adres. Potem przez wiele dni nie odpowiadasz na moje telefony. Martwię się o ciebie, ale nie mogę się dodzwonić, i nagle wpadam na ciebie, kiedy spacerujesz z przyjaciółką po Islington! Co mam myśleć, Kitty? Kim ja właściwie jestem dla ciebie?

Wyobrażam sobie, jak krąży nerwowo po przedpokoju, owijając nadgarstek przewodem telefonu. Mam nadzieję, że Dotty jest w przedszkolu. Nie chciałabym, żeby to słyszała. Szukam w myślach właściwych słów, zapach stopionego plastiku nadal drażni mi nozdrza.

— Przepraszam, Richard. Prawda jest taka, że ponad tydzień temu ktoś mnie zaatakował w taksówce. Jakiś wariat z zapalniczką, który chciał spalić tapicerkę...

— O mój Boże, Kitty. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Wszystko w porządku. Nic mi się nie stało. Udało mi się wyjść z tego tylko z podbitym okiem... Sam widziałeś wczoraj, prawda? Kłopot w tym, że to zdarzenie dziwnie na mnie podziałało. Próbowалам się schować. Nie chciałam się z nikim spotykać. Moja przyjaciółka, Amy, pracuje w ośrodku dla ofiar przemocy. Musiałam z nią porozmawiać.

Słyszę, że wzdycha. Chyba się udało.

— Kitty, nie wiem, co powiedzieć. To wszystko brzmi strasznie. Naprawdę strasznie. Chciałbym, żebyś tu przyjechała. Przecież jesteśmy parą, prawda? Nie odwracaj się ode mnie.

— Przepraszam, kochanie. Wiem, że powinnam pojechać do ciebie, ale było mi trudno. Taka już jestem. — Czuję nieprzyjemny dreszcz, kiedy to mówię. — Uczucia są dla mnie nowe. Wciąż się uczę, jak to jest żyć w stałym związku.

Kolejne westchnienie.

— Może teraz przyjedziesz?

— Teraz? Nie musisz iść do pracy?

— Myślę, że mogę sobie pozwolić na wolne. Wczoraj skończyłem stronę internetową dla Jecksona, więc mam jeden dzień w zapasie. Myślałem, że zajmie mi to więcej czasu. Co sądzisz?

On prawie nigdy nie bierze wolnego... Mogłabym załagodzić parę spraw, naprawić to i owo. Coś mnie jednak dręczy. Muszę być gdzie indziej, tyle że nie pamiętam gdzie.

— Kitty?

Joel. Tak jest. Prosił, żebyś wpadła do niego dzisiaj po południu. Pamiętam, jak siedział w pubie i pił pernoda z sokiem z czarnych porzeczek. Zagorzały abstynent, topiący swoje smutki. Nie mogę go zawieść.

— Przykro mi Richard. Nie dzisiaj.

— Och. — Rozczarowany głos. — To może jutro? Wiem, że powinnam się zgodzić, ale nie chcę. Wolę wyjechać z Oczkiem na wieś.

— Mogę przyjechać w sobotę...

— Nie dam rady w sobotę. Muszę zabrać Dotty na spotkanie z kimś.

— A w niedzielę?

— Jak sobie chcesz.

— Proszę, Richard. W niedzielę?

— Już powiedziałem. Jak sobie chcesz.

Joel otwiera drzwi, wystrojony w czarny garnitur, srebrzysty krawat, białą koszulę z zapiętym kołnierzykiem, błyszczące buty z metalowymi skuwkami i modne lustrzane okulary.

— Hej, co za elegancik!

— Armani. — Joel obraca się jak na wybiegu dla modeli.

Wchodzę do środka, zbliżam się, gotowa pocałować go, przytulić czy cokolwiek, ale on już biegnie po schodach na górę. Zostawia mnie samą żebym zamknęła drzwi i poszła za nim.

Ktoś posprzątał i poukładał rzeczy w zapuszczonym mieszkaniu. Bez wątpienia jego matka. Poduszki są nieco bardziej puszyste. Wszystko jest wypolerowane, aż błyszczy — nawet telefon. Dookoła unosi się słodkokwiatowy zapach odświeżacza powietrza.

Joel jest w kuchni. Wystawia głowę zza drzwi.

— Herbaty?

Nadal nosi lustrzanki, chociaż w mieszkaniu jest dość ciemno.

— Tak, dziękuję. Joel...

Mam zamiar zasypać go całą serią pytań, ale napełnia czajnik i nie słyszałby mnie, bo strumień wody zagłuszyłby moje słowa, więc poddaję się i czekam. Przy telefonie leży terminarz otwarty na bieżącym tygodniu. Podnoszę go i spoglądam na dzisiejszą datę. Czytam:

Czwartek 12 października 14.00 — Kat 15.00 — M 18.00 — H 22.00 —

Q

Ten smarkacz przeznaczył dla mnie tylko godzinę! A kim są ci inni ludzie, „M”, „H” i „Q”? Za kogo Joel się uważa? Za jakiegoś pieprzonego Jamesa Bonda?

Odkładam terminarz na miejsce. Po chwili Joel pojawia się z dwoma kubkami swojej paskudnej smolistej herbaty. Stawia je na podkładkach.

— Widzę, że wiele się zmieniło, od kiedy ostatni raz cię widziałam — mówię.

— Mhm. Co sądzisz o garniturze? — Paraduje po całym pokoju i wdzięczy się. Dzięki Bogu, zdjął okulary.

— Wyglądasz fantastycznie.

Podchodzę, żeby go pocałować, ale jest już w sypialni i woła:

— Chodź tu i popatrz!

Otwiera zniszczoną prostą szafę i pokazuje mi wachlarz krawatów zawieszonych równo na drążku po wewnętrznej stronie drzwi. Błyszczące krawaty: pomarańczowe, zielone, liliowe, niebieskie.

— Powiesz mi wreszcie, co się stało?

— Mam nową pracę. To się stało. — Wybiera pomarańczowy krawat i pokazuje mi go, głaszcząc miękki materiał. — Dotknij. Poczuj tę jakość.

— Bardzo ładny. Co to za praca?

— W usługach — mówi. Potem wyciąga drugi garnitur od Armaniego. Granatowy, jednorzędowy. — Ten sam krój — podkreśla.

— Joel... — Sięga w stronę zestawu białych koszul, ale chwytam go za ramiona, zatrzymując w miejscu.

— Hej, uważaj na garnitur! — W jego oczach widzę błysk gniewu, więc puszczam. Jak szaleniec, korzysta z okazji, by znów uciec, tym razem do kuchni.

Czekam przez chwilę i robię parę głębokich oddechów, potem wracam do pokoju i siadam na sofie. Nagle czuję w powietrzu znajomy zapach, który kłóci się z aromatem odświeżacza. To zapach, którego nigdy nie czułam w domu Joela.

Wychodzi z kuchni, paląc papierosa i niosąc talerzyk, który służy za popielniczkę. Powinnam raczej powiedzieć, że udaje, iż pali — nie zaciąga się.

— Jezusie, Joel!

— Jesteś moją matką czy co? — Kładzie talerzyk na jednym ze stolików i siada na kwiecistym fotelu. Zakłada nogę na nogę. Wygląda jak laleczka.

Jego uwaga kłuje mnie do żywego, ale nie powstrzymuje przed powiedzeniem tego, co myślę.

— Poprzednim razem, kiedy cię widziałam, upiłeś się. Dzisiaj palisz papierosy. Nigdy nie wiedziałam, że robisz którąś z tych rzeczy. Większość dzieci przechodzi okres buntu w wieku czternastu albo piętnastu lat. Czy w twoim przypadku nie jest trochę za późno?

— Jezu, Kat, zejdź ze mnie. Widzisz, jak dobrze sobie radzę, a jedyne, co potrafisz powiedzieć, to opieprzyć mnie za fajki! Uspokój się, dziewczyno, i przyjrzyj się temu materiałowi.

A on wciąż o cholernym garniturze! Ile jeszcze zachwyków się spodziewa? Piję łyk herbaty i krzywię się, kiedy czuję jej smak na języku.

— Opowiedz mi o pracy. Wzrusza ramionami.

— Niewiele jeszcze jest do opowiadania. Na razie jestem na przyuczeniu.

— Dla kogo pracujesz?

Udaje, że zaciąga się papierosem i ostentacyjnie strzepuje popiół na talerzyk.

— Właśnie to jest najlepsze — mówi. — Chociaż w „Shamanie” nieźle dostałem po dupie, z tej pracy wynikło coś dobrego.

— Co masz na myśli?

— Hmm... — Pochyla się z uśmiechem. Ten jego piękny uśmiech zawsze topi moją złość. — Trzeciego dnia mojej pracy w „Shamanie” wchodzi do salonu jakiś gość. Słyszę, jak rozmawia z recepcjonistką. Okazuje się, że to jeden ze stałych klientów. Chce, żeby Gino obciął mu włosy. Ale recepcjonistka odpowiada, że nic z tego, bo dziś jest wieczór praktykantów. Gino musi ich instruować, jak ciąć. Wtedy ten gość mówi: „Muszę dziś obciąć włosy. Co mam zrobić z tym fantem?” Recepcjonistka znów tłumaczy mu, że jest wieczór praktykantów, ale ten gość... nagle zauważa mnie, czujesz? Zmiotam sobie spokojnie włosy z podłogi i nie wtrącam się w cudze sprawy, zupełnie tak jak ty. Nagle gość mówi: „A on? Umie to robić?” Recepcjonistka wyjaśnia, że niedawno mnie przyjęli i że jeszcze nie powinienem nikomu obcinać włosów. Proponuje, że jeśli zależy mu na fachowym obcięciu, to może umówić go z Gino na następny dzień. Ewentualnie, jeżeli bardzo chce być obsłużony dzisiaj, to postara się, żeby przydzielono mu jednego z bardziej doświadczonych praktykantów, którzy pracują od paru miesięcy. Ale on już podjął decyzję. Chce, żebym ja obciął mu włosy.

— Dlaczego ty?

Joel wzrusza ramionami.

— No, więc obcinam mu włosy i zaczynamy rozmawiać. Gino podchodzi od czasu do czasu i daje mi wskazówki, jak ciąć, ale wiem, że idzie mi świetnie i właściwie nie potrzebuję jego rad. Po skończonej robocie podaję gościowi lustro, a on jest zachwycony. Mówi, że zrobiłem to lepiej niż Gino. Chce, żebym w przyszłości tylko ja zajmował się jego włosami. Daje mi wizytówkę i prosi, żebym zadzwonił do niego, jeśli będę potrzebował pomocy albo gdy nie uda mi się u Gino.

Gasi papierosa. Niedopałek jest bardzo długi, ale Joel nie daje rady go dopalić.

— Nie wiedziałam, że jesteś taki utalentowany. Wygląda na urażonego.

— Nie bądź taka cholernie sarkastyczna, Kat.

— Przepraszam, Joel. — Kładę dłoń na jego kolanie i ściskam delikatnie. Znów się uśmiecha, chociaż bardziej nieśmiało niż przedtem.

— Wiesz, Kat, już nigdy nie wypiję pernoda. To gówno. Rzygałem po nim jak kot. Wyobrażasz sobie, jak wyglądają rzygi, kiedy się piło pernoda z czarną porzeczką? Wyobrażasz sobie ten smród?

— Dobra, wystarczy.—Unoszę dłoń, żeby go powstrzymać, ale brnie dalej.

— Udało mi się dojść do domu, ale zapaskudziłem sobie całą koszulkę i spodnie.

— Dosyć, Joel!

— Nie. Chodzi o to, że kiedy wkładałem spodnie do pralki, znalazłem w kieszeni wizytówkę tamtego gościa. Przypomniałem sobie, co powiedział... O tym, że mam do niego zadzwonić... No to zadzwoniłem. I wiesz co? Dał mi pracę! Szkoda, że nie spotkałem go o wiele wcześniej. Kiedy pomyślę o czasie, który zmarnowałem na taniec i fryzjerstwo... To były pierdoły. Teraz mi się udało. Nareszcie mam prawdziwą robotę.

— Na czym dokładnie polega ta praca? Wygląda na rozdrażnionego moim pytaniem.

— No... w usługach. Branża rozrywkowa.

Znów kładę dłoń na jego kolanie. Sztywnieje, ale po chwili próbuje się wyluzować. Nie cofam ręki, mając nadzieję, że uda mi się go uspokoić.

— Ale jaki jest twój zakres obowiązków?

— Mówiłem ci przecież, że jestem tam na przyuczeniu. Pan Fisher osobiście mnie trenuje. Mówi, że mam talent. Jego zdaniem czeka mnie wielka kariera.

— Joe, co to za trening? Na czym polega ta kariera?

— Słuchaj, jeszcze nie wiem. Na razie się uczę. Pan Fisher wierzy we mnie. Wiesz, że kiedy pierwszego dnia poszedłem do jego biura, wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów i dał mi kupę forsy? Powiedział: „Wyglądasz jak nieszczęście. Idź, kup sobie parę garniturów”. Nie powiedział tego po chamsku. Był rozbijająco miły. I nawet nie odejmie mi tych pieniędzy z wypłaty. Twierdzi, że to inwestycja. Niezły gość z tego pana Fishera. Poważnie.

Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymuję się, żeby nie złapać Joela i walnąć jego głupią niewinną głową w ścianę. Zamiast tego opanowuję się i mówię łagodnie:

— Joel, widzę, że nie masz pojęcia, czym się zajmuje ten człowiek ani na czym ma polegać twoja „praca”. Nie sądzisz, że to dość dziwne, że tak bardzo mu zależy na tobie? Nie dziwi cię, że od razu daje ci pieniądze, tylko po to, żebyś kupił sobie nowe ubranie?

Wstaje, opiera dłonie na biodrach, idzie do kuchni i wraca z kolejnym zapalonym papierosem, którym wymachuje gniewnie przede mną.

— Dlaczego nie potrafisz się cieszyć z mojego szczęścia? Dlaczego wydaje ci się takie nieprawdopodobne, że zrobiłem na kimś dobre wrażenie? Czy naprawdę do niczego się nie nadaję, Kat? Czy właśnie tak myślisz? Że jestem beznadziejnym przypadkiem?

— Wcale nie, Joel. Jesteś wyjątkowy. Mógłbyś być wielkim tancerzem.

— Och, przestań chrzanić o tańcu! To dla głupków i mięczaków.

— Po prostu nie chcę, żeby ktoś cię zranił. Zobacz, co było z Gino.

— Nie myśl już o Gino. — Odwraca się i znika w kuchni. Słyszę, że znów napełnia czajnik. — Gino to była wielka pomyłka. Umiem się jednak uczyć na własnych błędach, Kat. Cały czas się uczę.

Ciekawe czego... Wstaję z krzesła i widzę, że opiera się o blat kuchenny, czekając, aż woda się zagotuje. Staję za nim i obejmuję go w pasie, przytulam się, opieram głowę na jego ramieniu. Odwracam twarz tak, żeby poczuć jego kark. Całuję go. Mamrocze, żebym nie pogmiotła mu marynarki, ale pozwala się pieścić.

— Nie chcę, żebyś mi matkowała, Kat — szepcze.

— Ja też nie.

Chcę go zaprowadzić do sypialni, ale nagle dźwięczy dzwonek u drzwi.

— Do diabła! — Patrzy na zegarek. — Nie wiedziałem, że już tak późno.

— Spodziewasz się kogoś?

— Pan Fisher powiedział, że o trzeciej przyśle po mnie taksówkę. — Wrywa się z moich objęć i pędzi do drzwi.

— Po co ci taksówka?—wołam za nim. — Ja cię zawiozę! Ale Joel już rozmawia na progu z kierowcą. Mówi, że będzie gotowy za dwie minuty.

— Wcześniej dzisiaj przyszłaś — zauważa Winnie, spoglądając znad książki, w chmurze papierosowego dymu, kiedy wchodzę do „The Crocodile”.

— Nie jadłam obiadu. A ty? Nie powinnaś teraz przygotowywać podwieczorku dla dzieciaków?

Oprócz Winnie w barze jest tylko dwóch facetów, którzy cicho rozmawiają przy stoliku pod ścianą. Nie znam ich.

— Pokłóciłam się z Paulem. A raczej on pokłócił się ze mną. Ten leniwiec chociaż raz może sam zrobić podwieczorek.

Wieszam kurtkę na oparciu krzesła i siadam. Postanawiam nie komentować lenistwa Paula. Obydwie dobrze znamy mój pogład i jeśli powiem coś złego, ona zaraz zacznie go bronić.

— Dobra książka — mówi Winnie, podnosząc ją wyżej, żebym przyjrzała się okładce. Jest zatytułowana Kobiety, które za mocno kochają. — Powinnaś ją przeczytać.

— Nie, dzięki. Nie mam czasu na czytanie. Hej, Kev, nie masz przypadkiem klopsików drobiowych? — wołam w stronę kuchni.

Twarz Keva wyraża bezdenną pustkę.

— Tak myślałam. Podaj mi, proszę, pieczonego ziemniaka z chilli eon carne i serem, a do tego kawę.

Kev ze zrozumieniem kiwa głową ale nie przerywa niezdarnych prób naprawy ekspresu do herbaty.

Winnie znów ma kaszel. Charczy i chrząka ze wszystkich sił, a ja patrzę tępo przed siebie, rozmyślając o Joelu. Winnie przestaje kaszleć dopiero wtedy, gdy wyciąga inhalator z kieszeni i wpycha go sobie do gardła. Ma twarz czerwoną jak burak.

— Nie wiedziałam, że masz inhalator.

— Bo nie mam — mówi, kiedy odzyskuje głos.— Pożyczyłam od Tommy'ego.

— Dlaczego zabrałaś Tommy'emu inhalator? A jeśli będzie mu potrzebny?

— Ma zapasowy. Potrząsam głową.

— Winnie, bez dwóch zdań, musisz iść do lekarza. Jezu, co ty sobie wyobrażasz!

— Teraz ty się mnie czepiasz? — odpowiada szorstko. Już wiem, o co klóćcili się z Paulem. Pierwszy raz czuję, że jestem po jego stronie. Winnie jednak wbija we mnie gniewny wzrok, więc postanawiam, że lepiej przemilczeć ten temat.

— Twoje zdrowie, twoje życie — mruczę pod nosem.

— Dokładnie tak. — Zapala następnego papierosa i pije łyk herbaty. — Co słychać u ciebie?

— U mnie? Och, to co zwykle.

— A konkretnie?

— Wczoraj ktoś mnie napadł.

— Co zrobił!?

— Jakiś popierdolony wariat. Próbował podpalić tapicerkę. Ale nie ma potrzeby się martwić. Kazałam mu spadać.

Winnie marszczy brwi i potrząsa głową. — Mam nadzieję, że zgłosiłaś to policji.

— Oczywiście. Ale wiadomo, że nic nie zrobią.

— Powinnaś założyć sobie radio, Kath. — Celuje we mnie papierosem. — O wiele bezpieczniej jest jeździć dla Computercabs czy innej firmy. Zwłaszcza w nocy. Zlecenia są dobre, wiesz, że zawsze po kursie dostaniesz pieniądze, i zawsze ktoś jest przy odbiorniku z drugiej strony.

— Nie, to nie dla mnie, Win. — Zawsze próbuje mnie nakłonić, żebym zamontowała radio w taksówce. — Najlepszy w tym fachu jest fakt, że pracujesz tylko dla siebie. Nie zamierzam nikomu płacić za przywilej otrzymywania instrukcji, gdzie mam jechać. Równie dobrze mogłabym przesiąść się na minicab.

Winnie potakuje ruchem głowy.

— Nigdy nie słuchasz głosu rozsądku, prawda? Ani w tej sprawie, ani w żadnej innej.

— I kto to mówi?

Kev przynosi wreszcie ziemniaka i kawę. Cieszy mnie chwilowe odwrócenie uwagi od tematu rozmowy.

— Wróciłaś więc do Jonny'ego? — pyta Winnie, kiedy napy cham sobie usta porcją ziemniaka.

Kiwam głową, potakując.

— Jesteś głupia, Kath.

— Wczoraj był dla mnie miły. Po utarczce z tym wariatem. Wiesz, on wcale nie jest taki zły.

Winnie gasi papierosa tak wściekle, jakby wyobrażała sobie, że popielniczka to twarz Jonny'ego. Albo Paula...

— Spotkasz się jeszcze z tym Craigiem Summerem?

— Może.

Tak, oczywiście, teraz się rozchmurzyła.

— On jest naprawdę czarujący, Kathryn. Założę się też, że ma trochę grosza. Przy nim nie będziesz musiała pracować w taksówce. Logiczne, nie?

— Czekaj, czekaj. Powiedziałam tylko, że może kiedyś się z nim spotkam.

Wzrusza ramionami i patrzy na mnie, jakbym była beznadziejnym przykładem szaleńca.

— Mogłaś trafić gorzej, Kathryn. Powiem ci tylko tyle. Nie chcesz rzucić żadnego z nich, ale czasami musisz wziąć pod uwagę to, co jest dla ciebie najlepsze. Mogłabyś poświęcić trochę czasu sobie.

— Wiem. Masz rację. — Boże, nie znoszę, kiedy wyjeżdża ze swoimi mądrościami. Teraz gędzi jak zwykle.

— Gdyby życie było napojem, to moje byłoby filiżanką herbaty, letniej i za słodkiej, a twoje butelką szampana, którą ktoś wstrząsnął tak, że korek strzela w powietrze i piana rozlewa się dookoła.

Unoszę brew.

— To symbol falliczny.

Winnie uśmiecha się i sięga po papierosy, ale uśmiech znika, kiedy okazuje się, że paczka jest pusta.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek trzynastego. Ósma rano. Nie śnił mi się kolor, ale budzę się sama, rozmyślając o mszy w intencji matki i czuję się jak idiotka. Ile razy odsłuchiwałam wiadomości w telefonach, żeby sprawdzić, czy dzwonił Oczko? Zdaje się, że za każdym razem, kiedy wysiadał kolejny pasażer, sięgałam po czerwony i różowy telefon (Oczko zna numery tylko tych dwóch) i wybierałam numer automatycznej sekretarki. Nic. Cisza. Nawet specjalnie ruszyłam w trasę wcześniej niż zwykle, żeby wrócić do domu przed pierwszą i porządnie się wyspać dla urody. Co za idiotka ze mnie.

Walcząc z chęcią kolejnego sprawdzenia wiadomości, nakładam szlafrok i przedzieram się przez nie rozpakowane pudła i inne rupiecie do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

Stoję i patrzę na wolno kapiący, gęsty, czarny płyn. Niech Oczko się pieprzy. Po co to robię? Przecież on nic dla mnie nie znaczy.

Nie mam na dzisiaj żadnych planów — nic nie odciągnie moich myśli od mszy. Zastanawiam się, czy jeszcze nie jest za późno, żeby zadzwonić do Richarda i powiedzieć, że jednak niespodziewanie udało mi się wyrwać z pracy...

Stop... Nagle rozlega się głośny brzęczący dźwięk. Dzwonek. Pierwszy raz, od kiedy tu mieszkam, ktoś dzwoni do moich drzwi.

Niebieska wykładzina na schodach jest brudna i śmierdzi kocimi sikami. Lokatorzy z parteru trzymają cztery koty. Kiedy mają otwarte drzwi, smród staje się nie do wytrzymania. Czasami, kiedy na dworze jest mokro, zapach wdziera się aż do mojego mieszkania.

Znów rozlega się dzwonek, nieznośnie głośny, kiedy niezdarnie manipuluję przy wielkim zamku na drzwiach.

— Już, już. Za chwilę. Wreszcie udaje mi się otworzyć.

— Katerina, jeszcze nie jesteś gotowa!

Oczko, Craig Summer. We własnej osobie. Szeroki uśmiech na twarzy. Pod ręką trzyma dużą, brązową, papierową torbę.

— Co ty tu, kurwa, robisz?

Uśmiech znika. Oczko traci pewność siebie.

— Nie pamiętasz? Mamy randkę. Przyjechałem po ciebie. — Podaje mi torbę. — Kupiłem bajgle.

Mam dziwne wrażenie, że cały świat spada mi na głowę. Brakuje mi słów. Zaglądam do torby. Cztery bajgle z makiem.

— O co ci chodzi, Oczko? W co ty się ze mną bawisz? Wygląda tak, jakby nie rozumiał.

— Myślałem, że przed wyjazdem zjemy razem śniadanie. Chyba jestem ci to winien...

Bronię swojego terytorium. Nie wpuszczam go za próg.

— Chcesz mnie doprowadzić do obłędu? Przecząco kręci głową.

— Przepraszam. Myślałem, że chcesz wyjechać za miasto. Wolisz, żebym sobie poszedł?

Odzyskując spokój, zakładam rękę na rękę i patrzę na niego, teraz już bez nerwów.

— Craig, próbuję zrozumieć, jak mnie znalazłeś. Nigdy nie podałam ci swojego adresu i nie ma mnie w książce telefonicznej.

— Och. — Znów potrząsa głową. Przypomina mi to potrząsanie butem, żeby usunąć niewygodny kamyk. Tyle, że nie ma żadnego kamyka. — Jesteś pewna?

Potakuję.

Marszczy czoło i blednie, jakby był chory.

— Może Winnie mi go dała?

Zastanawiam się. To może być prawda. Winnie, rzeczywiście, wie, gdzie mieszkam. Ale nie wierzę, że pamięta dokładny adres.

— Co to znaczy, że „może” Winnie dała ci mój adres? Dała go czy nie?

Pochyliła głowę na bok, potem w drugą stronę. Zdaje się, że rozważa, czy powiedzieć tak czy nie. Nagle się rozpromienia.

— W porządku. Powiedzmy, że dała.

— Co to za odpowiedź?

— No, jeśli nie dostałem go od ciebie, to ona musiała mi go dać, prawda? — Uśmiecha się bezradnie.

— Ale nie pamiętasz?

— Prawdę mówiąc, nie. — Nieśmiało przestępuje z nogi na nogę, patrzy na starą kobietę, człapiącą po ulicy, na gburowatego faceta, który myje brązowego chevroleta metro. — Kathryn, wpuścisz mnie czy mam już iść?

Waham się przed odpowiedzią.

— Dobrze, wejdz. Tylko w ten sposób dowiem się, jak było naprawdę.

Głupio mi z powodu smrodu kocich sików, kiedy wchodzimy po schodach. Głupio mi, kiedy pomyślę, że za chwilę zobaczy bałagan w moim domu. To tak jak wtedy, gdy ktoś wchodzi do łazienki i widzi cię na golasa.

Gorzej — to tak jakby ktoś wszedł do łazienki i zobaczył, jak wybielasz sobie zarost nad górną wargą.

Niezręczna sytuacja wywołuje we mnie złość i rozdrażnienie. Przecież nie prosiłam, żeby tu przychodził... Nigdy nikogo nie zapraszałam! Jak on śmie tak się rządzić? Jak Winnie może tak bezmyślnie rozdawać mój adres na prawo i lewo? Zwłaszcza wiedząc tak dużo o moim życiu i potrzebie prywatności. Jezu, a jeszcze wczoraj mówiła mi, że powinnam mieć więcej czasu dla siebie... To pogwałcenie życia osobistego.

Wchodząc do pokoju, Oczko poślizguje się na pustym worku na śmieci i potyka się o karton z książkami. Otwieram żaluzje. Niechętnie pozwalam, by światło oświetliło bałagan, ale sądzę, że jeśli tego nie zrobię, to któreś z nas przewróci się i coś pęknie — jakiś przedmiot albo kość. Może nawet kręgosłup. Robię trochę miejsca na kanapie i wskazuję dłonią.

— Siadaj.

Oczko robi, jak mu każę.

Biorę bajgle i idę do kuchni. Szukam noża w szufladzie.

— Ładne mieszkanko — woła Oczko z salonu. — Jest w nim duży potencjał. Dopiero się wprowadziłaś, tak?

Nie odpowiadam. Kroję bajgle i układam je na elektrycznym grillu. Staram się zachować spokój najlepiej, jak potrafię.

— Znasz tę piosenkę Petera Sellersa Balham, gateway to the South... — słyszę.

Coś we mnie pęka. Wracam do pokoju, trzymając przed sobą wielki nóż.

— Co chciałeś osiągnąć, prosząc Winnie o mój adres? Dlaczego nie zadzwoniłeś, żeby mnie uprzedzić?

— Przepraszam. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

— Nie lubię niespodzianek.

Samochód stoi przy końcu ulicy. Oczko nie chciał podjechać pod sam dom, żeby nie zepsuć niespodzianki. Specjalnie wynajął na dzisiaj srebrną sportową mazdę MX5 z otwieranym dachem. Na siedzeniu pasażera leży bukiet długich czerwonych róż.

— Nie mają kolców — mówi. — Chociaż w dzisiejszych czasach żadne róże już ich nie mają, prawda? Przynajmniej te z kwiaciarni.

Samochód jest prześliczny. Róże też są prześliczne. Wsiadam i kładę kwiaty na kolanach.

— Dokąd jedziemy?

Dotyka przycisku na desce rozdzielczej i otwiera dach.

— Poczekaj, a zobaczysz.

Boże, jeszcze jedna niespodzianka.

Oczko musi sprawdzić trasę w atlasie, zanim wyruszymy. Próbuje podejrzeć, ale zasłania stroną ręką. Potem długo szpera w skrytce na rękawiczki, szukając płyty. Wreszcie decyduje się na Van Morrisona. Moon Dance.

Ruszamy — w końcu — kierując się w stronę Bedford Hill. Mijamy dwie brudne prostytutki, które zawsze tu stoją. Widzę zazdrość w ich oczach, kiedy mijamy je szpanerskim sportowym autem. Na skrzyżowaniu z Balham High Road zatrzymujemy się na światłach, a kiedy włącza się zielone, Oczko nie radzi sobie z biegami. Za nami trąbią klaksony, a on, klnąc pod nosem, szarpie dźwignię.

— Nie jestem przyzwyczajony do tego wozu — mamrocze. — Zaraz wszystko będzie OK.

Boże, nie znoszę bycia pasażerem.

Streatham, Tulse Hill, Forest Hill, Catford. Zapuszczona, zielona ziemia niczyja wzdłuż South Circular.

— Nie mogliby zrobić tutaj porządnej drogi, jak North Circular? — jęczy Oczko, kiedy zatrzymujemy się na kolejnych światłach. Posuwamy się o parę cali i znów stajemy. Ciężarówka z przodu bucha w nas spalinami. Wciskam przycisk zamykający dach.

— Gdybyś powiedział mi, dokąd jedziemy, to może znalazłabym jakieś skróty — próbuję go namówić, ale nie daje się przekonać.

Hither Green, Eltham, Blackfen, Bexley. Kręgielnie, magazyny meblowe, McDonaldy wielkości fabryk i pola golfowe.

Zbliżamy się do tunelu w Dartford, a dach samochodu jest zamknięty dla ochrony przed spalinami. Zamykam oczy. Uwielbiam mosty, ale tunele wywołują we mnie labiryntofobię. Przywodzą mi na myśl szczury biegające po kanałach. Boję się myśleć o rzece, która płynie nad nami, o strumieniu pojazdów, który pcha nas naprzód. Czuję ból w piersi i kurczowo zaciskam spocone pięści.

Podczas jednej z nielicznych rodzinnych wizyt w Londynie, kiedy byłam mała, zeszliśmy do przejścia podziemnego w Greenwich. Nagle, kiedy zamknęły się drzwi windy, mój umysł zaczął wysyłać znaki ostrzegawcze. Gdy byliśmy na dole, gdzie dźwięk gitar ulicznych grajków i śmiech dzieci odbijały się głośnym echem, zauważyłam krople wody, kapiące z małej czarnej plamki na suficie, i zaczęłam wydierać się i płakać. Wpadłam w

histerię, która spotęgowała się, kiedy dotarło do mnie echo moich własnych krzyków. Jestem pewna, że nie byłam jedynym dzieckiem, które ojciec musiał nieść na barana przez podziemne przejście w Greenwich, ale nie sądzę, by wielu dziewięciolatków trzeba było wynosić na powierzchnię tak jak mnie.

— Wszystko w porządku? — pyta Oczko, widząc moje zaciśnięte powieki i napięcie na twarzy.

— Zaraz mi przejdzie.

Kiedy wyjeżdżamy z powrotem na słońce, udaje mi się uśmiechnąć.

South Ockenden, North Ockenden, Brentwood. Kierujemy się do serca podmiejskiej części Essex, gdzie zostałam poczęta, urodziłam się i chodziłam do szkoły.

— Jaki jest cel naszej podróży, Craig? Cambridgeshire? Suffolk? Norfolk? East Anglia? Jak daleko jedziemy?

— Aż do końca, kochanie — mówi, śmiejąc się. — Aż do końca.

— Chciałbyś.

Zjeżdżamy z M25 i skręcamy na Mil.

Mijamy Harlow, betonowe New Town, gdzie matka kupowała mi szkolne mundurki. Wolałabym, żebyśmy jechali na zachód, a nie na wschód.

Oczko szuka czegoś w schowku na rękawiczki. Wierzchem dłoni niechcący trąca moje kolano. Ze zdziwieniem zauważam, że dotknął mnie dzisiaj pierwszy raz. To przypadkowy gest, ale zdumiewająco intymny. Oczko wyciąga paczkę papierosów i chce użyć samochodowej zapalniczki. Nagle widzi moją minę.

— Pozwól mi na jednego. Nie paliłbym w zamkniętym wozie, ale przecież mamy opuszczony dach.

Teraz wiem, dlaczego wybrał ten model samochodu.

— Potraktowałem poważnie twoją radę, że powinienem zadbać o kondycję — mówi radośnie. — Wykupiłem parę lekcji szermierki.

— Szermierki? — Próbuję nie śmiać się na głos, wyobrażając sobie ten widok. Jego przysadziste ciało w ciasnym, białym kostiumie z głupkowatą maską. Oczko wykonuje cięcia i pchnięcia, podskakując jak pijana baletnica.

— Tak. Siłownia i te sprawy to nie dla mnie. Nie rozumiem, jak można biegać godzinami bez celu. Szermierka mi się podoba. Łączy agresję z precyzją. Siłę ze strategią. W to mogę się bawić.

— Tylko nie spodziewaj się, że będę zgrywać przed tobą romantyczną nieszczęśliwą damę — ostrzegam.

Na zjeździe numer dziewięć opuszczamy autostradę. Jesteśmy w trasie od ponad dwóch godzin. Czuję ucisk w piersi. Ręce mam sztywne od napięcia, a w palce wbijają mi się kłujące szpilki.

— Mam dosyć tej gry, Oczko. Chcę wiedzieć, dokąd jedziemy. Spogląda na mnie. Chyba zdziwił go strach, jaki usłyszał w moim głosie. Ale mówi tylko:

— O nic się nie martw.

Great Chesterford. Little Chesterford. Droga B184. Chaty pokryte strzechą, volvo zaparkowane na żwirowych podjazdach, stare domy pomalowane jaskraworóżową albo soczyście żółtą farbą, z dziwnymi ornamentami nad drzwiami — kwadratami, kółkami, kropkami i muszlami. Te wzory są elementem odwiecznej tradycji. Zawsze podejrzewałam, że z nich wywodzą się stiukowe sufity. Od lat nie odwiedzałam tej okolicy, ale pamiętam nazwy wszystkich sklepów, pubów i hoteli w każdej wiosce.

Znam drogę tak dobrze, że wiem, gdzie robią się kałuże, kiedy pada.

— Chyba nie zamierzasz mnie zawieźć do Saffron Walden, prawda, Oczko?

Znów pali, strzepuje popiół na ulicę. Nic nie mówi.

— Craig, musisz mi powiedzieć, czy chcesz się zatrzymać w Saffron Walden, czy po prostu mijamy to miejsce w drodze dokądś indziej.

Zdaje się, że chce coś powiedzieć, ale nagle...

— Kurwa! — Skręca gwałtownie, aż zarzuca mnie na bok, a pas wpija mi się w pierś. Klakson. Biała kaczka człapie na drugą stronę ulicy, nieświadoma, jak niewiele brakowało, żeby zmieniła się w pasztet. — Jezu, nienawidzę jazdy po wiochach. Wszędzie kręcą się zwierzaki — mówi Oczko, otrząsając się. — Nic ci się nie stało?

— Nie. Craig...

Wjeżdżamy na przedmieście. Pub „Eight Bells” miga za oknem. Wcale się nie zmienił. Rodzice zabierali mnie tam na niedzielne obiady. Siadaliśmy przy dużym okrągłym stole w hałaśliwej sali rodzinnej. Kiedy miałam dziewięć czy dziesięć lat, zwymiotowałam na parkingu przed głównym wejściem. Mama przytrzymała mi włosy i głaskała po plecach tak długo, aż skończyłam.

— Ukartowaliście to z Winnie? Czyj to był pomysł, twój czy jej? — Pocieram rozpalone czoło. — I pomyśleć, że tak niecierpliwie czekałam na ten dzień... Nie sądzisz, że to powinna być moja decyzja?

Zapomniałam, jak duży jest kościół. Prawie jak katedra. Wieżę widać z odległości paru mil.

— Dlaczego, Craig?

Rozgląda się, szukając wolnego miejsca na skraju drogi, gdzie mógłby zaparkować. Znajduje je między jakąś toyotą i volvo. Dziesięciu czy dwunastu ludzi w brązowych, czarnych i popielatych strojach zmierza do otwartych drzwi kościoła. Rozpoznaję krępa panią Dewer ze szkoły. Wisi na ramieniu mężczyzny, który — jak się domyślam — jest jej mężem. Widzę wujka Petera, który wcale nie jest moim wujkiem. Podpiera się laską. Nie znam młodego małżeństwa z dzieckiem... O Boże, jest i on.

Spodziewałam się, że przyjedzie pierwszy, żeby stanąć na schodach jak gospodarz przyjęcia. Całowałby gości w policzki i wymieniał uściski dłoni. Ale dopiero teraz wysiada z niebieskiego renaulta, stojącego daleko z przodu. Jego szare włosy zrobiły się całkiem białe, a czarny garnitur wisi na nim jak na kiju od szczotki. Jest chudszy niż kiedyś... i jakby trochę drobniejszy. Garnitur i białe włosy nadają mu nieco arystokratyczny wygląd. Przypomina wątłych, zgarbionych starców, którzy wsiadają do mojej taksówki i każą się wieźć do „Garrick Club”. Przez ostatnie dwanaście lat wyobrażałam go sobie bardzo dokładnie, lecz okazuje się, że moje domysły mijały się z rzeczywistością.

— To on, prawda? Ten z siwymi włosami?

Czuję dłoń Oczka na ramieniu. Ścisza je delikatnie, żeby dodać mi odwagi.

Ojciec wkłada kluczyki do kieszeni i stoi przy samochodzie, patrząc przed siebie. Widzę, że mankiety marynarki zasłaniają mu dłonie, sięgają do połowy palców. Może naprawdę się skurczył?

— Co teraz? — słyszę głos Oczka.

Tato pochyla głowę na bok, jakby nasłuchiwał. Potem wolno odwraca się, rozgląda, wyciąga szyję jak żółw, żeby zobaczyć, kto zbliża się ścieżką do kościoła, kto zaparkował samochód. Widzę jego oczy. Są ciemne. Nagle domyślam się, co robi.

Szuka mnie.

Rozlega się pstryknięcie i świst, kiedy odpinam pas. Kładę dłoń na klamce.

Tato nadal patrzy dookoła, szukając czarnej taksówki. Zwiesza ramiona — niedostrzegalnie, ale jednak to prawda. Potem w drzwiach pojawia się młody ksiądz, którego nigdy nie widziałam. Schodzi po schodach w stronę ojca,

podskakując przy każdym kroku. Tato go zauważa — zbliża się, żeby podać mu rękę.

Wybieram odpowiedni moment i otwieram drzwi.

— Kathryn, chcesz, żebym poszedł z tobą?

— Spierdalaj.

Wysiadam z hondy i pędzę w dół zbocza, byle dalej od kościoła, od ojca i od wścibskiego Craiga. Przed wyjazdem nałożyłam sportowe buty i bojówki, więc nie krępuje mnie ciasna spódnica, śliskie podeszwy ani szpilki. Na początku serce wali mi jak młotem, ale potem puls się wyrównuje i nabieram rozpędu. Oddech staje się głębszy, a stopy ledwie dotykają ziemi. Bez wysiłku. Jestem maszyną

Skrecając na rogu ulicy, niemal potracam jakąś kobietę w kapeluszu, ale udaje mi się ją ominąć. Słyszę za sobą ryk uruchamianego silnika hondy, więc przyspieszam i przebiegam przez ulicę, w stronę centrum i uliczek, w które nie wjedzie samochód. Mijam kioski z upominkami, herbaciarnie, przedzieram się przez tłum.

Kiedy biegnę przez rynek, wiem, że jestem odsłonięta, nie mam gdzie się schować, więc jeszcze bardziej zwiększam szybkość. Ale nigdzie nie widzę Oczka. Nie złapie mnie. Nie tutaj — w miejscu, które dla niego jest obce, a ja znam je lepiej niż swoje myśli. Śmigam wąską uliczką koło „Bootsa” i wypadam na Common — pędzę na przełaj, przez trawnik. Mijam parę, która chyba usiłuje począć dziecko, i sprintem puszczam się w stronę Thaxted Road. Biegnę teraz tak szybko, że nie mogłabym się zatrzymać, nawet gdybym chciała. Zapominam, gdzie jestem i dokąd zmierzam. Wiem tylko, że muszę wydostać się z miasta. Rozgarniam stopami suche liście, rozbryzguję kałuże i słyszę odgłos swoich kroków.

Jakiś samochód trąbi na mnie, kiedy przebiegam przez ulicę. Prawie przelatuję nad jego maską. Gdy bezpiecznie docieram do chodnika, wreszcie udaje mi się zwolnić i zmuszam się do zatrzymania. Opieram się o latarnię i próbuję uspokoić oddech i nerwy. Nagle widzę, gdzie jestem.

Dom Maeve już nie wygląda tak jak kiedyś. Gdyby nie znajome plamy po oleju na podjeździe, mogłabym go nie rozpoznać. Ktoś przerobił garaż, w którym kiedyś stała taksówka, na przybudówkę. Jest w niej nawet okno z firankami. Od strony ulicy zamontowano nową, zieloną bramę z kutego żelaza, z ozdobami, zakrętami i tabliczką z napisem: „KONWALIOWA CHATKA”. Konwaliowa chatka! A to dopiero! Gdyby Maeve żyła, umarłaby ze wstydu. Albo ze śmiechu. Tam, gdzie kiedyś były drewniane

drzwi pomalowane łuszczącą się farbą, wstawiono wdzięczne drzwiczki z piaskowanego szkła. Trawnik przed domem jest zadbane. Ktoś posadził żywopłot. Nie ma już starej jabłoni. Czuję, że zbiera mi się na płacz — nie kontroluję się. Zaraz zwymiotuję. Tu był mój dom — może jedyny, jaki miałam — a teraz go nie poznaję.

Stacja Audley End. Siedzę na ławce na peronie pierwszym, kaszlę i próbuję odzyskać oddech, patrząc na tory. Przed chwilą bardzo szybko przebiegłam trzy mile polnymi drogami — to chyba dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że od paru dni nie byłam na siłowni. Teraz jednak zaschło w gardle, a na stacji nie ma kiosku z napojami (o kawiarni w ogóle mogę zapomnieć), w którym mogłabym kupić butelkę wody. Muszę męczyć się aż do Londynu.

Spóźniłam się o pięć minut na pociąg, więc będę tu siedzieć pół godziny. Oprócz mnie nikogo nie ma na tej ministacji z dwoma peronami. Tylko ptaki. Kiedy byłam dzieckiem, stała tutaj kasa, w której pracował stary, gburowaty kasjer, ale teraz nie ma po niej śladu. Stacja jest urządzona gorzej niż przeciętny przystanek autobusowy.

Muszę tu czekać z nogami drżącymi jak galareta i nie zaspokojonym pragnieniem. Co za sukinyń z tego Oczka. Dlaczego mnie tutaj przywiózł...? A jeśli chodzi o Winnie... cóż, najlepsza przyjaciółka mnie zdradziła.

Przypominam sobie tego chudego mężczyznę o siwych włosach... jego puste oczy. To tak, jakbym ujrzała ducha mojego ojca. Właściwie, tak właśnie było — przecież był dla mnie martwy od dwunastu lat, czy też piętnastu, jeśli liczyć czas, który spędziłam, mieszkając u Maeve, bo nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

Msza na pewno już trwa. Zastanawiam się, czy ojciec zaprosi gości do domu na herbatę i kanapki — stypę, której nie zorganizował piętnaście lat temu. Ciekawe, czy trudno było przekonać księdza, żeby pozwolił na mszę w intencji kobiety, która odebrała sobie życie.

— Kathryn!

Do diabła, to Oczko.

Idzie po peronie w moją stronę. Ręce wepchnął głęboko do kieszeni. Wygląda na zawstydzonego.

— Przepraszam. — Siada przy mnie na ławce. Odsuwam się jak najdalej od niego. Nic nie mówię, tylko patrzę na tory.

— Naprawdę mi przykro... Zmartwiłem się, kiedy uciekłaś. Cieszę się, że jeszcze tu jesteś.

— No to myślimy zupełnie inaczej.

Wzdycha, opiera głowę na dłoniach i myśli, co jeszcze powiedzieć.

— Niepotrzebnie cię tu przywiozłem. To powinna być twoja decyzja, tak jak powiedziałaś. Wszystko spieprzyłem, prawda?

— Masz świętą rację.

— Uwierzysz mi, jeśli powiem, że zrobiłem źle, ale z dobrych pobudek?

— Nie wiem, w co wierzyć. — Ukradkiem patrzę na jego zmartwioną minę.

— Jestem nieuleczalnym „naprawiaczem” zła — mówi. — Dlatego chciałem naprawić twoje stosunki z ojcem. Myślałem, że wystarczy cię tu przywieźć, a reszta zrobi się sama.

— Masz większe ego, niż przypuszczałam—ucinam. — I za bardzo wzięłaś sobie do serca wykłady Winnie o samodoskonaleniu.

— Kathryn, to nie jej wina. Powiedziała mi o tobie i ojcu, ale...

— Wiedziała! Co jeszcze ci powiedziała? — Już sobie wyobrażam, jak siedzą w „The Crocodile” z pochylonymi głowami i szepczą konspiracyjnie: „Kathryn ma kłopoty z emocjami. Ktoś musi coś z tym zrobić”.

— Nic. To naprawdę nie jej wina. Ostrzegła mnie, że bym tego nie robił.

— A ty myślałeś, że wiesz lepiej.

— Coś w tym rodzaju.

Wstaję i odchodzę do końca peronu. Wiem, że za chwilę podejdzie, ale potrzebuję paru sekund, żeby pozbierać myśli.

Oczko łaskawie daje mi pół minuty, lecz zaraz słyszę, że lezie za mną.

— Kathryn — mówi do moich pleców. — Posłuchasz mnie przez moment? Chociaż przez minutę. Obiecuję, że potem odejdę i zostawię cię w spokoju.

Wolno odwracam się do niego.

— Masz minutę.

— OK. — Teraz jednak patrzy na czubki butów, bawiąc się kluczami w kieszeni.

— No, mów.

— Mhm... tak.

Widzę, że włosy przerzedzają mu się na czubku głowy. Mam dziwną ochotę je zmierzić, ale tego nie robię. Oczko bierze głęboki wdech i mówi:

— Parę lat temu pokłóciłem się z rodzicami! Nie zgadzali się z pewną rzeczą, którą zrobiłem, i...

— Co to było? Co zrobiłeś?

— Nieważne.

— Ważne. Powiedz. Patrzy na mnie ze złością.

— OK. Chodziło o moją pierwszą żonę.

— Tę, która nie pojechała z tobą na Hawaje?

— Nie. To była moja druga żona.

— A Mariannę...

— Trzecia.

— Jezu, nagle zaczynają się mnożyć! Zdawało mi się, że ożeniłeś się dwa razy.

— Nigdy tego nie powiedziałem. Na pewno sama tak założyłaś. Byłem żonaty trzy razy. — Trochę się uspokaja. — I trzy razy się rozwiodłem. Ni mniej, ni więcej. Pierwsza żona... Cóż, pobraliśmy się zbyt młodo. Powinniśmy trochę pochodzić ze sobą. Nie znaliśmy się zbyt dobrze, a kiedy razem zamieszkaliśmy, odkryłem, że prawdę mówiąc, nawet jej nie lubię.

Przerywa na chwilę i sięga do kieszeni po papierosy. Czekam, aż zapali, dziwnie zaintrygowana opowieścią.

— Nie wiedziałem, co robić. Chciałem od niej odejść, ale bałem się, że ją zranię. Potem poznałem inną kobietę...

— Och, więc o to chodzi.

— Tak, o to chodzi. Bardzo mocno się związałem z tą drugą. Wiesz, jak to jest, kiedy mieszkasz z kimś, kogo nie kochasz, i nagle poznajesz kogoś, kogo mogłabyś pokochać...

Potakuję lekkim ruchem głowy.

— Nie wiedziałem jednak, że Nicola... moja żona... że była w ciąży. Z jakiegoś powodu jedyną osobą której zdradziła radosną nowinę, była moja matka.

— Och.

— Wkrótce Nicola dowiedziała się o tej drugiej kobiecie. Parę razy wymknęło mi się nierozważne słowo, a ona powiązała fakty. Pokłóciliśmy się i odszedłem od niej. Po paru dniach odebrałem telefon od matki: „Co z ciebie za potwór? Odchodzisz od Nicoli, chociaż nosi twoje dziecko" i tak dalej.

— Ale przecież nie wiedziałeś o ciąży.

— No, właśnie. Gdybym wiedział... Cóż, nie wiem, co bym zrobił, gdybym wiedział. Nicola usunęła ciążę, zanim zdążyłem z nią porozmawiać. Moi rodzice byli głęboko wierzącymi katolikami i obydwójce mieli nienaruszalne zasady. Matka stwierdziła, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, a ojciec ją poparł.

Głos mu się załamuje. Przerzywa, żeby zaciągnąć się papierosem.

— I co zrobiłeś?

— Nic. Rozwiodłem się i ożeniłem z inną kobietą.

— Z tą, która nie pojechała na Hawaje, czy przypomniałeś sobie o jeszcze jednej?

— Tak, z tą, która nie pojechała na Hawaje. Od dwóch lat nie miałem wieści od Nicoli ani rodziców. Dostałem list od ojca, w którym pisał, że mama zmarła. Chciał, żebym pojechał na pogrzeb. Nie pojechałem... Nawet nie odpowiedziałem na list.

— Zaczynam cię rozumieć.

— Minęły kolejne dwa lata i kolejne małżeństwo spłynęło do rynsztoka. W końcu przyszedł list od najlepszego kolegi mojego ojca. Tato przewrócił się i zmarł na atak serca. Nie widziałem go od dawna, ale byłem jego jedynym synem, a on nie spisał testamentu. Dziwnie się czułem, wracając po tylu latach do domu. Musiałem zorganizować pogrzeb, uporządkować jego rzeczy. Uplłynęło dużo czasu, nie czułem żadnych emocji. To tak, jakbym wrzucił uczucia do pudełka i zapomniał, gdzie je odłożyłem. To było okropne. Mogłem sobie pozwolić najwyżej na żal.

Odplywa w myślach. Stoimy, milcząc, i patrzymy na siebie. Jestem zmęczona. On wygląda na równie wykończonego. Nagle słyszymy sztuczny, elektroniczny głos z megafonu. Nadjeżdża pociąg do Londynu.

— Cóż, myślę, że możesz jechać — mówi Oczko. — Chciałem tylko wytłumaczyć...

Wzruszam ramionami.

— To smutna historia.

— Tak.

Odchodzi wzdłuż peronu. Pociąg zwalnia i staje. Słyszę pisk, który oznajmia, że drzwi zaraz się otworzą. Przycisk przy drzwiach pulsuje zielonym światłem. Naciskam, stojąc twarzą w twarz z bladą kobietą o wyglądzie myszy. Ta najpierw patrzy na mnie beznamiętnie, ale kiedy drzwi się nie otwierają mimo sygnału i zielonego światła, odwraca się i niespokojnie wciska guzik po swojej stronie. Drzwi pozostają zamknięte.

Widzę, jak z ust kobiety pada bezdźwięczne przekleństwo. Jej twarz robi się czerwona z nerwów. Żadne drzwi się nie otworzyły. Mechanizm musiał się zaciąć. Pociąg nie rusza się, a sygnał nadal świdruje mi w uszach. Konduktor wyskoczył na peron i biegnie po peronie, panikując bez sensu, i krzyczy coś niezrozumiale do maszynisty. Ludzie uwięzieni w środku wałą pięściami w okna. Głośniki trzeszczą ale nie słychać głosu. Odwracam się i patrzę przez ramię. Na końcu peronu Oczko wychodzi za bramę i idzie na parking.

Znów czuję, że muszę biec — ale tym razem nie uciekam od niego.

Oczko proponuje Cambridge, ale Cambridge jest za blisko. Chcę znaleźć się jak najdalej od tego pełnego wspomnień zakątka kraju i pojechać gdzieś, gdzie żadne z nas jeszcze nigdy nie było. Zmierzamy więc do Suffolk. Kiedy jedziemy wśród pustych pól i bagien do Southwold, czuję, że znów mogę swobodnie oddychać.

W drodze próbuję wyjaśnić, co mój ojciec zrobił matce — jak traktował jej depresję. Udawał, że nic się nie dzieje. Opowiadam, jak podchodził do jej alkoholizmu. Zamykał ją w domu, bo wołał zostawić ją z ginem i wódką niż narazić się na kompromitację, jeśli ludzie odkryliby prawdę o żonie dyrektora szkoły. Kazał jej przestać pić i wziąć się w garść za każdym razem, kiedy prosiła go o pomoc. Udawał, że nie widzi, iż żona cierpi na załamanie nerwowe, i krzyczał na lekarza, żeby trzymał się od niej z daleka i nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, kiedy zadzwoniłam do szpitala, żeby wezwać pogotowie. Gdy znaleziono ją nieżywą w samochodzie, kazał spalić jej ciało po cichu, bez pogrzebu. A kiedy spakowałam swoje rzeczy i wyprowadziłam się, nie próbował mnie powstrzymać. Przecież byłam jej córką — za bardzo przypominałam ją z wyglądu, a moja rozpacz niepotrzebnie zwracała uwagę ludzi.

Pijemy piwo w podupadłym pubie, w którym tubylcy patrzą na nas podejrzliwie. Oczko zamówił ciemne, a ja jasne. Jemy smażonego dorsza z frytkami. Oczko lubi groszek, więc oddaję mu swoją porcję. Dorsz nie ma żadnego smaku, a groszek smakuje jak klej do tapet. Przerzucamy się na whisky, pięć razy z rzędu wygrywam z nim w bilard. Nawet po piątej porażce nie przyznaje, że jestem lepsza. Mówi, że słabo mu idzie, bo zmęczyła go jazda samochodem. Biedactwo. Pijemy coraz więcej i zachowujemy się coraz głośniej. Nie wiem, czy to wpływ alkoholu, ale mam coraz większą ochotę na seks. Kiedy właściciel zamyka pub, nagle dociera do nas, że nie mamy gdzie przenocować, a żadne z nas nie nadaje się już do

kierowania. Na szczęście pub pretenduje do miana hotelu. Na górze są trzy pokoje gościnne. Boże, co za dzień.

W pokoju czuć stęchliznę, jakby nikt tu od dawna nie mieszkał. Cztery muchy krążą wokół lampy, bzycząc głośno. Są powolne, śpiące, więc z łatwością je zabijam Biblią Gideona. Oczko idzie do kibla, żeby się odpryskać. Słucham odgłosów strumienia jego sików. Kiedy wraca, też idę do toalety, ale zostawiam otwarte drzwi. Po chwili staje w drzwiach, żeby popatrzeć. Dokładnie tego chciałam.

Robimy straszny harmider, zsuwając wąskie łóżka. Oczko opada i mówi, że zranił się w kostkę. Chce, żebym okazała mu współczucie, ale tylko mnie rozśmiesza. Śmiech staje się bardziej nerwowy, kiedy zaczyna rozbierać się przede mną. Nie wiem, czy spodoba mi się jego ciało, ale gdy zdejmuje koszulę, widzę, że wszystko będzie OK. Ma gładką, czystą skórę, na klatce tylko kępkę miękkich włosów. Brzuch jest większy, niż mogłabym sobie wymarzyć, ale przynajmniej wygląda na twardy — nie przypomina sadła, którego się obawiałam. W jego nagim ciele jest coś zwierzęcego. Chcę go dotknąć.

RS

THE CROCODILE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mam jechać do Craiga czy wracać do domu? Jest siedemnaście po piątej rano, wtorek 24 października. Siedzę z Winnie przy tym samym stoliku co zawsze, bezmyślnie przesuwam widelcem grudy jajecznicy z ketchupem, na którą nie mam ochoty, i próbuję się zdecydować. Jeśli teraz wyjadę, to dotrę na miejsce przed szóstą i będziemy mieli dwie godziny dla siebie. Niech to będzie niespodzianka. Oczko będzie niewyspany, marudny, będzie się potykał, człapiąc w krótkich bokserkach, ale kiedy zobaczy mnie przed drzwiami, jego twarz się rozjaśni jak noc świętojańska...

Winnie trajkuje, podczas gdy ja zastanawiam się, czy element zaskoczenia to dobry pomysł. Może powinnam najpierw zadzwonić... Ach, właśnie: potrzebuję nowego telefonu — dla Oczka. Fioletowego?

— Halo, jest tam kto? — Winnie puka w moje czoło jak w drzwi. Krzyczę, zaskoczona. — Kath, wiem, że jesteś zajęta myśleniem o miłości, ale mogłabyś chociaż udawać, że słuchasz, co do ciebie mówię!

— Co?

— Dobrze słyszałaś. — Jak zwykle odchyła się ze skrzyżowanymi ramionami i unosi brwi.

— Myślisz, że zakochałam się w Craigu Summerze? Winnie wzdycha.

— Ile razy spotykałaś się z nim przez ostatnie dwa tygodnie? Pocieram czoło.

— To bolało, wiesz?

— Och, biedactwo. He razy, Kath?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Chyba pięć czy sześć.

— A ile razy spotkałaś się z Richardem, Stefem albo z Jonnym?

Nie wytrzymam jej insynuacji. Powinnam przestać się jej zwierzać. Winnie nie daje mi czasu na odpowiedź. Kontynuuje:

— Widzisz? Jesteś zakochana w Craigu Summerze. Logiczne, nie? Kiedy więc masz zamiar spojrzeć prawdzie w oczy i zostawić tamtych?

- Posłuchaj, chodzi o fakt, że to coś nowego. Nic więcej. Tym razem chyba ty powinnaś postawić mi kawę...

Winnie woła Keva i zamawia kawę. Już nie spieszy mi się tak bardzo do wyjścia. Jednak pojedę do Balham, żeby się wyspać. Winnie grubo się myli, ale przynajmniej w jednej rzeczy ma rację — zbyt często spotykam się z

Oczkiem, a zaniedbuję resztę. Nie wyjdzie mi to na dobre. Trzeba zachować równowagę, kiedy prowadzi się tak złożone życie jak ja, albo wszystko przewróci się do góry nogami. Teraz życie skomplikuje się jeszcze bardziej, bo będę musiała dzielić czas między sześcioro kochanków.

Patrzę, jak Winnie zaciąga się powietrzem z inhalatora, kiedy czekamy na kawę. Ma podkrążone oczy, a jej policzki są tak blade, że nabrały zielonkawego odcienia. Trudno uwierzyć, że tak bardzo ryzykuje zdrowie i życie, mając na wychowaniu troje dzieci. Może boi się, że lekarz wykryje coś, co trzeba będzie zgłosić do Biura Transportu Publicznego, i odbiorą jej licencję. Przecież właśnie to zrobili jej mężowi, kiedy stwierdzono u niego cukrzycę.

— Byłaś u lekarza, Win?

— Właściwie, tak — mówi tonem, który nie pozwala na dyskusję.

— Och, to dobrze! — Próbuję się uśmiechnąć i czekam, aż powie coś więcej, ale bez skutku. Zamiast tego patrzy za okno, na nie ustający deszcz.

— No, i co powiedział?

Winnie przygląda się swoim obgryzionym paznokciom.

— Kazał mi iść na wizytę do szpitala. Wiesz, do jakiegoś konsultanta. Uważa, że muszę zrobić sobie jakieś testy. W przyszłym tygodniu.

— Co to za testy?

— Nie wiem. Nie jestem cholernym doktorem.

— Prawda. — Chcę jej zadać kolejne pytanie, ale nagle widzę strach w jej oczach i decyduję, że nie powinnam. Dzisiaj czuję wokół niej aurę, która o kimś mi przypomina — o Maeve, niedługo przed śmiercią. Teraz, kiedy Kev podaje nam kawę, wiem, że cieszy ją moje współczucie i fakt, że się o nią martwię. Siedzi wyprostowana na krześle.

— Gdyby życie było porcją lodów — zaczyna — to moje byłoby gałką waniliowych w rożku, a twoje wielkim deserem, oblanym syropem, obsypanym bakaliami, z parasolką zatknietą na samej górze.

Kończą się jej pomysły. Ostatnio za często porównuje życie do jedzenia. Zawsze to samo. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę z faktu, że te złote myśli mówią tyle samo o jej życiu, co o moim.

— Kits! — Dotty jest na mnie zła. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami, nieruchomo, przed nie dokończoną wieżą z kolorowych drewnianych klocków. W prawej ręce trzymam czerwony klocek, a w lewej zielony. Patrzę nieobecny wzrokiem przed siebie.

— Przepraszam, Dotty. — Kładę czerwony klocek na górze.

— Nie! — krzyczy. — Teraz zielony. Zielony, Kits! Pieprzony mały dyktator.

Bawimy się. Buduję najwyższą wieżę świata, a Dotty kuca obok i obserwuje. Na jej ładnej, różowej buzi widzę złośliwy grymas. Mała czeka na odpowiedni moment i już zaczyna się niecierpliwić.

Czuję, że to dobrze, że jestem tu dzisiaj z Richardem i Dotty. To tak jakbym wyszła z transu. Wiele zawdzięczam komentarzom Winnie, które wygłosiła rano. Spoglądam na Dotty — na jej śliczną buźkę. Ufa mi tak bardzo, że zasypia z głową na moich kolanach. Często płacze, kiedy się zegnamy, ale wierzy, kiedy mówię, że wrócę. Straszna miłość.

— Pospiesz się, Kits. Niech będzie wysoka!

Ciekawe, czy kiedyś będę miała swoją — to znaczy swoje dziecko.

— Tu jesteś, kochanie. — Richard wchodzi do pokoju i podaje mi kieliszek wina. Nosi falbaniasty fartuch w kropki, pewnie pozostałość po małżeńskich czasach. Gotuje strogonoffa na kolację. Od żaru ma czerwone policzki. — Skończę za parę minut.

— Świetnie. — Kładę zielony klocek na szczycie wieży. Patrzę, jak Richard schyla się i włącza CD. Morcheeba. Tę samą płytę puszcza na siłowni w East Dulwich, gdzie poznałam Joela.

Richard znika za drzwiami kuchni. Sięgam po żółty klocek, buduję napięcie, trzymam go w powietrzu, potem układam na chybotliwej wieży. W sekundzie, kiedy to robię, Dotty krzyczy:

— Bum!

Dzieciaki są przerażające. Ona jest przerażająca. Wystarczy spojrzeć, jak tarza się po podłodze, między rozrzuconymi klockami. Cholera, naprawdę można się przestraszyć!

— Zbuduj statek — mówi, patrząc mi w oczy.

— Statek?

— Tak. Mamusia zbudowała mi statek. Ty też mi go zbuduj.

— Och, naprawdę zbudowała ci statek?

— Kolacja gotowa — woła Richard z kuchni.

Nie wspominam Richardowi o rozmowie z Dotty. Po seksie leżymy razem w wielkim łóżu, które kiedyś dzielił z żoną. Richard śpi, aleja nie czuję się senna. Patrzę na sufit i próbuję zdecydować, czy lepiej byłoby teraz ubrać się i iść do pracy — a przynajmniej jest to jeden z tematów, o których rozmyślałam. Richard leży po lewej stronie łóżka — jak zawsze — a ja po prawej.

— Czy twoja żona też spała po tej stronie?

— Dlaczego pytasz? — Spodziewałam się, że będzie miał zaspany głos, jest jednak zupełnie rozbudzony.

— Po prostu chcę wiedzieć. Spała?

Słyszę pstryknięcie i zapala się lampka nocna. Richard opiera się na łokciu.

— Kitty...

— Była tu, prawda? Jemima wróciła. Richard pociera dłonią czoło i wzdycha.

— Kiedy tu przyszła?

— Przed dwoma dniami. Mogę iść po wodę? Chcesz, żebym tobie też przyniósł?

— Nie, dziękuję. — Patrząc, jak wstaje i sięga po szlafrok frotte. Klapiąc lączkami, idzie do kuchni, potem słyszę szum wody z kranu. Ciekawe, czy spalili ze sobą...

— Czy coś się zdarzyło między wami? — pytam, kiedy wraca.

— Nie. — Siada na skraju łóżka, chwytając moją dłoń i długo ją ścisła. — Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego tak myślisz?

— Nie wiem. — Jemima to wiedźma. Porzuciła Richarda i Dotty, zanim mała skończyła rok. Przez pewien czas, gdy karmiła piersią kręciła się w pobliżu, kiedy jednak przyzwyczała smarkulę do butelki, od razu odeszła. W Paryżu czekał na nią Gerard. Jaka matka i żona tak robi?

— Kitty, kocham cię. Nie chcę Jemimy. Zresztą ona też nie chce do mnie wrócić.

O czymś mi nie mówi.

— Ale nie wraca do Paryża, prawda?

— Nie, odeszła od Gerarda. — Popija wodę. — Na razie wynajmuje mieszkanie na Highgate.

Nie podoba mi się stwierdzenie „na razie”, ale udaję, że nie słyszałam. Co jeszcze mam zrobić, żeby nie okazać się paranoiczką? Powinnam się cieszyć — z powodu Dotty... Nagle mam jednak wrażenie, że to sypialnia Jemimy, a nie moja. Pomarańczowe ściany, turecki dywan, jasnozielone, tapicerowane wezgłowie, o które się opieram — na pewno ona wszystko wybrała. To łóżko też należy do niej.

— Myślisz, że zostanie na dłużej? A może znów będziemy zbierać szczątki z pobjowiska, kiedy kolejny raz zostawi Dotty?

Richard wypuszcza moją dłoń, żeby zsunąć szlafrok i wśliznąć się do łóżka.

— Prawdę mówiąc, nie wiem — mówi. — A ty zostaniesz na dłużej?

— Oczywiście. — Sięgam do wyłącznika. W ciemności czuję się szczęśliwsza, bo nie widzę ulubionych kolorów Jemimy. Wtulam się w ramiona Richarda. — Może przemeblujemy ten pokój? — pytam.

Jest pierwsza w nocy. Ubieram się po ciemku, żeby nie obudzić Richarda. Nie wiem, czy przeszkadza mi myśl o Jemimie, kawa, którą wypiliśmy po kolacji, czy fakt, że zazwyczaj nie śpię o tej godzinie. W każdym razie nie mogę zasnąć. Równie dobrze mogę pojeździć. Zostawię kartkę. Richard zrozumie. Wymykam się z pokoju i cicho zamykam drzwi, żeby nie przerwać jego chrapania. Drzwi do pokoju Dotty są uchylone, tak jak lubi. Przechodząc, zaglądam do środka. Dotty zawsze śpi w tej samej pozycji — na brzuchu, z głową zwróconą w lewo. Ramieniem obejmuje maskotkę Kermita.

Środa, 11.40 rano. Budzę się zdezorientowana, sądząc, że jestem w łóżku Oczka. Nieprawda, jestem u siebie, w Balham. Widzę Craiga bardzo wyraźnie — oczami wyobraźni. Śniłam o nim? Kiedy przedzieram się przez bałagan w salonie, widzę swoje nagie odbicie w lustrze i nagle zatrzymuję się, zaszokowana. Hormony powodują, że co miesiąc o tej porze jestem trochę grubsza, ale nigdy nie mam takiego obleśnego, wystającego brzucha. To jego wina! To przez niego i jego eleganckie restauracje, nie kończące się butelki wina i śniadania w łóżku. Siłownia. Siłownia i abstynencja. Muszę zacząć się kontrolować.

Trzy godziny później, po intensywnym treningu, biorę prysznic i idę do Joela. Niebo jest szare i nieruchome. Od wczoraj bez przerwy pada deszcz. Taksówka mi przecieka. Stare fairwaye są montowane inaczej niż nowsze samochody — wszystkie części karoserii połączone są nitami, przez co w każdej chwili mogą rozlecieć się na kawałki. Winnie jeździ nowym TX1 z reflektorami jak oczy żuka. Może powinnam sprzedać swoją taksówkę, zanim zupełnie mnie zawiedzie. Woda przesiąka za deskę rozdzielczą i kapie mi na stopy. Przecież nie tak dawno kazałam mechanikowi uszczelnić tę dziurę. Chyba mnie oszukał. Kocham jednak ten kawał złomu, bo kiedyś należał do Maeve. Jeśli pozbędę się taksówki, nie zostanie mi po niej żadna pamiątka.

Sięgam ręką do dzwonka, ale nagle widzę, że drzwi są zamknięte tylko na łańcuszek. Co on sobie wyobraża? Że może zostawiać mieszkanie otwarte,

by każdy mógł wejść? Martwię się o tego chłopca. Zamykam drzwi i wchodzę na górę, przeskakując po dwa stopnie.

— Joel? Joel, jesteś tu?

Czuję zapach, którego się tutaj nie spodziewałam. To nie jest odświeżacz powietrza ani pot pourri. Nie, dzisiaj czuję tu dym — a dokładniej, marihuanę. Wchodzę do saloniku. Poduszki są niedbale rozrzucone na sofie, a garnitur — oczywiście od Armaniego — leży na podłodze. Na stolikach widzę popielniczki, a w nich niedopałki skrętów — wszystkie wypalone aż do filtra, tak samo jak papierosy. Na korkowej podkładce przy popielnicze stoi pusta szklanka. Drugą znajduję na podłodze, koło opróżnionej do połowy butelki glenfiddich.

— Joel?

Przypominam sobie, że jego matka często przychodzi tu bez uprzedzenia, więc pochylam się, żeby podnieść popielniczkę. Niosę ją do kuchni i wysypuję zawartość do kosza. Potem wracam po szklanki i whisky. Płuczę szklanki w zlewie i wkładam butelkę do szafki. Wracając do salonu, otwieram okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Wszystko robię bardzo wolno, czując ciężar, który we mnie wzbiera. Idę do sypialni.

Tutaj też nie ma Joela. Ktoś na pewno spał w łóżku, ale mojego chłopca w nim nie ma. Słyszę jednak szum prysznica. Kieruję się do łazienki. Nagle widzę na stole lustro, które zawsze wisiało nad umywalką. Na lustrze leży karta kredytowa z nazwiskiem J. Marsh, są też ślady po białej substancji, pozostałości po kreskach. Patrzę na swoją zmartwioną twarz w lustrze, kiedy pochylam się, żeby zbadać proszek, zbieram palcem resztki i dotykam języka. Znam ten smak.

Joel się namydla. Za zamgloną szybą kabiny widać zarys jego ciała. Powietrze jest gęste od oparów, więc na pewno siedzi tu od dawna. Kiedy dostrzega mnie w drzwiach, woła:

— Cześć, Kat. — Odwraca się, żebym widziała, jak mydli genitalia. Nuci pod nosem coś, co brzmi jak New York, New York, ale fałszuje, więc nie jestem pewna.

— Cześć, Joel. — Opieram się o ścianę, patrząc na niego, i czekam. Po minucie czy dwóch drzwi kabiny otwierają się ze zgrzytem i pojawia się Joel. Jego ciemna skóra lśni od wody. Zawsze był zgrabny, ale dzisiaj mięśnie odznaczają się bardziej niż zwykle. Zdejmuję ręcznik z wieszaka i podaję mu, mówiąc:

— Zostawiłeś otwarte drzwi. Joel wyciera pośladki.

— To co?

— Każdy mógł wejść.

— Musiałem wziąć prysznic, a wiedziałem, że wpadniesz. Muszę się tłumaczyć, mamusiu? Napijesz się herbaty?

— Nie, dzięki. — Co za głupie zachowanie.

— Jak chcesz. — Zawiązuje ręcznik wokół bioder i idzie do sypialni.

Idę za nim i siadam na brzegu łóżka, patrząc, jak szuka w szufladzie świeżej bielizny.

— Masz ochotę gdzieś wyjść? — pytam, chociaż jestem dziwnie zdenerwowana i ostrożna przy tym odmienionym Joelu.

— Nie mogę — odpowiada, nakładając bokserki „Calvin Klein”. Patrę, jak wpycha penisa do środka. Sięga do szafy po jedną z koszul, wiszących na drążku. — Muszę iść do pracy.

— Och. — Teraz naprawdę mnie wkurzył. — Dlaczego nie uprzedziłeś mnie przez telefon?

— Bo nie pytałaś.

Ostatkiem sił udaje mi się powstrzymać nerwy.

— Chodź, usiądź koło mnie. Chcę z tobą pogadać.

— Wybacz, nie mam czasu. — Nakłada koszulę i staje przed wysokim lustrem, zapinając guziki.

— Joel, co się z tobą dzieje? Kto wczoraj był u ciebie?

— Przyjaciel. To nie powinno cię obchodzić. — Zdejmuje spodnie z wieszaka i siada na taborecie, żeby je naciągnąć. Zdaje się, że woli usiąść gdziekolwiek, tylko nie przy mnie, na łóżku.

— Przyjaciel, który namawiał cię do picia? Do palenia trawy? Do używania kokainy? To nie w twoim stylu, Joel.

— Ludzie się zmieniają. — Już nałożył spodnie. Siedzi przy toalecie i wacikiem wciera tonik w twarz. Patrę, jak oczyszcza skórę, zwracając szczególną uwagę na czoło, podbródek i nos. Coś się zmieniło w jego twarzy, ale co?

— Martwię się o ciebie. Ten przyjaciel... to ktoś z pracy?

— Może tak, a może nie. O co ci chodzi? — Wyrzuca zużyty wacik do kosza i sięga po balsam nawilżający.

Brwi. Wydepilował je w łagodne, wąskie łuki.

Nie wiem, co robić. Nie chce mnie dotknąć, nie chce spędzać ze mną czasu... Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy Joel przechodzi kryzys

tożsamości płciowej. Czy już go przeszedł? Czy właśnie taki jest nowy, prawdziwy Joel?

— Joel, czy ty sypiasz z mężczyznami? — pytam bez namysłu.

Odwraca się na krześle obrotowym i posyła mi najbardziej zmysłowy, zalotny, złośliwy uśmiech, jaki kiedykolwiek u niego widziałam. Potem mówi:

— Tylko zawodowo, kochana.

Co się dzieje z moją twarzą? Joelowi podoba się fakt, że zdołał mnie zaszokować. Podoba mu się efekt, jaki wywołały jego słowa. Nie może przyznać się matce, ale zaskoczenie mnie też jest dla niego gratką. Jak on się zachowuje! Jak flirtuje i się wdzięczy!

Dziwne — od dawna się domyślałam. „Branża rozrywkowa” — no pewnie. Wiedziałam już poprzednim razem, kiedy się spotkaliśmy, ale nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Natychmiastowe zatrudnienie przez faceta, który „wyłowił” go, kiedy biegał z miotłą po salonie fryzjerskim — przez faceta, który dostrzegł prawdziwy talent w tej dziewczęcej buzi, szczenięcych oczach, twardych pośladkach, i ujrzał worki pieniędzy zarobione na tej gorzko-słodkiej niewinności. Darmowe garnitury od Armaniego, kalendarz pełen spotkań, taksówka, wożąca Joela z miejsca na miejsce. Wszystko wskazywało na tylko jeden rodzaj pracy.

— Joel... — Mam tak sucho w gardle, że prawie nie mogę mówić.

— Tak, kochana? — Znow odwrócił się do lustra i przygląda się małemu pryszczowi na brodzie. Wstaję i podchodzę. Kładę dłoń na jego ramieniu.

— Joel, nie powinieneś tego robić. To ci nie wyjdzie na dobre. Ten człowiek, pan Fisher, ma cię gdzieś. Wykorzystuje cię...

— Oszczędź mi morałów, Kat. — Joel odtrąca moją dłoń. — Hej... — Kiedy się odwraca, mój brzuch jest na wysokości jego oczu. — Jesteś w ciąży czy co?

Chce mnie poklepać po brzuchu, ale się odsuwam. Policzki płoną mi gniewnym rumieńcem.

— Nie wygłupiaj się. Próbuję ci pomóc, idioto!

— Tak, tak. Wiem.

Usiłuję zachować zimną krew.

— Odchodzę, Joel. Do zobaczenia. Trzymaj się.

— Jesteś zazdrosna! — krzyczy, kiedy się odwracam. — Nie kochasz mnie. Chcesz mnie posiadać jak rzecz. Nie jestem twoją zabawką siostrzyczko!

Zbiegam po schodach. Duszę się. Zapach marihuany, alkoholu, z lekką domieszką seksu, a pod tym wszystkim nieśmiertelny aromat matczyńskich środków odświeżających.

Zatrzymuję się przy drzwiach i spoglądam w górę. Joel stoi na szczycie schodów i patrzy, jak wychodzę. Oprócz arogancji i pychy widzę w jego oczach smutek. Wygląda jak zagubiony chłopiec.

Niepewnie przestępuję z nogi na nogę w korytarzu śmierdzącym starymi trampkami. Czytam na korkowej tablicy ulotki z ogłoszeniami o zajęciach judo, medytacji, pływania i tańca klasycznego. Jestem tu już od pół godziny — przyjechałam pod wpływem impulsu, po wyjściu od Joela. Pod sufitem mruga świetlówka, wywołując ból głowy. Nie chciałam tu przyjechać. Chyba zdenerwowały mnie zdarzenia w domu Joela. A może staję się mięczakiem.

— Nieźle, nie? — słyszę męski głos i odwracam się na pięcie. Okazuje się, że to jakiś blondyn z wąsem, wychodząc z szatni, rozmawia z chudym gościem, który wygląda jak Nicholas Lyndhurst.

— Nie wiem. Zastanowię się — odpowiada sobowtór Lyndhursta.

Za nimi idzie grupa innych facetów w różnym wieku, różnego wzrostu. Zaczynam się niecierpliwić. Może jego tu nie ma...

— Hej! — To on. Craig. Wychodzi drugimi drzwiami z jakimś siwym, brodatym kolegą. Jest spocony i ma czerwoną twarz. W przeciwieństwie do pozostałych gości nie zdjął białego, pikowanego kostiumu.

— Niespodzianka — mówię. Czuję się przy tym trochę głupio.

— To twoja żona? — pyta brodacz.

— Nie, żony się pozbyłem — odpowiada wesoło Craig. — Kathryn jest moją dziewczyną. Kathryn, to Andrew, mój trener.

— Cześć, Andrew. — Mój głos brzmi skromnie, nieśmiało. Co się ze mną dzieje?

— Fajna. — Andrew lubieżnie taksuje mnie od stóp do głowy i mruga do Oczka. W jednej chwili moja nieśmiałość znika i nieświadomie zaciskam zęby.

— Uważaj, stary. Nie stawiałbym na ciebie, gdyby Kathryn wyzwała cię na pojedynek. — Oczko klepie Andrew po ramieniu. To tylko przyjacielskie klepięcie, ale jeśli się nie mylę, znaczy też „spadaj”. Przesłanie staje się bardziej czytelne, kiedy Oczko odwraca się plecami do brodacza. Ten mruczy coś na pożegnanie i odchodzi.

Craig wzrusza ramionami.

— Przepraszam za niego. Mimo wszystko jest całkiem niezłym trenerem.

— Nie szkodzi. W porządku.

— Pocałowałbym cię, ale sama widzisz, w jakim jestem stanie. — Marszczy nos. — Nie lubię tu brać prysznic. Woda jest lodowata. Ale gdybym wiedział, że przyjdiesz, na pewno bym się umył i przebrał.

— Nie szkodzi. W porządku. — Podchodzę. Craig próbuje się cofnąć, kiedy pochylam się, żeby go pocałować, ale po chwili jest rozluźniony. Ma ciepłe usta. Obejmuję go ramionami i śmieję się, czując gruby, pikowany materiał. — To jak całowanie się z ludzikiem Michelina.

— Tak, tak. — Wrywa się, parszcząc śmiechem. — Co tu właściwie robisz, Katerina?

— Musiałam cię zobaczyć. — Słowa same wymykają mi się z ust. Uśmiech znika z jego twarzy i przez chwilę Oczko wygląda tak, jakby nie wiedział, co zrobić ani powiedzieć. Po chwili znów widzę błysk w oku.

— Chciałaś zobaczyć, jak daję sobie radę z pchnięciami?

— Można to tak ująć. Pojedziemy do ciebie? Chwyta mnie za dłoń.

— A może dzisiaj pojedziemy do ciebie?

— Ale u mnie jest taki bałagan...

— Nie szkodzi. — Leciutko ściska moją rękę.

— Cóż, hmm... dobrze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Różowy telefon — Amy: — Nie, to nie Amy (muszę kupić nowy telefon): Tu Craig w piątek o pierwszej. Co dzisiaj robisz? Zadzwoń.

*

Niebieski telefon — Joel: Nic.

Żółty telefon — Stef: Cześć, K, to ja. Jest piątek, dzień wypłaty! Chcesz wyskoczyć do klubu? Ja stawiam. Daj sygnał.

*

Zielony telefon — Richard: Witaj, Kitty. Zastanawiałem się, czy jesteś jutro wolna. Moglibyśmy pójść na lunch. Dotty spędzi dzień z Jemimą, więc pomyślałem, że byłoby miło wyjść w końcu tylko we dwoje. Daj mi znać, czy będziesz miała czas.

*

Czerwony telefon — Jonny: — Nie, to nie on. Jezu, to znów Oczko... (koniecznie trzeba kupić dla niego nowy telefon): Cześć, tu Craig. Zostawiłem wiadomość na jednym z twoich telefonów, ale potem pomyślałem, że mogłem się pomylić. Katerina, dlaczego masz aż tyle telefonów? W każdym razie zadzwoń.

*

Niech żaden z was się nie łudzi. W piątki jest niezła kasa. Idę do pracy. Bez dyskusji.

— Kathy, chyba nie sądziłaś, że ten związek przetrwa, prawda? Wierzę, że dzięki Joelowi poczułaś się dowartościowana, ale to przecież jeszcze dziecko.

3.37 nad ranem — późny piątek albo wczesna sobota, jak kto woli. To była zwariowana noc, ale razem z Winnie zarobiłyśmy tyle, że możemy zwinąć się wcześniej. Teraz posyłam jej mordercze spojrzenia nad stołem.

— Nie o to chodzi, Win.

— A o co, Kath? — Jest w podłym nastroju. Dziwię się, że w ogóle chciała się spotkać.

— Martwię się. Zależy mi na nim.

— Na pewno. Zależy ci na nich wszystkich. Właśnie dlatego co pięć minut ich zmieniasz i oszukujesz. Dlatego, że tak bardzo ci na nich zależy.

— Nic nie rozumiesz.

— Daj spokój, Kathryn. Nie jesteś aż taka uczuciowa.

Winnie nadal coś mówi, kiedy wychodzę z baru. Właściwie, wstaję i odchodzę, kiedy ona gada w najlepsze. Po długiej pracy nie mam ochoty wkładać głowy do maszynki do mielenia mięsa. Mój zniszczony fairway stoi za błyszczącym czerwonym TX1. Moknę w ciemności i przeklinam pod nosem, szukając kluczyków. Co za wścibska krowa! Powinna zająć się swoim życiem i przestać interesować się moim. Otwieram drzwi i słyszę, że dzwoni jeden z telefonów. Czerwony. Pewnie znów Craig. Nie jestem pewna, czy chcę z nim rozmawiać, ale wślizguję się na fotel kierowcy, zatrzaszukuję drzwi i sięgam po telefon.

— Halo.

— Dzwonię w sprawie Jonny'ego Jordana — słyszę męski głos, szorstki i zdecydowany. Nieznajomy.

— Co się stało?

— Pani jest jego dziewczyną? — Wymawia słowo „dziewczyna” z przekąsem, przez co brzmi jak obelga.

— A kto pyta?

— Jonny ma kłopoty. Będzie pani musiała po niego przyjechać.

Zasycha mi w ustach.

— Jakie kłopoty? O czym pan mówi?

— Jeśli pani natychmiast nie przyjedzie, nie uda mi się go uratować. Zaraz ktoś rozwali mu głowę. Comprendez?

— Niech mi pan pozwoli porozmawiać z Jonnym. Czy on tam jest? — pytam drżącym głosem.

— Obawiam się, że teraz nie może rozmawiać, kochana. Upił się i niefortunnie zderzył się z czyjąś pięścią.

Nagle ktoś puka w okno. Podskakuję, przestraszona, i upuszczam telefon na podłogę. Kiedy się pochylam, żeby go podnieść, słyszę głos mężczyzny w słuchawce:

— Halo? Halo.

Gdy się prostuję, z całej siły uderzam głową w kierownicę. Sycząc z bólu, macam tył głowy, odwracam się i widzę, że na chodniku stoi zaniepokojona Winnie.

— Przepraszam — mówię do telefonu. — Właściwie, co się stało? Boję się o niego.

— Proszę tu szybko przyjechać, pronto — mówi mężczyzna — w przeciwnym razie pani chłopak będzie miał jeszcze więcej blizn niż teraz.

Niech pani jedzie na Turnpike Lane i znajdzie czerwone drzwi przy „Oz's Cafe”. Proszę zapytać o George'a. Rozumie pani?

— Tak. Tak, chyba znam ten adres. Zjawię się tam za dwadzieścia minut albo trochę później, jeśli będą korki.

Winnie znów wali w okno. Unoszę dłoń i gestem pokazuję, żeby się zamknęła.

— Może być. Proszę przyjechać jak najszybciej. — W jego głosie słyszę dziwną nutę. Panikę? Rozłącza się.

Kolejne pukanie w szybę. Otwieram, zirytowana.

— Spadaj, Win. Muszę się uporać z wielkim głównem.

— Nigdy więcej nie wychodź, kiedy do ciebie mówię, Kathryn. A z jakim głównem? — Znów widzę ten wścibski wyraz twarzy.

— Nie wiem. Przed chwilą zadzwonił do mnie jakiś facet. Nie wiem nawet, skąd miał mój numer. Jonny ma kłopoty. Facet mówił, że leży nieprzytomny. Schlał się i ktoś go pobił. Jadę na Turnpike Lane, żeby go stamtąd zabrać.

Winnie kręci głową.

— Na litość boską Kathryn, nie daj się wciągnąć w jego brudne sprawy.

Mam dosyć jej sądów. To za dużo, jak na jedną noc.

— A co mam zrobić, Win? Pozwolić, żeby stłukli go na miazgę? A gdyby to był Paul? Jechałabyś tam w mgnieniu oka.

— W porządku—mówi. Widać, że jest trochę zawstydzona.

— Pojedziemy razem.

— Nie, Win. Naprawdę nie potrzebuję...

— Nie pojedziesz sama na jakąś melinę na Turnpike Lane, Kathryn. Otwórz drzwi, wsiadam z tyłu. Bez gadania.

4.33 rano. Przejeżdżamy obok stacji Finsbury Park, jedziemy Seven Sisters Road, potem skręcamy w Green Lanes. Obydwie

— ja i Winnie. Milcząc, mijamy tureckie piekarnie, podrzędne sklepy ze sprzętem AGD, bary z kebabami, podejrzane puby, sklepiki warzywnicze z pustymi regałami i zniszczonymi skrzynkami na zewnątrz, na chodniku. Jedziemy pod mostem kolejowym, na którym ktoś napisał białą farbą: „Witamy w Ffaringey”. Mam guza i boli mnie z tyłu głowy, w miejscu gdzie wyrzęłam w kierownicę. Deszcz przestał padać.

Turnpike Lane* — nazwa, która wcale nie pasuje do tego miejsca.

* Turnpike Lane (ang.) — dosłownie: droga za rogatkami.

Brzmi ładnie, prawda? Jak droga, przy której stoją chaty ze strzechami i płyną rwące potoki. W rzeczywistości okolica jest zaśmiecona i niebezpieczna jak diabli. Kiedy wysiadamy z taksówki, powietrze smakuje kurzem. Nie widać nikogo oprócz dwóch gości w bluzach z kapturami, stojących na rogu ulicy, i starej kobiety, która śpi przed wejściem do sklepu. Trudno ją odróżnić od sterty worków i śmieci, wśród których leży. Zamykam taksówkę. Mam nadzieję, że goście w kapturach nie są tacy niebezpieczni, na jakich wyglądają. Dookoła panuje cisza z wyjątkiem pulsującego dźwięku sygnalizatora na przejściu dla pieszych i stłumionego gruchania gołębi na parapecie, wysoko nad ulicą.

„Oz's Cafe” to podejrzana speluna, pomalowana zniszczoną farbą, z brudnymi firankami w oknach i przyćmionymi, kolorowymi światłkami automatów do gry, które majaczą w głębi. Podchodzimy do zniszczonych, czerwonych drzwi po lewej stronie i wciskam przycisk domofonu. Po chwili słyszę trzask. Jakiś mężczyzna mówi w obcym języku — po turecku, a może kurdyjsku.

— Szukam George'a — mówię. Na dźwięk brzęczyka jednym pchnięciem otwieram drzwi, spoglądając na Winnie. Ta jest blada i wygląda na zmęczoną.

— Dzięki, Win.

Winnie wzrusza ramionami.

— No, dalej. Miejmy to z głowy.

Na śmierdzących schodach przepaliła się żarówka. Teraz, kiedy drzwi się zamknęły, możemy tylko wymacać drogę w ciemności. Boję się bardziej, niż jestem gotowa przyznać. Muszę zwalczyć chęć, by złapać Winnie za rękę. Na szczycie schodów otwierają się drzwi i na kilka stopni pada mdłe światło. Widzę cień wielkiego mężczyzny, opierającego się o framugę.

— George, czy to ty? — wołam.

— Nie. George jest w środku — mężczyzna odpowiada z wyraźnym tureckim akcentem.

Słyszę, jak Winnie dyszy i świszczy, kiedy wspinamy się po schodach. Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie. Chyba nie ma przy sobie inhalatora Tommy'ego. Mężczyzna przepuszcza nas i przeciskamy się obok niego do środka.

Powietrze jest gęste od dymu, który miesza się ze smrodem potu i alkoholu. Duży pokój jest zapuszczony — niegdyś białe ściany pożółkły, zostały tylko jaśniejsze plamy w miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazy. Po

lewej stronie znajduje się kuchnia, w której walają się brudne naczynia. Jakiś chudy, łysiejący facet pochyła się nad piecykiem, odpalając papierosa od palnika gazowego.

— George? — pytam.

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Błada twarz. Jest podobny do wariata, który próbował podpalić moją taksówkę. Błade tęczęwki i wąskie usta. Potakuje ruchem głowy.

— A ty jesteś...

— Kathryn. To moja przyjaciółka, Winnie.

Duży mężczyzna zamyka drzwi i siada z założonymi rękami, tyłem do nas. Nosi koszulkę z żółtą uśmiechniętą buźką Smileya. Sam jednak się nie uśmiecha.

— Gdzie jest Jonny? — Bez skutku próbuję opanować drżący głos.

George wyciąga rękę. Wskazuje na coś.

Odwracam się. Dwa połamane fotele. Okrągły stół, na którym piętrzą się pełne popielniczki, puste szklanki do whisky i rozrzucone karty do gry. Przy nim stoją trzy krzesła, a czwarte leży z boku. Na przetartym czerwonym dywanie widzę jeszcze więcej rozrzuconych kart. Zza stołu wystają nogi Jonny'ego. Rzucam się w tamtą stronę. Leży nieprzytomny na podłodze. Z prawej strony twarzy widzę ogromnego siniaka. Zasnęta krew wokół nosa, rozmazana na pobrużdżonych policzkach, na kołnierzyku brudnej, białej koszuli.

— O mój Boże. Jonny...

Klękam na podłodze, podnoszę mu głowę, pochylam się nisko nad twarzą wdychając odór nie strawionej whisky. Jonny pojękuje.

— A więc to jest ten sławny Jonny Jordan — mówi cicho Winnie.

Nie zwracam na nią uwagi.

— Co się stało?

— Jonny nie umie przegrywać — odpowiada George. Podchodząc, strząsa popiół na podłogę. — Mehmet wziął Oza na spacer, żeby ostudzić jego nerwy, ale zaraz wrócił. Lepiej zabierzcie tego gnojka, zanim przyjdą. Erdahl pomoże wam na schodach.

Biorę Jonny'ego za nogi, a Erdahl trzyma go za ramiona. Winnie idzie przodem, żeby otworzyć drzwi. Jonny nie jest lekki. Bola mnie plecy przy każdym chwiejnym kroku w tył. George patrzy z góry, paląc papierosa. Kiedy docieramy do parteru, krzyczy:

— Kiedy Jonny się obudzi, powiedzcie mu, że ma przynieść forszę w gotówce do jutra wieczorem.

— Ile jest winien? — pytam.

— Trzy tysiące. Nie zapomnij mu powiedzieć. Dopiero kiedy Erdahl kładzie Jonny'ego na tylnym siedzeniu, a ja znów siedzę za kierownicą, zaczynam czuć prawdziwy strach. Ruszamy dosyć szybko, ale przy Finsbury Park muszę się zatrzymać, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Gdy siedzę na masce samochodu i, dysząc, próbuję zapomnieć o stresie, Winnie podchodzi i mnie obejmuje. Stoimy tak przez chwilę. Opieram głowę na jej piersi. Jonny leży bezwładnie w taksówce. Słyszę, że coś świszczy w płucach Winnie. Jakby miała w środku maszynę parową. Potem wracamy do samochodu.

— Myślisz, że powinnam zawieźć go do szpitala? — pytam, kiedy znów jedziemy.

— Nie. Zawieź go do domu i połóż na łóżku. Niech to prześpi. Nic mu nie będzie.

— Na pewno?

— Tak.

Widzę jej wzrok we wstecznym lusterku. Próbuje się uśmiechnąć, ale zamiast tego pojawia się jakiś nieokreślony grymas.

Głowa Jonny'ego opadła bezwładnie na jej ramię i na beżowym swetrze pojawiła się plama krwi. Ciekawe, jak to wytłumaczy Paulowi.

Niebo przejaśnia się na horyzoncie — nie jest już jednolitą masą. Zatrzymujemy się za zardzewiałą białą furgonetką. Wyciągnięcie Jonny'ego z taksówki i wtaszczenie go po schodach bez pomocy Erdahla to prawie samobójstwo, ale się nam udaje. Podpieramy go z obu stron. Przypominam sobie, jak nieśliśmy z Oczkiem Henry'ego, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Winnie nie przestaje kaszleć. Boję się o nią.

Przed mieszkaniem Winnie musi przytrzymać Jonny'ego przy ścianie, kiedy szukam kluczy w kieszeniach jego kurtki, a potem w džinsach.

— Jezu, co za nora — mówi, kiedy wreszcie otwieram drzwi. Pociąga nosem i krzywi się z obrzydzeniem. Ciągniemy Jonny'ego do sypialni i rzucamy go na łóżko. Ten jęczy i mówi coś, co brzmi jak „Katy...”, ale nie jestem pewna.

— Chcesz drinka? — pytam Winnie. — On zawsze ma jakiś alkohol. Trzeba go tylko znaleźć.

Winnie potrząsa głową.

— Nie, dzięki. Chcę wrócić do domu, do męża i dzieci. Możesz mnie odwieźć z powrotem do „The Crocodile”?

— Nie dziwię ci się. — Patrzę na Jonny'ego, który wygląda jak cień człowieka. — Myślisz, że nic mu nie będzie, jeśli zostawimy go samego?

— Oczywiście. — Ale prawdziwe, ukryte znaczenie to: „Kto by się przejmował?”

— Winnie...

— Tak, wiem.

W drodze do „The Crocodile” Winnie atakuje:

— Nie możesz pozwolić, żeby twoje życie tak wyglądało.

Przez tego dupka tracisz czas i energię. Przecież nie jest tego wart.

Dzisiaj w nocy była dla mnie bardzo dobra, ale trudno mi zachować spokój.

— Nie znasz go, Win.

— Nie muszę go znać. Wystarczy mi to, co widziałam.

Milczę, nadąsana. Mam nadzieję, że Winnie przestanie gadać. Jeśli utrzyma język za zębami, aż dojedziemy do „The Crocodile”, to może nie puszcza mi nerwy. Ten sposób sprawdza się przez chwilę, ale Winnie znów zaczyna:

— Najwyższy czas, żebyś zadbała o siebie. I nie mówię tylko o Jonnym. Powinnaś się słyszeć, kiedy jęczysz przed Gwiazdką, bo nie wiesz, jak zjeść kolację wigilijną w pięciu różnych miejscach jednocześnie. Albo w lutym, kiedy obchodzisz urodziny przez pięć dni. Albo latem, gdy musisz zdecydować, z kim jechać na wakacje. To czyste szaleństwo. Opuść sobie tych dupków, Kath.

Mam dość jej kazań.

— Słuchaj... Win... zaszukawałaś ich i każdemu przyczepiłaś etykietkę. Jonny jest kimś więcej niż etykietką. Tak samo Joël. I Amy. Ja też!

Patrzę na drogę, ale słyszę westchnienie.

— Mówię ci to, bo jesteś moją przyjaciółką. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Nie próbuj mi wmówić, że już jesteś, bo i tak ci nie uwierzę. Chcę, żebyś się zakochała, wyszła za męża, miała dzieci. Czy to coś złego? Chcę, żebyś coś zrobiła ze swoim życiem.

Na szczęście po chwili docieramy do „The Crocodile”. Na parkingu jest wolne miejsce koło czerwonego TX1 Winnie. Chcę się jej pozbyć, więc szybko wysiadam, obchodzę samochód z drugiej strony i otwieram drzwi. Kiedy Winnie stoi na chodniku, na jej twarzy widzę smutek, a nie złość.

— W każdym razie... dzięki, Win. Dziękuję za wszystko. — Chciałabym cofnąć się do chwili w Finsbury Park, kiedy się obejmowałyśmy. Ale już za późno.

— Czy on jest w stanie zapłacić im te trzy tysiące? — Winnie nie patrzy na mnie.

— Nie. Ma tylko pięćset funtów. A przynajmniej miał tyle... Winnie wzdycha.

— Co zrobi?

— Chyba będę musiała mu pomóc. — Dopiero słysząc swoje słowa, rozumiem, że to prawda.

Winnie odchodzi. Idzie do taksówki.

— Głupia — mówi przez ramię, otwierając drzwi. — Jesteś biedną cholerną idiotką.

— Katerina!

Oczko stoi w drzwiach, w zielonym szlafroku, z rozwichrzonymi, rzadkimi włosami. Na pewno spał, kiedy ochroniarz zadzwonił z wiadomością że przyszedłam, ale wygląda zadziwiająco rześko. Chyba się zdziwił, widząc mnie tutaj.

Chcę wreszcie wejść do środka, schować się przed labiryntem korytarzy.

— Spodziewałaś się kogoś innego?

— Nie... Oczywiście, że nie. Po prostu... nie spodziewałem się nikogo. Która godzina?

— Za pięć siódma. — „Proszę, wpuść mnie, Craig. Nie zniosę dłużej tego korytarza, tego błękitu, tej uniformizacji, tej plastikowej wersji Knowing Me Knowing You Abby". Nie mówię jednak nic, tylko stoję przed nim i się pocę.

— Jezu. — Człapie tyłem do przedpokoju. — Za pięć siódma w sobotę rano... To... nienaturalne...

— Jeździłam całą noc. Chciałam być z tobą Możemy iść do łóżka?

Co się ze mną dzieje? Już drugi raz w tym tygodniu nieoczekiwanie wyłączam lampkę w taksówce i jadę do Oczka. Jego łóżko jest takie ciepłe, mieszkanie takie spokojne. Zupełnie inne niż mieszkanie Jonny'ego w Elephant. Dzięki Craigowi czuję się bezpieczna — to głupie, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele o nim wiem. Przez niego łamię swoje zasady — tak jak tamtego dnia, kiedy zaprosiłam go do mojego zaśmieconego domu. To był pierwszy raz, kiedy spałam z kimś we własnym łóżku...

Chodzi o to, że on umie słuchać — zawsze uważnie. Często mnie dotyka, kiedy z nim rozmawiam. To przypadkowe muśnięcia: dłoń, ramię, ręka... zazwyczaj kobiety tak postępują, prawda? On jednak nie robi tego po kobiecemu. Kiedy mu coś opowiadam, zdaje się, że zawsze widzi drugie dno — prawdę ukrytą pod słowami.

Leżymy już od trzech godzin. Craig zasnął od razu, kiedy skończyliśmy się kochać. Ja od czasu do czasu zapadam w drzemkę, ale wciąż się budzę. Myślami wędruję do Jonny'ego — jak strasznie wyglądał, leżąc na podłodze, wśród kart. I do Joela — te kretyńskie, wydepilowane brwi i zagubione spojrzenie... Potem myślę o trzech tysiącach funtów i o Winnie, która nazwała mnie idiotką. Czy naprawdę nią jestem?

Craig śpi na plecach, głowę odchylił na bok. Ma otwarte usta i chrapie — ale dosyć cicho. To łagodne chrapanie, które po prostu pozwala mi pamiętać, że nie jestem sama. Czuję nagłą ochotę, żeby go obudzić i opowiedzieć o wszystkim... Czy na pewno o wszystkim? Czy by zrozumiał? Czy wysłuchałby mnie tak, jak słucha za każdym razem, jeśli powiedziałabym mu o Stefie, Amy i Jonnym... Chciałabym wierzyć, że jest inny niż wszyscy i że dzielnie zniósłby te rewelacje.

Rezygnuję. Wychodzę z łóżka i idę do ciemnego salonu. Boli mnie tył głowy. Kiedy dotykam bolącego miejsca, czuję opuchliznę. Ach, tak, uderzyłam się w samochodzie. Podchodzę do okna, żeby rozsunać zasłony i spojrzeć na sobotni dzień, ale moją uwagę odwraca barometr miłości. Przykładam dłoń do podstawy, a czerwony płyn wznosi się i wypełnia górne naczynie.

Patrząc na stare radio w gablotce, przypominam sobie, co Oczko wyznał mi pewnego wieczoru, kiedy przyszedł tu po filmie na West Endzie i kolacji w „Ivy”. Opowiedział, że gdy miał czternaście lat, dziewczyna z jego klasy złamała mu serce. W przyływie młodzieńczego szaleństwa zażył garść środków uspokajających swojej matki i położył się na łóżku, słuchając radia. Nie był pewien, czy spał, czy miał halucynacje, ale głosy w radiu zdawały się mieszać w jego głowie — mówiły do niego. Niektóre mówiły, że umrze, a inne, że będzie żył. W końcu przestraszył się i zaczął krzyczeć. Jego ojciec wrócił z pracy i pobiegł na piętro. Craig czuł, że właśnie to radio uratowało mu życie. Zachował je jako ostrzeżenie.

Ciekawe, czy moja matka słuchała radia, kiedy przyczepiła gumowy wąż do rury wydechowej, wetknęła końcówkę do samochodu i czekała na śmierć...

Craig powiedział, że razem z ojcem zachowali w tajemnicy ten „wybryk”. Nawet jego matka o niczym się nie dowiedziała. Jestem pierwszą osobą, której zdradził sekret.

— Cześć, kochanie. — Craig, w zielonym szlafroku, wchodzi do pokoju i rozsuwa zasłony. — Wszystko w porządku? Wyglądasz tak, jakbyś się czegoś bała.

— Akurat. Po prostu mnie zaskoczyłeś. — Kiedy światło zalewa pokój, nagle czuję się nieśmiała, zawstydzona swoją nagością.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

W niedzielę mój bank jest otwarty tylko do południa. Przyjeżdżam dziesięć minut przed zamknięciem. Urzędniczka w średnim wieku nie wygląda na zadowoloną kiedy mówię jej, że muszę wyciągnąć z konta trzy tysiące funtów. Chce zobaczyć moje dokumenty, więc pokazuję jej licencję taksówkarza, rachunek za gaz i dwie karty kredytowe. Mówi, że może mi dać tylko pięćset funtów w gotówce, a resztę w czekach, ale odmawiam. Urzędniczka próbuje mi wcisnąć kit, że nie mają na miejscu tyle gotówki, lecz wiem, że kłamie. To oddział na Oxford Street — muszą mieć pieniądze. Czekam, aż skończy mówić, i proszę o spotkanie z kierownikiem.

Piętnaście minut później wychodzę z banku z grubą kopertą w kieszeni, w której mam trzy tysiące funtów. Zatrzymuję się w wejściu do sklepu na Wardour Street, żeby zadzwonić do Jonny'ego z czerwonej komórki. Na pewno wyglądam podejrzanie. Jestem zdziwiona, kiedy Jonny odbiera telefon. Mówi wolno, zboliałym głosem. Nie wdaję się w towarzyską konwersację — informuję go tylko, że zdobyłam te trzy tysiące, których potrzebuje. Jonny prosi, żebym mu je przyniosła, ale wykręcam się obiadem z przyjaciółką na West Endzie, więc jeśli chce pieniądze, to musi ruszyć dupę i sam przyjść. Mamrocze coś niezrozumiale, ale przerywam mu i umawiam się na trzecią w „The Comedy” — pubie przy Oxendon Street, w pobliżu Leicester Square. Jonny nadal zrzędzi na temat bólu głowy, ale każe mu wziąć się w garść i wyłączam komórkę.

*

Wybija 12.30. Słońce przebłyskuje przez wyrwy w ołowianych chmurach. Tavistock Street, Covent Garden. Spotykam się z Richardem w „Sofrze”, restauracji, do której poszliśmy na pierwszą randkę. To jego pomysł.

Uśmiechnięta turecka kelnerka prowadzi mnie do długiej sali pełnej ludzi. Wypolerowana, sosnowa podłoga i kwiaty doniczkowe z dużymi, błyszczącymi liśćmi. Zabiegani kelnerzy, brzęk sztućców — tylko jeden czy dwa wolne stoliki. Za jedną z wysokich roślin siedzi Richard. Wystroił się w dość elegancki garnitur, którego nigdy przedtem nie widziałam. Uważnie studiuje menu.

— Kitty. — Wstaje, żeby mnie pocałować. — Świetnie wyglądasz.

Nieprawda. Nadal mam na sobie stare czarne spodnie i koszulkę z lycry, które nałożyłam wczoraj do pracy. Richard pachnie żelem do kąpieli i świeżością.

— Skąd masz te ciuchy? — pytam, siadając.

— Te starocie? — Uśmiecha się. — Z „Jigsaw”. — Nie wyglądają na stare. Richard znów czyta menu.

— Weźmiemy wino? Czerwone czy białe?

— Do obiadu wolę białe, jeśli nie masz nic przeciw temu.

— Hej, a może szampana? — Uśmiecha się figlarnie, wzywając kelnerkę.

Nagle czuję się zdenerwowana. Dlaczego mnie tu dzisiaj zaprosił? Mam straszne przeczucie, że zaraz wyciągnie pierścionełk zaręczynowy czy coś w tym stylu.

— Co się stało? — pyta.

— Nic. — Patrę dookoła, na kwiaty, na wózki do deserów, na światła pod sufitem. Próbuję sobie przypomnieć, czy to ten sam stółk, przy którym siedzieliśmy za pierwszym razem.

Jego twarz nagle ciemnieje, chmurzy się.

— Och — mówi Richard. — Zapomniałaś, prawda?

O Jezus. Trudno jest zapamiętać wszystkie ważne daty, o których powinnam wiedzieć. Powinnam mieć to zapisane w notesie, ale zostawiłam go w samochodzie. Zresztą, od wielu dni nie zaglądałam do notesu...

— Richard... Przepraszam... Co mam powiedzieć?

— Nic. — Zaciska usta. — Nieważne. Zamówmy coś. Ale, oczywiście, dla niego to jest ważne.

Dzisiaj mijają dwa lata, od kiedy poznałam Richarda na jarmarku na Hampstead Heath. To nie był duży jarmark — zniszczony pociąg duchów ze zżartymi przez mole upiorami, wiszącymi na sznurkach; dwa diabelskie młyny, tak wolne, że trzeba by wiele wysiłku, żeby się bać podczas przejażdżki; parę elektrycznych samochodzików i całe mnóstwo małych straganów z szarą watą cukrową, mdłymi jabłkami w czekoladzie i pluszowymi misiami, zawiniętymi w szeleszczącą folię. Dodam, że był zimny dzień z nagłymi porywami wiatru i przelotnym, ale intensywnym deszczem, i już mamy pełny obraz. Poszłam tam z Jane i jej mężem, Spencerem. Jane była moją sąsiadką w Pec-kham. Miałyśmy niewiele wspólnego, ale wtedy przechodziłam przez dziwny okres w życiu — uważałam, że powinnam poznać więcej dziewczyn. Od tamtej pory straciłyśmy ze sobą kontakt.

Jane i Spencer zabrali na jarmark swojego obrzydliwego czarno-białego kundla. Dopiero kiedy trzeci lub czwarty raz dali mi smycz do potrzymania, a sami poszli na przejażdżkę pociągiem duchów, zorientowałam się, dlaczego mnie zaprosili. Stałam sama i marzłam, a pies — znudzony nie

mniej ode mnie — węszył wśród resztek hot dogów i torebek po frytkach, które leżały porzucane pod naszymi nogami. Nagle ją zobaczyłam: ciemne loki, olbrzymie oczy, otwarte usta, różowe spodenki. Dziecko, błakające się w lesie ludzkich nóg. Nikt na nianie zwracał uwagi.

Ludzie nie reagowali, kiedy prosiłam, żeby się rozstąpili, więc musiałam niegrzecznie przepychać się w stronę dziecka. Kucnęłam i wyciągnęłam do niej rękę. Głośno płakała i patrzyła na mnie przestraszonymi oczkami.

— Cześć. Zgubiłaś się? Gdzie jest twoja mamusia? — Nigdy nie miałam nic wspólnego z dziećmi. Zdziwiłam się, że tak bardzo na mnie podziałała ta mała. Starsze dzieciaki i dorośli zazwyczaj chcą osiągnąć jakiś ukryty cel, kiedy płaczą — ich łzy są tylko wybiegiem. Te łzy były zupełnie niewinne.

Płakała tak bardzo, że nie mogła wykrztusić słowa. Nagle pies podbiegł i chciał polizać jej twarz, a mała wrzasnęła głośno, zanim go odciągnęłam. Wtedy z tłumu wyłonił się mężczyzna z wózkiem. Miał czerwoną twarz i oddychał z trudem.

— Hej, co robisz? Nigdzie nie pójdziesz z moim dzieckiem! Wstałam, pociągnęłam smycz, a facet podniósł dziewczynkę i oparł ją sobie na biodrze. Mała objęła go za szyję i wtuliła twarz w pierś, ale zaraz odwróciła się i popatrzyła nieśmiało w moją stronę.

— Ach, więc to pan jest jej ojcem?

— Masz cholerną rację! Mógłbym cię pozwać do sądu. — Był taki szlachetny w swoim gniewie... Co za kutas.

— Och, tak? A niby za co? Za to, że chciałam pomóc zgubionemu dziecku? Powinien pan jej lepiej pilnować. Następnym razem może ją znaleźć ktoś, kto nie będzie dla niej taki miły.

Odwróciłam się i odeszłam, ciągnąc za sobą psa. Po paru krokach poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Spojrzałam w tył i zobaczyłam, że to on — pędził za mną niosąc małą i jednocześnie pchając wózek.

— Przepraszam, przestraszyłem się. Siedziała w wózku. Spuściłem ją z oka tylko na chwilę... Chciałem wygrać dla niej pluszowego misia. Kiedy jednak się odwróciłem... Wiesz, trudno się opiekować dzieckiem, kiedy się nie ma nikogo do pomocy. Przecież nie można przez cały czas na nią patrzeć. To fizycznie niemożliwe...

Nagle biedaczysko wydał mi się bardzo zmęczony. Nieśmiały i bezradny. Miły człowiek — to oczywiste. Uśmiechnęłam się, żeby pokazać, że nie żywię urazy.

— Jak ma na imię?

— Dorothy — odparł. — Zazwyczaj nazywam ją Dotty. A ja jestem Richard.

Trudno zaprzeczyć, że w samotnych ojcach jest coś atrakcyjnego. Ale, prawdę mówiąc, uwiodła mnie Dotty, a nie jej tatuś.

— No, Richard... Idziemy wygrać tego misia dla Dotty?

Szampan robi się coraz cieplejszy i ulatują z niego bąbelki. Żadne z nas nie wypilo jeszcze pierwszego kieliszka. Jedząc guvech z baraniny, przypominam sobie, że to samo danie zamówiliśmy za pierwszym razem. Wspominam o tym Richardowi, a on tylko uśmiecha się blado. Czuję się zmęczona — straciłam apetyt, odkładałam nóż i widelec na talerz z resztką jedzenia i gapię się na małą plamę na obrusie.

— Muszę ci coś powiedzieć — mówi niezręcznie Richard, przełykając ostatni kęs grillowanego mięsa, specjalności „Softy”.

W jego głosie słyszę oficjalny ton. Podnoszę wzrok.

— Co? Czy coś się stało?

— Poproszę o rachunek. Możemy się przejść i porozmawiać. Zresztą, potrzebuję trochę świeżego powietrza. — Widzę, jak drgają nerwy na jego czole. Gestem przyzywa kelnerkę.

— Richard, przepraszam, że zapomniałam o naszej rocznicy. Wszystko zepsułam, prawda?

— Wszystko w porządku. Naprawdę, w porządku. — Sięga nad stołem i delikatnie ściska moją dłoń. — Jasne, że jestem trochę rozczarowany, ale są przecież ważniejsze rzeczy niż data w kalendarzu. Wyjdźmy stąd.

Teraz już wiem na pewno, że stało się coś złego.

Kiedy idziemy, ramię w ramię, ulicą Strand w mdłym jesiennym słońcu, Richard mówi:

— Jemima chce do nas wrócić.

— Wiedziałam. — Wyrywam się z uścisku. — Znudził ją ten francuski fircyk. Jak myślisz, kiedy ty jej się znowu znudzisz?

Jeżu, a mnie było przykro, bo zapomniałam o naszej rocznicy... Myślałeś, że lepiej zniosę wiadomości, jeśli osłodziś je odrobiną szampana? Taki był twój pomysł?

— Hej, poczekaj chwilę. — Wyciąga rękę i zatrzymuje mnie. Potem podnosi mój podbródek, żebym spojrzała mu w oczy. Mrugam, żeby powstrzymać łzy.

— Kocham cię, Kitty. Jesteś koszmarną dziewczyną ale cię kocham.

— A co z Jemimą?

— Niech się pieprzy.

Całuje mnie długo i delikatnie. Przechodnie mruczą i cmokają w powietrze. Stoimy na środku zatłoczonego chodnika, blokując drogę, ale wcale się nie przejmujemy. Richard całuje tak jak trzeba — nie za mocno i niezbyt lekko, używając ust i języka we właściwych proporcjach. Jemima na pewno tęskni za tymi pocałunkami... Może nocami leży z zamkniętymi oczami i sama całuje się w ramię, udając, że to on. Mam nadzieję, że tak jest... Ciekawe, czy Dotty odziedziczy po ojcu tę umiejętność. Jeśli tak, to wyrośnie na gorącą dziewczynę...

Przez cały czas mam zamknięte oczy, ale kiedy pocałunek robi się coraz bardziej namiętny, dłuższy, otwieram je i widzę coś nad ramieniem Richarda...

Twarz, którą dobrze znam — tutaj, po drugiej stronie ulicy. Tylko mignięcie wśród samochodów. Ale mgnienie oka wystarczyło. Wyślizguję się z objęć Richarda...

— Joel!

Na jego twarzy widzę... Co? Złość? Brak zrozumienia? Poczucie zdrady? Widzę, że coś mówi, ale nie słyszę słów, a nie umiem czytać z ruchu ust.

— Joel! — wołam jeszcze raz, ale on już na mnie nie patrzy.

Wsiada do metalicznego granatowego mercedesa. Chyba wysiadał, kiedy zauważył mnie z Richardem. Teraz pochyla się, żeby coś powiedzieć mężczyźnie na tylnym siedzeniu samochodu.

Słyszę, jak — gdzieś obok — Richard mówi:

— Kitty, co się stało? — Nie zwracam na niego uwagi, schodzę z chodnika i próbuję przebiec przez ulicę. Strumień samochodów jest jednak zbyt gęsty, nie mogę się przedostać na drugą stronę.

— Joel, poczekaj...

Już jest w samochodzie i zamyka drzwi. Ktoś patrzy na mnie z tylnego siedzenia — drugi pasażer.

Mercedes rusza i odjeżdża. Wszystko stało się tak szybko...

— Joel! — Wreszcie udaje mi się wbiec na ulicę, ale jest już za późno. Widzę tylko tylne światła znikającego mercedesa.

— Kitty, co ty wyprawiasz?

Mercedes odjechał. Słyszę ryk klaksonów, więc biegnę z powrotem na chodnik, do Richarda.

— Przepraszam. Zdawało mi się, że widziałam kogoś z dawnych czasów. Trochę mnie zaskoczył. Ale chyba się pomyliłam.

Słyszę, że wypowiadam te słowa, lecz moje myśli krążą wokół czegoś zupełnie innego. Ten facet na tylnym siedzeniu mercedesa... Już gdzieś go widziałam. Mam złe przeczucia.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedzimy z Richardem przy narożnym stoliku w „Cafe Bohemę” na Old Compton Street w Soho i popijamy kir royale. Ja stawiam, żeby chociaż w taki sposób przeprosić za fakt, że zapomniałam o naszej rocznicy. Naprawdę próbuję brać udział w rozmowie o planach Richarda, zmierzających do tego, by Jemima miała zapewniony dostęp do Dotty, ale jednocześnie trzymała się na bezpieczną odległość od domu. W głowie kotłują mi się jednak zupełnie inne myśli: Joel — czy to naprawdę koniec z nami? Co, do diabła, miałabym mu powiedzieć, gdyby podszedł, kiedy go zawołałam na Strandzie? I jak bym to wytłumaczyła Richardowi? Krzyknęłam bezwiednie, bez zastanowienia.

Moje usta mówią:

— Tak, ale czy możesz jej zaufać, jeśli chodzi o Dotty? — Ale myśli krążą wokół faceta w mercedesie. Mam wrażenie, że podwoziłam go kiedyś taksówką albo widziałam go gdzie indziej. Ciekawe, czy to ten tajemniczy pan Fisher...

Słyszę swój głos:

— Jest zmienna i podstępna. Może uciec z Dotty, wrócić do Gerarda czy coś w tym stylu. — Głos w głowie zaś mówi, że nie mogę pozwolić, by sprawy wymknęły się spod kontroli. Jeśli się wymkną, to rozpęta się piekło...

Spoglądam na zegarek — jest 3.36 po południu. Obmacuję kurtkę, wiszącą na oparciu krzesła, i czuję grube zawiniątko w kieszeni. Trzy tysiące funtów dla Jonny'ego... Cholera, zupełnie o nich zapomniałam!

*

Biegnę przez Leicester Square, lawiruję między przechodniami na Coventry Street, szykując się na żalony widok — Jonny pochylony nad stołem w pubie, fajka zwisająca smętnie z ust, parę pustych kuflów. Potem, na Oxendon Street, wypadam z tłumu i staję przed „The Comedy”. Otwieram drzwi, unikając kropel wody, które kapią z wiszących przy wejściu doniczek z kwiatami.

Szukam niepozornej postaci, więc na początku nie zauważam Jonny'ego, kiedy rozglądam się po ciemnej sali. Już chcę się odwrócić i wyjść, lecz nagle słyszę wołanie:

— Katy... Tutaj, ty ślepy krecie!

Jest — przy dużym stole w kącie. Siedzi z jakimiś trzema gośćmi i blondynką. Śmieją się, palą i wyglądają tak, jakby znali się od lat. Mam przecucie, że coś jest nie w porządku, podchodzę i próbuję się uśmiechnąć.

Kiedy jestem blisko, Jonny wstaje i obejmuje mnie ramieniem. Jego twarz — pocięta siatką blizn, z plamami świeżych siniaków — przypomina obrus w szkocką kratę, ale zdaje się, że ten fakt mu nie przeszkadza.

— Słuchajcie, wszyscy, to moja dziewczyna, Katy. Katy, to są wszyscy. — Wybucho pijackim śmiechem i siada, a właściwie prawie przewraca się na ławkę. Siadam obok niego, nadal uśmiechając się sztucznie.

— Ale z niego ignorant, co? — mówi blondyna i pochyła się, odsłaniając głęboki dekolt. — Chciał powiedzieć, że ja jestem Caroline, to jest Marvin, Michael, a to Sean.

— Cześć. — Nie stać mnie na nic więcej.

— Jonny zdradził nam, że przeprowadzacie się do Berlina — oświadcza Sean, chudy rudzielec przy końcu stołu.

— Och, naprawdę? — Odwracam się, żeby spojrzeć na Jonny'ego, który chyba się czerwieni, ale trudno powiedzieć, bo ma całą twarz w siniakach.

— Hmm, cóż... Jeszcze nie podjęliśmy ostatecznej decyzji — mówi Jonny z wymuszonym śmiechem. — Prawda, kochanie?

— Nie, kochanie, jeszcze nie. — Coś się we mnie gotuje i muszę się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć. — Chciałbyś powiedzieć mi o tym trochę więcej czy nasz plan jest tajemnicą którą dzielisz tylko ze swoimi nowo poznanymi przyjaciółmi?

— Uwielbiam bary z muzyką na żywo — wtrąca Caroline. — A Berlin staje się coraz modniejszy.

— Tak? — mówię słodko, a pod stołem odnajduję stopę Jonny'ego i z całej siły wbijam w nią obcas. Dopiero kiedy Marvin krzyczy z bólu, zdaję sobie sprawę, że chybiłam.

— Słonko, pamiętasz, kiedy wpadł do mnie gitarzysta z mojego starego zespołu? — pyta nerwowo Jonny.

— Zamieniam się w słuch, misiu.

— Wiesz, Jason nadal utrzymuje kontakt z perkusistą Stuartem. Okazuje się, że Stuart mieszka w Berlinie Wschodnim. Prowadzi tam bar z muzyką na żywo. Grają codziennie. Są też wieczory jam session. Zazwyczaj goszczą angielskie zespoły, ale zdarzają się też lokalni muzycy. Trochę brit popu, trochę jazzu. Do klubu co wieczór walą tłumy. Berlińczycy uważają że jest

super. Podobno Stuart chce otworzyć drugą knajpę, więc potrzebuje kogoś, kto pomoże mu prowadzić interes...

— Kiedy się o tym dowiedziałeś? Jonny jest zakłopotany.

— Wiesz, wtedy, gdy Jason mnie odwiedził...

— To dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz!

— Hej, wyluzuj, Katy... Kupię ci coś do picia. Kto jeszcze chce piwo?

Wszyscy, oczywiście. Trzy jasne i jedno ciemne. Jonny wstaje i podchodzi do baru. Idę za nim.

Czekam, aż zamówi, potem mówię szorstko:

— Nie mogę uwierzyć, że mi o tym nie powiedziałaś! Tu chodzi też o moje życie, ale przecież nie powinnam się spodziewać, że pomyślisz o mnie, prawda?

— Katy, Katy... — Pochyliła się i szepcze. — Nie tak głośno... Na razie to nie jest plan, tylko nadzieja. Wiesz, o czym mówię. .. Właściwie, jeszcze nie rozmawiałem ze Stuartem. Nie chciałem zdradzać tego pomysłu, zanim nie będę pewny, że się uda. Nie chciałem cię rozczarować.

— Jonny, proponowałaś mi wyjazd na wakacje, a nie emigrację do Berlina.

Patrzemy, jak barman nalewa stellę do jednego kufła, potem do drugiego. Słyszę piskliwy śmiech Caroliny, a potem jej kumpli.

— Przepraszam, Katy. — Jonny łapie mnie za rękę. — Oczywiście, nie zrobię nic bez porozumienia z tobą. Ale przemyśl to, dobrze?

— Nigdzie z tobą nie jadę, Jonny. — Wyrrywam się. — Na pewno nie po wczorajszej nocy.

Jonny wzdycha i opiera się całym ciężarem na starym, ciemnym blacie.

— Boże, Katy, naprawdę mi przykro. Przysięgam, że to się nie powtórzy.

— Nie, na pewno nie.

— Wszystko przez to miasto... Muszę stąd wyjechać, Katy — mówi, patrząc na mnie smutnymi oczami z czerwonymi obwódkami. — To miejsce wyzwala we mnie najgorsze instynkty. Zabije mnie, jeśli tu zostanę.

— Oszczędź sobie melodramatyzmu.

Barman stawia kufel ciemnego piwa koło pięciu jasnych.

— Siedemnaście funtów i pięćdziesiąt pensów — mówi, spoglądając na Jonny'ego znad okularów.

— Ach, tak... — Jonny sięga do kieszeni spodni, klepie się po kieszeniach koszuli, dobrodusznie wzrusza ramionami, a potem. .. odwraca się do mnie.

— Eee... Katy, te pieniądze, które mi obiecałaś...

Wyciągam z kieszeni zawiniątko, wkładam w spocone dłonie Jonny'ego i patrzę, jak rozrywa kopertę. Podaje barmanowi banknot pięćdziesięciofuntowy. Ten ogląda pieniądze pod światło, kiwa głową i idzie do kasy.

— Dzięki, Katy. — Jonny głaszcze mnie po głowie. — Jesteś najlepszą dziewczyną.

— Odwal się. — Odpycham jego rękę. — Wiesz, ile nocy przejeździłam po Londynie, żeby zarobić te trzy tysiące? Wiesz?

Wzrusza ramionami i patrzy pod nogi.

— To całe moje oszczędności. Mój bilet, żeby stąd uciec, Jonny. Oddałam wszystko, żeby uratować twoją nic nie wartą głowę. Zostało mi na koncie niecałe czterysta funtów. Za tę sumę daleko nie wyjadę.

— Nie przejmuj się pieniędzmi, Katy — mówi, wyciągając dłoń. — Wszystko już obmyśliłem.

— Nie dotykaj mnie, Jonny. Wracaj do swoich kumpli. Jedź do Berlina. Idź do diabła.

Wychodząc na ulicę, trzęsę się ze złości.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

6.03 w niedzielę rano. Jeździłam dziesięć godzin. Boli mnie głowa w miejscu, w które się uderzyłam. W żołądku płonie mi zgaga, czuję, że mam nieświeży oddech. Zazwyczaj najlepiej mi się myśli, kiedy jeżdżę, ale dzisiaj nic dobrego nie przyszło mi do głowy. Byłam roztrzęsiona — myśli wciąż przeskakiwały z jednego tematu na drugi.

Ostatni kurs tej nocy. Dulwich Village. Wiozę pijanego, nieśmiałego nastolatka z eleganckim akcentem. Wysiada przed dużym, starym domem przy galerii. Rozbawiona, patrzę, jak idzie na palcach zwirowaną ścieżką i próbuje wspiąć się po rynnie — bez skutku. Spada dwa razy, w końcu poddaje się i idzie do drzwi. Biedny smarkacz, nie ma klucza. Dzwoni i czeka przestraszony, skulony. Otwiera ojciec w piżamie, widzę, że karci syna, ale niezbyt mocno. Odjeżdżam.

Jestem w pobliżu, więc jadę do Joela. Kiedy dzwonię do drzwi, nikt nie otwiera. Pewnie poszedł do pracy. Teraz pracuje w nocy, tak jak ja. Potem dzwonię do Winnie, żeby zapytać, czy chce się spotkać w „The Crocodile”, ale wyłączyła komórkę i nie ma automatycznej sekretarki. Postanawiam, że pojedę tam i tak, żeby spróbować szczęścia. Źle się czuję, pamiętając, że wczoraj rano rozstałyśmy się w nie najlepszych humorach.

Winnie nie ma w „The Crocodile”. Zamawiam śniadanie, na które wcale nie mam ochoty, i siedzę przez dwie godziny ze

Steve'em Arableyem i jego paczką. Prawdę mówiąc, trochę mi żal Steve'a — dwa dni temu ktoś go okradł. Jest jedną z ofiar serii zorganizowanych napadów na taksówkarzy. Steve uważa, że to sprawka gangu, bo opisy napastników, którzy brali udział w poszczególnych akcjach, różnią się od siebie. W jego przypadku to była dziewczyna, ale czasem złodziejem jest mężczyzna albo para. Stosują starą sztuczkę: na końcu kursu pasażer chce zapłacić, kierowca sięga po saszetkę z pieniędzmi, ale nagle pasażer upuszcza coś — monetę, portfel lub coś innego — i mówi, że przedmiot spadł na podłogę, koło nogi kierowcy. Ten pochyla się, żeby to podnieść, i nagle — łup — dostaje cios w głowę czymś ciężkim, a pasażer ucieka z jego saszetką. Steve jest dupkiem, ale nikomu nie życzę takiej przygody.

Domyślałam się, że sama dałam się okraść w bardziej wyrafinowany sposób. Jestem tak wściekła na Jonny'ego, że zaczynam się trząść za każdym razem, kiedy sobie o nim przypomnę. Czterysta funtów — tylko tyle zostało w moim „funduszu ucieczkowym”. Chyba już nigdzie nie wyjadę.

Wracam do mieszkania w Balham, ale jestem za bardzo podekscytowana, żeby zasnąć. Smażone śniadanie ciąży mi w żołądku i znów łapie mnie zgaga. Przewracam się z boku na bok, a czas ciągnie się w nieskończoność. W oddali biją dzwony. Po jakimś czasie gramolę się z łóżka i przetrząsam kartony, szukając gavisconu. W końcu go znajduję, ale przy okazji robię jeszcze większy bałagan w pokoju. Poskromiwszy niestrawność, udaje mi się zdrzemnąć parę godzin.

2.15 po południu. Znów jestem w drodze — doprowadziłam się do porządku, ale potrzebuję rozrywki. Potrzebuję Stefa.

Niedziela to dzień targowy. Spitalfields, Petticoat Lane, Middlesex Street... Cztery krawaty za dziesięć funtów, trzy kolorowe pokrowce na komórki za piąta, zestaw noży kuchennych za jedyne trzy dziewięćdziesiąt dziewięć. Pirackie kasety wideo, CD z muzyką reggae, samosy z baraniną i pieczone ziemniaki z curry z koziego mięsa. Spinki do włosów, zegarki, perfumy, kolorowe, plastikowe figurki kosmitów z wielkimi czarnymi oczami w kształcie łez... Poszukiwacze okazji i turyści uwielbiają te miejsca — dla mnie targowisko znaczy tylko tyle, że wszędzie są korki, a większość mniejszych ulic jest zamknięta. Kiedy przedzieram się taksówką przez Aldwych i szukam drogi, w którą mogłabym skręcić, uderza mnie myśl, że przecież Stef prawdopodobnie jest na jednym z targowisk i próbuje opchnąć maskotki Furbies. Powinnam była uprzedzić go, że chcę przyjechać...

Wreszcie udaje mi się przedostać na drugą stronę dzielnicy, ale okazuje się, że Brick Lane jest zakorkowana na amen. Niedzielni turyści tłoczą się przed hinduskimi restauracjami. Na dodatek, zdaje się, że w meczecie odbywają się jakieś obrzędy. Faceci w eleganckich garniturach i kobiety w kolorowych jedwabiach wsiadają i wysiadają z mercedesów i BMW, zaparkowanych wzdłuż ulicy. Cał po calu, zbliżam się do mieszkania Stefa, ale nigdzie nie widzę wolnego miejsca do parkowania. Chyba będę musiała odbić w bok — w którą stronę? Przed domem Stefa stoi czarne volvo, bardzo podobne do auta Oczka — ten sam model, ten sam kolor.

Zbliżam się, utknęłam za furgonetką, która wjeżdża z pobocza na ulicę, i zastanawiam się, czy skręcić w lewo — nagle drzwi mieszkania numer 134A otwierają się i nie wierzę własnym oczom.

Craig Summer. Nosi popielaty garnitur, denerwuje się, lewą dłonią odruchowo przeczesuje włosy, wychodząc na chodnik. Stef stoi na schodach. Widzę go za framugą. Rozmawiają. Craig kłania się sztywno, rozgląda się dookoła, jakby się bał, że ktoś go zobaczy. Teraz podaje Stefowi prawą dłoń

— ale Stef źle zrozumiał gest i przybija mu piątkę. Efekt jest dziwny — ni to uścisk, ni to klepnięcie.

Craig Summer i Stefan Muchowski.

Stef czeka na schodach, aż Oczko znajdzie kluczyki, machnie ręką na pożegnanie i otworzy volvo. Potem wraca do środka i zamyka drzwi.

Craig rozgląda się jeszcze raz i w końcu wsiada do samochodu. Chowam się za kierownicą, bo boję się, że mnie zobaczy. Na szczęście nie zauważył. Furgonetka nadal próbuje włączyć się do ruchu, przez co skutecznie blokuje Brick Lane, ale Craigowi udaje się wcisnąć przed nią. Ja zostaję z tyłu. Droga przed furgonetką jest trochę mniej zatłoczona. Widzę, że volvo znika na końcu ulicy. Widział mnie? Chyba nie. Jestem tylko kierowcą taksówki — jedną z dwudziestu pięciu tysięcy. Jestem częścią londyńskiego krajobrazu.

Skrećam w to samo miejsce, na którym stał volvo Oczka. Parkuję, zaciągam hamulec, bezwładnie opieram głowę na kierownicy i zamykam oczy. Zostaję w tej pozycji przez parę minut, potem wysiadam z taksówki. Idąc w stronę drzwi, czuję w powietrzu zapach dopiaza i buna.

Dopiero po trzecim dzwonku słyszę tupot na schodach i głos Stefa:

— Już, już idę. — Pewnie domofon się zepsuł.

Kiedy otwiera drzwi, jest zdenerwowany, ale rozchmurza się, kiedy widzi, że to ja. Kosmyk jasnych włosów opada mu na błękitne oczy.

— K! Dobrze, że jesteś! Nie mogłaś wybrać lepszej pory.

— Naprawdę?

Patrzy na mnie z ukosa. Na pewno zauważył napięcie w moim głosie, cień na mojej twarzy. Odwraca się, żeby wejść po schodach i mówi, spoglądając przez ramię.

— Chcesz wina? Przed chwilą otworzyłem butelkę Rioja... Tego prawdziwego. Uważaj na Furbies na piętrze.

Idę za nim na górę.

W kuchni panuje chaos. Na stole widzę talerze i brudne sztućce, puste kieliszki i zmięte bibułki do skrętów. Zlew jest pełen garnków. W dużym rondlu na piecu są resztki gulaszu.

— Przepraszam za bałagan — mówi Stef. — Mieliśmy gości przed pójściem do klubu. Jeszcze nie zdążyłem posprzątać. Fantastyczna noc! — Podchodzi i chwyta mnie za rękę. — Dasz mi buzi?

Czuję mój ulubiony, atramentowy, kuszący zapach na jego karku, ale nie chcę pocałować Stefa. Wyrrywam się.

W kącie pokoju stoją plastikowe pudełka z logo środków czyszczących Rentakil.

— Ale syf... Już ci się zaległy?

— Szczury. — Uśmiecha się i wzrusza ramionami: Widząc, że mnie nie rozbawił, przestaje się uśmiechać i robi zdziwioną minę. — Co z tobą K? Od dawna nie dzwoniłaś. Od tamtego dnia, kiedy uciekłaś. Niby co miałem robić?

Czuję się słabo. Odsuwam krzesło od stołu i opadam na nie ciężko, pocierając obolałą głowę.

— K?

— Kim był ten facet? — pytam.

— Jaki facet?

Boże, mogłabym go uderzyć.

— Ten, który przed chwilą stąd wyszedł.

— Ach, ten. — Znów się uśmiecha, ale bardziej nerwowo. Podchodzi do kuchenki i drewnianą łyżką dziobie resztki zimnego gulaszu.

— Kim on jest, Stef? Nie opowiadaj mi bzdur.

Stef odkłada łyżkę i odwraca się do mnie. Wygląda tak, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć mi prawdę, potem wzrusza ramionami.

— Och, do diabła... To właśnie ten gość. Ten gość.

— Co znaczy „ten gość”?

— Ten od pieniędzy. Wiesz. Przynosi je do nas na przechowanie, potem je odbiera. Nie wiem, jak się nazywa. Jest dla nas po prostu „facetem od kasy”... K, dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

— Ty frajerze.

— Co? Nie jestem frajerem. Masz jakiś problem, K? Pytasz, więc odpowiadam, a co dostaję w zamian? Tylko wyzwiska...

— Nie, Stef. To ja jestem frajerką. Cholerną frajerką.

Muszę się wydostać z tej śmierdzącej kuchni.

— K? K, dokąd idziesz?

Zbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

— Przecież dopiero co przyjechałaś! K...

Konferencje dla producentów wykałaczek... Ależ frajerka ze mnie.

OCZKO, OCZKO...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OK, jak mogę wyjaśnić to, co dzieje się w mojej głowie...? To tak, jakby głowa była wielkim domem pełnym pokoi. W każdym pokoju dzieje się coś innego, ale we wszystkich ukryte są laski dynamitu — w szafce, pod łóżkiem — wszędzie. W jednym ktoś podpalił lont — kiedy dynamit wybuchnie, wywoła eksplozję w sąsiednim pokoju, a potem w następnym i tak dalej... Wszystko jest puste, czarne, wypalone. Tak się czuję.

Co jeszcze...?

Czy czuję się zdradzona? Tak. W pewnym sensie nadużycie zaufania jest tym gorsze, że Oczko prawie przemocą wdarł się w moje życie. Nigdy go nie zapraszałam — to on wciąż nalegał.

Czy jestem zła? Jezu, pewnie, że tak. Wszystko zaczęło się psuć mniej więcej w tym czasie, kiedy poznałam Oczka, a potem było już coraz gorzej. Przez telefon Oczka Jonny mnie uderzył. Gdyby Jonny mnie nie uderzył, może nie stoczyłby się po tej autodestruktywnej równi pochyłej, a ja wciąż miałabym swoje trzy tysiące funtów. Oczko wciągnął Stefa jeszcze głębiej w świat przestępczy — widzę, jak topnieje urok osobisty Stefa. To wina Craiga.

Czy na to zasłużyłam? Chyba tak. Jestem kłamczucha i oszustką. Jak mogę spodziewać się, że ludzie będą ze mną uczciwi, jeśli mnie samej nie stać na uczciwość?

Ale nie jestem kryminalistką.

Przez co najmniej dwie godziny jeżdżę bez celu po mieście— ze wschodu na zachód i z południa na północ. Dopiero po długim czasie udaje mi się przekonać, że nie zasługuję na zły los. Dzięki temu czuję się trochę lepiej. Czując się lepiej, jestem silniejsza. Zawracam i jadę wprost do paszczy lwa. Chelsea Harbour.

Mój palec zostawia tłusty odcisk na szklanych drzwiach. Adrenalina pulsuje mi w żyłach, kiedy mijam ochroniarza przy biurku i idę do windy. Tenisówki skrzypią na alabastrowej podłodze.

— Hej! — Ochroniarz wybiega zza biurka i pędzi za mną.

Mam nadzieję, że nie będę musiała z nim rozmawiać, ale winda nadjeżdża zbyt późno. Właściwie ochroniarz jest jeszcze chłopcem. Spiczasta czapka zsunęła mu się na bok. Jego twarz jest pokryta czerwonymi pryszczami,

które wyglądają jak wulkany surowego mięsa w miejscach, gdzie ściał je przy goleniu.

— Mogę w czymś pomóc? — pyta. Zadziera głowę, patrząc na mnie. Jestem co najmniej o trzy cale wyższa niż on.

— Nie, dziękuję. — Wciskam guzik windy.

Biedny dzieciak, nie jest dobry w swoim fachu. Wszystkie części jego twarzy, które jeszcze nie są zaczerwienione od trądziku, robią się szkarłatne.

— Przepraszam, ale jeśli nie jest pani lokatorką to muszę panią zaanonsować.

— Dobrze, w porządku. — Idę za nim, przeklinając w duchu. Nie chcę, żeby ten dzieciak dzwonił do Craiga i uprzedzał go o moim przyjściu. Chcę przyjść bez zapowiedzi, zaskoczyć go, tak jak on zaskoczył mnie.

— Dobrze — mówi chłopak, wyraźnie szczęśliwy, że znów jest po drugiej stronie biurka. — Z kim chce się pani spotkać?

— Z Craigem Summerem. Mieszkanie numer pięć, siódme piętro.

Ochroniarz wybiera numer na domofonie, bezwiednie skubiąc pryszczę. Kiedy skończy się trądzik, zostaną mu głębokie blizny. Słyszę sygnał po drugiej stronie linii.

— Przykro mi — mówi, odkładając słuchawkę. — Nie ma go.

— Cóż, to nie wystarczy.

— Słucham?

— Muszę się dostać do jego mieszkania. — Nie wiem, co się zdarzy, ale nie powstrzymam już rzeki kłamstw. — Byłam tam wczoraj rano i coś zostawiłam. Coś, czego bardzo potrzebuję.

— Proszę pani, naprawdę...

— Chodzi o insulinę. Choruję na cukrzycę. Potrzebuję insuliny, którą zostawiłam w mieszkaniu Craiga Summera.

— Niech pani mnie zrozumie. Nie mogę pani wpuścić pod nieobecność pana Summera. — Chłopak mówi zdecydowanie, ale w jego oczach czai się strach. Nerwowo wyciska pryszczę.

— Naprawdę, muszę. W przeciwnym razie zwariuję, dostanę ataku. Może nawet tutaj.

— Jezu... — Wciska czapkę głębiej na głowę i stoi, bezradny. Nie wie, co zrobić z rękami. — Prosi mnie pani, żebym zrobił coś, za co mogę wylecieć z pracy! Skąd mam wiedzieć, że pani nie zmyśla?

Zmieniam ton. Mówię łagodnie, matczynym głosem.

— Posłuchaj... Jak masz na imię?

— Terry.

— Posłuchaj, Terry. Byłam tu wczoraj rano... Przyszłam wcześniej, o świcie. Pamiętasz? Byłeś na służbie, Terry...

Marszczy czoło, zsuwa czapkę na bok, żeby podrapać się w głowę.

— Może pani poczeka tutaj, aż pan Summer wróci... Zaczynam tracić cierpliwość.

— Jeśli za piętnaście minut nie zrobię sobie zastrzyku z insuliny, zapadnę w śpiączkę!

Ochroniarz ma taką minę, jakby miał się rozpląkać.

— Nie mogę zostawić stanowiska bez opieki...

— Na miłość boską, na pewno masz zapasowe klucze do wszystkich mieszkań. Po prostu daj mi klucz i sama tam pójde!

— No, nie wiem... Wzdycham ciężko.

— Terry, mogę zaraz umrzeć, kiedy ty będziesz zastanawiał się nad stratą pracy. Jesteś przygotowany na takie ryzyko? Bo ja nie.

I Am Sailing Roda Stewarta — plastikowa wersja z Chelsea Harbour — drażni moje uszy, gdy wysiadam z windy na siódmym piętrze. Mam wrażenie, że jakaś wredna mucha bzyczy mi w głowie. Niebieski korytarz — niebieska okładzina na suficie, ścianach i na podłodze tłumi wszystkie dźwięki oprócz bicia serca w miękkiej pustce.

Labiryntofobia rozrywa mi klatkę piersiową. Wchodzę do holu. Instykt podpowiada mi, że nienazwany kolor z koszmarów czai się gdzieś w pobliżu — za którąś ze ścian albo za drzwiami, wplątany we włókna niebieskiej okładziny. Idę niepewnym krokiem, nie mogę się wyprostować, pocę się. Szukam drzwi z numerem pięć, próbuję dopasować klucz i upuszczam go na podłogę. Podnoszę go sztywnymi palcami i znów wpycham do dziurki.

W końcu się udaje. Klucz obraca się bez problemu.

Serce znów bije mi wolniej, kiedy zamykam drzwi i mam przed sobą apartament Oczka. Idę prosto do rozsuwanych szklanych drzwi i wychodzę na balkon, gdzie mogę się uspokoić i odetchnąć pełną piersią. Opierając się o poręcz, patrzę na port, na łodzie, na migoczącą wodę, na ciężki od spalin, pomarańczowy zachód słońca nad Londynem, i zastanawiam się, co ja właściwie tutaj robię. Chciałam zmierzyć się z Craigiem, a przecież nie mogę zmierzyć się z pustym mieszkaniem. W czym to pomoże?

Odpowiedź odbija się od powierzchni wody i słyszę ją wyraźnie w myślach.

Muszę znaleźć właściwy trop wśród kłamstw i półprawd. Muszę przeszukać mieszkanie, żeby wpaść na jakiś strzęp informacji o Craigu Summerze i o tym, do czego jest zdolny.

Patrzę na stare radio i zastanawiam się, czy historia, którą mi opowiedział, była prawdziwa. Nie miał powodu, by ją zmyślić, ale w tej chwili nie wiem, czy mogę wierzyć chociaż w jedno jego słowo. Po kolei zdejmuję książki z półki, wertuję, przeglądam, jakbym spodziewała się, że coś wypadnie spod karteek. Na chwilę zatrzymuję się przy barometrze miłości, a kiedy obejmuję naczynie, czerwony płyn bulgocze i unosi się do powierzchni. Wygląda na to, że dzisiaj moje uczucia są bardzo gorące.

Kartka z życzeniami nadal stoi na swoim miejscu: Nie, żebyś go potrzebował. Pokaż tym draniom, co potrafisz. Kocham Cię. Marianne xxx.

Zaglądam do szafy. Jest w niej tylko butelka whisky. Laphroaig — pełna w trzech czwartych. Pamiętam, że poczęstował mnie, kiedy przyszedłam tu pierwszy raz. Otwieram ją, pociągam łyk i kaszlę, kiedy płyn wlewa się przez niewłaściwą dziurkę do gardła. Silny zapach torfu drażni mi nozdrza. Piję jeszcze trochę i zatykam butelkę korkiem. Wkładam ją z powrotem do szafy i zamykam drzwi.

Jak tu czysto! Na beżowym dywanie nie ma plam, rdzawa sofa wygląda na całkiem nową, jakby nikt na niej nie siadał. Nigdzie nie walają się gazety ani nie zapłacone rachunki — nie ma nawet jednej filiżanki z fusami. Na stoliku przy łóżku stoi telefon z automatyczną sekretarką. Wciskam PLAY, a maszyna oznajmia mechanicznym głosem z amerykańskim akcentem, że nie ma nowych wiadomości.

Nie widzę telewizora. Wcześniej nie zwróciłam uwagi na ten dziwny fakt — Craig nie jest typem faceta, który nie dba o życie kulturalne, ani nie jest aż tak bogaty wewnętrznie, żeby nie oglądać telewizji. W koszu na śmieci leży tylko jeden zwitek papieru, który okazuje się paragonem z pralni chemicznej.

Idę do kuchni. Gładkie, czyste blaty. Żadnych okruszków, żadnych zapachów. Otwieram pokrywę kosza na śmieci i znajduję pusty karton po mleku. Sprawdzam szafki: błyszczące rondle bez śladów użytkowania, białe naczynia, sztuczne poukładane we właściwych przegródkach. W żadnej szafce nie ma jedzenia. Otwieram lodówkę — pół paczki kawy lavazza espresso, krojony biały chleb, kostka margaryny olivio i słoik dżemu truskawkowego. To wszystko. Zdaje się, że Craig naprawdę uwielbia restauracyjne żarcie...

Zostaje mi tylko sypialnia. Pokój, w którym spałam z Oczkiem sześć czy siedem razy. Sama nie wiem, dlaczego pochylałam się i wacham poduszki na dużym podwójnym łóżku. Ha, zapach seksu. Od razu przypomina mi się tamten zapyziały pokój hotelowy w Suffolk i niemal czuję dłoń Craiga na moich plecach, jego usta na mojej szyi. Prostuję się i otrząsam z marzeń. Tak bardzo mnie rozczarował...

Na stoliku nocnym stoi elektroniczny budzik z zielonymi cyframi. Kiedy otwieram szafę, widzę tylko trzy koszule, trzy pary spodni i marynarkę. Na podeście do butów stoi jedna para trampków. Górna szuflada w komodzie zawiera kilka par bokserów i skarpetek. W drugiej jest jedna para dżinsów i dwie czarne koszulki. A gdzie reszta? Gdzie jego strój do szermierki? Pozostałe szuflady są puste. Tylko tyle znajduję w jego pokoju. Gdybym nie wiedziała, mogłabym pomyśleć, że nikt tutaj nie mieszka. To miejsce przypomina pokój w hotelu, a nie czyjaś sypialnię.

Jezu, przecież właśnie to pomyślałam, kiedy weszłam tu po raz pierwszy. Pomyślałam, że to mieszkanie jest tylko dekoracją a ja jestem ofiarą oszustwa wymyślonego przez Oczka i jego kumpla, Henry'ego.

Henry!

Wielki, gruby Henry i rzeka jego wymiocin, spływająca na moje buty, kiedy podnosimy go z chodnika i niesiemy do apartamentu. Henry, nieprzytomny na łóżku Craiga, płacze i wykrzykuje imię swojej żony.

Wielki, gruby Henry na tylnym siedzeniu granatowego mercedesa, odjeżdża z moim ślicznym Joelem.

— Znalazła pani insulinę? — pyta Terry, kiedy wybiegam z windy. — Źle pani wygląda.

Wciskam mu zapasowe klucze i pięć funtów.

— Nie powiem twojemu szefowi, że mnie wpuściłeś, jeśli nie zdradzisz panu Summerowi, że tu byłam. Rozumiesz?

Potakuje i patrzy znacząco na butelkę laphroaig, która dynda w mojej lewej ręce (pomyślałam, że w tej chwili potrzebuję jej bardziej niż Craig). Ignoruję jego spojrzenie i wybiegam przez szklane drzwi na ulicę.

W taksówce, wreszcie bezpieczna, sięgam po niebieski telefon, żeby sprawdzić, czy dzwonił Joel. Nie dzwonił. Wciskam jedynekę, żeby wybrać jego numer, i słyszę sygnał po drugiej stronie.

Jeżdżenie taksówką to doskonały zawód dla kogoś takiego jak ja. Nikt nigdy nie wie, gdzie jestem, co robię ani z kim się spotykam. Londyn zawsze był dla mnie wielkim kotłem — miejscem, w którym można mieć pięcioro

kochanków, którzy nie wiedzą o sobie, a i tak znaleźć tajemne miejsce, w którym można się ukryć i być samemu, kiedy się ma na to ochotę.

Nigdy nie wierzyłam w przeznaczenie. Mogę jeździć tam, gdzie chcę, i sama decyduję o końcowym przystanku. Mam kontrolę, poruszając się po mieście i tworząc własny porządek rzeczy. Ale teraz... nie jestem pewna — Londyn się skurczył, przestał być wielką, anonimową metropolią i stał się małą wioską. Mam wrażenie, że ktoś lub coś mnie ogranicza i łączy wszystkie oddzielne ścieżki życia w jedną całość.

Jestem na autostradzie, na której nie ma skrzyżowań. Nie mogę się wydostać.

Chcę się rozłączyć, lecz nagle słyszę trzask na końcu linii i ktoś podnosi słuchawkę. Zaskoczona, krzyczę do telefonu:

— Joel?

— Kto tam? — Kobięcy głos.

Jezu, to matka Joela. Kurczę się, kiedy ją słyszę. Spotkałyśmy się tylko raz, ale nigdy nie zapomniałam tego dnia. Przyszła do mieszkania Joela i zastała nas w łóżku. To była moja najszybsza ucieczka...

— Dzień dobry, pani Marsh. Tu Kat. Pamięta pani... przyjaciółka Joela.

— Tak, wiem, kim pani jest. Gdzie jest mój syn? — Naprawdę jest zdenerwowana.

— Obawiam się, że ja też nie wiem, pani Marsh. Nie widziałam go od dwóch dni. Czy coś się stało?

— Nie wygłupiaj się, moja panno. Wiesz, gdzie jest, i zaraz mi powiesz!

— Jest bliska płaczu.

— Pani Marsh, przepraszam, ale... — Czuję się niezręcznie. Nagle czuję, że chcę przerwać tę farsę. — To chyba nieodpowiedni moment na rozmowę. Zadzwoń później...

— Nie! Proszę poczekać! — Zakrywa słuchawkę dłonią i z kimś rozmawia.

— Halo? Pani Marsh? — Może po prostu się rozłączę... Znow słyszę stłumione dźwięki. Odległe głosy. Potem w końcu...

— Mówi ojciec Joela. — Głęboki głos. Surowy. Prawdziwy macho.

— Dzień dobry, panie Marsh.

— Kathryn, prawda? Posłuchaj, Kathryn, matka Joela i ja... Martwimy się o niego. Nie widzieliśmy go od wielu dni. Jego matka przyszła tu w zeszłym tygodniu, żeby posprzątać, i zastała okropny bałagan. Naprawdę...

obrzydliwy. To niepodobne do naszego syna, żeby traktować matkę i mieszkanie z takim brakiem szacunku.

— Joel zawsze był bardzo porządny — mamroczę.

— Wczoraj Joel miał przyjść do domu na kolację. Jego babcia przyjechała z Nigerii. Nie widziała go od pięciu lat... Ale Joel się nie pojawił. W domu też go nie było. Dzisiaj rano nie poszedł do kościoła. W jego łóżku nikt nie spał, Kathryn. Jest oczywiste, że nie wrócił do domu, od kiedy matka tam posprzątała.

— O Boże...

— Joel zawsze chodzi do kościoła, Kathryn. Jest dobrym chłopcem. Myśleliśmy... Założyliśmy, że jest z tobą.

— Nie. Obawiam się, że go tu nie ma, panie Marsh. Prawdę mówiąc, mieliśmy małe nieporozumienie.

Zapada cisza. Słyszę, jak pan Marsh oddycha.

— Kiedy widziałas go ostatni raz?

Przypominam sobie twarz Joela, kiedy zobaczyłam go wczoraj na Strandzie. Poczucie zdrady, kiedy wsiadał do mercedesa.

— W piątek — mówię. — W mieszkaniu rzeczywiście był bałagan. Chyba odwiedził go jakiś przyjaciel...

— Jaki przyjaciel? — Marsh strzela słowami tak, że trudno mi się skupić.

— Nie wiem. Chyba ktoś ze współpracowników. Ostatnio nie układało się między nami. Chodziło o tę jego nową pracę...

— Co to za praca, Kathryn? Widać, że zarabia dużo pieniędzy, ale kiedy matka pyta go, czym się zajmuje, nie chce nic powiedzieć.

— Nie wiem, panie Marsh. Mnie też się nie przyznał. Cisza. Słuchawka znów jest zasłonięta i znów zdaje mi się, że

pani Marsh próbuje ją odebrać mężowi. Po chwili jednak słyszę jego głos:

— Kathryn, czy nasz syn bierze narkotyki? Widzę swoje odbicie w bocznym lusterku. Wyglądam staro, mam zmęczoną twarz. Ulica na zewnątrz jest cicha, spokojna.

— Nie. Oczywiście, że nie.

Teraz pani Marsh udaje się przejąć słuchawkę.

— Gdzie jest Joel, Kathryn? Gdzie on jest? Musisz mi powiedzieć, proszę. Proszę...

— Ale ja też nie...

— Wiesz. Kłamiesz! — Płacze, nie może się opanować. Mówi z trudem.
— Czego chcesz od mojego synka? To jeszcze dziecko. Jest o połowę młodszy od ciebie... Zepsułaś go, sprowadziłaś na złą drogę... Gdzie on jest?

— Przykro mi — odpowiadam. — Przykro mi, ale nie wiem, gdzie jest. Przepraszam.

Słyszę, jak pan Marsh mówi:

— Daj mi słuchawkę. — Znów jest na linii. — Kathryn, słyszysz, że moja żona jest bardzo zdenerwowana. Nie chce cię oskarżać. Wiemy, że to nie twoja wina, bez względu na to, co myślimy o... Może jesteśmy przewrażliwieni, ale Joel nigdy tak się nie zachowywał. Rozumiesz?

— Tak.

— Chcę cię poprosić, żebyś zadzwoniła, jeśli będziesz miała jakieś wiadomości od Joela. Mój numer... Masz długopis?

— Chwileczkę. — Przyciskam telefon ramieniem do ucha i szukam w schowku notesu i długopisu. — Już.

— Mój numer domowy to 86374111, a do pracy 83234982. Dziękuję, Kathryn. Mam nadzieję, że możemy na tobie polegać.

— Tak, panie Marsh. Zadzwonię, jeśli czegoś się dowiem. Wyłączam telefon i pociągam solidny łyk laphroaig.

ROZDZIAŁ DRUGI

— Mój Boże, Kathy, okropnie wyglądasz!

Willa rozciera gęsią skórkę na gołych rękach, bo zimny wiatr przewiewa obszerną turkusową, jedwabną rzecz, którą nosi. Przyglądam się temu elementowi stroju—to nie tunika ani kaftan, ale coś pomiędzy. Jestem tak zmęczona, że prawie zezuję, patrząc na rozchełstane warstwy materiału i wielki rów między piersiami, który jedwab ledwie zakrywa. Chcę, żeby Amy mnie przytuliła. Chcę się z nią położyć. Chcę, żeby pogłaskała mnie po głowie, delikatnie — tak jak kiedyś mama.

— Wejdz, zanim zamarznę na śmierć — mówi Willa, tak jakbym to ja zatrzymywała ją na progu.

— Gdzie jest Amy? — pytam, kiedy Willa siada na bladoróżowym szezlongu w głębi salonu. Kolor zdecydowanie nie pasuje do jej turkusowego stroju. Na stoliku do kawy stoi pusta butelka chilijskiego merlota i otwarte południowoafrykańskie pinotage. Widzę ślady szminki na kieliszku.

— A skąd mam wiedzieć? Nie jestem jej niańką— sepleni z nadmiaru alkoholu, ale w jej głosie wyraźnie słyszę złość. — Nalej sobie kieliszek wina, jeśli masz ochotę. — Ręką wskazuje na butelkę.

Idę do kuchni, zastanawiając się, czy nie powinnam stąd wyjść. Amy i tak nie ma, a nie jestem w nastroju na konfrontację z Willą i jej tajemniczą traumą. Z drugiej strony, jestem okropnie zmęczona, a w tym wspaniałym domu zawsze jest tak miło... Pinotage też brzmi kusząco... Może powinnam wypić jeden kieliszek z Willą i poczekać, aż Amy wróci.

Noc okryła nas swoim kocem. Wypiłyśmy jedną butelkę łagodnego, aromatycznego pinotage i zaczynamy drugą. Siedzę naprzeciw Willi na głębokim fotelu, na którym zazwyczaj siada Amy.

— Pokłóciłyśmy się. — Willa napełnia mój kieliszek, rozlewając wino na stół, ale nie zwraca sobie głowy wycieraniem. — Madom uważa, że wtrącam się w sprawy, które mnie nie dotyczą.

— Co to za sprawy?

— Och, no, wiesz... — Macha ręką jakby się opędzała. — Chodzi o tę „Agony Aunt”.

Aha. Stara śpiewka.

— Zdaje się, że nie potrafi spojrzeć w przyszłość. Zawsze sądziłam, że jest ambitną dziewczyną Kathy... Że dąży do sukcesu. W ogóle jej nie rozumiem.

Próbuję udawać, że obchodzą mnie jej troski, ale moje myśli krążą wokół innych dziwnych spraw, które się dzisiaj zdarzyły.

— Kathy, czy ty mnie słuchasz?

— Co? Tak, oczywiście... Posłuchaj, Willa, czy myślisz, że ona naprawdę na tym ucierpi? To znaczy... komu przeszkadza, że Amy od czasu do czasu zabawia się w ciocię Agony?

Willa patrzy na mnie wściekle.

— Mnie to przeszkadza, Kathy. Mnie. Jak sądzisz, kto jej załatwił pracę w „Up West”? Kto, twoim zdaniem, zawsze próbuje podsunąć jej najlepsze strategie? Ale nie... ona mnie nie potrzebuje, prawda? Albo ta gazeta... Nie... Woli się rozdrobnić...

Chyba przesadza.

— Willa... przecież nie mówimy o Johnie Pilgerze*.

* **John Pilger** — legendarny angielski dziennikarz i reporter spraw zagranicznych.

Amy nie ma wielkich ambicji dziennikarskich. Rany boskie, przecież pisze do „Muff Matters”. Robi to, żeby ponabijać się z innych kobiet.

Willa grozi mi palcem.

— Przemawiają przez ciebie uprzedzenia.

Popijam wino i myślę o rodzicach Joela. Zastanawiam się, co powinnam zrobić...

— Zresztą, Kathy... Nie będę czepiać się rzeczy, nad którymi nie mam kontroli. A co ciebie gryzie, kochana? Jesteś spięta, rozkojarzona.

— Może.

Patrzy na mnie łagodnie, niczym psychoterapeutka, i próbuje skupić się na moich problemach.

— Zwierz się cioci Willi.

Tak jakby... Craig i Stef razem na schodach... apartament Craiga... dziwnie nie zamieszkały... wszystko niby normalne, ale kiedy otworzy się szafy i szuflady, zajrzy się za kurtynę... biała plama. Jak on sam.

— Kathy? Powiedz mi, co cię gryzie.

— Och... — Szukam wymówki. — Niedawno odbyła się msza w intencji mojej mamy. Minęło piętnaście lat, od kiedy umarła. Zdenerwowałam się bardziej, niż oczekiwałam. To wszystko, naprawdę.

— Biedactwo. — Pochyliła się, żeby dolać mi wina i widzę więcej, niżbym chciała, pod jej turkusowym strojem. — Rodzina to prawdziwy koszmar. Ale... jest jeszcze coś, prawda? Coś ważniejszego.

— Więcej? Nie.

— Jest, Kathy. Dobrze wiesz, że tak. Nerwowo popijam wino.

— Co masz na myśli?

— Och, daj spokój. Mam ci przeliterować? — Wstaje, okrąża dębowy stolik do kawy i siada na jego skraju, bardzo blisko, tuż przy mnie. Chwyta mnie za dłoń i mówi: — Dowiedziałaś się prawdy o Amy, tak, Kathy? O Amy i Cheryl...

Próbuję wyrwać rękę, ale Willa trzyma mocno — niezwykle mocno — i patrzy na mnie krowimi oczami.

— Co?

— Dobrze wiesz — i mówi.

— Że śpiąją ze sobą? — Staram się, żeby mój głos brzmiał normalnie. — Oczywiście. Ciekawe, co ty wiesz?

— A więc to prawda! Domyślałam się... — Puszczam moją dłoń i patrzy przed siebie.

— Czekaj. — Zmęczona i zdziwiona, pocieram czoło. — Co ty mówisz, Willa? Chcesz mi coś powiedzieć czy tylko pytasz o Amy i Cheryl?

Jej oczy zachodzą łzami.

— Kocham tę dziewczynę, Kathy. Wiesz o tym, prawda? Zrobiłabym dla niej wszystko. Wszystko. A ona tylko wciąż mnie rani, wbija mi nóż w pierś...

— Willa... — Kładę rękę na jej ramieniu, próbuję ją uspokoić. Boże, żałuję, że tu przyszedłam.

— Przepraszam, Kathy. Na pewno myślisz, że jestem głupia... — Wyciera łzy i głośno pociąga nosem. — Nigdy nie chciałam ci się zwierzać ze swoich uczuć. Dobrze mi tak, jak jest. Lubię cię, Kathy. Jest mi wszystko jedno, kiedy widzę was razem. Jestem szczęśliwa, że jesteście ze sobą. Naprawdę szczęśliwa.

— Willa, przestań. Nie mów nic więcej. Za dużo wypić... Zdejmuję rękę z jej ramienia, ale ona znów ją ścisną, jeszcze mocniej niż przedtem.

— Musisz mi uwierzyć, Kathy. To ważne, żebyś mi uwierzyła. Lubię cię. Chcę, żebyście były szczęśliwe... Ale ona jest taka zmienna. Taka zmienna... Idzie i pieprzy się z tą okropną suką...

Nagle przykładła moją dłoń do swojego gigantycznego biustu.

— Willa, nie...

Próbuję się wyrwać z uścisku, ale Willa jest silniejsza, niż mi się zdawało. Jezu, mogłaby być zawodowym zapaśnikiem... Wsuwa moją dłoń pod turkusową szatę.

— Nie! — Udaje mi się wysliznąć. Wstaję, prawie strącając wino na podłogę. — Nie, Willa. To nie jest dobry pomysł.

— Przecież obydwie ją kochamy. — Patrzy na mnie z przerażająco błagalną miną. To byłoby całkiem naturalne, prawda? Rodzaj pocieszenia, nic więcej...

— Nie mogę. — Stoję nad nią i próbuję nie okazywać obrzydzenia. — Przepraszam, Willa. Właściwie, nie wiem, czy Amy sypia z Cheryl czy z kimkolwiek. Tylko tak powiedziałam. Wiem tyle, że chcę być jej wierna. Zdrada nie leży w mojej naturze.

— Nie. Oczywiście, nie. — Sięga po wino i pije prosto z butelki.

— Chyba już pójdę. — Patrzę na zegarek. Jest dopiero 9.43, ale nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam taka zmęczona. — Muszę się przespać.

— Nie powinnaś siadać za kierownicą. — Willa chyba już odzyskała kontrolę nad emocjami. — Wypiłaś o wiele za dużo. Idź do pokoju Amy. Chciałaś się z nią spotkać. Jestem pewna, że niedługo wróci. — Potem dodaje: — Wyszła do kina z przyjaciółkami ze studiów.

Dziwne, że nie powiedziała mi tego od razu, ale nie szkodzi... Nie chcę wiedzieć dlaczego... Poza tym ma rację. Nie powinnam prowadzić po takiej ilości wina.

— Dzięki. Zrobię tak. Willa... Zapomnijmy o wszystkim, dobrze? Nic się nie stało.

— Dziękuję — mówi. Drży jej dolna warga. — Jesteś dobrą dziewczyną, Kathy.

— Dobranoc. — Zostawiam ją z winem i nie zaspokojoną żądzą.

Amy wraca późno. Może o pierwszej, ale nie jestem pewna, bo mocno spałam. To łóżko jest boskie. Słyszę pukanie do frontowych drzwi i głosy, kiedy Amy rozmawia z Willą, która widocznie nadal pije. Głos Amy jest niski i łagodny, a Willi — głośny, krzykliwy i agresywny. Potem drzwi sypialni otwierają się i Amy wślizguje się do pokoju. Rozbiera się, nie zapalając światła, żeby mnie nie obudzić. Gram swoją rolę, udając, że śpię, kiedy kładzie się przy mnie. Przytula się i czuję jej zapach — piżmowy, słodki. Ma nowe perfumy — tanie, ale zmysłowe. Wtulam twarz w jej szyję, żeby wdychać ten zapach pełną piersią. Po chwili, bez słowa — nawet bez powitania — kochamy się. Czule i delikatnie. W jej ramionach jestem

bezbronna jak dziecko, pozwalam jej opiekować się sobą. Chcę, żeby się mną opiekowała.

Rano Amy prawie udaje się odwrócić moją uwagę od spraw związanych z rzeczywistością. Jest frywolna, w nastroju do zabawy — przynosi mi rogaliki do łóżka i rzuca się na okruszki, które spadają na pościel. Proponuje zakupy w Kensington i na King's Road, a potem parę drobiazgów w „Harvey Nics”. Prześladowają mnie jednak głosy rodziców Joela. Boli mnie ich nienawiść za wszystko, co wyrządziłam ich małemu synkowi. Martwi mnie też Gruby Henry—jest kumplem Craiga, a Craig to „ten facet”. Muszę dowiedzieć się, czy Joelowi nic nie grozi. Mówię Amy, że muszę zabrać matkę na wizytę do szpitala, i wychodzę.

Siedząc w taksówce, przed domem Willi, sprawdzam wiadomości.

*

Niebieski telefon — Joel: Nic. Cóż, pewnie nadal jest rozczarowany.

*

Zielony telefon — Richard: Cześć, Kitty, to ja. Jest niedziela, godzina... eee... około dziewiątej. Zastanawiałem się, czy masz jakieś plany. Czuję się samotny bez ciebie. Do zobaczenia niedługo.

*

Żółty telefon — Stef: (cztery wiadomości) K, to ja. O co ci chodzi, do diabła? Dlaczego tak uciekłaś? Jezu, K, w czym problem?

— K, to znowu ja. Próbowałem się domyślić, o co chodzi, ale nie wiem. Dlaczego nagle stałaś się taka szlachetna i prawa? Zawsze wiedziałaś, co robię. Coś się zmieniło?

— Znów ja. Chodzi o tę robotę, tak? To dla ciebie problem. Słuchaj, K, wszystko mamy pod kontrolą. Jesteśmy bezpieczni. Nie przejmuj się. Nie ściemniam. Chcę, żebyś przyjechała. Proszę.

— Nie ignoruj mnie, kurwa, K! Znam cię — do teraz na pewno odsłuchiłaś moje wiadomości... Jak mogłaś tak odejść...? Jak mogłaś mi to zrobić!

*

Czerwony telefon — Jonny: Nic.

*

Mija wpół do dwunastej, kiedy podjeżdżam pod dom na North Cross Road w East Dulwich. Wiatr rozwiewa puste puszki, reklamówki i pudełka od pizzy po całej ulicy, wieje tak mocno, że starsze kobiety nie mogą iść, prawie biegną i skaczą, niesione wichurą. Kiedy zaczyna się deszcz, pada

poziomo. Trudno mi się wyprostować, kiedy dzwonię raz po raz i krzyczę przez otwór na listy. Nikt nie otwiera. Wracam do taksówki, wydieram kartkę z notatnika, który zawsze noszę przy sobie, i piszę:

Joel,

Bez względu na to, co o mnie myślisz, i jak mało cię obchodzę, proszę, zadzwoń do mnie, kiedy dostaniesz tę wiadomość. Nie pożałujesz, jeśli zadzwonisz, ale możesz żałować, jeżeli tego nie zrobisz.

Kocham Cię Kat

Wrzucam list przez otwór w drzwiach i wracam do Balham, słuchając starej kasyty Joni Mitchell. Próbuje nie myśleć o tym, że życie wali mi się na głowę, załamuje się. Zamiast tego myślę o Amy — pięknie wyglądała dziś rano.

Big Yellow Taxi — Joni ma rację: nigdy nie wiesz, co masz, zanim tego nie stracisz.

Podjeżdżam pod dom i wchodzę po schodach pokrytych niebieskim dywanem, który śmierdzi kocimi szczynami. Nagle coś słyszę. Kaszel. Drzwi mojego mieszkania są zamknięte, tak jak je zostawiłam, ale na pewno się nie przesłyszałam — to na pewno był kaszel. Ktoś jest w moim domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

To on. Nie mogło być inaczej, prawda?

— Kurwa, jak tu wszedłeś?

Siedzi w półmroku na zniszczonym, starym fotelu i pali papierosa.

— Ach, Katerina, nareszcie jesteś—wita mnie z uśmiechem. Wyciągam fajkę z jego ust i wyrzucam do kosza w kuchni.

— Hej, dopiero ją zapaliłem!

— W tym mieszkaniu się nie pali. — Przedzieram się przez rozrzucone drobiazgi, żeby otworzyć żaluzje i wpuścić trochę światła. Powietrze jest gęste od kurzu i dymu. — Jak śmiesz się tu włamywać! Co ty, do diabła, robisz?

Jego usta drżą w kącikach. Z przyjemnością widzę, że się mnie boi — boi się z powodu moich warunków fizycznych. Jestem wyższa od niego i bardziej wysportowana. Gdybym chciała, mogłabym stłuc go na kwaśne jabłko.

— Cóż, Kathryn. Przyszedłem cię spytać, dlaczego włamałaś się wczoraj do mojego mieszkania.

Cholera, to ten mięczak, ochroniarz.

— Chciałam z tobą pogadać, ale cię nie zastałam.

— Ja też.

Trudno mi zachować spokój. Drażni mnie jego obezwładniająca swoboda.

— Craig, chcę, żebyś mi powiedział, czym naprawdę się zajmujesz.

— Mówiłem ci. Jestem w public relations.

Zaciskam pięści. Czuję, że palce u stóp też kurczą się w tenisówkach, ale głos mam spokojny.

— Znasz kogoś o nazwisku Stefan Muchowski? Znów ten tik w kącikach ust.

— Stefan jaki?

— Stefan Muchowski. Znasz go? Albo Jimmy'ego i Eddiego?

Zwiesza ramiona. Wie, że zapędziłam go w kozi róg, ale nic nie mówi.

— Uznaję, że twoje milczenie znaczy „tak”.

— Kathryn, proszę, mogę zapalić papierosa? Poprzednim razem pozwoliłaś mi tutaj palić...

— Nie. Powiedz, skąd znasz Stefana.

Jego twarz jest blada i nerwowa, a skóra zdaje się cienka jak papier. Wyciąga chusteczkę z kieszeni i demonstracyjnie wyciera nos. Przypomina

mi ojca, który wycierał nos przy śniadaniu, kiedy byłam mała. Mama krzyczała wtedy, żeby wyszedł z kuchni, ale zawsze ją ignorował. W końcu Oczko opuszcza ręce i mówi:

— Stefan Muchowski jest nieprzyjemnym typkiem. Chciałbym wiedzieć, skąd ty go znasz.

Taka opinia o Stefie wkurza mnie, ale próbuję się opanować.

— Nie zaprzeczasz więc, że wiesz, kto to jest?

— Dlaczego miałbym zaprzeczać? Kim on jest dla ciebie?

— Widziałam cię. — Robię parę kroków w jego stronę, żeby go nastraszyć, ale potykam się o suszarkę do włosów i pudło z najlepszymi srebrnymi sztućcami mojej matki. Oczko rzuca się do przodu i podtrzymuje mnie. Teraz stoimy parę cali od siebie i mierzymy się wzrokiem. Nagle on się pochyla.

— Nie waż się mnie całować! — Wyrywam się i cofam, tracąc panowanie nad nerwami. — Widziałam cię wczoraj, kiedy wychodziłeś z domu Stefa. Wiem, że razem z Jimmym i Eddiem przechowywali dla ciebie pieniądze. Dużo pieniędzy. O co tu chodzi, Oczko? O narkotyki? Coś gorszego niż narkotyki...? Powiedz.

Patrzy pod nogi i marszczy czoło.

— Jestem wzruszony twoją wiarą we mnie, Kathryn. Naprawdę wzruszony.

Uderzam go. Mocno, otwartą dłoń. Z całej siły. Nie reaguje, tylko przykładą dłoń do zaczerwienionego policzka. Jest za bardzo zaskoczony, żeby coś powiedzieć.

— Dlaczego nie byłeś ze mną szczery, Oczko? — O Boże, zaraz się rozbeczę. Rozkleję się jak jakaś mała, słaba dziewczynka. Oczy zachodzą mi mgłą. — Gdybyś tylko powiedział mi prawdę, to może... Jestem cholernie rozczarowana.

Podaje mi chusteczkę, ale jej nie chcę. Zamiast tego idę do kuchni po kawałek papierowego ręcznika. Kiedy wracam, on znów siedzi.

— Kathryn, byłoby straszną pomyłką, gdyby jakiś robak, jakiś śmieć, wszystko zrujnował...

— Sam jesteś śmieciem!

Zdenerwowany, cmoka niecierpliwie i pociera bolący policzek.

— Może powinienem spróbować być taki jak ty. Ty zawsze jesteś szczerą, tak?

Nie podoba mi się nowy kierunek, do którego zmierza nasza rozmowa.

— Tu nie chodzi o mnie, Craig. Chodzi o to, że wplątujesz mojego przyjaciela, Stefa, w jakiś śmierdzący interes. Chodzi o to, że każesz mi myśleć o sobie w jakiś sposób, a okazuje się, że jesteś kimś zupełnie innym.

— To prawda. Jestem kimś zupełnie innym. — Nie zważając na mój zakaz palenia, wyciąga papierosa i go zapala. Zaciąga się mocno i przechyla głowę na bok tak, że patrzy na mnie z ukosa. Potem znów się uśmiecha, ale to już nie jest nerwowy grymas — uśmiecha się arogancko, zawadiacko. Nagle mówi po prostu:

— Jestem policjantem.

Sypię kawę do ekspresu. Kawa to rzecz, której najmniej potrzebuję w tej chwili — nerwy mam w strzępach nawet bez kofeiny. Ale muszę wyjść z pokoju, więc słyszę swój głos, który mówi:

— Zaparzę kawy. — Drżącą ręką włączam urządzenie. W piersi czuję dziwne palpacje, oddech staje się szybki i płytki, jakbym była na skraju hysterii. W dzieciństwie często cierpiałam na tę dolegliwość. Leżałam na łóżku, patrząc na sufit, który nagle zdawał się obniżać, cal po calu. Wtedy wyraźnie czułam cały cykl oddechowy — wddech, wydech, rozszerzanie i kurczenie się przepony, unoszenie klatki piersiowej, żeby pomieścić pęczniejące płuca, powietrze świszczące w nosie w tę i z powrotem. Oddychanie stawało się wielkim wysiłkiem, torturą której prawie nie mogłam znieść. Panika pogarszała sytuację. Wydychałam powietrze przez nos, moje nozdrza wydymały się jak końskie chrapy. Serce biło coraz szybciej, pędziło i trzepotało. .. Potem zaczynałam krzyczeć, a matka wbiegała do pokoju, siadała na skraju łóżka i uspokajała mnie ciepłym, cichym głosem, głaszcząc po głowie. Siedziała tak bardzo długo, oddychaliśmy razem.

Craig staje za mną. Odwracam się, a on mocno mnie obejmuje. Wtulam twarz w jego ramię i patrzę na popękane, białe płytki na ścianie — i na czarny płyn, kapiący wolno do szklanego dzbanka. Oddech stopniowo wraca do normy. Czuję dłoń Craiga na mojej głowie, podtrzymuje mnie, przytula. Moje ramiona wiszą bezwładnie po obu stronach ciała.

— Jak możesz być policjantem? — pytam cicho, kiedy znów mogę mówić.

Wzdycha i pozwala mi się odsunąć.

— Taką mam pracę. Przykro mi.

— O co w tym wszystkim chodzi, Craig?

Opiera się o pralkę. Jego twarz jest czerwona z lewej strony, gdzie uderzyłam. Przez parę sekund nic nie mówimy. Słysząc tylko syk i pykanie ekspresu do kawy. Craig wyciąga chustkę i znów wydmuchuje nos — może chce zyskać na czasie, żeby pomyśleć — potem wkłada chustkę do kieszeni. Widać, że jest zmęczony. Męczy go świadomość, że musi być ze mną szczerzy.

— Posłuchaj... pracuję w oddziale antynarkotykowym. Jestem tajniakiem... Dlatego musiałem kłamać. Nie robiłem tego specjalnie...

— Tak, jasne... — mówię sarkastycznie. Może znów kłamie, ale jego słowa brzmią szczerze... Nie zamieszkał apartament. .. — Grasz więc... jak by to powiedzieć...? udajesz barona narkotykowego, żeby wsypać innych?

— Coś w tym stylu.

— Ale co? Powiedz więcej.

— Nie mogę, Kathryn. Już powiedziałem za dużo. Ryzykuję życie, mówiąc ci, czym się zajmuję. Należysz mi trochę kawy?

Kiedy napełniam dwie filiżanki, zdaję sobie sprawę, że...

— O Boże. Stef ma poważne kłopoty, prawda? Moje słowa naprawdę go wkurzają.

— Kim ten palant jest dla ciebie?

— Co się stanie ze Stefem?

— Nie interesuje mnie Stefan Muchowski, Kathryn. Kim on jest dla ciebie? — Sięga po filiżankę.

— Nie połujesz więc na Stefa.

— Nie. On jest nikim. Na litość boską! — Hałaśliwie stawia kawę na stole. — Pieprzysz się z nim? O to chodzi?

— To nie twój interes.

— Czyli pieprzysz się z nim. — Cmoka w powietrze i zlizuje kawę z dłoni. — Myślałem, że masz lepszy gust. — Patrzy na mnie przez chwilę. Jego twarz nic nie wyraża. — Chyba lepiej pójdę. — Odwraca się i wychodzi z kuchni, kierując się do drzwi.

— Craig...

— Co? — Spogląda na mnie. Kładzie rękę na klamce.

— Obiecasz mi, że nie aresztujesz Stefa? Wzdycha, rozczarowany.

— Kathryn...

— Powiedziałeś, że jest nikim. Jeśli jest nikim, to dlaczego chcesz go aresztować?

— Nie mam zamiaru aresztować Stefana Muchowskiego.

— Obiecujesz, Craig? Jeżeli ci na mnie zależy, to zostaw go w spokoju.

— To tania sztuczka, Kathryn. To naprawdę kurewsko tania sztuczka!

Otwiera drzwi i wychodzi. Słyszę jego kroki na schodach.

Odstawiam filiżankę do zlewu i próbuję poukładać wszystkie fakty. Nagle, kiedy słyszę trzask drzwi, coś mi się przypomina— myśl, którą do tej pory przytłaczał strach o Stefa i chęć odkrycia prawdy o Craigu.

— Craig! Craig, poczekaj! — Pędzę po schodach, przeskakuję po dwa stopnie, w końcu szarpnię kławkę.

Craig pochyla się, otwierając swoje volvo.

— Co znowu? — Ma spięty, cichy głos.

— Kim jest Henry? Twój przyjaciel, Henry. Ten, który rzygał w mojej taksówce.

— Henry? — Wyraz jego twarzy zmienia się. Craig jest... zmartwiony. — A co on ma z tobą wspólnego?

— Znam pewnego chłopca. Ma na imię Joel. To siedemnastolatek. Pracował jako chłopak do towarzystwa, ale zdaje się, że zaginął.

— A Henry? — pyta Oczko.

— W niedzielę po południu widziałam Joela na Strandzie. Wsiadał do samochodu. Z tyłu siedział Henry. On też jest tajniakiem?

— Nie... Nie jest tajniakiem.

Nigdy przedtem jego oczy nie były takie puste. Ani śladu wesołych błysków.

— W takim razie jest alfonsem...? Cholera, Craig, czy to jego chcesz zamknąć? Czy chodzi ci o Henry'ego?

Craig otwiera drzwi volvo. Nie zmienił wyrazu twarzy.

— Mówisz, że ten Joel jest chłopcem do towarzystwa?

— Tak.

— I ostatni raz widziałas go w niedzielę wieczorem.

— Tak. Pociera czoło.

— Nie ma go więc dopiero od dwóch dni.

— Tak, ale...

— Na pewno dzisiaj wróci. Czy masz jakiś konkretny powód, żeby przypuszczać, że coś mu się stało?

Znów widzę minę Joela, wyrażającą poczucie zdrady, kiedy wsiadał do mercedesa. Wyobrażam sobie, jak przytula się do grubego Henry'ego na tylnym siedzeniu samochodu.

— Nie. Nie mam żadnego powodu. To tylko instynkt. Craig podchodzi i kładzie mi rękę na ramieniu. Ściska delikatnie, po przyjacielsku.

— Twój przyjaciel Joel nie obraca się w najlepszym towarzystwie, ale Henry Fisher nic mu nie robi, chyba że będzie musiał.

Pan Fisher...

— Na pewno?

— Pomyśl, Kathryn. Profesjonalni hodowcy psów nie pakują swoich najlepszych szczeniąt do worka i nie topią ich w rzece, prawda?

Wolałabym, żeby tego nie mówił. Zamykam oczy z nadzieją, że kiedy je otworzę, będę gdzie indziej. Ale nadal jestem tutaj. Craig wsiada do samochodu.

Odpala silnik, lecz pochyla się, żeby otworzyć okno po stronie pasażera, i woła:

— Daj mu czas do rana. Jeśli nie wróci, zadzwoń do mnie. Jego oczy mają zimny, matowy, niebieski kolor.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Moja matka uwielbiała tańczyć, ale ojciec wybił jej z głowy taniec. Kiedy byłam mała, opowiadała mi, że chodziła na zabawy ze swoim chłopakiem, Alanem. Oboje byli świetnymi tancerzami. Niekiedy ludzie przestawali tańczyć, żeby popatrzeć na nich. Alan obracał moją matkę, podrzucał ją i łapał w powietrzu. Razem przystępowali do konkursów i często wygrywali. W każdą niedzielę bawili się w miejscu, które matka nazywała „tancbudą”. Mój ojciec też tam chodził, ale nigdy nie tańczył. Ojciec był nieśmiały, poważny i plątały mu się nogi. Stał pod ścianą i patrzył na matkę. Kochał ją, ale ona go nie zauważała — tak mi mówiła. Nadal słyszę jej głos:

— Był moim cichym adoratorem. Patrzył na mnie i marzył, że jestem jego dziewczyną.

To nie znaczy, że ojciec nie spotykał się z dziewczynami. Zawsze przychodził do tancbudy z partnerką. Ale za każdym razem, kiedy weszli na salę, stawał pod ścianą, a dziewczyna tańczyła przez całą noc z innym chłopakiem. Dziewczyny jednak niewiele go obchodziły — moja matka była jedyną kobietą, do której coś czuł, ale nie śmiał z nią rozmawiać, bo była zbyt piękna i zdawało się, że należy do innego świata.

Matka opowiadała później, że ojciec wyratował ją z rąk Alana, który okazał się łajdakiem. Historia była dość niejasna. Pewnej nocy matka zobaczyła, że Alan całuje się za tancbudą z jakąś inną dziewczyną. Ojciec rycersko wkroczył do akcji i zdobył kobietę swoich marzeń. Moja wyobraźnia zdziałała resztę: matka płacze, ojciec chwyta Alana za kołnierz i wali go w pysk. Potem otrzepuje się, poprawia krawat, bierze matkę pod ramię i eskortuje do domu, przechodząc nad ciałem łajdaka — Alana.

Kiedy byłam trochę starsza—miałam kilkanaście lat—matka zmieniła historię, a raczej nadała jej nieco inny bieg. Ojciec przestał być cichym adoratorem, który uratował ją z rąk złego, dwulicowego Alana, i stał się podstępny nudziarzem, który się na nią wziął, aż w końcu wykorzystał jej chwilę słabości. Wreszcie opowiedziała o szczegółach, które przedtem skrętnie pomijała: kiedy nakryła Alana z inną dziewczyną obrzuciła go wyzwiskami i uderzyła dziewczynę w twarz. Potem wróciła na salę i zaczęła pić. Kiedy siedziała w kącie, wychylając jednego piwna za drugim, dołączył do niej mój ojciec. Wysłuchał jej żalów i zachęcał do dalszego picia, aż przestała cokolwiek czuć. Tańce się skończyły, a ona była zbyt pijana, żeby wstać o własnych siłach, więc musiał jej pomóc wrócić do

domu. Po drodze zwymiotowała na niego. Następnego dnia miała takie wyrzuty sumienia, że nie odmówiła, kiedy zadzwonił, żeby zaprosić ją na randkę.

Wiem, że matka była bardzo wrażliwa. Wiem, że czasami musiała być „trudna”: miała neurotyczną uzależniającą osobowość ze skłonnością do depresji. Taniec był antidotum na słabości — pomagał jej. Kiedy kończyły się tańce, zaczynała się depresja. Domyślam się, że tendencje samobójcze zawsze w niej tkwiły, były zakodowane w genach albo uwięzione w psychice. Czekwały na impuls, by się uwolnić... Ojciec był zimny, obawiał się kompromitacji, miał własną wizję tego, jak powinna zachowywać się żona dyrektora szkoły. Zabił w niej miłość do tańca, chociaż właśnie jej taniec go zauroczył. Uwolnił w niej samobójcze myśli.

Rozmyślam o tym, jadąc przez Brixton i Heme Hill. Bóg mi świadkiem, że i bez tego mam o czym myśleć, a jednak ta historia z przeszłości moich rodziców zdaje się wiązać w jakiś sposób z teraźniejszością — osacza mnie.

Niektórzy umieją wyjść cało z każdej sytuacji — bez względu na to, co się dzieje w ich życiu. Ludzie, zdarzenia i sytuacje odbijają się od nich jak piłki tenisowe od ściany. Ściana zaś zostaje nie naruszona. Nie twierdzę, że ci ludzie nic nie czują. Uważam po prostu, że mają wrodzoną zdolność przetrwania. Matka taka nie była. W jej przypadku było tak, jakby piłka tenisowa spadła na kwiat, złamała łodyżkę, zmiażdżyła płatki.

North Cross Road. Zaglądam przez szczelinę na listy. Kartka, którą zostawiłam dla Joela, nadal leży na wycieracze w korytarzu. W obolałej głowie świta mi pewien pomysł. Idę do sklepu „b2” na rogu ulicy, gdzie kupuję rolkę taśmy klejącej i opakowanie paracetamolu. Kiedy wracam, otwieram pudełko i biorę dwie tabletki, zmuszając się do przełknięcia bez popicia. Resztę chowam do kieszeni. Potem podchodzę do drzwi i zębami odrywam parę cali taśmy z rolki. Kucam i przyklejam pasek w szparze między drzwiami i progiem. Jeśli ktoś wejdzie przez te drzwi, niechcący oderwie taśmę. Wstaję i idę do taksówki. Czuję się lepiej, wiedząc, że coś zrobiłam. Nieważne, że moje działanie nic nie zmienia.

Jadę w stronę Brick Lane, mijając Tower Bridge, i zastanawiam się, co powiedzieć Stefowi. Chcę opowiedzieć mu wszystko, co wiem, ostrzec go przed... Przed czym? Właściwie, co wiem? Że „ten facet” jest tajniakiem? Że nie powinien przechowywać dla niego pieniędzy? Jak mam to wyjaśnić?

„Ryzykuję życie, mówiąc ci, czym się zajmuję”.

Czy to może być prawda?

Nie mogę nic powiedzieć Stefowi, prawda? Obiecałam to Craigowi, nieważne, jak bardzo nie podoba mi się ta myśl. Ale jak mam spojrzeć Stefowi w oczy, wiedząc wszystko, ale nie mogąc pisać ani słowa?

Wyjmuję niebieski telefon ze schowka i dzwonię do Winnie. Nie odbiera. Gdzie ona się podziewa, kiedy jest naprawdę potrzebna?

Niech cię diabli, Craigu Summer.

*

5.05 po południu. Jeżdżę od dwunastej. Zdawało mi się, że praca pozwoli mi nie myśleć o tamtych sprawach — że każe się skupić na czymś nieszkodliwym, na wożeniu ludzi z miejsca A do miejsca B. Dzień był jednak bardzo dziwny. Nigdy nie lubiłam jeździć w dzień — ruch na ulicach, zestresowani pasażerowie — ale dzisiaj sytuacja naprawdę jest wyjątkowa. Najpierw zatrzymuje mnie w Knightsbridge jakaś gruba krowa i każe zawieźć się do „Aquascutum” na Regent Street. Prosi, żebym poczekała na nią a ona wejdzie na chwilę do sklepu i szybko coś kupi. Mówi, że zakupy zajmą jej najwyżej trzy minuty, ale po piętnastu nadal stoję na parkingu, a licznik bije niewzruszenie. Po następnych pięciu minutach zaczynam podejrzewać, że była pasażerką na gapę. Zamierzam wyjść i się rozejrzeć, ale nagle baba pojawia się w drzwiach, roześmiana, niosąc cztery torby pełne zakupów. Potem staję w Paddington przy staruszce, która wrzeszczy wniebogłosy, kiedy ruszamy, bo na podłodze leży czyjaś noga. Noga! Sztuczna, oczywiście, ale stara przez chwilę myśli, że jest prawdziwa. Co za zwariowany świat. Na pewno ktoś by zauważył, gdyby zostawił nogę w taksówce. Myślę, że sama też zwróciłabym uwagę, gdyby pasażer wszedł, mając dwie nogi, a wysiadł zjedną.. To chyba najdziwniejszy przedmiot, jaki kiedykolwiek oddałam do biura rzeczy znalezionych. Instynkt podpowiada mi, że należała do kobiety z „Aquascutum”, bo ta była prawdziwą wariatką. Bez dwóch zdań. Ale tego dnia pięcioro innych ludzi siedziało na tylnym fotelu i każdy z nich mógł zostawić tę nogę... Apodobno tylko w nocy zdarzają się dziwni klienci!

Teraz podwożę z klubu w Ladbroke Grove do baru w Putney czarnoskórego gościa w bardzo obcisłych džinsach i dziwacznych lustrzanych okularach. Przez cały czas gada przez telefon i żuje gumę. Żuje bardzo głośno, z otwartymi ustami, i hałaśliwie mlaska. Sądząc po tonie, jakiego używa podczas rozmowy z kimś po drugiej stronie linii, jest kierownikiem baru albo klubu, a może obydwóch miejsc. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nazywa mnie „Treena”.

— Hej, Treena, możesz jechać trochę szybciej? Muszę być na miejscu za piętnaście minut.

— Treena, myślisz, że zdążymy w dziesięć minut? Człowieku, co za korek!

— Treena, depnij na ten pedał, dziewczyno. Dzwoni różowy telefon. Odbieram. To Amy.

— Kathy, to ja.

— Cześć, kochanie — mówię do słuchawki i zniżam głos do szeptu: — Wczoraj w nocy byłaś naprawdę świetna. Szkoda, że nie mogłam zostać dłużej, ale wiesz, jak jest...

— Wiem. — Czyżby była wkurzona?—Gdzie jesteś, Kathy?

— Jadę do Putney. Dlaczego?

— Chcę, żebyś przyjechała.

— Jasne. — Myśl, żeby zafundować sobie powtórkę poprzedniej nocy, jest kusząca. — Skończę około dziesiątej. Pasuje? Mogę przywieźć coś do jedzenia.

— Nie. Chcę, żebyś przyjechała teraz. Jak najszybciej. — Głos jej drży. Płacze?

— Amy, co się stało?

— Nic. Po prostu przyjeźdź. — Rozłącza się.

— Słuchasz mnie, Treena? — Mój pasażer puka palcem w szybę. Gapi się na mnie przez te głupie lustrzanki. — Prosiłem, żebyś skręciła w prawo. Minęliśmy skrzyżowanie.

— Och, przepraszam — odpowiadam bez przekonania. — Już zawracam.

— Nie szkodzi. Wysadź mnie tutaj.

Robię tak, jak mówi. Gość płaci, ale nie zostawia napiwku.

— Dlaczego przez cały czas mówisz na mnie „Treena”? — pytam, kiedy wysiada.

Dwa lustra odwracają się w moją stronę.

— O czym ty mówisz, dziewczyno?

Amy rozpałała ognisko w ogrodzie za domem. Płomienie sięgają bardzo wysoko. Zebrała kawałki skrzynek, kartonowe pudła i coś, co wygląda jak porąbane stare krzesła, które po kawałku wrzuca do ognia. Nosi czerwoną jedwabną piżamę — nie jest to najlepszy strój na ognisko — i kalosze. Przez chwilę stoję z boku i patrzę na nią, unikając kłębow dymu.

— Próba przed nocą Guya Fawkesa? — pytam.

Siąpi drobna mżawka. Krople powodują, że ogień syczy i dymi coraz bardziej. Amy zdaje się zajęta, ale od czasu do czasu odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Szkoda, że w ciemności nie widzę jej twarzy.

— Jak się udała wizyta mamusi w szpitalu? — Ma wysoki, piskliwy głos.

— Och, całkiem nieźle. Musiałyśmy czekać przez godzinę, zanim specjalista mógł ją przyjąć, ale sama wiesz, jakie są szpitale...

Odwraca się do ognia i widzę, że trzęsą się jej ramiona. Chcę podejść, objąć ją i pocałować, ale brak mi odwagi. Wczoraj jej usta smakowały słodyczami — mieszanką popcornu „Butterkist”, cukierków „Minstrel” i sokami owocowymi.

— Amy, co się dzieje?

— Nie domyślasz się? — słyszę jej cichy głos.

Mogę się tylko domyślać, że sytuacja ma związek z wczorajszą rozmową z Willą. Chyba dobrze postąpiłam z tą cholerną babą...? Czy naprawdę czuje do mnie żal, że dałam jej kosza? Czy tak bardzo kocha Amy, że powiedziała coś, przez co możemy się rozstać? Naprawdę mogłaby to zrobić?

— Willa coś ci naopowiadała, prawda?

Amy nic nie mówi. Wrzuca kolejną nogę od krzesła do ognia.

Twarz piecze mnie od żaru. Chyba nie wolno wzniecać ognisk na Islington... Odwracam się i patrzę na okna sąsiadów — parę zasłon się rusza.

— Amy, cokolwiek usłyszałaś od Willi, to kłamstwo. Nie chciałam mówić o wczorajszym wieczorze, żeby oszczędzić jej zakłopotania, ale chyba muszę wszystko ci opowiedzieć. Chodźmy do domu.

Mówiąc to, podchodzę i kładę rękę na jej ramieniu. Amy strąca moją dłoń. Z bliska widzę, że linie na jej twarzy to nie tylko brud. Amy płacze.

— Nie obwiniaj Willi za to, co zrobiłaś. Jest moją przyjaciółką. — Napięcie w jej głosie przypomina mi sytuację, kiedy Jonny po pijanemu próbował grać na gitarze. Naciągał strunę coraz mocniej: tak mocno, że można było zobaczyć, jak robi się coraz cieńsza. Wyraźnie widziałam delikatną granicę, zanim żyłka pękła.

— Co miałam zrobić? Dobierała się do mnie, Amy. Kocha cię, ale nie mogła mieć ciebie, więc rzuciła się na mnie...

— Zamknij się. — Stoi tak blisko ognia, że w każdej chwili płomienie mogą zająć nogawkę pizamy. — Nie chcę twoich kłamstw, Kathy. Dosyć się nasłuchałam.

— Co? — Naprawdę nie wiem, o co chodzi. Co Willa może wiedzieć? Słyszę śmiechy i szepty zza płotu po lewej stronie. Na pewno dzieciaki

sąsiadów wymknęły się z domu, kiedy zobaczyły ogień, i podsłuchują naszą rozmowę. — Pogadajmy w środku, Amy.

— Związek może przetrwać tylko wtedy, kiedy opiera się na szczerości i zaufaniu. — Nie podoba mi się kaznodziejski ton w jej głosie. Czuję, że we mnie też wzbiera gniew. Zza płotu znów słyszę śmiech.

— Ty mówisz o szczerości i zaufaniu? Sypiasz z Cheryl za moimi plecami.

Amy staje jak zamurowana.

— Dlaczego miałabym to robić?

Tak lepiej. Teraz musi się bronić. Czuję, że mam możliwość ruchu...

— Nie wiem, kochana. Może, mając kawior na co dzień, tęsknisz od czasu do czasu za pasztetem „Fray Bentos”?

— O czym ty mówisz? Nigdy nie jadłam „Fray Bentos”! No tak, zrozumiała to dosłownie.

— To metafora, Amy. Ja jestem kawiozem, a Cheryl pasztetem.

Amy cofa się. Idzie przez trawnik i siada przy ogrodowym stoliku Willi. Ostrożnie idę za nią, próbując wymazać z myśli obraz Amy i Cheryl w pozycji 69.

— A czego się spodziewałaś? — mówi Amy. — Wciąż na ciebie czekam, Kathy. Kto może mieć do mnie pretensje za to, że szukam ukojenia? Od ciebie dostaję niewiele wsparcia emocjonalnego.

— Nie mówimy o wsparciu emocjonalnym. Mówimy o tym, że pieprzysz się z tym wielkim, brzydkim babsztyłem.

— Odwal się, Kathy. Odpierdol się. — Chowa twarz w dłoniach i szlocha. Wolno, ostrożnie, siadam obok i obejmuję ją ramieniem. Śmiech i głosy za płotem milkną, bo dzieciaki znudziły się i wracają do domu. Koniec przedstawienia.

— To biurko, prawda? Palisz biurko?

Amy kiwa głową, odsłaniając twarz, która jest spuchnięta, nabrzmiała, ale widzę cień uśmiechu, bo wie, że udało jej się mnie zranić.

— Jestem bardzo zła na ciebie, Kathy — mówi, ale w jej głosie nie ma już złości. Wygląda na dziwnie zadowoloną. Może przekroczyła ulotną granicę gniewu.

— Dlaczego?

— Zmyślałaś, że mieszkasz z matką, chociaż ona nie żyje od piętnastu lat... Przez cały ten czas akceptowałam fakt, że nie mogę odwiedzać cię w domu, bo twoja matka o nas się dowie. Znosiłam to, że spotykam się z tobą

tylko dwa razy w tygodniu, całowałam cię na pożegnanie, kiedy musiałaś zawieźć ją do szpitala albo do kościoła, albo na herbatkę u pieprzonej cioci Betty...

Oczywiście. Wczoraj powiedziałam Willi, że zdenerwowała mnie msza w intencji matki...

— Och, kochanie...

Nagle Amy śmieje się okrutnie.

— Jak myślisz? Jak się poczułam, kiedy odkryłam, że tak desperacko próbujesz utrzymać mnie z daleka od swojego życia, że wskrzesiłaś własną matkę jako środek zapobiegawczy?

— Nie chcę, żeby wszystko między nami się skończyło, Amy. Co mam zrobić, żeby to naprawić?

Uśmiecha się — promień słońca w deszczu.

— Nieważne, czego chcesz, Kathy. Nieważne, czego ja chcę. Prawda jest taka, że z tego miejsca nie ma już drogi donikąd. Między nami jest zbyt wiele kłamstw.

Nie wiem, co powiedzieć. Długo siedzimy w milczeniu i patrzymy, jak płomienie kurczą się i zmieniają w błyszczące czerwone żagwie. Bawię się jej włosami.

Później, kiedy wychodzę — idąc korytarzem do drzwi — kątem oka widzę postać na schodach, która szybko usuwa się z pola widzenia.

W domu Joela taśma klejąca jest w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam.

Popijam dwie tabletki paracetamolu łykiem laphroaig Craiga i wsuwam butelkę z powrotem do schowka na rękawiczki. Potem uruchamiam silnik i jadę do „The Crocodile”. Jest dziesięć po dziewiątej wieczorem, a ja nie jadłam nic oprócz rogalików na śniadanie u Amy. Jezu, zdaje się, że to było tak dawno.

— Proszę kielbasę, jajko i frytki, Kev. I dietetyczną colę.

Wszyscy patrzą na mnie i szepczą. Steve Ambley trąca łokciem łysola, który siedzi z nim przy stoliku. Orhan Ataman udaje, że rozwiązuje krzyżówkę, ale pisze coś na marginesie gazety i pokazuje Rogowi Hackenhamowi, który po chwili patrzy na mnie i się uśmiecha.

— W porządku, Kathryn? — pyta Frank Wilson.

— Uważaj, Frank. — Siadam przy tym samym stoliku co zawsze, odwracając się tyłem do wszystkich, i patrzę przez okno na ulicę, na mijających mnie ludzi i samochody. Zakochane pary spacerują czule objęte.

Platynowe blondynki z łańcuszkami wokół kostek, w minispódniczkach, na wysokich obcasach, piszczą ze śmiechu, kiedy jedna z nich potyka się i wchodzi do rynsztoka. Są takie młode, atrakcyjne, śliczne... A ja? Od wielu dni nie byłam na siłowni. Wyhodowałam nowe fałdy sadła. Za chwilę pożrę talerz roztopionego tłuszczu.

Wyciągam z kieszeni czerwony telefon i jeszcze raz próbuję zadzwonić do Winnie. Nadal nie odbiera. Big Kev podchodzi z kolacją.

— Kev, czy Winnie tu była?

— Nie.

— Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

Kev drapie się w głowę. Ma jeden, stały rytm. Myśli równie wolno, jak się rusza. Widzę rankę na brodzie, gdzie zaciął się przy goleniu. Przyglądam się jej tak intensywnie, że robię zeza.

— Nie widziałem jej od paru dni, Kathryn. — Nagle dociera do niego, że się martwię, więc próbuje być miły. — Może pojechała z rodziną na wakacje?

— Może. Przynieś mi ketchup, dobrze, Kev?

— Tak, jasne. — Bierze butelkę ze stolika Orhana Atamana, stawia ją przede mną i człapie za bar.

Wyciskam ketchup na skraj talerza, zanurzam w nim dwie frytki i widelcem rozbijam żółtko. Rozlewa się żółta maź... Nagle zniechęcona, odsuwam talerz. Straciłam apetyt.

Jeżdżę do drugiej rano. Tylko tyle wytrzymuję. Prawie nie widzę, kto siedzi z tyłu ani dokąd jadę. Po prostu jadę. Ból głowy wciąż mi dokucza, więc około północy łykam kolejne dwa paracetamole i popijam palącym łykiem laphroaig. Kiedy pasażerowie mnie zagadują, udaję, że nie słyszę. Włączam radio, żeby ich uciszyć, ale nie wiem, jakiej stacji słucham.

Kiedy wracam do domu, przepala się żarówka w pokoju, więc nie widzę drogi przez rumowisko. Po omacku docieram do sypialni, cudem nie robiąc sobie krzywdy.

Jestem zbyt zmęczona, żeby zasnąć. Czuję się tak, jakbym obracała się z boku na bok przez parę godzin, ale kiedy patrzę na budzik, okazuje się, że nie minęła ani minuta. Potem zdaję sobie sprawę, że budzik stanął. Na pewno skończyła się bateria.

Oczko siedzi w taksówce i śmieje się ze mnie. Każę mu przestać, ale nie słucha. Ktoś siedzi obok niego, lecz nie widzę kto. Jest za ciemno. Jadę szybko wzdłuż rzeki, jest duży ruch. Chcę się zatrzymać, ale nie mogę — nie

mam gdzie zaparkować. Pocę się i drżą mi ręce, więc muszę mocno ścisnąć kierownicę. Taksówka nie reaguje tak, jak powinna. Oczko wciąż się śmieje. Krzyczę, żeby się wreszcie zamknął, do cholery, ale ma to gdzieś. Nadal nie widzę, kto z nim siedzi. Potem wyjeżdżamy na lepiej oświetloną drogę i latarnie co chwila rozjaśniają taksówkę pomarańczowym światłem. Pomarańczowe światło, potem ciemność. Światło, ciemność. Światło, ciemność. Patrzę we wsteczne lusterko i przez chwilę miga w nim twarz — potem nic nie widać. Zastanawiam się, czy to ten wariat, który chciał mi spalić taksówkę, ale kiedy światło znów błyska, widzę, że to kobieta. Moja matka.

— Mamo! — wołam. Nie odpowiada. Oczko nadal się śmieje.

W jej oczach nie widzę znaku, że mnie poznaje. Nie ma w nich żadnych uczuć.

Otwiera usta — trzask, jakby otwierał się zwodzony most.

Nagle wymiotuje...

Kolor.

Już nie śpię — kuśtykam przez pokój, płacząc i rzygając pod nogi. Mam szeroko otwarte oczy, ale widzę tylko kolor. Rozciąga się przede mną spowija wszystko dookoła. Próbuje wymacać włącznik światła, ale kiedy go znajduję i naciskam, nic się nie zmienia. Błądzą wśród rupieci, chce mi się pić... potykam się i padam jak długa, uderzam głową w drewnianą nogę fotela. Przez parę minut leżę na podłodze i czekam, aż kolor się rozwieje. Czekam, aż minie ból głowy. Potem wstaję resztką sił.

Kiedy siadam, koloru już nie ma. Wyławiam kształty z ciemności. Przedzieram się do kuchni, gdzie wreszcie zapalam światło i wypijam parę szklanek wody, aż czuję, że mój żołądek jest jak wiadro wypełnione po brzegi. Koszmar jeszcze nigdy nie był taki wyraźny jak dzisiaj. Nie śniłam też o matce, od kiedy zmarła.

Jeżu, jestem w fatalnym stanie. Pilnie potrzebuję masażu. Zegar w kuchni wskazuje 4.27. Nie mogę dzwonić do Stefa o tej porze.

A może jednak?

Żółty telefon leży na kuchennym blacie.

Już po trzech dzwonkach słyszę głos.

— Halo?

— Stef? Stef, to ja. K. Posłuchaj, przepraszam za niedzielę. Ja...

— K... K, to nie Stef. Tu Jimmy.

— Och, Jimmy... Przepraszam, że cię obudziłam. Muszę pogadać ze Stefem.

Cisza. Niezręczna i ciężka.

— Jimmy? Czy on tam jest? Głupio mi prosić, żebyś go obudził, ale...

— K, jego tu nie ma. Aresztowali go.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Chcę się zobaczyć ze Stefanem Muchowskim. Oficer ma pociągłą twarz i dziewczęce, pełne usta. Niezadowolony, wydyma wargi.

— Ze Stefanem Muchowskim? — Patrzy na formularz. — Nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

— Przepraszam. Miałam na myśli Stevena Moore'a. Chcę się widzieć ze Stevenem Moore'em.

Gapi się na mnie, podnosząc brew. Czubkiem ołówka przesuwają po kartce, szukając właściwego wpisu. — Ach, tak. Rzeczywiście, mamy Stevena Moore'a.

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— Kim pani jest?

— Jego dziewczyną.

Patrzy podejrzliwie na mnie, potem oddala się od okienka, przez które rozmawialiśmy. Przechodzi obok szafki, biurka i monitorów, żeby porozmawiać z kobietą, która przegląda jakieś akta. Baba ma włosy upięte w sterczący kok i grubo pikowane poduszki na ramionach.

Zostaję sama. Długo czekam, nie mając nic do roboty, więc rozglądam się po pokoju. Wysokie, łukowate sklepienie i wypastowana, drewniana podłoga. Na ławkach pod ścianą kulą się bezdomni i włóczędzy. Jakaś nastolatka z rozmazanym makijażem wyciera policzki chusteczką. Jej przyjaciółka szepcze coś i poklepuje ją po ramieniu. Naprzeciwko widzę potężnie zbudowanego Azjatę. Siedzi nieruchomo, ze skrzyżowanymi rękami, i patrzy beznamiętnym wzrokiem. Na końcu ławki przycupnęła para chudych czterdziestolatków. Są spięci i, milcząc, trzymają się za ręce.

Oficer wraca, wciąż naburmuszony.

— No więc? Mogę się z nim widzieć?

— Jeszcze chwilę, proszę.

Wychyla się przez okienko i mówi do Azjaty:

— Pan Yatrik? Tłumacz urdu? Czy mógłby pan pozwolić tutaj? — Wskazuje na drzwi przy okienku. Mężczyzna potakuje skinieniem głowy i wstaje.

Oficer znów chce odejść, ale nagle odwraca się do mnie.

— Panno...

— Cheet. Pani.

— Pani Cheet. Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę nic dla pani zrobić. Może pójdzie pani do domu i wróci po ósmej, kiedy sierżant Cryer będzie na miejscu? On będzie w stanie pani pomóc.

— Aleja muszę porozmawiać ze Stefem! Co on tu robi? O co go oskarżono?

Jego ruchliwe brwi znów wędrują do góry.

— Pani Cheet, może pani usiąść sobie tutaj albo iść do domu i wrócić później. To zależy od pani.

— Czy Craig Summer go tutaj przyprowadził? — wypalam bez zastanowienia.

Patrzy na mnie dziwnie. Podejrzliwe.

— Przykro mi, pani Cheet. Nie mam pojęcia, o kim pani mówi.

„Ryzykuję życie, mówiąc ci, czym się zajmuję”. Przygryzam mocno dolną wargę. Czuję smak krwi w ustach.

Kolejny mężczyzna w mundurze. O ile można go nazwać mężczyzną. To Terry — siedzi za biurkiem w holu, w bloku Craiga

Summera w Chelsea Harbour. Jest 6.00 rano. Terry je śniadanie, chowając się za monitorem. Czuję zapach marmite na toście.

Wygląda na zdenerwowanego, kiedy wchodzę do holu. Czy można się temu dziwić? Pewnie wyglądam jak kobieta na krawędzi szaleństwa — dziki wzrok, worki pod oczami od niewyspania, potargane włosy, źle dobrane, wygniecione ubranie. Jeśli wyglądam choćby w połowie na tak zdenerwowaną i agresywną, jak się czuję, to musi być przerażający widok.

Chcę od razu wpakować się do mieszkania Craiga i walnąć go prosto w brzuch, a potem kopnąć go z całej siły w jaja. A kiedy już będzie zwijać się na podłodze, nie mogąc złapać oddechu, chwycę go za kołnierz i zmuszę, żeby powiedział, dlaczego złamał obietnicę i aresztował Stefa. Przecież sam mówił, że Stef jest „nikim” i że nim się nie interesuje. Ale nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a Stef siedzi w areszcie i nie mogę z nim porozmawiać.

— Ach, to pani. — Widzę, że Terry'emu drżą kąciki ust. Pryszcze zdają się jeszcze bardziej rozdrapane. Wygląda tak, jakby chciał się rozplakać.

— Tak, Terry, to ja. — Nie będę słuchać żadnych bzdur z ust tego zasranego półgłówka.

— Jak tam pani cukrzyca?

Chryste, on chichocze. Ten kurdupłowaty gnojek śmieje się ze mnie!

— Wiesz, czy Craig Summer jest w domu?

— Nie. To znaczy tak. To znaczy... tak, wiem, że go nie ma. — W końcu przestał chichotać, ale uśmiech nadal błądzi na jego zasyfionej trądzikiem twarzy.

— Jesteś pewien?

— Jasne, że jestem pewien. Wyprowadził się wczoraj.

— Co zrobił?!

— Wyprowadził się. Załadował wszystkie meble do ciężarówki.

— Kłamiesz! — Rzucam się na niego, próbując złapać za kołnierz, ale Terry szybko się cofa i unika ataku.

— Nie wyżywaj się na mnie za to, że twój chłopak wrócił do żonki — warczy. — To prawda... Przedstawiła się. Była bardzo miła. Odwiozła go ciężarówką. Ładna kobieta z tej Marianne. Ma piękne blond włosy, jak księżniczka.

Już nie mogę tego słuchać. Potrzebuję powietrza. Muszę odetchnąć.

Biegnę. Wpadam na szklane drzwi. Pieprzona blond księżniczka.

Odjeżdżając, dzwonię na komórkę Craiga. Zostawiam wiadomość na poczcie głosowej:

„Craig, ty kłamliwy złamasie! Obiecałeś, że nie zamkniesz Stefa. Kurwa, obiecałeś! Chcę, żebyś to załatwił i wyciągnął go z aresztu. Nie wiem jak, ale musi być jakiś sposób. Tyle mi jesteś winien”.

A więc, nadal jesteś żonaty, gnojku. Z Marianne, blond księżniczką. ..

Na North Cross Road taśma klejąca znikła. Wrócił!

Uczucie ulgi jest tak potężne i wyczerpujące, że zmienia moje nogi w watę. Ledwie mogę utrzymać kluczyk, kiedy zamykam samochód. W końcu jednak stoję przed frontowymi drzwiami. Dzwonię raz po raz i wołam Joela przez szczelinę na listy.

Odgłos pośpiesznych kroków na schodach. Trzask odsuwanej skobla. Drzwi uchylają się na parę cali. Są zamknięte na łańcuszek. W środku jest ciemno, ale widzę wielkie, szczenięce oczy, patrzące na mnie.

— Joel!

Zdejmuje łańcuszek i otwiera drzwi. Stoi przede mną starsza wersja Joela. Pięćdziesięcioletni Joel w zapinanym swetrze i z siwymi pasemkami włosów.

— Ty na pewno jesteś Kathryn.

— Och, przepraszani, panie Marsh, Myślałam...

— Wiem. — Próbuje się uśmiechnąć.

— A więc, nie wrócił...

— Nie. Chcesz wejść? Moja żona właśnie robi herbatę.

— Dziękuję, ale... nie. Muszę już iść.

Wygląda na dobrego człowieka. Jest miły. Poczciwy.

— Policja go szuka — mówi pan Marsh. — Na początku nie byli zainteresowani, ale chyba ich przekonałem, że dzieje się coś bardzo złego.

— Drży mu głos.

— Tak.

— Wzięli jego notes z adresami.

— Mhm.

— No cóż... — Przesługuje z nogi na nogę. Wiadomość, którą zostawiłam dla Joela, wystaje spod wycieraczki. Ktoś wsunął ją tam przez przypadek.

Jadę do „The Crocodile” z nadzieją że Winnie już wyszła z kryjówki. Nie ma jej jednak, a Kev też jej nie widział. Ciekawe, czy unika mnie po tamtej nocnej eskapadzie na Turnpike Lane. Siedzę w kafeterii przez ponad godzinę, dręcząc się i pijąc takie ilości kawy, że dostaję palpitanie. W końcu wracam do taksówki i znów dzwonię do Craiga z czerwonego telefonu.

„Proszę zostawić wiadomość dla Craiga Summerra”.

— Craig, to jeszcze raz ja. Gdzie jesteś? Słuchaj, chodzi o Joela. Powiedziałeś, że mam odczekać dwadzieścia cztery godziny. Odczekałam. Jego ciągle nie ma. Rodzice Joela zadzwonili na policję. Gliniarze będą mnie wypytywać, więc musisz mi powiedzieć, co mam robić. Chyba powinnam powiedzieć im o Henrym... Craig, musisz mi pomóc. Joel nazywa się Marsh. Ma siedemnaście lat, jest czarny, mieszka przy North Cross Road 57 w East Dulwich, nad sklepem warzywniczym. Ma mniej więcej pięć stóp i jedenaście cali wzrostu i jest wysportowany. Ma ogoloną głowę. Nosi kolczyki: trzy w lewym uchu, jeden w dolnej wardze, jeden w prawej brwi i jeszcze jeden w nosie. Kiedy widziałam go ostatni raz, miał na sobie czarny garnitur od Armaniego.

Sprawdzam wiadomości na różowym telefonie, łudząc się, że Amy zmieniła zdanie, ale wiem, że to niemożliwe. Kiedy odkładałam komórkę do schowka, czuję ukłucie w piersi. Pewnie przez nadmiar kawy... Sprawdzam pozostałe telefony. Brak wiadomości — poza żółtym:

— K, mówi Stef. Musisz mi pomóc. Aresztowali mnie. Jestem na posterunku na Larmier Street. Teraz nie mogę o tym mówić, ale chodzi o interes z winem. Potrzebuję adwokata, i to dobrego. Możesz mi kogoś załatwić? Przyjedź tu jak najszybciej... Boję się.

Na posterunku nie ma już tamtego nadaśanego gliny. Jego miejsce zajął mięśniak o grubym karku. Domyślałam się, że to sierżant Cryer.

— W czym mogę pomóc? — Kiedy mówi, zdaje się trochę miłszy.

— Chciałabym się widzieć ze Stefem... Stevenem Moore'em.

— Kim pani jest dla niego?

— Nazywam się Kathryn Cheet, dziewczyna Stevena. Byłam tutaj o wpół do szóstej, ale kazano mi wrócić po ósmej. Jest już... — Spoglądam na zegarek. — Dziewiąta czterdzieści trzy.

Sierżant wzdycha.

— Teraz nie może się pani z nim zobaczyć. Jest przesłuchiwany.

— Muszę z nim porozmawiać. Prosił mnie, żebym załatwiła mu адвоката.

Policjant jest zdziwiony. Patrzy na dokumenty i wsuwa ołówek za ucho.

— Cóż, tym nie musi się pani przejmować. Jego адвокат siedzi z nim w pokoju przesłuchań.

— Słucham?

Cryer bezradnie rozkłada swoje wielkie dłonie.

— Zdaje się, że pan Moore sam o wszystko zadbał. Chce pani usiąść?

Patrzę dookoła — na ludzi siedzących na ławkach. Zmęczona kobieta w dresie, ze sterczącymi na wszystkie strony włosami, karmi dziecko piersią. Szesnasto- lub siedemnastolatek z chemicznie wybieloną czupryną gapi się na zegar i użala się nad sobą. Przy drzwiach śpi stary mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym.

Mija dziesiąta, potem jedenasta, a ja wciąż siedzę na ławce. Mundurowi przychodzą i odchodzą rozmawiają i śmieją się. Widzę ich przeładowane paski — krótkofalówki, kajdanki, pałki. Zestaw policyjny. Przyglądam się butom policjantek. Po paru godzinach gliniarze zabierają blondyna. Kobieta co chwila karmi dziecko. Stary w płaszczu przeciwdeszczowym nadal śpi.

O 11.14 otwierają się drzwi. Do sali wchodzi szczupły mężczyzna w średnim wieku. Ma potargane, siwe włosy i haczykowaty nos. Nosi garnitur w prążki. Towarzyszą mu dwaj policjanci. Sierżant Cryer woła do mnie zza biurka:

— Pani Cheet? Pewnie chciałaby pani porozmawiać z tym człowiekiem. To адвокат pani chłopaka, pan Prosser.

Piję z panem Prosserem podwójne espresso w kawiarni przy Liverpool Street Station.

— Nie rozumiem. Jeśli nie postawiono mu zarzutów, to dlaczego został zamknięty?

— Nie jest oskarżony, ale to tylko kwestia czasu. Na razie próbują go nastraszyć, żeby powiedział coś, czego nie powinien mówić. — Pan Prosser uśmiecha się do mnie. Wygląda na zrelaksowanego.

— Sugeruje pan, że nie interesuje ich przekręt z winem? Że chodzi o coś innego?

— Zdaje się, że tak, ale to ty, Kathryn, powinnaś mi o tym opowiedzieć. O co innego może im chodzić?

Prosser to mądry facet. W jego bystrych szarych oczach i w otaczających je zmarszczkach widać inteligencję.

— Nie wiem. Chyba o nic.

— Chyba?

— O niczym nie wiem.

— A jednak, jak na pewno się słusznie domyślasz, Kathryn, policjanci zdają się zainteresowani faktami, o których nasz Steven jeszcze im nie powiedział. Mają dosyć dowodów w sprawie nieudanego interesu z hiszpańskim winem stołowym, żeby Stevena oskarżyć, ale jeszcze tego nie zrobili.

Popijam duży łyk sztucznie smakującej espresso. Prosser dopija swoją kawę. Jego palce są pomarszczone i powykręcane. Domyślam się, że jest starszy, niż sądziłam. Patrzy na zegarek i wstaje.

— Muszę już wracać do biura, ale jeszcze przyjdę. Chyba niedługo pozwolą ci porozmawiać ze Stevenem. Muszę cię jednak ostrzec, że może cię zaskoczyć swoim wyglądem. Przeżył ciężkie chwile.

— Czy to znaczy, że...

— Nie, nie. — Śmieje się. — Nic mu nie zrobili. Po prostu bardzo się boi.

Daje mi swoją wizytówkę. Jest na niej nazwa firmy: „Bing, Bing and Claythorpe” i jego nazwisko, Gareth Prosser.

— Aha, mam dla ciebie wiadomość, Kathryn.

— Wiadomość? Od Stefa?

— Od człowieka, który mnie wynajął. Poprosił, żebym to tobie przekazał.

— Wyjmuje z kieszeni złożoną kartkę. — Przepraszam, jeśli coś przekręciłem, ale dyktował mi przez telefon.

Pochyla się, żeby podnieść teczkę, kłania się i wychodzi z kawiarni. Czytam wiadomość:

Droga Kathryn!

Właściwie nic Ci nie obiecywałem, ale muszę wyjaśnić, że nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Wynająłem jednak Garetha Prossera, by pomógł

Stefowi, o ile to możliwe. Zrobiłem tak z uprzejmości, a nie dlatego, że czuję się w jakiś sposób zobowiązany. Sprawdzam też, co się stało z Twoim przyjacielem, Joelem. Poinformuję Cię o wynikach poszukiwań.

Wszystkiego najlepszego, Craig

„Wszystkiego najlepszego”. Co za ironia. „Poinformuję Cię o wynikach poszukiwań”. Dupek.

Pan Prosser się mylił. Nadal nie mogę porozmawiać ze Stefem. Znów tkwię na ławce. O 13.30 policjanci przyprowadzają na komisariat paru pijanych kibiców, którzy przeklinają i krzyczą, że są niewinni. O 14.00 wchodzi mundurowi z niskim, smutnym mężczyzną w niebieskim swetrze. Gość jest skuty kajdankami. Wreszcie zajmują się kobietą z dzieckiem. Co za ulga. Miałam już dość tego bachora, który przyssał się jak pijawka do jej cyczków. O 14.30 sierżant Cryer lituje się nade mną i przynosi kubek herbaty.

— Mam nadzieję, że twój przyjaciel jest tego wart, dziewczyno.

Na ławce wciąż siadają nowi ludzie, potem wstają i odchodzą. Zostają tylko ja i ten śpiący włóczęga. O 14.57 wchodzi dwaj faceci — trzydziesto - i czterdziestolatek. Obydwaj noszą garnitury. Jeden z nich pokazuje legitymację sierżantowi Cryerowi. Ten natychmiast ich przepuszcza. Patrzy na mnie, kiedy znikają za drzwiami, i uśmiecha się porozumiewawczo. Przez to jeszcze bardziej się denerwuję. Po paru minutach wraca pan Prosser. Ma czerwoną twarz, spieszy się, jest zdyszany. Wstaję, ale on tylko się kłania i robi ręką gest, który znaczy, że nie ma czasu na rozmowę. Po chwili wychodzi. Teraz naprawdę się martwię.

Idę do taksówki, żeby wziąć dwa paracetamole i wypić resztę laphroaig. Wracając na posterunek, kupuję gumę do żucia, żeby nikt nie poczuł whisky w moim oddechu.

Do 16.30 czytam od deski do deski „Guardiana”, „The Independent”, „The Mirror” i „Private Eye”. Kupiłam też butelkę glenfiddich. Schowałam ją w samochodzie. Sierżant Cryer nie może albo nie chce mi powiedzieć, co się dzieje. O 17.00 kończy służbę. Zastępuje go przygarbiony sierżant o smutnej twarzy. Ma walijski akcent, przypomina jednego z moich nauczycieli ze szkoły. Słyszę, że ktoś mówi do niego po nazwisku. Sierżant Clearwater.

— Pani Cheet. Kathryn...

Wyrywam się ze snu. Nadal tu jestem, siedzę na zimnej, twardej ławce. Zesztywniał mi kark i bolą mnie mięśnie. Na ramieniu czuję czyjaś dłoń. To Prosser. Przy nim stoi Clearwater, sierżant o smutnej twarzy.

— Co... Jak długo...

— Kathryn, teraz możesz spotkać się ze Stevenem — mówi Prosser. — Myślę jednak, że najpierw powinniśmy porozmawiać. Chcesz się odświeżyć? Wszystko w porządku?

— Tak, czuję się dobrze. — Dotykam obolałej głowy i próbuję przełknąć ślinę. Czuję suchość w ustach i nieprzyjemny, gorzki smak. — Przepraszam, która godzina?

— Za dwadzieścia siódma — mówi sierżant Clearwater.

— Jezu...

— Lepiej wyjdźmy na dwór — mówi Prosser.

Jest ciemno, wieje silny, porywisty wiatr. Urzędnicy pędzani stację Liverpool Street albo znikają za drzwiami nudnych, bezbarwnych pubów i winiarni: „Pitcher and Piano”, „Sług and Lettuce”, „All-Bar One”. Zamawiają szprycery, dzin z tonikiem, coronę albo belgijskie piwa. Muszę łyknąć paracetamol.

Prosser coś do mnie mówi, ale nie mogę się skupić na jego słowach. Wszystko dookoła mnie szumi i zakłóca odbiór. Świetliki reflektorów, kłęby spalin, sprzedawcy „Big Issue” i zakurzeni murarze z pobliskiej budowy — głos adwokata ginie wśród nich. Potakuję, kiedy Prosser do mnie mówi, ale myślę tylko o tym, że jest mi zimno i potrzebuję snu — mocnego snu, w łóżku, sama. Jacyś ludzie palą papierosy i przytupują żeby się rozgrzać. Rozmawiają o Krecie—jeden z nich się tam wybiera, a inny już tam był. Brzmia tak normalnie, beztrosko. Chciałabym podejść do nich i poprosić o fajkę. Nie dlatego, że mam ochotę zapalić, tylko żeby poczuć się jedną z nich, a nie sobą.

— Okazało się, że przekręt z winem to tylko drobiazg — mówi Prosser. — No, i negocjacje wreszcie się skończyły. — Wygląda na zadowolonego z siebie. — Chcesz się z nim teraz spotkać, Kathryn? A może wolałabyś najpierw się z tym przespać?

— Co? Przespać się? Z czym?

— Cóż, moja droga, z pytaniem, czy odejść razem z nim. Musiałabyś zacząć nowe życie, przybrać nową tożsamość.

Stef wygląda żałośnie. Jak parchaty, chory kot. Ma przetłuszczone włosy, jest nie ogolony, na twarzy pojawiły się pryszcze. Dzisiaj nie pachnie atramentem — wydziela silny, toksyczny odór. Pot paskudnie śmierdzi, kiedy zasycha na ubraniu. Zdaje się, że strach ma tę samą właściwość. Czuję fetor strachu Stefa.

A jednak się uśmiecha, zgniatając puszkę po coca-coli. W jego zaczerwienionych, podkrążonych oczach pojawia się błysk obłąkania, kiedy wchodzę z Prosserem do pokoju.

— K! Już myślałem, że nigdy nie przyjedziesz!

— Byłam tutaj przez cały dzień.

Siadam naprzeciw niego. Krzesło trzeszczy, kiedy je przesuwam. W kącie pokoju siedzi sztywno jakiś gliniarz i udaje, że go nie ma. Ściany są pomalowane na ciemny róż — tak jak moja sypialnia, kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami. Na stole stoi wyłączona elektroniczna maszyna do pisania. Widzę dwa puste krzesła, na których przedtem siedzieli faceci w garniturach. Jarzeniówka na suficie migocze, potęgując mój ból głowy.

Nie jestem pewna, czy mogę dotknąć Stefa, ale i tak nie mam na to ochoty. Trzyma ręce na stole. Chyba gryzł kostki palców i paznokcie, bo skóra w tych miejscach jest zdarta i poszarpana.

Pan Prosser siada przy nim. Taki układ — oni po jednej stronie stołu, a ja po drugiej — sprawia, że czuję się, jakbym go przesłuchiwała.

— Szukają dla mnie bezpiecznego schronienia — mówi Stef. — Powinni coś znaleźć do wieczora. — Uśmiecha się jakoś dziwnie, z ukosa. Nigdy przedtem nie widziałam u niego takiego uśmiechu. — To może być całkiem podniecające, nie?

— Nie podniecają mnie takie rzeczy, Stef.

— Nie. Oczywiście. — Wygląda jak skarcony chłopiec, wiedząc, że palnął głupstwo. Ta drobna uwaga pokazała mi jednak, co się dzieje w jego chorej głowie. Siedzimy, patrząc na siebie. Oboje się zastanawiamy, jak sobie poradzić z tą nową sytuacją.

— Steven jest bardzo ważnym świadkiem — mówi Prosser, przerywając ciszę. — Policja oczyści go ze wszystkich zarzutów, o ile zdecyduje się dostarczyć dowody.

— Jakie dowody? — Patrzę na Stefa. — Co to za ważne sprawy, o których wiesz?

— Chodzi o pieniądze, które trzymaliśmy. — Spod skorupy zaschniętego strachu i wyczerpania przebija się nutka dumy.

— Myślałam, że nie masz o tym pojęcia.

— Hmm, cóż... — Znów obgryza pokrwawione paznokcie lewej dłoni.

Prosser głośno odchrząkuje.

— Jeśli mogę przeszkodzić... Kathryn, Steven rozmawiał dzisiaj bardzo szczerze z policją. Sugeruję, że teraz powinniście to przedyskutować. Dzisiaj wieczorem przeniesiemy Stevena w bezpieczne miejsce...

— Rozumiem. — Myślę o Joelu w mercedesie na Strandzie. Myślę o facecie na tylnym siedzeniu. Odwracam się do Stefa. — To znaczy, że udawałeś, że nic nie wiesz, tylko dlatego, żebym się nie wtrącała...

— K... — Spuszcza głowę. Nie może mi spojrzeć w oczy.

— Ty pieprzony gnojku!

— Kathryn, może... — wtrąca Prosser, ale patrzę na niego tak, że się zamyka.

— Dziękuję za pomoc, panie Prosser. Czy przez kilka minut mogę zostać sama ze Stefem?

Adwokat patrzy pytająco na Stefa, który potakuje ruchem głowy i znów patrzy na ziemię. Ta wymiana gestów sprawia, że nagle rozumiem, iż przez cały czas Prosser siedział z nami tylko dlatego, że Stef go o to prosił. Nie potrafi zostać ze mną sam na sam.

— W porządku, Kathryn. — Prawnik wstaje. — Będę na korytarzu, na wypadek gdybyście mnie potrzebowali — mówi do nas obojga.

Kiedy drzwi w końcu się zamykają, Stef robi się jeszcze bardziej nerwowy.

— Dzięki, że załatwiłaś mi tego Prossera — mówi, próbując nadać głosowi pogodny ton. — Facet jest w porządku.

Jego radosny głos mnie zaskakuje, ale postanawiam grać tak jak Stef.

— Nie ma sprawy.

— Odpłacę ci się później. Kiedy to wszystko się skończy.

— Jak chcesz.

Wyciąga rękę, żeby mnie dotknąć, ale się cofam.

— Stef, co musiałeś im powiedzieć, żeby się wykupić? Kogo musiałeś sprzedać?

Niezręcznie wierci się na krześle.

— Nie miałem wyboru, K. Nie mogę iść do więzienia...

— Cóż, może powinieneś pomyśleć o tym wcześniej, zanim wybrałaś karierę zawodowego przestępcy? — Odwraca wzrok. Przez te uniki domyślałam się, że wsypał nie tylko grube ryby z mercedesa. — Co się stanie z Jimmym i Eddiem?

— Posłuchaj, K, to początek nowej drogi... Mogę wydostać się z tego rynsztoka, żyć w nowym miejscu, może nawet ładnym. Wrócę na

uniwersytet albo coś w tym stylu. Oczyszczę się. Mogłabyś wyjechać ze mną, K. Czy zastanawiałaś się, jak to jest zacząć wszystko od nowa? Zmienić tożsamość, stać się kimś innym?

Domyślam się, że w pewnym sensie Stef już stał się inną osobą. Wrak, siedzący naprzeciw mnie, nie jest tym Stefem, którego znałam i kochałam.

— A co z Jimmym i Eddiem? Co z twoimi przyjaciółmi, Stef?

Wzdycha i jeszcze bardziej garbi się nad stołem. W końcu unosi głowę i patrzy na mnie. Widzę jego wielkie oczy — są przepelnione żalem, smutne.

— Chciałbym, żebyś była ze mną, K. Chciałbym, żebyś dzisiaj pojechała ze mną w to bezpieczne miejsce... żebyś stała się częścią mojego nowego życia. Moglibyśmy się pobrać czy coś.

Nawet beznamiętny policjant, siedzący w kącie, unosi brwi, słysząc te brednie. A może tylko mi się zdawało.

— Chryste, jesteś niemożliwy.

Myślę o tych wszystkich nocach, kiedy leżałam w jego ramionach, o tych chwilach, kiedy jego magiczne dłonie pieściły moje ciało.

— No, K?

W jego oczach widzę desperację. Potrzebuje oparcia.

— A co z Jimmym i Eddiem? — pytam jeszcze raz, chociaż znam odpowiedź. Wydał swoich najlepszych przyjaciół, żeby ocalić własny tyłek. Sprzedałby wszystko i wszystkich, gdyby musiał. Sprzedałby mnie, gdyby nadarzyła się okazja. Przypominam sobie pierwszy raz, kiedy się spotkaliśmy. Uratowałam go od bandziorów, którzy go gonili. Chciał mi się odwdziaczyć, zwiewając z taksówki bez zapłacenia rachunku...

— Nie miałem wyboru. — Rozkłada ręce i niewinnie wzrusza ramionami.

— Zawsze jest wybór, Stef. — Wstaję. Świat dookoła mnie znów robi się zamglony, ^nów słyszę szum, jakby z rozregulowanego radia.

— Nie zostawiaj mnie, K. — Głos Stefa jest prawie niesłyszalny wśród szumu i syku w mojej głowie. — Proszę, nie odchodź. Kocham cię, K. Chcę, żebyś była ze mną... Wróć, K... Nie odwracaj się ode mnie, ty dziwko!

— Oszczędź te słowa dla kogoś, kto będzie chciał ich słuchać, Stef.

Wciąż słyszę, jak wrzeszczy, kiedy idę korytarzem, mijam milczącego Prossera i wychodzę z tego piekła. Nie ma mnie. Och, jak bardzo mnie nie ma.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Proszę zostawić wiadomość dla Craiga Summery.

— Tu Kathryn. Stef poszedł na układ, ale domyślam się, że już o wszystkim wiesz. Wygląda na to, że jednak nie był taki bezużyteczny, co? Słuchaj, zakładam, że tutaj chodzi też o Henry'ego Fishera, martwię się więc o Joela. Craig, możesz zadzwonić do mnie, jak tylko odbierzesz tę wiadomość? Proszę. Zostawiam włączony czerwony telefon, więc możesz mnie złapać w każdej chwili... Aha, przekaż gorące pozdrowienia Marianne.

Co mnie podkuśliło, żeby powiedzieć to ostatnie zdanie?! Jezu, co się ze mną dzieje? Żałuję, że to powiedziałam.

Jadę przez Hackney na wschód. Coś mi się tłucze w czaszce, jakby chciało się uwolnić. Połykam więcej paracetamolu i popijam glenfidich. Mam mgliste wrażenie, że głowa boli mnie z głodu. Zastanawiam się, czy się nie zatrzymać przy kebabie. Kiedy jednak zwalniam przed restauracją widok ogromnego, szarego, błyszczącego kłosa mięsa, obracającego się na rożnie, sprawia, że robi mi się niedobrze. Szybko wjeżdżam z powrotem na ulicę, niemal potrącając jakiegoś palanta na rowerze.

Kiedy zatrzymuję się na światłach, zaplątana w długi sznur samochodów, pulchna Azjatka z dzieckiem o nieokreślonej płci, opartym na jej biodrze, puka w szybę mojej taksówki. Kręcę głową przecząco. Mam zgaszoną lampkę. Kobieta wskazuje na dziecko, które zanosi się płaczem i wygląda na chore. Jej usta układają się w słowo „proszę”. Światła zmieniają się na zielone i ruszam, zostawiając kobietę na drodze. Ta patrzy na mnie, a jej dziecko płacze jeszcze głośniej. Powinnam była ją wziąć. To draństwo, że ją olałam. Dzisiaj muszę jednak zająć się sobą. Pasażerowie niech idą do diabła, nieważne, że są w potrzebie.

Muszę spotkać się z przyjaciółką. Jadę do Ilford, do domu Winnie.

Sandra przynosi herbatę na tacy do salonu. Położyła na talerzyku trochę kruchych ciasteczek. Splotła swoje jasne włosy w dwa warkocze. Idzie ostrożnie, żeby nie zahaczyć bosą stopą o skraj długiej, bawełnianej koszuli nocnej.

— Dziękuję, skarbie — mówi Paul. Siedzi na kanapie i pali papierosa. Jego biały podkoszulek jest brudny, a on sam powinien się ogolić. Wygląda na zmęczonego, tak jak ja. Tommy leży na poduszce obok niego. Zasnął z kciukiem w buzi. Lindy jest już w łóżku. Telewizor, stojący w kącie, bez głosu transmituje wieczorne wiadomości.

Sięgam po ciasteczka, chociaż ich nie lubię. Sandra kładzie tacę na stoliku i siada przy oknie. Odchyła zasłonę i patrzy na dwór. Nie mam pojęcia, co ją tak pociąga w widoku blokowiska. Może podoba jej się jakiś chłopak z domu naprzeciwko?

Zmuszam się, żeby spojrzeć na Paula.

— Zapalenie opłucnej?

— Tak. Drenują jej płuca. Ma w gardle rurę, a przy łóżku, na podłodze, leży szklana butla.

Wygląda tak, jakby miał się rozplakać. Obawiam się, że tego bym nie zniosła.

— Wszystko będzie w porządku, prawda? Potakuje, kiwając głową.

— Tak mówią. Ale przykro nam patrzeć, jak leży bezbronna na oddziale pełnym na wpół martwych starych umarłaków...

— Jutro przejdę się tam i ją odwiedzę.

Dręczy mnie poczucie winy. Od dawna nie myślałam o Winnie, a raczej przypominałam sobie o niej tylko wtedy, gdy ją oceniałam: czy jest dobrą przyjaciółką czy mnie denerwuje. Jezu, przecież minęło dopiero parę dni od tamtej nocy, kiedy pomagała mi wyciągnąć nieprzytomnego Jonny'ego z taksówki, a później wnieść go na siódme piętro. Kaszłała i rzeziła, a ja nic nie zauważyłam. Może to moja wina, że teraz jest w szpitalu. Szpitale... labiryntofobia...

— Dziwne, że jeszcze u niej nie byłaś. — Oczy Paula zwięzają się, kiedy to mówi.

— A skąd miałam wiedzieć, że ona tam jest? Dzięki telepatii?

— Hmm, cóż... — Pociąga nosem i sięga po kubek z herbatą. — Opiekuję się teraz trojgiem dzieci, które tęsknią za matką. Nie miałem czasu, żeby zadzwonić... Rozumiesz...

— Przepraszam, Paul. Oczywiście, miałeś ważniejsze rzeczy na głowie. Na pewno jest wam ciężko.

Nienawidzę go — tej jego bezwładności i niechęci do mnie. Nie znoszę jego cierpienia i brudnego białego podkoszulka. On też mnie nie lubi. Widzę to wyraźnie, jak na dłoni.

— Tylko nie idź do niej i nie zwalaj na nią swoich problemów osobistych. — Jego głos nagle robi się agresywny. — Ona teraz musi poświęcić całą energię, żeby wyzdrowieć.

Zdaje mu się, że może mnie przejrzeć. Gnojek. Myli się jednak. Martwię się o Winnie. Naprawdę. Już nie mogę na niego patrzeć. Popijam łyk herbaty

— jest posłodzona. Nie znoszę słodkiej herbaty. Próbuję jednak zrobić dobre wrażenie, więc z uśmiechem odwracam się do Sandry.

— Pyszna herbata, kochanie.

Sandra wciąż patrzy za okno. Z nieobecną miną bawi się warkoczami.

Znów w drodze. Moje myśli przeskakują z tematu na temat, a ja nie wiem, co ze sobą począć. Gdyby nie było tak cholernie późno, pojechałabym odwiedzić Winnie. Dostaje dreszczy, kiedy pomyślę, że leży sama w szpitalu. Na pewno jest przerażona.

Biedna Sandra opiekuje się bratem i siostrą, podczas gdy jej tatusiek jest zajęty uzalaniem się nad sobą. Wciąż ją widzę, jak wygląda przez okno, jakby spodziewała się, że zaraz ujrzy wielką, lśniącą taksówkę mamy, wyjeżdżającą zza zakrętu. Później rozmyślałam o brudnej twarzy Amy, oświetlonej płomieniami. Myślę o Jonnym, o jego nowych siniakach i starych bliznach, o Stefie, z podkrążonymi oczami i obgryzionymi paznokciami i o Joelu na tylnym siedzeniu mercedesa.

Cholera! — taksówka wpada w dziurę w ulicy, wstrząs budzi mnie ze snu na jawie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i dokąd jadę. Prowadziłam na autopilocie, zapominając o całym świecie. Mam dziwne uczucie, że już nie jestem w Londynie, tylko gdzie indziej — w zupełnie obcym miejscu...

Nagle widzę dworzec autobusowy w Plumstead i odnajduję się na mapie.

Kiedy wracam South Circular, ból w głowie wciąż pulsuje, a żołądek się skręca. Włączam radio i na chybił trafił wybieram stację. Śpiewam Say a Little Prayer z Arethą.

Słyszę piskliwy dźwięk. Zdaje mi się, że to objaw bólu głowy albo zakłócenia w radiu.

Ale okazuje się, że to mój czerwony telefon.

— Katerina?

— Słucham?

— Chodzi o Joela.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Peckham Rye w nocy. Fioletowa trawa, drzewa szepeczące na wietrze jak zrzędlive stare wiedźmy, chlupot błota i mokrych liści pod nogami. Ten park nie jest ogrodzony. Nikt go nie zamyka po zmroku. Jest otwarty i bezbronny. Późną porą staje się oazą dla spacerowiczów z psami, biegaczy oraz podpitych gości pubów i restauracji East Dulwich, wracających chwiejnym krokiem do swoich domów w Peckham i Nunhead. Dookoła parku przemykają nadmiernie rozpędzone samochody. Mam nadzieję, że namierzy je policyjny radar. W zeszłym tygodniu wiozłam kogoś w te okolice i widziałam, że zatrzymał się tutaj cyrk. Peckham Rye był pełen muzyki i dzieciaków. Przypomniałam sobie wtedy o wycieczce do „Zippo” z Richardem i Dotty, ale to nie był ten sam cyrk. Teraz zostało tylko kilka pożółkłych kręgów na trawie niedaleko parkingu i parę balonów, które utkwily w konarach drzew.

Znam ten park dosyć dobrze. Dom, w którym mieszkałam, zanim przeprowadziłam się do Balham, stoi przy drodze po wschodniej stronie, dwie minuty stąd. Fakt, że Peckham Rye jest otwarty o każdej porze, zawsze był utrapieniem dla mieszkańców z okolicy. Często, kiedy się wychodziło po poranną gazetę, widać było białą taśmę, rozwieszoną pomiędzy drzewami, i radiowozy na alejce w parku. Rye nie jest niebezpiecznym parkiem. To po prostu doskonale miejsce, gdzie można podjechać w środku nocy, jeśli trzeba coś wyrzucić.

Kiedy wolno idę alejką rozjaśnioną pomarańczowymi żarówkami lamp, widzę światła latarek, tańczące na trawniku. Podkreślają biel taśmy między pniami. Widzę ludzi, poruszających się w ciemności. Słyszę stuk i szum krótkofalówek, urzędowe głosy gliniarzy. Pstrykanie i błyski aparatów fotograficznych. Osiem samochodów policyjnych, trzy duże radiowozy i ambulans na parkingu. Grupa mundurowych rozmawia przy radiowozie z otwartymi tylnymi drzwiami.

Na obrzeżach parku kręcą się gapie. Młoda para, staruszka i spacerowicze z psami na smyczy. Czekają na sensacje, ale utrzymują rozsądny dystans, żeby nikt nie mógł ich oskarżyć o natrętne podglądanie. Kilka metrów dalej, pod rozłożystymi konarami dębu, jakiś Murzyn z owczarkiem alzackim rozmawia z gliniarzem. Policjant coś notuje. Facet ma donośny, piskliwy głos. Brzmi tak, jakby bardzo podniecała go jego rola w tym zamieszaniu —

rozkoszuje się zainteresowaniem, które wszyscy mu okazują. Mimowolnie słyszę parę słów:

— Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, kiedy usłyszałem pisk opon i zobaczyłem, jak szybko odjechał ten samochód... Przecież z taką prędkością nie jeździ się po parku, prawda? W okolicy mogą być dzieciaki... No i zdziwiło mnie, że miał zgaszone światła, przynajmniej dopóki nie wjechał na ulicę... Wszystko robił za szybko. Nie jestem pewien nawet tego, jakiej marki był ten samochód, nie dostrzegłem tablicy rejestracyjnej... Nie, nie widziałem, kto siedział w środku. To znaczy było ciemno...

Zimno mi. Chłód w żołądku. Zimno mi w nogi. Poza tym nic nie czuję. Słucham dudniącego, basowego rytmu, dobiegającego z samochodu, który jedzie Nunhead Lane. Widzę przyjazne światła pubu „Clockhouse” po zachodniej stronie. Chciałabym tam teraz siedzieć, popijać piwko, objadać się chrupkami, pokręcić się wśród ludzi, zamiast sterczeć sama w tym parku. Boli mnie głowa. Nie dotyczy mnie już nic z tych rzeczy.

Chyba podniosłam białą taśmę i przeszłam pod nią — mam niejasne wrażenie, że to zrobiłam, bo gliniarz, rozmawiający z Murzynem, nagle woła:

— Hej, ty! — Biegna do mnie dwaj faceci w kombinezonach przeciwdeszczowych. Ich plastikowe nogawki trzeszczą i skrzypią przy każdym kroku jak wycieraczki na szybie samochodu. Jeden z nich chwytą mnie za prawe ramię. Tłumaczą że powinnam wrócić za taśmę. Nagle słyszę znajomy głos:

— Kathryn! Hej! OK, panowie, ona jest ze mną. Kathryn... — Oczko, biegnąc, wyłania się z fioletowej ciemności. W półmroku jego twarz jest mlecznobiała. Zdaje się chudszy niż kiedyś. Mężczyzna w płaszczu mnie puszcza. Oczko łagodnie mnie obejmuje. Prowadzi w kierunku taśmy.

— Dobrze się czujesz? — Badawczo mi się przygląda, szukając... Czego?

— Gdzie on jest, Craig?

— Słuchaj... — Jest zły, nerwowy. Wciąż rozgląda się na boki, patrzy na ludzi, zgromadzonych pod drzewami. — Nie powinno cię tutaj być. Rozumiesz? Chryste, mnie też nie powinno być tutaj, a ciebie tym bardziej.

— Czego ode mnie oczekujesz? Dozgonnej wdzięczności? Słyszysz agresywny ton i puszcza moje ramię.

— Nie zamierzam się z tobą kłócić, Kathryn. Nie tutaj. Nagle widzę zamieszanie wśród policjantów. Do parkingu wolno zbliżają się dwaj faceci w żółtych, gumowych płaszczach. Niosą nosze.

— Czekaj tu i nie ruszaj się — mówi Craig i biegnie do nich po trawie. Widzę, że rozmawia z pielęgniarzem. Kładą nosze na ziemię i dyskutują. Na noszach leży czarny worek. Taki sam jak na filmach. Po chwili jeden z facetów w żółtym płaszczu pochyla się i słyszę zgrzyt otwieranego zamka błyskawicznego. Craig się odwraca. Nie widzę jego twarzy. Wzywa mnie.

W worku leży Joel. Mój kochany Joel, który chciał tańczyć, ale nie był wystarczająco dobry. Mój Joel, który nie umiał się pieprzyć — przynajmniej nie z dziewczynami — lecz był mistrzem przytulania. Joel, który mnie mocno obejmował i spał z głową na moim ramieniu. Jego śliczna, chłopięca główka... Joel, który robił najgorszą herbatę po słońcem i za każdym razem gotował mi smażone skrzydełka z kurczaka i frytki z piekarnika. Zawsze takie same. Za dawnych czasów, na siłowni, kiedy patrzył na mnie jak pantera, a ja nie wiedziałam, czy to chłopak czy dziewczyna, nazywałam go Shelley. Ja byłam jego Kat. Twarz Joela, kiedy spał — spokojna. Najpiękniejszy był, kiedy spał. Teraz nie śpi.

Dzięki Bogu, ma zamknięte oczy. Jego skóra zdaje się zielonkawa. Usta są uchylone, czubek języka wystaje spomiędzy zębów. Ma brudną twarz — umorusaną jakąś zaschniętą mazią — nie wiem, co to jest, wymiociny czy ślina. Na szyi widzę ślady czegoś, co wygląda jak krew. Poplamił kołnierzyk swojej nowej, białej koszuli. Z nosa zwisa mu okropny, szary smark, który ciągnie się aż do ust. Ale najgorszy jest ten bezruch. I smród.

Oczko stoi przy mnie, podaje mi rękę, kiedy chwieję się na nogach. Przez chwilę wtulam twarz w jego pierś. Wdycham zapach potu i taniego dezodorantu, duszącego jak spray na muchy. W końcu biorę się w garść i odsuwam od niego. Słyszę dźwięk zasuwanego zamka, a kiedy się odwracam, widzę, że dwaj sanitariusze w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych znów podnoszą nosze i idą na parking, do karetki.

— A więc, to on? — słyszę głos Oczka.

— Tak.

— Wszystko w porządku?

— Nie.

Jest niezdecydowany, jakby chciał zostać przy mnie, ale wolałby pobiec do swoich zajęć. Wreszcie mówi:

— Poczekaj tu. — Podchodzi do policjantów.

Drugi raz w życiu widziałam trupa. Mój tato nie pozwolił mi spojrzeć na ciało matki. Uważał, że to byłby dla mnie zbyt silny wstrząs. Ale wtedy najbardziej zabolął mnie fakt, że odebrano mi prawo, żeby usiąść przy niej

ostatni raz i popatrzeć na jej twarz. Myśląc o tym teraz, sędzę jednak, że nie wyglądałaby tak, jak ją zapamiętałam. Widziałam przecież Maeve, kiedy wyplątali ją z tej różowej kotary prysznicowej, w której została znaleziona, a potem „zrobili ją na bóstwo”. Ubrali ją w najlepszą bluzkę i wymodelowali dziwny, sztuczny uśmiech. Zdawała się owinięta folią. Uciekłam z pogrzebu, bo nie mogłam na to patrzeć. Joela nie spreparowano, żeby wyglądał jak ktoś inny. Nikt nie „zrobił go na bóstwo”. Stoję i trzęsę się, patrząc, jak sanitariusze ładują go do karetki — od niechcienia, jak zakupy z supermarketu do bagażnika. Patrzę, jak zamykają za nim drzwi.

— Chodź. — Oczko wraca i mnie obejmuje. — Musisz się napić.

Zielone twarze, kapiąca krew, podarte białe prześcieradła... Kurwa, zapomniałam, że to Halloween. Tak bardzo chciałam tu być, między normalnymi ludźmi, spędzając normalną noc. Teraz jednak żałuję, że nie wróciłam do taksówki, że nie ruszyłam w trasę, żeby swobodnie odetchnąć. Otaczają mnie ludzie z pomalowanymi twarzami, udający trupy, upiory i inne straszdyła. Nie potrzebuję przebierańców. Przed chwilą widziałam prawdziwego trupa.

Siadamy przy stoliku w rogu. Oczko zajmuje miejsce z widokiem na salę, ja wolę patrzeć na ścianę. Nie chcę widzieć tych okropnych kostiumów.

Jakiś koleś trajkocze przy stole obok, a jego kumpel — niczym klakier — przez cały czas potakuje i się śmieje.

— Kiedyś zabrał ją na obiad do „Bel Air” i wiesz, co się stało? Zatrzymali jego kartę kredytową. Kelner spokojnie czekał, aż Jim da mu inną kartę. Nagle ona wstała, wkurzona, i krzyknęła: „Zdaje się, że w takim razie będę musiała się przespać z kelnerem!” Wyobrażasz to sobie?

Oczko stoi przy barze, czekając, aż barman go obsłuży, ale robi się coraz większy tłok. Tymczasem poznaję opinię kutasa z sąsiedniego stolika na temat wszystkich kobiet w jego życiu. Jest oślizłym palantem w szerokich spodniach i skórzanej kurtce. Wydaje mu się, że jest błyskotliwy. Czuję, że moje dłonie zaciskają się w pięści pod stołem.

— To znaczy... znasz mnie, Giles. Zawsze lubiłem ten jej czarny humor, wiesz, o czym mówię, nie? Tę mroczną stronę...

Pod ścianą stoi duży zegar, dwa mniejsze wiszą nad stołem. Wszystkie wahadła ruszają się w innym rytmie. Jeden zegar wskazuje 10.52, drugi 10.49, a trzeci 10.47. Wściekam się na ten brak synchronizacji. Chcę je zerwać ze ściany i rozwalić. Coś niedobrego dzieje się w mojej głowie.

Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak.

— Proszę bardzo. — Głos dociera do mnie jak przez mgłę. Craig stawia przede mną piwo i szkocką. Chcę zapytać, który drink jest dla mnie, ale on wraca do baru i zamawia dla siebie guinnessa.

— Chcesz mnie upić?

— Daj spokój, Kathryn. Jak się czujesz?

— A jak myślisz?

Kiedy odsuwa krzesło, potrąca stół i rozlewa trochę piwa. Patrząc, jak wyciąga białą, bawełnianą chusteczkę i wyciera płamę.

— Założę się, że Mariannę pierze twoje chustki. Na pewno je potem prasuje...

Patrzy na mnie ze złością i chowa chusteczkę do kieszeni. Pociągam łyk piwa. Stella. Moje ulubione.

Odwracam się, żeby spojrzeć przez okno na ulicę, i widzę policyjne samochody.

— Wracają do domu, do swoich żon i dzieciaków... — Nagle coś mi się przypomina. — O cholera! Rodzice Joela! Oni jeszcze nie wiedzą...

— Już to załatwiłem.

Czuję jego dłoń — Craig delikatnie muska palcami moją rękę. Cofam ją, jakbym się oparzyła. Kiedy na niego patrzę, dostrzegam bladego siniaka na policzku, w miejscu, gdzie go uderzyłam.

— Ktoś pojechał im to powiedzieć?

— Tak.

— Czy... Czy umyją go, zanim jego rodzice...

— Nie martw się o to. — Odwraca się. Zdaję sobie sprawę, że musiał złamać zasady, wzywając mnie na miejsce wypadku.

Chyba powinnam mu podziękować, ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Sięgam po whisky i wypijam ją jednym haustem. Czuję, że pali mnie w gardle.

— Jak myślisz, co się z nim stało? Czy ktoś go... — Boję się dokończyć.

— Jeszcze nie wiemy.

— Nie wciskaj mi bzdur. Musisz coś wiedzieć.

— Cóż... w parku rozmawiałem z policjantami. — Waha się. — To tylko jedna z teorii, Kathryn.

Potakuję. Chcę, żeby mówił dalej.

Craig popija guinnessa. Na ustach zostaje mu wąż z białej piany.

— Moim zdaniem, Joel przedawkował, kiedy był ze swoim klientem. Ten przestraszył się i zawiózł ciało do parku, żeby je wyrzucić.

— Przecież Joel nie bierze narkotyków!

— Na pewno? — Wkurza mnie, że jest taki domyślny. Irytujący palant przy sąsiednim stoliku gada coraz głośniej:

— Wiesz, Giles, miałem jej naprawdę dosyć. Przekonałem się, że była upierdliwą laską...

Próbuję go ignorować.

— A jeśli go zamordowano? Czy to możliwe? Może Henry go zabił?

Craig zaprzecza ruchem głowy.

— Pomyśl, Kathryn. Ktoś wyrzuca ciało Joela o ósmej wieczorem na ścieżce w parku. Każdy może je zauważyć. Czy to wygląda na robotę profesjonalisty?

Wzruszam ramionami. Craig kontynuuje:

— Oczywiście, nie. Zawodowiec poczekałby do czwartej albo piątej nad ranem, kiedy nikt się nie kręci po ulicach. Wywiózłby go daleko stąd. Przynajmniej za granice miasta. No i postarałby się, żeby ciało było... trudne do zidentyfikowania.

Kolesie przy sąsiednim stoliku wybuchają skrzekliwym śmiechem. Zalewa mnie krew. Krztuszę się, z trudem przelękam ślinę i sięgam po piwo.

Oczko poci się, jest zakłopotany.

— Przepraszam, Kathryn, nie miałem zamiaru... Chciałem tylko powiedzieć, że to nie przydarzyło się Joelowi. — Potakuję. Nic nie widzę przez łzy. — Widzę to tak: jest w samochodzie z jakimś kolesiem, bierze narkotyki, żeby praca była łatwiejsza... ale sprawy przybierają zły obrót. Bardzo zły. Joel przedawkowuje, a klientowi odbija, nie wie, co zrobić. Może jeździ przez jakiś czas z umierającym Joelem. Może nie chce, żeby ktoś widział, jak wiezie Joela do szpitala. Jest żonaty czy coś w tym guście... Nie wiem. Kiedy jednak tak jeździ i panikuje, Joel umiera.

Znów się zachłystuję płaczem. Pochylam się nad kuflem. Oślizły typ, który nadal opowiada o swoich kobietach, odwraca się w moją stronę. Potem rzuca kumpłowi spojrzenie, które znaczy: „Jeszcze jedna upierdliwa laska”.

Oczko spokojnie mówi dalej:

— Kiedy facet w końcu zdaje sobie sprawę, że wiezie trupa, jedzie do Peckham Rye i pozbywa się ciała.

Słyszę głuchy huk czegoś ciężkiego, martwego, spadającego na trawę. Trzaśnięcie drzwi samochodowych i pisk opon. Na chwilę zamykam oczy, żeby nie widzieć Craiga. Wyobrażam sobie Joela w garniturze od

Armaniego. Jest w świetnym humorze, pełen nadziei. Obraca się przede mną, żeby się pochwalić eleganckim strojem.

— Naprawdę myślisz, że tak było? — pytam, mrugając, żeby strząsnąć łzy z powiek.

Craig znów wyciąga chusteczkę. Podaje mi ją.

— Musimy poczekać na wyniki sekcji zwłok, ale... tak, myślę, że właśnie to się stało. — Wyciąga papierosa z kieszeni kurtki, zapala go i patrzy na mnie uważnie. — Chłopcy tacy jak Joel nigdy nie żyją długo.

— Jak motyle — mówię do kufla. Biorę chusteczkę i głośno wydmuchuję nos.

— Słuchaj, wiem, że to nie najlepszy moment, ale... Chryste, co jeszcze?

Craig wyciąga z popielniczki torebkę po chrupkach i składa ją na pół. Starannie robi z niej kwadrat, potem ciasny trójkąt.

— Musimy porozmawiać.

— Nie chcę tego słuchać. — Chcę wstać, ale on chwyta mnie mocno za rękę i sadza z powrotem na krześle.

— Kocham cię, Kathryn.

— Pieprzysz, Craig. — Przypominam sobie słowa Amy. Powiedziała, że po tylu kłamstwach nasz związek nie ma szans. Nieważne, dlaczego je zmyśliłyśmy. — Poza tym jesteś żonaty, prawda?

— Już niedługo. — Puszczam moją rękę.

— Och, na litość boską... — Podnoszę kufel i wypijam tyle, ile potrafię przełknąć jednym haustem. Na dnie zostaje bardzo mało Stelli.

— Moje małżeństwo nie istnieje. Nie było go już wtedy, gdy cię poznałem. Nasze uczucia się wypaliły. Teraz ostygły na dobre. Żyjemy z Marianną w separacji.

— Mhm, jasne.

Craig chyba myśli, że znów chcę go uderzyć. Jest zdenerwowany, spięty. Dotyka policzka. Po chwili bierze się jednak w garść.

— Przestań wreszcie zgrywać ofiarę, Kathryn. Ty też nie byłaś ze mną szczerą. Ilu miałaś kochanków, kiedy się spotykaliśmy? Różnęłaś się ze Stefanem Muchowskim? Z tym zmarłym dzieciakiem też się pieprzyłaś?

— Jesteś gnidą Craig.

— Ty też jesteś gnidą.

— Dość tego. — Wstaję, sięgam po kurtkę, która wisi na oparciu krzesła, ale Craig nadal mówi:

— Tamtego dnia w Saffron Walden byliśmy ze sobą szczerzy, prawdziwi. Nigdy przedtem tak się nie czułem.

— Och, tak? No to poznaj prawdę. Udawałam za każdym razem, kiedy się pieprzyliśmy.

Obleśny typ i jego kumpel gapią się na nas z otwartymi ustami. Oczkowi też opadła szczęka. Zagięłam go w chwili, gdy chciał powiedzieć coś mądrego.

— Czołem, Oczko.

Żałuję, że nie umiem się cieszyć tą sytuacją. Chciałabym mieć przyjemność ze zwycięstwa — powiedzieć coś, co zabolaloby jeszcze bardziej. Dwóm koleśiom przy stole obok też by się dostało. Ale znów czuję, że pod powiekami zbierają się łzy, więc biegnę do wyjścia.

Jadę przed siebie i płaczę. Snuję się po Camberwell, pędzę przez Elephant, mknę przez Southwark, mijam most Blackfriars nad ciemną, leniwą rzeką. W końcu wjeżdżam do City. Płaczę bez przerwy. Powinnam odwiedzić rodziców Joela, powinnam spróbować ich pocieszyć i sama znaleźć ukojenie, ale czuję, że byłabym nieszczerą.

Sięgam po glenfiddich i pociągam kilka łyków. Tylko alkohol pomaga na chwilę uspokoić tę dziwną rzecz, która wibruje i huczy w mojej głowie.

Odkładając butelkę, kątem oka widzę coś w lusterku. Żołądek podchodzi mi do serca i prawie krzyczę. Na tylnym fotelu siedzi Joel. Jego głowa opada bezwładnie, kiedy taksówka podskakuje na wyboju. Z nosa leci mu krew i śluz. Gwałtownie wciskam hamulec, a głowa Joela znów się odchyła. Przez chwilę widzę błyszczące oczy, które w parku miał przecież zamknięte. Jego oczy — kiedyś takie piękne, teraz są martwe, puste i nieruchome. Skręcam w boczną uliczkę i staję, żeby się opanować. Oczywiście, nikogo nie ma na siedzeniu — to tylko złudzenie, pęknięcie na kruchej powierzchni rzeczywistości, zjawa z moich lęków, cieni i koszmarów. Jezu, ja wariuję.

Kiedy serce przestaje walić jak młotem i odzyskuję kontrolę nad oddechem, znów odpalam silnik i jadę tam, gdzie najbardziej chcę się teraz znaleźć. Do jedyne go miejsca, które wciąż jest dla mnie realne. Do domu Richarda w Crouch End.

*

Wszystkie światła są zgaszone. Dzwonię krótko, żeby nie obudzić Dotty, która śpi w pokoju nad drzwiami. Czekam niecierpliwie przez pół minuty i dzwonię jeszcze raz. Mija minuta, a Richard nadal nie otwiera. Czuję, jak

wzbiera we mnie rozpacz. Raz po raz naciskam dzwonek. Cisza. Gdzie on jest, do cholery? Przecież na pewno już się obudził.

Wpadam w panikę. Walę pięściami w drzwi, pochylam się i wrzeszczę przez otwór na listy:

— Richard, to ja! Otwórz drzwi... Otwórz te cholerne drzwi! Wpuść mnie!

Zapalają się światła na górze. Z pokoju Dotty dobiega płacz. Słyszę szybkie kroki na schodach. Odgłos otwieranej zasuwki i zdejmowanego łańcuszka. Kiedy drzwi się otwierają zalewa mnie jaskrawe światło.

— Kitty... — Richard poprawia szlafrok i pociera czoło. Włosy sterczą mu na wszystkie strony. Jest zdenerwowany, ale po chwili gniew zmienia się w troskę. — Jezu, Kitty, strasznie wyglądasz. Co się stało?

— Herbaty. Muszę się napić herbaty.

Przepycham się do środka. Kiedy idę do kuchni, słyszę, że Dotty nadal głośno płacze w swojej sypialni na piętrze.

— Może powinieneś do niej pójść? — mówię, stojąc z czajnikiem w ręce. Nalewam wodę i włączam grzałkę.

— Nie. Wszystko w porządku. — Nagle, gdy to mówi, Dotty przestaje płakać.

— Niezła sztuczka — mówię i sięgam kubek z szafki. — Masz ochotę na herbatę?

— Kitty, co się dzieje?

— Jeśli wolisz, mogę zrobić kakao. Wiem, że kofeina nie pozwala ci zasnąć. — Wyciągam drugi kubek.

— Kitty, przestań!

Odwracam się, obrażona, i staję twarzą w twarz z wydrażoną uśmiechniętą dynią.

Richard podchodzi do stołu. Jest zmęczony, garbi się, siada i podsuwa krzesło dla mnie.

— Chodź, usiądź koło mnie na chwilę.

— No dobra. — Waham się, ale podchodzę. Pochylam się, żeby pocałować go w głowę. — Twoje włosy pachną... łóżkiem. — Często tak do niego mówię. Takie nasze czułe powiedzenie. Dzięki temu robi mi się o wiele lepiej.

Uśmiecha się, ale jego uśmiech przypomina grymas szczerzącej się dyni na Halloween, po czym szybko ustępuje zmęczeniu.

— Wiesz, która godzina, Kitty? — Nie. Nie mam pojęcia.

— Prawie wpół do pierwszej.

— Och.

— No, właśnie, och. Dlaczego przychodzisz tutaj tak późno? Piłaś? Śmieję się beznamiętnie.

— Nie, jasne, że nie.

Przygląda mi się, widzi nowe fałdy tłuszczu, niechlujny wygląd, potem podnosi wzrok i zatrzymuje go na mojej twarzy. Jestem na skraju hysterii.

— No, wypiałam może ze dwa drinki. Richard...

— Co?

Próbuję zebrać siły.

— Słuchaj, przepraszam, że przyszłam tak późno. Wybacz, że obudziłam Dotty. Ja po prostu...

— Po prostu co? Kitty, spójrz na siebie...

— Wiem. Wiem, że strasznie wyglądam. — Wyciągam rękę, szukając jego dłoni, ale ich nie znajduję. Obie są głęboko wciśnięte w kieszenie szlafroka. Odchrząkuję, próbując pozbierać myśli. — Richard, widziałam dzisiaj rzeczy, które... — Martwa twarz Joela ze śladami krwi i smarków majaczy mi w pamięci. Wciąż czuję zapach błota i mokrych liści w parku; gorący, słodkawy zapach zgnilizny.

— Kitty, o czym ty mówisz? Jakie rzeczy? Potrząsam głową, próbując zapomnieć ten widok. Staram się

skupić na twarzy Richarda — na jego zatroskanym czole, czułych ustach.

— Nieważne. Chodzi o to, że coś zrozumiałam. Już wiem, czego chcę...

Richard pociera oczy, mruga, milczy.

— Chcę się ustatkować, mieć męża, rodzinę. Chcę wyjść za ciebie, Richard, wszystko z tobą dzielić. Chcę być mamą dla Dotty.

— Och, Kitty...

Dzieje się z nim coś dziwnego, jakby nie mógł wykrztusić słowa.

Nagle słyszę inny głos. Głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałam.

— Dotty już ma matkę.

Jemima ma wydatne usta. Jej oczy, nos i kości są tak delikatne, że mogłabym chwycić jej twarz i ugniatać jak plastelinę. Ma długie, gęste, kasztanowe włosy i jasną cerę. To bardzo kobiece. Jak na obrazach Rafaela. Nosi lazurkowy szlafrok, który prawie zasłania jej gładkie, białe kolana. Ze skrzyżowanymi ramionami, patrzy na mnie z pogardą jakbym była co najmniej porywaczem dzieci.

— Co ona tu robi? — pytam cicho. Richard patrzy na podłogę.

— Powiedz jej, Richard — mówi Jemima, wyniosła i pewna siebie.

— Co ma mi powiedzieć? — Ale już wiem...

— Kitty, to nie było proste. — Richard jest zrezygnowany.

— Obiecałeś, że nie pozwolisz jej wrócić. Powiedziałeś, że chcesz być ze mną. — Pochyłam się i chwytam go za ramię. — Każ jej odejść, Richard. Proszę, każ jej odejść.

— Nigdzie nie idę — mówi Jemima. Ignoruję ją i patrzę na Richarda, kurczowo ściskając jego ramię. W jego oczach nie ma żadnych emocji.

— Nie ufaj jej — mówię. — Przecież od ciebie odeszła. Porzuciła Dotty. Jak możesz pozwolić, żeby wśliznęła się z powrotem do twojego życia po wszystkim, co ci zrobiła! Znów cię wykiwa. Zobaczysz!

— Wynoś się. — Jemima zbliża się do mnie, głośno tupiąc na kamiennej podłodze. Widzę jej starannie pomalowane różowym lakierem paznokcie u nóg. Chwyta mnie za ramię, próbując zrzucić z krzesła.

— Trzymaj łapy przy sobie — warczę. Jemima mocuje się ze mną. Czuję, że ciągnie ze wszystkich sił. Jedną ręką trzymam się krawędzi stołu, więc nie może mnie ruszyć. Richard boi się na nas spojrzeć.

— Richard. — Drży mi głos... nie wiem, czy ze złości czy ze smutku. — Widzę tylko jedno wyjście z sytuacji...

Jemima mocno szarpie, prawie wyrywa mi rękę ze stawu. Wyję z bólu. Czuję ostry zapach seksu na jej karku. Twoje włosy pachną... łóżkiem...

Nagle czuję, jakby coś rozpruło moją rzeczywistość. W jednej sekundzie jestem przykuta do krzesła, w następnej stoję na środku pokoju, a Jemima leży na podłodze, przy kuchence. Spod kasztanowych włosów patrzą na mnie przestraszone oczy. Jej koszula odchyliła się, ukazując nagie, białe ciało i rude włosy łonowe. Jemima dotyka czoła, rozmazując krew.

Richard chowa twarz w dłoniach.

Słyszę swój głos, jakby należał do kogoś innego.

— Nie zadzieraj ze mną, bo cię, kurwa, zabiję... — Wyciągam przed siebie dłoń, otwieram pięść, prostuję obolałe palce.

— Mamusiu!

Dotty wbiega do kuchni. Nosi koszulę nocną, tę w truskawki. Kupiłam ją w „Marks & Spencer”. Słyszę tupot drobnych stóp. Mała przebiega obok mnie i swojego ojca. Mam wrażenie, że nas nie widzi.

— Wszystko w porządku, kochanie. Mamusi nic się nie stało. — Jemima obejmuje córkę, tuli ją i szepcze do ucha: — Cśśś, Dotty. Wszystko w porządku. — Uśmiecha się, spoglądając nad ramieniem Dotty. Uśmiecha się zwycięsko. Krew rozmazuje się na piżamie w truskawki.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oddycham z trudem. Pomaga tylko whisky. Jedną rękę opieram na kierownicy, a w drugiej ściskam butelkę glenfiddich. Gwiazdy świecą jasno nade mną a droga jest pusta. Właściwie nie mam pojęcia, dokąd jadę. Wąskie uliczki, wielkie, eleganckie wille. Światła na skrzyżowaniach. Kto ich potrzebuje? Samochody przede mną i tak rozplývają się w pijackiej mgle. Co to za wielka, ciemna plama...? Aha, Hampstead. Pieprzone Hampstead Heath.

Muszę się zdecydować, dokąd chcę jechać. Muszę mieć jakiś cel. Przecież nie mogę jeździć na oślep, bo zacznę kręcić się w miejscu. Wirować.

Wstrętne, stare Camden. Smród hot dogów, który nigdy nie wietrzeje. Frajerzy, zatrzymujący taksówki, tłoczą się na brudnych chodnikach, ściskają kurczowo kebaby. Mam wyłączoną lampkę, wy skurwiele. Nie jestem waszym pieprzonym niewolnikiem. To tutaj pierwszy raz spotkałam Jonny'ego... Wiatr targał nim na wszystkie strony. Wyglądał jak ludzik z zapalek, tyle że w rozwianym płaszczu. Poprosił, żebym zawiozła go na Elephant. .. Nie wiedział, kim byłam. Nie powiedziałam mu, że kiedyś go znałam.

King's Cross... St. Pancras — cholerny czerwony tort. Eu-ston Road. Wiem, gdzie jestem. Naprawdę, wiem... Puste biurowce. Nikt się nie kręci po ulicach. Tylko nocne marki, takie jak ja, ale oni się nie liczą... Gower Street...

Jezu, gdzie teraz? Jeżdżę wciąż w kółko... Russel Square?

British Museum. Cholerne sarkofagi. Nie mogę wytrzymać. Gdzie ja, do jasnej cholery, jadę? Na pewno nie do domu. Dom — dobre sobie, co za żaloszny żart! Muszę znaleźć spokojne miejsce, żeby odetchnąć. Świeże powietrze. Potrzebuję świeżego powietrza.

Centre Point. Ktoś zrobił miastu niezły kawał, budując ten pałac w kształcie penisa... Teraz Soho. Koszmar. Tłumy wylewają się z barów prosto na ulicę. Ludzie przechodzą przed samochodem, jakby mieli mnie w dupie. Rzędy podejrzanych minicabów, długie, białe limuzyny i głupie ryksze... Powietrze jest takie gęste i duszne, że można by je kroić... Soho — owłosiona pacha Londynu.

Zdaje się, że jadę na zachód. Hyde Park, Bayswater Road. I to ma być zachód? Gdzie teraz? Byle dalej stąd. Jak najdalej. Do Devon... do Kornwalii... do Walii...

Walia.

Północna Walia — góry, czyste, świeże powietrze. Kupię sobie chatkę, może parę owiec... Winnie mogłaby mnie odwiedzać. Zaczepnąć trochę porządnego, nie zanieczyszczonego powietrza. Mogłybyśmy pomieszkać razem. Piec walijskie pączki. Dlaczego nie? Walia. Właściwie, czemu nie, do diabła? Najpierw trzeba jechać A40, potem M40, M6 i dalej.

Cholera. Gdzie ja jestem? Powinam już być na Westway. Złe skręciłam... Ale przecież nigdy nie mylę drogi. To mi się nie zdarza... Szerokie ulice, białe georgiańskie domy, drzewa. Pieprzony zachodni Londyn. Wszędzie to samo. Skręt w lewo. Muszę trzymać się lewej. Tak, to... Nie, to zła droga. To nie ten zakręt. Jeszcze więcej białych domów, więcej drzew. Na skrzyżowaniu znów w lewo i w końcu się stąd wydostanę. Nie trąb na mnie, ty dupku w BMW! A może w prawo...? Och, Chryste. Coraz więcej białych domów, coraz więcej drzew. Nigdy nie znajdę właściwej drogi. Wszystko jest rozmazane. Szumi jak zepsute radio. Próbuję dostrzec znak drogowy... ale nic nie widzę. Szukam mapy w... Dłoń zaciska się na kartce papieru. Co...

Droga Kathryn,

wybacz, że piszę tak niespodziewanie, ale pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, iż 13 października odbędzie się w naszym kościele msza w intencji matki.

Zgniatam list. Rzucam go na podłogę. Nie mogę znieść głosu tego człowieka. Słyszę go w mojej głowie... Dzwonek... głośny dzwonek... Czerwony telefon! Czego... Jonny? Szukam telefonu po omacku. Wciskam OK, żeby odebrać rozmowę...

— Kathryn, gdzie jesteś?

— Craig?

— Martwię się o ciebie, Kathryn. Gdzie jesteś?

— A skąd mam, kurwa, wiedzieć?!

— Jesteś w samochodzie? Prowadzisz, Kathryn?

— Odwal się, Oczko.

— Słuchaj, może byś zatrzymała się gdzieś na chwilę... Mogę podjechać i cię zabrać.

— Nie chcę, żebyś przyjeżdżał i mnie zabierał. Wynocha z mojego życia!

— Dobrze, dobrze. Wyluzuj, OK? Uspokój się...

— Przestań do mnie mówić jak do jakiejś idiotki.

— Przepraszam, Kathryn. Przepraszam. Możesz się gdzieś zatrzymać? Czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i zjechać na pobocze...?

— Nie będę ci robić żadnych przysług, Craig.

— Tak, wiem. Ja... Słuchaj... Chyba dużo wypiałaś. Możesz kogoś przejechać.

— Mam to w dupie.

— Kathryn, przeżyłaś szok. Nie jesteś sobą. Przetykam ślinę. Coś we mnie narasta. Coś, co długo się ukrywało.

— W jakiej części Londynu teraz jesteś? Czy możesz mi powiedzieć przynajmniej tyle?

— W zachodniej .Białe domy. Drzewa. Białe domy... — Sytuacja staje się całkiem popieprzona. Proste ulice, skrzyżowania, znów proste ulice, a żadna donikąd nie prowadzi. Jestem pewna, że już tu byłam. Jestem pewna, że już widziałem ten samochód kilka minut temu... Zaczynam się czuć jak szczur w labiryncie. Labirynt... Jezu, kierownica robi się śliska od potu.

— Nie mogę oddychać, Craig. Nie mogę... oddychać!

— Czy widzisz jakieś znaki, Kathryn? Albo jakiś pub, restaurację, cokolwiek...

— „Dun... Dunsany"... nie wiem.

— Dobrze. Teraz się zatrzymaj. Wszystko w porządku. Nic nie jest w porządku. Coś wciąż we mnie wzbiera. Gęstnieje wokół mnie, tak jak gęstniało wokół mojej matki.

— Katerina? Powiedz coś do mnie.

Taksówka — wielka i czarna — jedzie wprost na mnie... Dźwięk klaksonu huczy mi w głowie. Skręcam i mijam samochód, ale nagle widzę coś innego... Kolor. Ten cholerny, nienazwany kolor.

Jest wszędzie.

ROZGWIAZDA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Już nie jestem sobą.

— O czym ty mówisz? — Winnie jest zmartwiona. Właściwie, nie powinna się martwić.

— Mam na myśli to, że jestem zupełnie inną osobą niż kiedyś. — Sygnał w telefonie zaczyna piszczeć, więc gorączkowo szukam dwudziestopensówki w kieszeniach szlafroka, przytrzymując słuchawkę brodą. Nie udaje mi się ta sztuczka. Coś mnie kłuje pod złamanym żebrem, w miejscu, gdzie wszyto mi dren. Chwieję się i lewą ręką opieram się mocno na kuli. Robię te karkołomne akrobacje tylko po to, żeby utrzymać w lewej ręce butelkę, która jest przymocowana do rurki na klatce piersiowej. Wreszcie, walcząc o równowagę, udaje mi się wrzucić monetę do otworu.

— Inną osobą w dobrym sensie czy w złym? Kathryn... jesteś tam?

— Ach, cholera... Jasne, przepraszam, Win. Jestem, jestem.

— Wszystko w porządku?

— Tak. — Ocieram pot z czoła.

Doktor Jennings idzie wilgotnym, szarym korytarzem. Towarzyszy mu młody czarny pielęgniarz. Ich buty skrzypią na wypastowanych kafelkach. Lekarz widzi mnie przy telefonie i marszczy brwi. Patrzy tak, jakby chciał powiedzieć: „Właściwie co pani robi poza swoją salą?” Jednak po chwili, całkiem niespodziewanie, uśmiecha się i rusza dalej. Widzę kwadratową twarz Strasznej Julie, kobiety w średnim wieku, której łóżko stoi koło mojego. Julie idzie do toalety w swoim wyświechtanym, fioletowym szlafroku. Odwracam się od niej i udaję, że czytam plakat o badaniach piersi i zapobieganiu nowotworom.

— Przepraszam, Win, co mówiłaś?

— Pytałam, w kogo się zmieniłaś. W kogoś dobrego czy złego?

— Sama nie wiem... W każdym razie już się nie boję. Właściwie przedtem nie zdawałam sobie sprawy z tego, że się bałam. .. Ale właśnie tak było. Czy to ma sens?

— Mhmm. — Zdaje się, że próbuje przetrawić moje słowa. Nawet mnie samej trudno znaleźć w nich sens.

— Chodzi o to, Kath, że spojrzałaś śmierci w oczy, prawda? Wytrzymałaś to spojrzenie i ciągle żyjesz. Właśnie dlatego czujesz się inaczej. Logiczne, nie? Przeczytałam ostatnio taką książkę... Zaraz, kto to napisał.

— Nieważne, Win, co u ciebie?

— U mnie? Och, dużo lepiej, dzięki. Zwłaszcza teraz, kiedy wyciągnęli już ze mnie tę rurę. Hej, Kath, słuchaj, jest w tym coś zabawnego, nie? Obydwie jesteśmy w szpitalu i drenują nam płuca w tym samym czasie!

— Przebawne... — Miałam szczęście. Odma opłucnej, to znaczy przebite płuco, lekki wstrząs mózgu, na głowie guz wielkości piłki golfowej, kilka złamanych żeber, naderwane ścięgna karku, fatalnie rozbite lewe kolano, twarz koloru oberżyny... Cholernie bolesna mieszanka, ale i tak wiem, że miałam szczęście.

— Rzuciłam palenie — mówi Winnie.

— Taaak, jasne.—Na pewno obydwie żałośnie wyglądamy. Ja w rozciągniętej koszuli nocnej zmagam się z drobnymi przeciwnościami; przyklejona do słuchawki, wrzucam kolejne monety do automatu. Przy niej zaś siedzi pielęgniarka i uprzejmie przytrzymuje telefon. Obie wymieniamy niezręczne, chociaż czułe pozdrowienia. Obie jesteśmy słabe jak staruszki, powłóczące nogami i trajkoczące cienkimi, piskliwymi głosikami.

— Nie, serio. Naprawdę... Paul powiedział, że poszłaś mnie odwiedzić. Dzięki za pamięć, Kathryn.

— Daj spokój. Tylko tyle mogłam zrobić. Teraz też bym cię odwiedziła, gdyby nie powstrzymywały mnie niesprzyjające okoliczności... Ale wiesz, Win, jest szansa, że za parę dni mnie wypuszczą. Wpadnę wtedy do ciebie. Przyniosę winogrona.

— Prawdę mówiąc, Kath, wychodzę jutro, więc to raczej ja odwiedzę ciebie.

Nie mogę się śmiać, więc tylko prychem, ale ból i tak niemal powala mnie na ziemię.

— Opiekujesz się mną, jak zwykle. Przygotuj mi parę swoich mądrości, kochana. Cholernie ich potrzebuję.

Na chwilę zapada cisza. Słyszę, że Winnie wzdycha. Słuchawka telefonu śmierdzi. Czuję odór chorych oddechów. Znow kończy mi się kredyt...

— I co zamierzasz zrobić? — pyta wreszcie Winnie. Bip, bip, bip. Próbuje wrzucić ostatnie dwadzieścia pensów.

Automat ich nie przyjmuje. Pochyliłam się, żeby podnieść monetę, pluję na nią i wsuwam z powrotem do otworu. Przy każdym ruchu dren sprawia mi

duży ból. Głośno jęczę. Trik ze śliną sprawdza się idealnie, automat akceptuje monetę. Moja matka nauczyła mnie tego sposobu.

— No więc co zamierzasz teraz zrobić? — Winnie nie daje za wygraną.

— A niby skąd mam wiedzieć? Nie potrafię wybiec myślami poza następne kilka dni. Żyję tylko marzeniem, żeby w końcu wyciągnęli ze mnie ten pieprzony dren!

Stara paniusia, która mozolnie drepcze po korytarzu, opierając się na chodziku, patrzy na mnie, zgorszona. Pokazałabym jej jakiś obraźliwy gest, gdybym miała wolną rękę.

— Czy któryś z nich się pojawił? — pyta Winnie.

— Z nich? To znaczy... Nie, oczywiście, że nie. Wszyscy znikli. Wszyscy sześcioro. No, może oprócz Jonny'ego... Jediną osobą, jaką spotkałam, był Kev.

— Co? Masz na myśli Big Keva? Z „The Crocodile”? — Nie potrafi ukryć podniecenia.

— Tak, właśnie jego. Zadzwoiłam do niego, a on pojechał do mojego mieszkania. Przyniósł mi trochę rzeczy. Wiesz, Win... Przez ostatnie parę dni uświadomiłam sobie coś ważnego o moim życiu.

— Co?

— Że go nie mam.

Powoli kuśtykam z powrotem na oddział. Trzymam butelkę w prawej ręce. Lewa strona — ta ze sztywnym kolanem — opiera się na kuli. Muszę opierać się całym ciężarem na lewej ręce, co nie wpływa zbyt dobrze na moje zdrowie. Złamane żebra kłują mnie i bolą więc muszę się zatrzymać co parę kroków, żeby złapać oddech. Skóra wokół drenu jest zaczerwieniona. Zaciskam jednak zęby i idę dalej. Nie mogę wciąż tkwić w łóżku. Przynajmniej ból głowy nie jest już tak silny jak wczoraj. Czuję tylko tępe pulsowanie i od czasu do czasu mam zawroty. Tak jakby mały samolocik startował i lądował mi pod czaszką.

Wyteżam wszystkie siły, żeby wrócić do łóżka. Po drodze muszę na chwilę oprzeć się o ścianę, żeby uspokoić oddech. Ciekawe, jak bym dała sobie radę na siłowni... Widzę swój cień na ścianie i ten widok mnie przeraża. Czy naprawdę tak się garbię? Wyglądam, jakbym miała na sobie kostium z Halloween.

Wszystko wskazuje na to, że dziś zapoznam się bardzo dobrze ze szpitalnym korytarzem. Rysa na glazurze przy gaśnicy, wilgotna plama na suficie obok świetlówki, hol przy windach... Przechodziłam tędy już z osiem

albo dziewięć razy. Czasami mając powód — kiedy chciałam zadzwonić do Winnie albo iść do ubikacji — a czasem po prostu ćwicząc wstawanie i spacer. To zabawne, jak inaczej patrzy się na wszystko, kiedy jest się zmuszonym do powolnego stąpania i koncentracji na każdym kroku. Wszystko jest inne... Człowiek zaczyna dostrzegać szczegóły. Wszystko robi się bardziej złożone, prawdziwsze... Przestaje być labiryntem.

Zbliżam się do dyżurki. Pielęgniarki pędzą w tę i z powrotem. Nawet te niewielkie zawirowania powietrza, które zostawiają za sobą wystarczyłyby, żeby mnie przewrócić. Dwa telefony w recepcji dzwonią na zmianę, a Frances, wysoka pielęgniarka z krótkimi włosami, stara się odebrać wszystkie rozmowy. Słyszę jej beznamiętny głos, powtarzający raz za razem:

— Oddział szpitala Duke of Edinburgh. Czy może pan chwilę poczekać?

Kuśtykając, skręcam w lewo, do podłużnego, prostokątnego pokoju, w którym stoi moje łóżko. Trzecie po prawej. Straszna Julie właśnie wstaje. Jest wyjątkowo żwawa. Rozmawia z jakimś szczupłym mężczyzną o siwych włosach, który z tyłu wygląda jak mój ojciec. Pierwszy raz zauważam w Julie człowieka — jej toporna, kwadratowa twarz robi się mniej kanciasta. Julie przeczesuje dłonią swoje rzadkie włosy, zakładając je za uszy, i uśmiecha się radośnie. Nagle podnosi wzrok, dostrzega mnie i podnosi rękę. Słyszę słowa z jej ust:

— Oto i ona.

Kiedy gość z siwymi włosami odwraca się, pulsowanie w mojej głowie zmienia się w szaleńczy łomot.

— Och, ona zaraz... — słyszę głos pielęgniarki Yvonne. Tysiące kolorowych punkcików tańczą mi przed oczami. Krew uderza do głowy jak porywista rzeka, przerywająca tamę.

— Niech się pani położy, dobrze? — Frances podtrzymuje mnie, odstawia kule i opiera je o łóżko. Yvonne wyjmuję butelkę z mojej spoconej dłoni i kładzie ją na pościeli.

— Ma pani szczęście, że akurat byliśmy w pobliżu — mówi Yvonne. — Ta utrata przytomności była nieźle wymierzona w czasie, pani Cheet.

Jeszcze więcej szczęścia...

— A teraz, Kathryn, zostań w łóżku i odpocznij trochę — mówi Frances. — Nadwerężasz się, przeciągasz strunę.

Nadal jestem zamroczone. Pielęgniarkom udało się jakoś mnie ułożyć. Zgięły mi nogi, żebym mogła się unieść, i podłożyły poduszkę pod głowę.

Czuję się bezwładna i miękka jak szmaciana lalka. Moja butelka leży na podłodze.

— Wszystko z nią w porządku? — słyszę pytający głos mojego ojca. To jego pierwsze słowa, jakie usłyszałam od piętnastu lat.

Gdzieś w tle Julie opowiada:

— Jestem tutaj z powodu tarczycy. Postawienie właściwej diagnozy zajęło im trzy lata. Trzy lata nieustannego cierpienia.

Brak mi tchu i jestem zbyt wyczerpana, żeby coś powiedzieć. Mam ochotę wrzeszczeć, kiedy pielęgniarki wychodzą. Chcę błagać, żeby nie zostawiały mnie samej z ojcem. On tymczasem stoi sztywno i wpatruje się we mnie tym swoim nauczycielskim, pozbawionym emocji wzrokiem.

— Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem? — udaje mi się wycedzić pomiędzy płytkami, urywanymi oddechami. Sięgam po wodę, stojącą na szafce.

Ojciec uprzedza mnie i szybko wyciąga rękę, podając mi szklanke. Nasze palce dotykają się przez krótką chwilę. Wzdrygam się, czując jego chłodną skórę.

Wreszcie mówi, przerywając niezręczną ciszę:

— Chcesz, żebym zaciągnął kotarę? — Jego głos jest przyjemniejszy, niż zapamiętałam.

Chcę odmówić, bo nie podoba mi się pomysł zostania z nim sam na sam w tym niewielkim pomieszczeniu. Nagle jednak Straszna Julie znów zasypuje nas sensacyjnymi informacjami na temat nadchodzącej operacji tarczycy, więc potakuję ruchem głowy.

Zielona zasłona tłumi dźwięki. Ogarnia mnie strach na myśl o pozostaniu w tym kokonie razem z ojcem. Odwraca się do mnie, wskazując na pomarańczowe, plastikowe krzesło. Wzrokiem zdaje się pytać, czy może usiąść. Wyczuwam w nim panikę. Dostrzegam drobny tik w kąciu jego wąskich ust. Drżą mu ręce, kiedy przysuwa sobie krzesło i siada.

Zdenerwowany, wpatruje się w butelkę i dren, znikający pod moją piżamą. Widząc jego nieśmiałość, nabieram odwagi. Zaczynają mi przechodzić zawroty głowy.

— Postarzałeś się, drogi tato. Jesteś stary i zmęczony. Spuszcza wzrok, bawi się guzikiem marynarki.

— Co się stało, Kathryn? Opowiedz mi.

— Wjechałam taksówką prosto w przyczepę wywrotki. To nie był najlepszy pomysł. Przynajmniej wywrotka była zaparkowana.

Widzę, jak bardzo błyszczą się jego czarne, skórzane buty. Domyślam się, że nadal co wieczór poleruje je i czyści. Zawsze czyścił przy okazji buty moje i mamy, potem stawiał je w równych rzędach na gazecie, przy bojlerze.

Dostrzegam ślad zniecierpliwienia w jego zimnych, ciemnych oczach.

— Ale przecież już ci o tym powiedzieli. — Próbuję uśmiechnąć się sarkastycznie.

— Powiedzieli, że byłaś pijana.

— Och, odpieprz się, tato!

Wzdryga się, podnosi drżącą dłoń i pociera czoło. Czuję, że mimowolny uśmiech rozjaśnia moją posiniaczoną twarz. Ile razy wyobrażałam sobie, że każę mu się odpieprzyć. Właściwie nigdy przedtem tego nie zrobiłam.

Kiedy ojciec odzyskuje równowagę, znów zaczyna:

— Coś ty zrobiła, Kathryn? Przecież to nie w twoim stylu, prowadzić samochód po alkoholu!

— A skąd wiesz, co jest w moim stylu? — Ogarnia mnie zmęczenie i tracę ochotę do walki. Opadam ciężko na poduszkę. — Oczywiście, masz rację. To nie jest w moim stylu prowadzić po alkoholu. Jeśli musisz wiedzieć, tato... tamtej nocy... w pewnym sensie, przestałam się kontrolować. Chyba chciałam umrzeć.

Kiedy to mówię, czuję ciarki na plecach i zamykam oczy... Podobno skręciłam i dzięki temu uniknęłam czołowego zderzenia z przyczepą. Powiedziano mi, że najbardziej ucierpiała lewa strona samochodu, drzwi się złożyły, jakby były zrobione z folii aluminiowej. Podobno miałam szczęście, bo uderzyłam głową w kierownicę. Gdybym nie miała zapiętych pasów, wyleciałabym przez przednią szybę i roztrzaskała sobie głowę. Mogłam skończyć jak Jonny albo jeszcze gorzej... Nie pamiętam nic z tego, co się stało. Pamiętam tylko pomarańczowe światło taksówki, którą minęłam, a potem nic. Tylko ten nienazwany kolor.

— Widzisz, tato, jestem taka sama jak mama. To uczucie tkwiło we mnie tak jak w niej. Czekają, żeby się uwolnić.

Z wysiłkiem otwieram oczy i podnoszę głowę, żeby go lepiej widzieć. Twarz ojca jest trupio blada. Widzę cienie na jego zapadłych policzkach i pod oczami. Spodziewam się, że coś powie, spróbuje zareagować, ale zdaję sobie sprawę, że nie potrafi tego zrobić. Boję się, że zaraz się rozplacę. Męczy mnie cisza, która nagle zapadła między nami. Próbuję ją jakoś ożywić.

— Wiesz, tato, że kiedy wyciągają cię z rozbitego samochodu, to przypinają cię do specjalnych noszy, usztywniających kręgosłup, które są zapinane na rzepy? Świetna rzecz, te rzepy! A potem zakładają ci taki gąbczasty kołnierz, żebyś nie mógł ruszyć głową na wypadek gdybyś miał pęknięty kark... — Boże, to straszne uczucie, kiedy nie można się ruszyć. Świat zdaje się ściśnięty, można nabawić się klaustrofobii. Przez cały czas trzeba patrzeć na sufit, co chwilę pojawiają się twarze. Raz po raz pytają cię, jak się nazywasz, i sztucznie się uśmiechają. — Oczywiście, stracę prawo jazdy. Spodziewam się zakazu na trzy lata. Biuro Transportu Publicznego już nigdy nie odnowi mi licencji-Moja taksówka nadaje się tylko do kasacji. Fairwaye są wytrzymałe, ale nie lubią kontaktów z ciężarówkami. Biedna Maeve pewnie przewraca się w grobie.

— Co teraz zrobisz? — pyta cicho ojciec.

— Nie wiem. — To prawda. — Dolej mi wody, dobrze? Nalewa z dzbanka, stojącego na szafce. Tym razem udaje mi

się nie dotknąć jego palców, kiedy podaje mi szklanekę. Piję solidny łyk, a on znów siada na krześle. Opiera dłonie na kolanach i splata palce.

— Widziałem cię — mówi, spoglądając nieśmiało. — Na mszy. Widziałem, jak uciekałaś. Przedtem cię nie zauważyłem, aż do chwili, kiedy dobiegłaś do wzgórza. Mam coraz słabszy wzrok, ale wiedziałem, że to ty... Jakiś mężczyzna w sportowym samochodzie pojechał szybko za tobą. Słyszałem, że wołał cię po imieniu... Dlaczego nie zostałaś?

— Nie chciałam tam jechać. Facet, którego widziałeś... zwabił mnie podstępem.

— Och. — Wygląda na rozczarowanego. — Myślałem, że może...

— Nie. — Popijam jeszcze jeden łyk wody i odstawiam szklanekę. Chciałabym zostać sama. — Czy mógłbyś już iść, proszę? Muszę odpocząć.

Udaje, że mnie nie słyszał. Mówi dalej, ignorując moją prośbę:

— Kathryn, wiem, że nie byłem dla ciebie dobry, popełniłem wiele błędów. Po prostu nie dawałem sobie rady po... Tak bardzo mi ją przypominałaś...

— Nie chcę tego słuchać, tato.

— Cieszyłem się, kiedy odeszłaś do Maeve. Nie wiedziałem, jak z tobą żyć. Zresztą, w ogóle nie wiedziałem, jak żyć. Poczulem prawdziwą ulgę, kiedy zaproponowali mi wcześniejszą emeryturę...

— Zrób mi przysługę, dobrze, tato? Mam w płucach cholerny dren...

— Maeve była dla mnie bardzo dobra. Założę się, że nie wiedziałaś, że przychodziła do mnie sprzątać dom. Zostawała czasem na herbacie i opowiadała, jak sobie radzisz...

— Tato... — Wszystko we mnie drży i wibruje. Oddycham ciężko, z wysiłkiem.

Ojciec wygląda staro. Stał się jednym z tych chudych, zgarbionych ludzi o wysuszonych twarzach i wielkich uszach, którzy stoją na przystankach autobusowych, trzymając siatki „Tesco” pełne gotowych posiłków do mikrofalówki.

— Przepraszam — mówi. — Nie chciałem cię zdenerwować i zmęczyć. Kiedy jednak zadzwonił do mnie ten mężczyzna i powiedział, gdzie jesteś...

— Jaki mężczyzna?

— Martwiłem się o ciebie, Kathryn. Wiem, że nie mogę ci wynagrodzić straconego życia, ale miałem nadzieję, i nadal ją mam, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Miałem nadzieję, że kiedy wydobrzejesz i wyjdiesz ze szpitala, zechcesz zamieszkać ze mną i Patricią na jakiś czas. To mogłaby być dla ciebie szansa na powrót do zdrowia.

— Hej, spokojnie! — Myśli kotłują mi się w głowie. Fakty i wspomnienia znikają w mroku i nie wiem, czego się trzymać. Rzucam więc na oślep: — Kim, do cholery, jest Patricia?

Ojciec się rumieni! Mój tato wstydzi się jak dzieciak.

— To moja... przyjaciółka.

— Kto?!

— Spotykamy się od ponad roku. Poznałem ją na terapii dla ludzi, którzy stracili bliskich.

Ojciec... na spotkaniach grupy terapeutycznej... Prostuje się na krześle. Zdaje się, że rośnie co najmniej o trzy cale. Potrzebuję więcej kodeiny, i to natychmiast.

— Musiałem coś zrobić, żeby sobie pomóc. Spędziłem czternaście lat, ukrywając się przed światem. Czternaście lat! Tak, powinienem był poświęcać Marie więcej uwagi. Tak, powinienem być lepszym ojcem. Ale przecież nie potrafimy zmienić przeszłości, prawda?

Czuję się dziwnie, słysząc, jak wymawia jej imię.

— Nie mogę wyobrazić sobie ciebie, jak siedzisz w jakimś kościele, bibliotece czy Bóg wie gdzie i wywnętrzasz się przed bandą obcych ludzi.

— Wiem, to dziwne, prawda? — Nerwowo się uśmiecha, ale po chwili jego twarz znów jest poważna. — Kathryn, kochałem twoją matkę bardziej niż kogokolwiek na... Ale teraz... teraz poznałem Patricię. Ona jest... miła.

— Miła? — Znów czuję silny ból pod żebrami. Ojciec kolejny raz się rumieni. Robi mi się niedobrze.

— Tak, miła. Jest uroczą kobietą. Msza była jej pomysłem.

Czy to możliwe, że ojciec się zmienił? Na początku nic nie zauważyłam, ale teraz, kiedy mówi o Patricii, zaczynam to dostrzegać. Ta sama marynarka, wypastowane buty, wieczne pióro wystające z kieszeni koszuli i to, jak zaciska palce — wszystko wygląda tak samo jak kiedyś. Zdaje się jednak, że zaczął nowe życie. Zdobył kobietę o imieniu Patricia. Kobietę z pomysłami.

— Czy twoje odwiedziny też są jej pomysłem?

— Nie. Sam na to wpadłem. Przyjechałbym parę dni wcześniej, ale byliśmy z Patricią na wakacjach w Paryżu. Wróciliśmy dopiero dziś rano. Wtedy dostałem wiadomość.

Mój ojciec i jakaś kobieta na szczycie wieży Eiffla, spacerują nad Sekwaną, zwiedzają Luwr, jedzą ślimaki... potem wracają do domu, żeby...

— Jaką wiadomość? Kto ci powiedział, że tu jestem?

— Przedstawił się jako Jamie. Nagrał się na automatycznej sekretarce.

— Jamie? Nie znam nikogo o tym imieniu. Ojciec wygląda na zdziwionego.

— Zdawało mi się, że to ten mężczyzna, który gonił cię swoim sportowym samochodem.

— Tato, jesteś pewien, że nie przedstawił się jako Craig?

— Tak, jestem pewien. Jamie Lawrence. Tak miał na imię. Opuszczają mnie resztki energii. Teraz już naprawdę muszę odpocząć. Moje powieki robią się coraz cięższe.

— Tato, muszę się zdrzemnąć.

Powoli wstaje, zapina marynarkę. Rozgląda się roztargnionym wzrokiem.

— Czy przemyślisz moją propozycję, Kathryn? Chciałbym, żebyś z nami zamieszkała.

— Daj mi spokój, tato. Teraz nie mogę o tym myśleć.

Znów robi się osowiały. A czego się spodziewał? Że przyjdzie tutaj, powie „przepraszam” i, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sprawi, że zapomnę o tych piętnastu latach? Tak po prostu?

— Cóż... czy mogę przynajmniej odwiedzić cię jeszcze raz?

— Nie wiem... — Nie mogę utrzymać otwartych powiek. W oddali słyszę stuk wózków, rozwożących obiady.

Zamknęłam oczy, ale słyszę głos:

— Mam jutro zadzwonić na oddział? Zdążysz to sobie przemyśleć?

Nagle zasłona rozsuwa się i nieprzyjemny zapach atakuje moje nozdrza. Młody chłopak o pociągłej twarzy, w białym fartuchu, popycha przed sobą wózek. Spogląda na tabliczkę wiszącą przy łóżku i mówi:

— Kathryn Cheet... wegetarianka, tak?

— Nie! — Ze złości zapominam o zmęczeniu. — Nie jestem wegetarianką! Chcę mięsa!

— Hmm... tutaj napisano, że pani jest wegetarianką — mamrocze pielęgniarz.

— Zadzwonię — mówi mój ojciec.

— Jak chcesz — odpowiadam.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Podczas ostatnich dni w szpitalu coraz częściej myślę o Jonnym. Na pewno wiele razy próbował dodzwonić się na mój czerwony telefon. Tyle że czerwony telefon już nie istnieje. Byłam wściekła na Jonny'ego za jego skłonność do hazardu i niefrasobliwe potraktowanie sprawy, kiedy zdobyłam dla niego te trzy tysiące funtów. A jednak powinnam raczej być zła na siebie. On mnie nie prosił o pieniądze. Sama mu je dałam. Ten zastrzyk z gotówki był jak wlanie benzyny do pustego baku. Leżąc w szpitalu, zrozumiałam, że związek z Jonnym zawsze był masochistyczny. Przez ciągłe pozwalanie, żeby Jonny mnie wykorzystywał, karałam po prostu samą siebie za to, że jestem taką żalosną osobą. Było w nas też trochę sadyzmu.

Zerwałam z innymi kochankami, ale Jonny to nie załatwiona sprawa. Kiedy wreszcie lekarze odłączyli mnie od drenu, wyleczyli i poskładali — kiedy opuszczam szpital minicabem (minica-bem!)—każę kierowcy zawieźć mnie do Elephant and Castle.

Drzę ze zdenerwowania, czekając, aż Jonny podejdzie do drzwi. Tak naprawdę, nie wiem, co mu powiedzieć. Kiedy jednak okazuje się, że nie ma go w domu, zdenerwowanie zamienia się w przytłaczające rozczarowanie. Już chcę się odwrócić i dowlec się jakoś z powrotem do windy, kiedy sąsiednie drzwi nagle się otwierają. Wychyla się z nich kobieta w średnim wieku, z ręcznikiem na głowie i papierosem w ustach.

— Och, Boże, pani musi być Jennet — mówi, nie wyjmując fajki. Nie mogę zaprzeczyć, bo kobieta kontynuuje: — Proszę mi wybaczyć, ale zapomniałam, że miała pani przyjść, a teraz farbuję włosy. Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym po prostu dała pani klucze i pozwoliła się rozejrzeć po mieszkanku? W końcu powiedziałam tylko, że będę wpuszczając ludzi do środka. To ma być przysługa, którą z uprzejmości wyświadczam panu Triggsowi. Widzi pani, ja też wynajmuję od niego mieszkanie. Facet jest w porządku, jak na właściciela domu. Ale, prawdę mówiąc, to jednak inny gatunek, nie? To znaczy, chodzi mi o to, że trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby zarabiać na życie, wynajmując stare mieszkania komunalne, prawda? — Przerzywa na chwilę, żeby przyjrzeć się mojej twarzy, nadal posiniaczonej, opuchniętej, czerwonej i spoconej z wysiłku. Zerka na kulę, na której się opieram, i widzi, że mam zeszywniałe całe ciało. Na jej twarzy pojawia się wyraz zainteresowania i żalu, które jednak szybko zamieniają się w podejrzliwość. — Proszę, oto klucze — mówi, wyciągając nagie ramię. W

jej poplamionej henną dłoni widzę klucze Jonny'ego. — Jak skończysz, to przyjdź do mnie i zapukaj. Jeśli nie otworzę od razu, to może znaczyć, że jestem w łazience.

Mieszkanie już straciło woń Jonny'ego. Zniknął tak dobrze mi znany zestaw zapachów: mieszanka whisky, trawki, smażonego bekonu i nie wypranych ubrań. Nadal czuję dym papierosowy i stęchły smród starego dywanu, jednak nawet one powoli się ulatniają. Prawie wszystkie okna są otwarte, w przedpokoju czuć przeciąg. Ogrzewanie jest wyłączone, z ust lecą mi obłoczki pary.

Nigdy przedtem nie widziałam tego miejsca w świetle słońca. Jonny zawsze zostawiał zaciągnięte zasłony. Z lenistwa i z potrzeby prywatności. Przyglądam się plamom wilgoci na ścianach, widzę brud i wypalone dziury po papierosach na dywanie, bardziej widoczne teraz, kiedy nie ma tutaj rzeczy Jonny'ego. Jego gitara, oczywiście, znikła. Zawsze stała tam, w rogu. Ktoś pozbierał i wyrzucił stare gazety i pudła. Stolik do kawy jest dokładnie wypolerowany, ale wciąż można dostrzec na drewnianym blacie duchy śladów po szklankach i kubkach, stojących tam całymi dniami.

Oszołomiona, kuśtykam po mieszkaniu, przechodzę przez pokój dzienny, dotykam palcem lepiałego się materiału starej kanapy. Przez trzy tygodnie moje spacery ograniczały się tylko do szpitalnych korytarzy. Po wypisaniu powinnam pojechać prosto do domu, do łóżka. Zawroty głowy nadają scenie znamion nierealności. Właściwie, może tylko śnię?

Tutaj leżałam tamtej nocy, kiedy Jonny mnie uderzył. Właśnie tutaj, na dywanie. Leżałam w tym miejscu i przypomniałam sobie, że w dzieciństwie pojechałam na plażę i pochyliłam się, żeby spojrzeć na coś w kałuży. Ujrzałam rozgwiadę, wyrzuconą przez morze po sztormie.

Jestem osłabiona i chce mi się pić. Idę do kuchni po szklankę wody. Rany, jest taka czysta! Założę się, że Jonny nie sprzątnął po sobie mieszkania. Może właściciel zapłacił sąsiadce, żeby to zrobiła? Wyobrażam ją sobie, jak odkurza i wyciera kąty, trzymając szmatę w pobrudzonych henną dłoniach... Zaraz, co to jest? Widzę złożoną kartkę, stojącą na półce, przy pojemniku na chleb. Jest na niej moje imię.

Droga Katy!

Zachowałem się jak gnojek. Przepraszam. Wiem, że nie obchodzi Cię, czy pojedę do Berlina, czy trafię do piekła. A jednak, jadę do Berlina. Chcę pomóc Stuartowi prowadzić ten jego bar. Zamierzam zacząć wszystko od początku.

Zawsze będę cię kochał, Katy. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

Jonny

Jest jeszcze jeden kawałek papieru. Stary rachunek za gaz z tekstem piosenki na odwrocie:

You are sailing While I am trailing Through the water

Weeping willow sees you sail I look on behind the veil Of leaves. As you leave.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Stoję na drabinie, malując pokój na kolor mango. Słyszę dzwonek przy drzwiach. Nieważne, kto to, niech spada.

Uwielbiam to uczucie, kiedy zanurzam wałek w farbie i osączam go w kuwecie. Kocham ten czysty, intensywny kolor. Pierwszy raz samodzielnie dekoruję swoje mieszkanie. Zdaje się, że mam to we krwi.

Cholera, znowu dzwonek. Niech nikt nie sądzi, że się zwlekę z drabiny — kiedy moje żebra i kolana nadal są w fatalnym stanie — tylko po to, by pogadać z jakimś niedzielnym świadkiem Jehowy albo komiwojażerem z Batterware. Malowanie jest dość wymagającym zajęciem. Nie muszę zajmować się żadnym nieproszonym gościem. Pielęgniarka Frances pewnie przykułaby mnie do łóżka, gdyby zobaczyła, co robię. Jestem z siebie dumna. Minęły tylko dwa tygodnie od wypisania mnie ze szpitala i proszę, co jestem w stanie sama zrobić.

Cholerny dzwonek brzęczy raz po raz. Kto, do diabła, jest taki upierdliwy? Wychylam się, żeby wyjrzeć za okno, ale nie widzę, kto stoi pod drzwiami. Dobra, udało się wam, dupki. Schodzę z drabiny.

Nie spieszę się. Najpierw stawiam lewą stopę na niższym szczeblu. Potem dołącza do niej prawa. Chwilę później lewa stopa znów schodzi o jeden szczebel i prawa do niej dołącza.

— Dobrze, już idę! Przestań dzwonić, jestem na cholernej drabinie!

Moja bosa stopa ląduje na odwróconej pokrywce od puszki po farbie. Wkurzam się... Wycieram stopę gazetą. Dopiero kiedy zgniatam papier w kulę, widzę twarz Amy, uśmiechającą się do mnie z Muff Matters. Teraz jest cała w kolorze mango. Typowe gazetowe zdjęcie, na którym twarz jest okrągła jak księżyc i zdaje się nie mieć szyi. „Cześć, Amy. Jak leci? Myślisz czasami o mnie? Tęsknisz za mną?”

Wyrzucam zgniecioną gazetę do worka ze śmieciami. Otwieram szeroko okno i wychylam się prosto w wilgotne, listopadowe powietrze. Nadal jednak nie widzę, kto mnie odwiedził. Musi stać tuż przy drzwiach. Dzwonek wciąż brzęczy uparcie, raz krótko, raz długo. Wrzeszczę:

— Przestań dzwonić i pokaż się!

— Craig. — W moim głosie nie ma żadnych emocji. Słowa nie brzmią jak przywitanie, tylko jak stwierdzenie faktu.

Craig przestępuje z nogi na nogę, wyciągając zza pleców bukiet goździków w kolorze przybrudzonego rózu. Nosi czarny, gruby golf,

skórzaną kurtkę i ciemnozielone spodnie. Ma nową fryzurę. W tym stroju przypomina Francuza. Elegancik.

Biorę goździki. Stoję i gapię się na nie. Przeszkadza mi fakt, że wiem, jak wyglądam: dojrzałe sińce na twarzy, stara, rozciągnięta koszulka i poplamione farbą spodnie.

— Przykro mi, ale to wszystko, co zostało w budce z kwiatami — mówi Craig. Czuję się dziwnie, słysząc znów jego głos.

— Dostyc późno sobie przypomniałeś o odwiedzinach. Wygląda tak, jakby chciał odpowiedzieć na ten przytyk, ale zmienia zdanie i mówi coś innego:

— To farba, na twojej twarzy?

— Tak. Właśnie maluję.

— Czy mogę wejść?

— Dobrze. Ale wyrzuć je do śmieci, OK? — Oddaję mu kwiaty. — Nienawidzę goździków.

*

— O rany — mówi, rozglądając się po pokoju. — Pomarańczowy jak lampka na taksówce...

— To mango!

Podchodzi do mnie, ostrożnie wybierając drogę między płachtami folii i gazetami.

— Masz kawę?

— Jasne.

Nalewam wodę do ekspresu w kuchni. Nagle słyszę głos Oczka tuż za mną:

— Zostawiłem Mariannę.

Odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Coś mnie kłuje pod żebrami, kiedy to robię. Zdjął z półki hiszpańską lalkę od Stefa — tancerkę flamenco. Zagląda jej pod sukienkę i unosi ze zdziwieniem brwi, widząc białe stringi.

— Żadnych kłamstw, Craig.

— Żadnych kłamstw. — Kiedy na mnie patrzy, na jego twarzy widzę szczerłość, a nawet niewinność. Tak musiał wyglądać jako szesnastolatek.

— Mam na imię Jamie. Jamie Lawrence.

— Wiem.

— Craig Summer. Takie nazwisko musiałem przyjąć na czas trwania tamtej roboty. Nawiasem mówiąc, wszystko okazało się tylko stratą czasu.

Uśmiecha się.

— Oczko, dlaczego nie odwiedziłeś mnie w szpitalu?

— Myślałem, że nie chciałybyś mnie widzieć.

Nagle w pokoju rozlega się jakiś dziwny dźwięk. Szaleńcze trzepotanie.

— Chryste, to gołąb!

Na pewno wleciał do mieszkania, kiedy robiłam kawę. Okno jest otwarte, ale głupie ptaszysko uderza raz po raz w sąsiednie — zamknięte. Niemal traci przytomność od ciągłego walenia głową w szybę. W moim małym pokoju wygląda jak olbrzym.

— Wygoń go. — Cofam się. Zaciskam ręce na obolałych piersiach.

— Dobrze. — Oczko odchrząkuje i wypręża tors, żeby nadać sobie bardziej męski wygląd. — Masz jakiś stary ręcznik?

— Tak. — Przeciskam się do łazienki, szperam w szafie i wyciągam stary, różowy ręcznik. Mam go jeszcze z czasów, kiedy mieszkałam u Meave. W chwili, gdy wracam do pokoju, widzę gołębia, który w locie omija drabinę. Tylko po to, żeby wreszcie wylądować z chlupotem na kuwecie z farbą.

— O kurwa!

— Cicho. — Craig patrzy na mnie, wkurzony. — Uspokój się. Tylko go straszysz. Podaj mi ręcznik.

Trzęsąc się, daję mu ręcznik i wracam do kuchni. Nerwowo obgryzam paznokcie. Smakują farbą.

Craig zakrada się wolno na drugą stronę pokoju, rozkładając ręcznik jak matador.

— W porządku, gołąbku. — Jego głos jest niski i łagodny. — Wszystko w porządku, mały.

— Mały! — wyrywa mi się piskliwie, głośno, a gołąb od razu podrywa się do lotu. Jeszcze raz pikuje na okno, rozbryzgując dookoła farbę. Jego pazury w kolorze mango brudzą szybę farbą.

Oczko odwraca się do mnie, niezadowolony, a ja zakrywam usta dłonią, żeby nie wymknął mi się kolejny wrzask. Ptak siada na parapecie i robi kupę. Zaczyna dziwacznie bulgotać, jakby ktoś dusił staruszkę.

— Jesteś tępym ptaszyskiem, prawda? — mówi Oczko. Podchodzi do parapetu, rozciąga ręcznik. — Nie chcę cię skrzywdzić, głupku. Chcę ci tylko pomóc. Tylko tyle. — Zasłania gołębia ręcznikiem, zachęcając, by ten poleciał w drugą stronę, przez otwarte okno.

W pokoju zapada cisza. Słyszę oddech Oczka. Po chwili gołąb trzepocze skrzydłami i odlatuje.

RS